

**NICCI  
FRENCH**

**W SIECI  
STRACHU**

Świat Książki

**Pełna mrocznych tajemnic...  
napęście rośnie z minuty na minutę.**

„Independent”

**Prawdziwie przerażająca...  
ani na chwilę nie zwalnia tempa, zmierzając  
do zaskakującego finału.**

„Daily Mail”

Trzy kobiety, Zoe, Jenifer i Nadię, nic nie łączy. Nic, z wyjątkiem mężczyzny, który chce je zabić. Ale dopiero wtedy, gdy się nacieszy ich przerażeniem. Niewidzialny i nieuchwytny, bezlitośnie je osacza, krok po kroku niszczy w nich poczucie bezpieczeństwa, wiarę w najbliższe osoby, pozostawia bezbronne i osamotnione. Z rozkoszą obserwuje, jak cierpią. Na szczęście nie wie, że nie wszystkie są tak bezradne...

Pod pseudonimem **NICCI FRENCH** kryje się małżeńska para dziennikarzy, Nicci Gerard i Sean French. Razem piszą pierwszorzędne thrillery psychologiczne. Po ich książki od lat sięgają amatorzy naprawdę mocnych wrażeń. W Polsce ukazały się m.in. *Bezpieczny dom*, *Fatalna namiętność*, wkrótce *Kraina życia*.

[www.swiatksiazki.pl](http://www.swiatksiazki.pl)

ISBN 83-7311-788-1



9 788373 117884

Cena 34,90 zł



Nr 3930

NICCI  
FRENCH  
  
W SIECI  
STRACHU

Z angielskiego przełożyła *Katarzyna Malita*

Świat Książki

Tytuł oryginału BENEATH THE SKIN

Projekt okładki Anna Seroczyńska

Redaktor prowadzący Ewa Niepokólczycka

Redakcja Krystyna Mazurkiewicz

Redakcja techniczna Lidia Lamparska

Korekta

Bożenna Burzyńska

Urszula Przasnek

Copyright © Joined-Up Writing, 2000

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Malita, 2003

Świat Książki

Warszawa 2004 „Bertelsmann Media Sp. z o. o. ul. Rosola 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Plus 2

Druk i oprawa Finidr, Czechy

ISBN 83-7311-788-1 Nr 3930

*Dla Katie i Chrisa*

*Latem ich ciała stają się gorące. Żar sączy się przez pory i wnika pod skórę; gorące światło rozjaśnia wewnętrzny mrok; wyobrażam sobie, jak wędruje pod skórą niczym ciemny, lśniący płyn, przyprawiając je o dreszcz. Zdejmują ubrania, pozbywając się grubych, ciepłych warstw, które noszą zimą, i pozwalają, by słońce pieściło swym dotykiem ramiona i kark. Promienie spływają pomiędzy ich piersiami, a one odchylają głowy, by poczuć na twarzy ciepło. Zamykają oczy, otwierają usta, te pociągnięte szminką i te nieumalowane. Żar pulsuje na chodnikach, po których chodzą z gołymi nogami, w lekkich spódnicach szumiących w rytm kroków. Kobiety. Latem obserwuję je wszystkie, wyczuwam ich zapach, zapamiętuję.*

*Oglądają swoje odbicia w szybach wystawowych, a ja patrzę, jak wciągają brzuchy, prostują plecy. Obserwuję tak, jak one obserwują same siebie. Widzę je, gdy sądzą, że nikt nie patrzy.*

*Rudowłosa kobieta w pomarańczowej, lekkiej sukience. Jedno z ramioneczek przekręciło się na ramieniu. Drobnie piegi na nosie i jeden duży na obojczyku. Nie nosi stanika. Kiedy idzie, kołysze bladymi, smukłymi ramionami, a pod obcisłą sukienką wyraźnie rysują się sutki. Płaskie piersi. Wystające kości miednicy. Ma na sobie sandały bez obcasów. Drugi palec u nogi jest dłuższy od dużego. Zamglone zielone oczy, przypominające dno rzeki. Blade rzęsy, mruga nimi zbyt często. Wąskie wargi, w kącikach ust ślad szminki. Lekko przygarbiona pod naporem upału, podnosi teraz jedną rękę, by otrzeć z czoła kropelki potu. Pod pachą widać cień rudych włosów niegolonych od paru dni. Podobny cień widać na nogach, ich dotyk przypominałby wilgotny papier ścierny. Skóra pokrywa się plamami, włosy przyklejają się do czoła. Nienawidzi gorąca. Tę kobietę upał wyraźnie pokonał.*

*Kobieta o dużych piersiach, miękkim rozlanym brzuchu i z burzą ciemnych włosów. Można by pomyśleć, że upał bardziej jej dokucza - z taką masą ciała, którą musi dźwigać. Ona jednak zaprasza słońce, nie*

walczy z nim. Widzę, jak na powitanie otwiera całe swoje wielkie, gąbczaste ciało. Plamy potu pod pachami, na zielonym podkoszulku, pot płynący po szyi, wzdłuż grubych warkoczy. Jego kropelki lśnią wśród ciemnych włosów na rękach i spływają po nogach w butach na obcasie. Już wiem, jak wygląda reszta jej ciała. Ciemne włoski nad górną wargą. Czerwone usta wilgotne niczym dojrzala śliwka. Je bułkę zawiniętą w brązowy papier z plamami tłuszczu, wbijając białe zęby w miękką masę. Na górnej wardze pozostał kawaleczek pomidora, tłuszcz spływa po brodzie, a ona go nie wyciera. Spódnica wdziera się w szparę między pośladkami, lekko się unosi.

Upał sprawia, że kobiety mogą stać się odrażające. Niektóre wysychają niczym owady na pustyni. Na ich twarzach pojawiają się zmarszczki, otaczają siateczką górną wargę, krzyżują się pod oczami. Słońce wysysa z nich całą wilgoć. Zwłaszcza z tych starszych, które próbują ukryć pomarszczone ramiona pod długimi rękawami, a twarze pod kapeluszami. Inne zaczynają cuchnąć, gniją, ich skóra z trudem skrywa toczący się pod nią proces rozkładu. Kiedy się zbliżają, od razu to czuję: pod zapachem mydła, dezodorantu i perfum, którymi skropiły nadgarstki i koniuszki uszu, wyczuwam odór gnicia.

Jednak niektóre z nich otwierają się niczym kwiaty w blasku słońca; czyste, świeże, o gładkiej skórze; mają włosy niczym jedwab, ściągnięte do tyłu lub opadające miękką falą wokół twarzy. Siedzę na ławce w parku i patrzę, jak przechodzą obok mnie, samotnie lub w grupkach, przyciskając rozgrzane stopy do wysuszonej trawy. Murzynka w żółtej sukience. Słońce odbija się od lśniącego ciała, gęstych, tłustych włosów. Kiedy mnie mijają, słyszę, jak się śmieje; gardłowy dźwięk, który zdaje się wydobywać z tajemnego miejsca ukrytego głęboko w jej silnym ciele. Patrzę na to, co pozostaje ukryte w cieniu: na zmarszczkę pod pachą, wklęśnięcie pod kolanem, ciemny rowek między piersiami. Ukryte fragmenty ciała. Myślę, że nikt ich nie dostrzega.

Czasami widzę, co noszą pod ubraniem. Kobieta w białej koszuli bez rękawów. Ramiączko stanika bez przerwy opada na ramię. Poszarzałe, znoszone. Założyła czystą koszulę, ale nie zawracała sobie głowy staniem. Myślała, że nikt go nie zauważy. Ja dostrzegam takie rzeczy. Majtki wystające nad paskiem spódnicy. Odpryski lakieru na paznokciach. Pryszech, który próbują zakryć podkładem. Niepasujący do całości guzik. Brudną plamę, brunatny ślad na kołnierzyku. Pierścionek, który

po latach stał się za ciasny i boleśnie wbija się w ciało.

Przechodzą obok mnie. Patrzę na nie przez okno, kiedy myślą, że są same. Na kobietę, śpiącą po południu w kuchni domu przy cichej ulicy, który czasem odwiedzam. Głowę ma przekrzywioną pod dziwnym kątem - za chwilę opadnie całkiem, a ona przebudzi się, nie wiedząc, gdzie się znajduje - wykrzywione, zwiędłe usta. Na policzku strużka śliny niczym ślad po ślimaku.

Wsiadają do samochodu z zadartą spódnicą, miga bielizna. Uda ze śladami cellulitu.

Pamiętka po miłosnej nocy ukryta pod starannie zawiązaną apaszką.

Oczekujące dziecka. Pod ciasną ciężową sukienką rysuje się wyraźnie pępek.

Z małym dzieckiem i plamami mleka na bluzce. Nieduży ślad po wymiotach na ramieniu w miejscu, gdzie kołysze się główka dziecka.

Uśmiech, który odsłania opuchnięte dziąsła, wyszczerbiony przedni ząb, porcelanową koronę.

Brązowy ślad odrostów biegnący wzdłuż przedziałka.

Grube, żółtawe paznokcie u nóg zdradzające wiek.

Pierwszy ślad żyłaków na białej nodze, rysujący się pod skórą niczym fioletowa dżdżownica.

W parku leżą na trawie w blasku słońca. Siedzą w ogródkach przed pubami ze śladem pianki od piwa na ustach. Czasami stoję wśród nich w metrze, czuję napór gorących ciał w panującej w środku duchocie. Niekiedy siadam obok nich, dotykając lekko ich ud. Otwieram im drzwi, wchodzę za nimi do chłodnej biblioteki, galerii, sklepu i patrzę, jak się poruszają, jak odwracają głowę lub zakładają włosy za uszy. Jak się uśmiechają i odwracają wzrok. Czasem odpowiadają mi spojrzeniem.

Jeszcze przez kilka tygodni w mieście trwać będzie lato.



Część pierwsza

Zoë

## 1

Gdyby nie arbuzy, nie stałabym się sławna. A gdyby nie upał, nie miałabym przy sobie arbuza. Chyba więc muszę zacząć od upału.

Było straszliwie gorąco. To jednak może was zmylić. Wywołać przed oczami obraz opuszczonych plaż nad Morzem Śródziemnym i drinków w wysokich szklankach ozdobionych kolorowymi papierowymi parasolkami. Nic z tych rzeczy. Upał przypominał starego, grubego, pierdzącego psa, który u kresu życia rozłożył się nad Londynem na początku czerwca i przez trzy straszliwe tygodnie ani drgnął. Dzień za dniem ociekał potem i cuchnął, a niebo zmieniało kolor z niebieskiego na typową dla zalanych smogiem miast mieszaninę żółci i szarości. Holloway Road przypominała teraz gigantyczną rurę wydechową, spaliny przyciskał do ulicy ciężar jeszcze groźniejszych wyziewów opadających gdzieś z góry. My, piesi, kaszleliśmy na siebie niczym psy rasy beagle wypuszczone z laboratorium badającego szkodliwość palenia. Na początku czerwca miło było założyć letnią sukienkę i poczuć jej delikatny dotyk na skórze. Ale teraz pod koniec każdego dnia moje sukienki były przepecone i poplamione i co rano musiałam myć włosy.

Zazwyczaj wybór książek, jakie czytam moim uczniom, podyktowany jest faszystowskimi zasadami narzuconymi przez rząd, lecz dziś rano postanowiłam się zbuntować i przeczytać im historię o Piotrusiu króliku, którą znalazłam w pudle ze zniszczonymi książeczkami dla dzieci, kiedy opróżniałam mieszkanie taty. Pochylałam się wówczas nad starymi świadectwami, listami napisanymi jeszcze zanim przyszłam na świat, delikatnymi ozdobami z porcelany, które niosły ze sobą falę mocno sentymentalnych wspomnień. Zatrzymałam wszystkie książki, gdyż pomyślałam, że pewnego dnia sama mogę mieć dzieci i będę im czytać historie, które czytała mi mama, zanim umarła, pozostawiając tacie obowiązek

utulania mnie do snu. Czytanie na głos stało się jedną z rzeczy, które utraciłam na zawsze, dlatego też w mojej pamięci zapisało się jako coś bardzo cennego i cudownego. Kiedy czytam dzieciom na głos, jakaś część mnie czuje, że powoli zamieniam się w delikatną wizję mojej mamy, że czytam dziecku, którym sama kiedyś byłam.

Chciałabym móc powiedzieć, że moja klasa była oczarowana tą klasyczną, staromodną historią. Może rzeczywiście mali uczniowie trochę mniej jęczeli, mniej dłubali w nosie, rzadziej wpatrywali się w sufit i dokuczali sąsiadom. Kiedy jednak zapytałam ich później o treść, przede wszystkim okazało się, że żadne z nich nie ma pojęcia, co to takiego arbuza. Narysowałam go więc na tablicy zieloną i czerwoną kredą. Arbuza wygląda przecież jak przedmiot z kreskówki, więc nawet ja potrafię go narysować. Nie pomogło.

Powiedziałam im, że jeśli będą grzeczni - i przez ostatnią godzinę popołudniowych zajęć rzeczywiście zachowywali się niepokojąco dobrze - przyniosę im arbuza następnego dnia na lekcje. W drodze do domu pojechałam jeden przystanek dalej niż zwykle i wysiadłam przy Seven Sisters Road. Ruszyłam w dół ulicy, mijając sklepy warzywne i stoiska z owocami. Na pierwszym z nich, aż uginającym się od ciężaru owoców, kupiłam pół kilo dojrzałych czereśni, które pochłonęłam w mgnieniu oka. Były rozgrzane i soczyste i natychmiast przywołały wspomnienia okolicy, w której dorastałam i gdzie siedząc pod ciemnozieloną markizą, oglądałam zachodzące słońce. Było już po piątej, więc ruch uliczny zaczynał się nasilać. Spaliny buchały mi prosto w twarz, ale było mi lekko na duszy. Jak zwykle przedzierałam się przez tłum ludzi, lecz większość z nich sprawiała wrażenie, że jest w świetnym humorze. Wszyscy zaczęli już nosić jasne, kolorowe ubrania. Strzałka mojego wewnętrznego licznika mierzącego poziom miejskiej klaustrofobii zamiast normalnej jedenastki wskazywała znacznie przyjemniejszą siódmkę, może nawet szóstkę.

Kupiłam arbuza wielkości piłki do koszykówki. Ważył tyle co kula do gry w kręgle. Sprzedawca potrzebował aż czterech reklamówek włożonych jedna w drugą, by go zapakować bez obawy, że pękną uszy, a i tak przez długą chwilę zastanawiałam się, jak donieść ten ciężar do domu. Wreszcie

przerzuciłam go przez ramię, niemal zataczając się na jezdnię i niosłam tak jak mężczyzna dźwigający na plecach worek węgla. Do przejścia miałem jakieś dwieście metrów. Nie powinno być aż tak źle.

Kiedy przeszłam przez Seven Sisters Road i skręciłam w Holloway Road, ludzie przyglądali mi się badawczo. Myśleli z pewnością, że knuję coś niedobrego: skąpo ubrana młoda blondynka uginająca się pod ciężarem czegoś, co wyglądało jak ruda żelaza, a i ważyło chyba tyle samo co ona.

I nagle to się wydarzyło. Co czułam w tej chwili? To był moment, impuls, cios, a potem wszystko należało już do przeszłości. W końcu udało mi się odtworzyć bieg wypadków, oglądając w wyobraźni raz po raz film z zarejestrowanym ciągiem wydarzeń, słuchając relacji świadków i opowiadając innym, jak to się stało. W moją stronę nadjeżdżał autobus. Niemił zrównał się ze mną, gdy z tylnej platformy zeskoczył jakiś osobnik. Autobus jechał tak szybko, jak tylko można to robić na Holloway Road w godzinie szczytu. Normalni ludzie nie wyskakują w ten sposób z autobusów, nie robią tego nawet londyńczycy, więc początkowo pomyślałam, że ten mężczyzna bardzo nieostrożnie przebiegł przez ulicę tuż za autobusem. Dopiero szybkość, z jaką opadł na chodnik, niemal tracąc równowagę, przekonała mnie, że musiał zeskoczyć z platformy.

Po chwili zauważyłam, że na chodniku znajdują się dwie osoby, połączone ze sobą jakimiś paskami. Za mężczyznę leżała kobieta, sporo od niego starsza. Ale nie była jeszcze stara. Kiedy wyskoczyła z autobusu, straciła równowagę i upadła. Widziałam jej uniesione wysoko stopy. Przewracając się, wpadła na kosz na śmieci. Zobaczyłam i usłyszałam, jak jej głowa uderza o chodnik. Mężczyzna się wyswobodził. W rękach trzymał torebkę. Jej torebkę. Trzymał mocno, przyciskając do piersi. Ktoś krzyknął. Mężczyzna zaczął szybko uciekać. Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmieszek. Z błyskiem w oku biegł prosto na mnie, więc powinnam się była odsunąć. Ale nie zrobiłam tego. Zsunęłam z ramienia arbuz. Odchyliłam się do tyłu i wzięłam ostry zamach. Musiałam się odchylić, bo inaczej arbuz opadłby pionowo, pociągając mnie za sobą. Gdyby nadal wirował wokół mnie, na pewno straciłabym równowagę, lecz nagle napotkał niespodziewaną przeszkodę, uderzając mężczyznę prosto w żołądek.

Mówi się często o czułych miejscach. Kiedy w szkole podstawowej grałam w krykieta i uderzałam piłkę, zazwyczaj odbijała się od krawędzi kija i opadała żałośnie na bok. Jednak czasami uderzała we właściwe miejsce i bez żadnego wysiłku z mojej strony szybowała wysoko w powietrze. Kije do krykieta też mają swoje czułe miejsce, tyle tylko, że w ich przypadku nazywa się je „mięsem”. Mają je także rakiety tenisowe. I kije bejsbolowe. Mój arbuz trafił złodzieja dokładnie w jego czułe miejsce, tuż pod żebrami. Kiedy uderzył go prosto w żołądek, usłyszałam niesamowity, głuchy dźwięk. Ze świstem powietrza napastnik opadł na chodnik, jakby jego ubranie nie było w ogóle wypełnione ciałem i zapragnęło nagle złożyć się na chodniku. Nie upadł jednak na ziemię niczym podcięte drzewo. Osunął się jak wysoki budynek, wysadzony w powietrze przez ładunek wybuchowy podłożony tuż u jego podstawy. W jednej chwili jeszcze stał, a w następnej widać już było tylko opadający pył i gruz.

Nie wiedziałam, co zrobić, jeśli mężczyzna podniesie się i ruszy do ataku. Arbuz nadawał się tylko do jednego ciosu. Ale on nie mógł wstać. Przez chwilę kulił się na chodniku, a zaraz potem otoczył nas tłum. Kiedy zniknął mi z oczu, przypomniałam sobie o kobiecie. Jacyś ludzie stali mi na drodze, próbowali coś do mnie mówić, lecz zdecydowanie przycisnęłam się obok nich. Byłam jak w euforii. Miałam ochotę śmiać się lub z ożywieniem wyrzucać z siebie potok słów. Jednak w widoku kobiety nie było nic zabawnego. Leżała skulona na chodniku z twarzą przyciśniętą do ziemi. Na płytach chodnika było sporo krwi, ciemnej i gęstej. Pomyślałam, że kobieta nie żyje, ale w tej samej chwili zauważyłam, że jej noga dziwnie podskakuje. Kobieta była bardzo elegancko ubrana, w kostium z dość krótką, szarą spódnicą. Nagle pomyślałam, że zjadła dziś rano śniadanie, wyszła do pracy, a potem wracała do domu, zastanawiając się, co będzie robić wieczorem. Snuła na pewno jakieś zwyczajne, bardzo przyziemne plany, aż tu nagle wydarzył się wypadek, zmieniając bieg jej życia. Dlaczego nie puściła tej głupiej torebki? Może po prostu pasek owinął się wokół jej ramienia.

Zgromadzeni wokół niej ludzie wyglądali na zakłopotanych. Wszyscy pragnęliśmy, żeby pojawił się ktoś, kto z urzędu mógłby zapanować nad całą tą sytuacją - lekarz, policjant lub ktokolwiek w mundurze - i przejąć

nad wszystkim kontrolę. W pobliżu nie było jednak nikogo.

- Czy jest wśród was lekarz? - spytała stojąca obok mnie kobieta.

O, cholera. W drugim semestrze kursu pedagogicznego przerabiałam kurs pierwszej pomocy. Zrobiłam krok do przodu i uklękłam przy leżącej. Czułam, że stłoczeni wokół nas ludzie próbują mi dodać otuchy. Wiedziałam, jakie lekarstwa należy podawać maluchom, ale w tej sytuacji nie przychodziło mi do głowy nic z wyjątkiem jednej z najważniejszych zasad: „Jeśli masz wątpliwości, nie rób nic”. Kobieta była nieprzytomna. Na twarzy i wokół ust widać było sporo krwi. Nagle przypomniała mi się jeszcze jedna zasada: „Bezpieczna pozycja”. Najdelikatniej, jak umiałam, odwróciłam do siebie twarz kobiety. Za sobą usłyszałam głośne westchnienia i okrzyki wyrażające odrazę.

- Czy ktoś wezwał karetkę? - spytałam.

- Tak. Zadzwońm z komórki po pogotowie - usłyszałam głos za sobą.

Odetchnęłam głęboko i wsunęłam palce do ust kobiety. Miała rude włosy i bardzo białą skórę. Była młodsza niż początkowo sądziłam i chyba bardzo ładna. Ciekawe, jaki kolor mają jej ukryte za zamkniętymi powiekami oczy. Prawdopodobnie były zielone: rude włosy i zielone oczy. Wsunęłam z jej ust zakrzepłą krew. Gdzieś z jej wnętrza dobiegł jęk. Potem zakasłała. To chyba dobry znak. Nagle usłyszałam głośną syrenę karetki, była już chyba bardzo blisko. Podniosłam wzrok. Odepchnął mnie mężczyzna w mundurze. Świetnie.

Lewą ręką znalazłam w kieszeni chusteczkę i starannie wytarłam z palców krew i ślinę. Mój arbuze! Nie miałam arbuza. Zaczęłam go szukać. Napastnik siedział teraz na chodniku. Pilnowała go dwójka policjantów. Nagle dostrzegłam niebieską reklamówkę.

- To moje - powiedziałam, podnosząc ją z chodnika. - Upuściłam ją.

- To ona - powiedział jakiś głos. - To ona go zatrzymała.

- Znokautowała go jak cholera - rzucił ktoś inny, a stojąca obok mnie kobieta roześmiała się.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrział na mnie. Chyba oczekiwałam, że

w jego oczach błysnie chęć zemsty, lecz patrzył tylko zmieszany i zaskoczony.

- Zgadza się? - spytała policjantka, patrząc na mnie lekko podejrzliwie.

- Tak - odparłam ostrożnie - ale teraz muszę już iść.

Policjant zrobił krok w moją stronę.

- Będziemy potrzebować paru wyjaśnień, skarbie.

- Co chcecie wiedzieć?

Wyjął z kieszeni notes.

- Zaczniemy od twojego nazwiska i adresu.

Nagle wydarzyło się coś zabawnego. Okazało się, że całe to zajście wstrząsnęło mną bardziej, niż myślałam. Pamiętałam swoje nazwisko, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć adresu. A przecież jestem właścicielką tego cholernego mieszkania i mieszkam tam od półtora roku. Musiałam wyjąć z kieszeni notes i przeczytać adres, a ręka drżała mi tak, że litery rozmazywały mi się przed oczami. Musieli chyba pomyśleć, że straciłam rozum.

## 2

Sprawdzając obecność, dotarłam w dzienniku do litery E: E jak Damian Everett, chudy chłopczyk w wielkich okularach, sklejonych z jednej strony taśmą, z brudnymi uszami, otwartą ze zdziwienia buzią i zdartymi kolanami. Na boisku szkolnym inni chłopcy stale go popychali i strupy na kolanach były tego bolesnym dowodem.

- Obecny - szepnęła w chwili, gdy Pauline Douglas wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- Mogę cię prosić na słówko, Zoë? - powiedziała. Wstałam, nerwowym ruchem wygładziłam sukienkę i podeszłam do drzwi. Na korytarzu panował miły przeciąg, lecz na starannie przypudrowanej twarzy Pauline dostrzegłam strużkę potu. Jej zazwyczaj starannie ułożone szpakowate włosy były wilgotne na skroniach. - Dzwonił do mnie dziennikarz z „Gazette”.

- Co to takiego?

- Lokalna gazeta. Chcą z tobą porozmawiać o twoim bohaterskim wyczynie.

- Co? Ach, o tym. To...
  - Wspominał coś o arbuzie.
  - A tak, widzisz...
  - Chcą też przysłać fotografa. Cisz! - To ostatnie słowo padło pod adresem grupki dzieci przepychających się na podłodze za nami.
  - Przykro mi, że zawracali ci głowę. Powiedz im, żeby dali sobie z tym spokój.
  - Nie ma mowy - odparła zdecydowanym tonem. - Umówiłam się z nimi za piętnaście jedenasta, w czasie przerwy.
  - Jesteś pewna? - spytałam, patrząc na nią z powątpiewaniem.
  - To może być dobra reklama dla szkoły. - Zajrzała mi przez ramię do środka. - To ten?
- Spojrzałam na wielki, zielony, pasiasty owoc, leżący niewinnie na półce.
- Tak.
  - Musisz być silniejsza, niż wyglądasz. Do zobaczenia później.
- Usiadłam i wzięłam dziennik do ręki.
- Gdzie stanęliśmy? Ach tak. Kadijah.
  - Obecna.

Dziennikarz był mężczyzną w średnim wieku, niskim i grubym. Zza kołnierza koszuli wystawały mu długie, porastające kark włosy. Rosły też w nosie. Nie dosłyszałam jego nazwiska, co było dość żenujące, bo on znał moje doskonale. Chyba Bob jakiś tam. Miał ciemnoczerwoną twarz, a na koszuli pod pachami widniały plamy potu. Kiedy robił notatki, spocona ręka co chwilę zsuwała mu się z długopisu. Towarzyszący mu fotograf wyglądał na siedemnaście lat: króciutko ostrzyżone ciemne włosy, kolczyk w jednym uchu i dżinsy tak obcisłe, że wyglądały, jakby miały w każdej chwili pęknąć. A już na pewno kiedy przykucnie, by zrobić zdjęcie. Przez cały czas Bob zadawał mi pytania, a fotograf kręcił się po klasie, przyglądając mi się przez obiektyw aparatu. Przed ich przyjściem poprawiłam włosy i nałożyłam lekki makijaż. Wszystko za sprawą Louise, która wepchnęła mnie do szatni nauczycieli i weszła tam za mną ze szczotką w



ręce. Teraz pożałowałam, że nie postarałam się trochę bardziej. Siedziałam w klasie w starej kremowej sukience, lekko powyciąganej w paru miejscach. Czulałam się nieswojo.

- O czym pani myślała, zanim zdecydowała się go pani zaatakować?
- Po prostu to zrobiłam. Bez zastanowienia.
- Nie bała się pani?
- Nie. Nie miałam na to czasu.

Zapisywałam wszystko w swoim notesie. Czulałam, że powinnam udzielać bardziej błyskotliwych odpowiedzi, rzucać bardziej zabawne komentarze na temat całego zajścia.

- Skąd pani pochodzi? Haratounian to dość dziwne nazwisko jak na taką blondynkę jak pani.

- Z małej wioski w pobliżu Sheffield.

- Mieszka pani w Londynie od niedawna? - Nie czekał na moją odpowiedź. - Uczy pani najmłodsze dzieci?

- Tak. To się nazywa nauczanie początkowe.
- Ile ma pani lat?
- Dwadzieścia trzy.

- Mmm. - Spojrzał na mnie w zamyśleniu, niczym ktoś, kto ocenia mało atrakcyjną sztukę bydła na aukcji rolniczej. - Ile pani waży?

- Słucham? Jakież czterdzieści pięć kilo.

- Czterdzieści pięć kilo - powtórzył ze śmiechem. - Fantastycznie. A to był wielki facet, prawda? - Wsunął koniec długopisu do ust. - Sądzi pani, że w naszym społeczeństwie działałoby się o wiele lepiej, gdyby wszyscy reagowali tak jak pani?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. - Szukałam w myślach jakiejś sensownej odpowiedzi. - A gdyby arbuz nie trafił go w żołądek? Albo uderzył inną osobę?

Zoë Haratounian, rzeczniczka nierozgarniętej młodzieży. Zmarszczył brwi i nawet nie udawał, że notuje moje słowa.

- Jak się pani czuje jako bohaterka?

Do tej chwili wszystko było w miarę zabawne, lecz teraz zaczęło mnie już irytować. Ale oczywiście nie potrafiłam tego ubrać w żadne sensowne słowa.

- To się po prostu stało - powiedziałam. - Nie mam ochoty uchodzić za żadną bohaterkę. Wie pan, jak się czuje ta zaatakowana kobieta?

- Dobrze. Ma parę złamanych żeber i będzie sobie musiała wstawić kilka zębów.

- Zrobimy jej chyba zdjęcie z arbuzem - odezwał się młodziutki fotograf.

Bob skinął głową.

- Dobra.

Zdjął arbuz z półki i zataczając się lekko, podszedł do mnie.

- A niech mnie - powiedział, kładąc mi owoc na kolanach. - Już się nie dziwię, że go pani znokautowała. Proszę teraz spojrzeć na mnie i lekko unieść brodę. No, uśmiechnij się, kochanie. Przecież to ty zwyciężyłaś, prawda? Ślicznie.

Rozciągałam wargi w uśmiechu, aż poczułam, że sztywnieją. Przez uchylone drzwi dostrzegłam Louise, która stała na korytarzu, uśmiechając się szeroko. Poczułam bulgoczący w piersi chichot.

Po chwili fotograf zapragnął uwiecznić mnie z dziećmi i z arbuzem. Ostro zaprotestowałam jak jakaś sztywna belferka z epoki, ale okazało się, że Pauline już wyraziła zgodę. Fotograf zaproponował, byśmy pokroili arbuz. W środku był ciemnoróżowy, soczysty, a drobne pestki lśniły czernią. Był rozkosznie chłodny, a jego zapach rozszedł się w całej klasie. Pokroiłam go na trzydzieści dwa kawałki, po jednym dla każdego ucznia. Po chwili dzieci stały już wokół mnie na betonowym boisku, dumnie trzymając kawałki arbuzów i wpatrywały się w obiektyw. Wszyscy razem. Raz, dwa, trzy, uśmiech.

Nowy numer lokalnej gazety ukazał się w piątek, a ja trafiłam na pierwszą stronę. Moje zdjęcie było ogromne. Stałam otoczona dziećmi i kawałkami arbuzów. „Bohaterka i arbuz”. Niezbyt chwytliwy tytuł. Daryl stał z palcem w nosie, a Rose wsunęła sukienkę w majtki, ale poza tym było w porządku. Pauline wyglądała na zadowoloną. Przyczepiła artykuł na tablicy ogłoszeń przy wejściu, a potem powiedziała mi, że dzwonił do niej redaktor z ogólnokrajowej gazety, który pragnął zająć się dalej tą historią. Pauline umówiła się wstępnie na kolejny wywiad i sesję zdjęciową. Miały się odbyć w czasie przerwy na lunch. Mogę opuścić zebranie grona pedagogicznego. Jeśli chce, oczywiście. Poprosiła sekretarkę, żeby kupiła nowy arbuz.

Pomyślałam, że na tym cała sprawa wreszcie się skończy. Ze zdumieniem przekonałam się jednak, że historia potrafi nabrać rozpędu i potem zaczyna żyć już własnym życiem. Następnego dnia z trudem rozpoznałam kobietę na zdjęciu w „Daily Mail”, uginającą się pod ciężarem arbuza. Nad zdjęciem umieszczono wielki nagłówek. Kobieta wcale nie była do mnie podobna, kiedy tak stała z nieśmiałym uśmiechem i włosami założonymi starannie za uszy, a już na pewno nie mówiła tak jak ja. Czy na świecie nie ma dość prawdziwych wiadomości? Na następnej stronie, w dole, umieszczono niewielką notatkę o tragicznym wypadku w Kaszmirze. Autobus spadł z mostu, zginęło wiele osób. Może gdyby w autobusie znajdowała się blondwłosa, dwudziestotrzyletnia nauczycielka z Wielkiej Brytanii, poświęcono by tej tragedii więcej miejsca.

- Bzdura - powiedział Fred, gdy opowiedziałam mu o tym wieczorem. Po wyjściu z kina jedliśmy ociekające octem frytki. W filmie, który oglądaliśmy, mężczyźni o wielkich bicepsach wymierzali sobie ciosy w szczękę. Za każdym razem rozlegał się przy tym dźwięk przypominający odgłos wystrzału. - Nie masz się czego wstydzić. Zachowałaś się jak prawdziwa bohaterka. Miałaś tylko ułamek sekundy na podjęcie decyzji i postąpiłaś słusznie.

Ujął mnie pod brodę szczupłą, silną dłonią. Odniosłam wrażenie, że widzi przed sobą nie mnie, lecz kobietę ze zdjęcia z przyklejonym do ust nieśmiałym uśmiechem. Pocałował mnie.

- Niektórzy dokonują bohaterskich czynów, rzucając się na granat, ty zrobiłaś to za pomocą arbuza. To jedyna różnica. Chodźmy do ciebie, dobra? Jest jeszcze wcześniej.

- Mam cały stos prac do sprawdzenia i chyba z tysiąc formularzy do wypełnienia.

- Tylko na chwilę.

Wrzucił resztę frytek do wypełnionego po brzegi kosza, ominął leżące na chodniku psie kupki i objął mnie długim, mocnym ramieniem. W powietrzu pełnym spalin, zapachów dobiegających ze stoisk z kebabem i frytkami pachniał papierosami i skoszoną trawą. Wystające spod podwiniętych rękawów koszuli ręce były opalone i podrapane. Jasne włosy opadały na oczy. W dyszącym od upału miejskim powietrzu wydawał się taki chłodny. Nie mogłam się oprzeć.

Fred był moim nowym chłopakiem. A może powinnam powiedzieć: moim nowym kimś. Nasza znajomość wkroczyła w bardzo odpowiednią fazę. Mieliśmy już za sobą ten przygotowujący o zażenowanie trudny etap, kiedy każda ze stron czuje się jak komik, który ma stanąć przed bardzo wymagającą publicznością i rozpaczliwie pragnie usłyszeć jej śmiech i głośny aplauz. Jednak w naszym przypadku żaden śmiech raczej nie był wskazany. Z Fredem nie dotarliśmy jeszcze do etapu, kiedy kręcąc się po mieszkaniu, nie dostrzega się, że partner nie ma nic na sobie.

Fred spędzał większość roku, pracując jako ogrodnik, dzięki czemu był silny i mocno zbudowany. Pod skórą widać było drgające mięśnie. Ręce, szyję i twarz miał mocno opalone, lecz tors i brzuch pozostały mlecznobiałe.

Nie doszliśmy też jeszcze do etapu, kiedy obie strony powoli zdejmują ubranie i w bardzo metodyczny sposób składają je starannie na dwóch krzesłach. Kiedy docieraliśmy do mojego mieszkania - a jakoś zawsze w grę wchodziło moje mieszkanie - nadal nie mogliśmy się doczekać, żeby wreszcie być jak najbliżej siebie. Wszystko inne stawało się mniej ważne. Czasami, kiedy siedziałam po południu w klasie, a zmęczone upałem dzieci dawały mi wyjątkowo w kość, myślałam o Fredzie i o czekającym nas wieczorze, i wtedy popołudnie mijało w mgnieniu oka.

Później, leżąc w mojej małej sypialni i słuchając muzyki oraz dźwięku klaksonów z ulicy, zapaliliśmy papierosy. Nagle ktoś krzyknął głośno: „Ty cipo, dopadnę cię za to!”. Słuchaliśmy tupotu stóp na chodniku, krzyknęła jakaś kobieta. Zdążyłam się już do tego przyzwyczaić, ale jeszcze jakiś czas temu odgłosy ulicy nie dawały mi zasnąć.

Fred włączył stojącą przy łóżku lampkę, oświetlając całe posępne i brzydkie wnętrze. Jak mogłam kupić coś takiego? I czy zdołam kiedykolwiek to sprzedać? Nawet jeśli się postaram - pozbędę się paskudnych pomarańczowych firanek, pozostawionych przez poprzedniego właściciela, przykryję zniszczoną podłogę dywanem, położę nowe tapety, pomaluję zniszczone framugi okien, powieszę na ścianach lustra i obrazki - żadne, najbardziej wymyślne zabiegi nie zdołają ukryć brzydoty tego mrocznego wnętrza. Jakiś developer zmniejszył i tak niewielkie mieszkanie, by wykroić z niego tę norę. Okno w tak zwanym pokoju dziennym było podzielone na pół ścianką działową, przez którą mogłam usłyszeć, jak sąsiad,

którego nigdy zresztą nie widziałam, wykrzykuje obelgi pod adresem jakiejś kobiety. Przytłoczona smutkiem i samotnością, spragniona miejsca, które mogłabym wreszcie nazwać domem, wydałam na to mieszkanie wszystkie pieniądze pozostawione mi przez ojca. Nigdy jednak nie czułam się tu jak w domu, a teraz, gdy ceny nieruchomości poszybowały w górę, utknęłam tu na dobre. Przy takiej pogodzie jak dziś mogłam myć okna codziennie, a wieczorem i tak pokrywała je gruba warstwa tłustego brudu.

- Zrobię herbaty.
- Nie mam mleka.
- A piwo? - spytał Fred z nadzieją w głosie.
- Też nie.
- To co masz?
- Chyba płatki śniadaniowe.
- Jaki pożytek z płatków bez mleka.

Było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie, na które by oczekiwał odpowiedzi. Wciągał spodnie ruchem, który natychmiast rozpoznałam. Zaraz cmoknie mnie w policzek i wyjdzie. Osiągnął już cel swojej wizyty.

- Można je poskubać - powiedziałam niejasno. - Jak chrupki.

Myślałam o kobiecie, która została napadnięta, o tym, jak przeleciała w powietrzu niczym wyrzucona przez okno stara lalka.

- Jutro - powiedział.
- Tak.
- Z chłopakami.
- Oczywiście.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam się zastanawiać nad pracami, które musiałam poprawić.

- Śpij dobrze. Proszę, tu jest poczta, której nie otworzyłaś.

W pierwszej kopercie znalazłam rachunek. Obrzuciłam go przelotnym spojrzeniem, po czym odłożyłam na kupkę razem z innymi. W drugiej znajdował się list napisany dużym, zdecydowanym charakterem pisma.

*Droga panno Haratounian,  
Z Pani nazwiska wnioskuje, że nie jest pani Angielką, choć na  
zdjęciach jak najbardziej Pani na nią wygląda. Nie jestem*

*oczywiście rasistą i w gronie przyjaciół mam wiele takich osób jak Pani, lecz...*

Odłożyłam list na stół i potarłam skronie. Cholera. Jakiś szaleniec. Tylko tego mi brakowało.

### 3

Obudził mnie dzwonek do drzwi. Początkowo pomyślałam, że to jakiś głupi żart, a może bezdomny, który pomylił drzwi do domu z wejściem do przytulku. Rozsunęłam lekko zasłony w pokoju od frontu i przycisnęłam twarz do szyby, by zobaczyć, kto stoi na dole, ale z okna nie było nic widać. Spojrzałam na zegarek. Było po siódmej. Nie przychodził mi do głowy nikt, kto mógłby mnie odwiedzać o tej porze. Nie miałam nic na sobie, więc zanim zesłam na dół, włożyłam żółty płaszcz przeciwdeszczowy.

Lekko uchylłam drzwi. Wychodziły prosto na Holloway Road i nie miałam ochoty zatrzymać ruchu ulicznego swoim wyglądem tuż po przebudzeniu. Przede mną stał listonosz i serce zabiło mi mocniej. Kiedy listonosz pragnie ci wręczyć pocztę do rąk własnych, z reguły nie wróży to nic dobrego. Zazwyczaj chce, by podpisać mu potwierdzenie, że otrzymałaś jakiś koszmarny, wydrukowany na czerwono rachunek grożący odcięciem telefonu.

Dziś jednak wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Za - nim zauważyłam budzący się dzień, jeszcze chłodny, lecz już zwiastujący nadciągający upał. Nigdy wcześniej nie widziałam tego listonosza, dlatego nie wiedziałam, czy tak właśnie ubierają się teraz listonosze, ale mężczyzna miał na sobie niebieskie płócienne spodnie i jasniebieską koszulę z krótkimi rękawami. Najwyraźniej był to oficjalny letni strój, lecz prezentował się dość zawadiacko. Mężczyzna, choć nie był młody, wyglądał jak listonosz ze *Słonecznego patrolu*. Stałam na progu, patrząc na niego z zainteresowaniem, a on odpowiedział mi równie zaciekawionym spojrzeniem. Uświadomiłam sobie, że mój płaszcz jest dość krótki, a jego poły nie zachodzą dokładnie na siebie. Zacisnęłam go jeszcze mocniej w pasie, co

prawdopodobnie tylko pogorszyło sytuację. Wszystko zaczynało powoli przypominać scenę rodem z lekkich brytyjskich komedii erotycznych z początku lat siedemdziesiątych, które nadal pojawiają się czasem w telewizji w piątkowe wieczory i można je obejrzeć po powrocie z pubu. Pornosy dla żalonych drani.

- Mieszkanie C? - spytał listonosz.
- Tak.
- Mam dla pani pocztę. Nie mieści się do skrzynki.

Miał rację. Trzymał w ręce mnóstwo kopert poukładanych w zgrabne, spięte gumką pliki. Czy to jakiś żart? Musiałam wykonać sporo skomplikowanych manewrów, by wziąć je do ręki, drugą przytrzymując nadal poły płaszcza.

- Urodziny? - spytał, puszczając do mnie oko.
- Nie - odparłam i zatrzasnęłam drzwi bosą stopą. Zniosłam listy na górę i rozsypałam je na stole w pokoju.

Podniosłam elegancką liliową kopertę, ale nawet nie czytając, wiedziałam już, co kryje. Posiadanie pra- lub prapradziadka, który jakieś sto lat temu wyemigrował z Armenii, mając ze sobą wyłącznie przepis na jogurt, sprawia, że bardzo łatwo jest sprawdzić twój adres w książce telefonicznej. Dlaczego nie zmienił nazwiska jak inni imigranci? Przeczytałam list.

*Droga Zoë Haratounian,*

*Dziś rano w gazecie przeczytałam o Twoim bohaterskim wyczynie. Przede wszystkim chciałabym Ci pogratulować odwagi, jaką się wykazałaś, atakując tego osobnika. Jeśli mogę jeszcze nadużyć Twojej cierpliwości...*

Zajrzałam na drugą stronę, potem na następną. Było ich w sumie pięć, pani Janet Eagleton zapisała je ciasno zielonym atramentem. Zostawię to sobie na później. Otworzyłam kolejną kopertę, która wyglądała bardziej normalnie.

*Droga Zoë,*

*Gratulacje. Zachowałaś się wspaniale, a gdyby więcej ludzi zdecydowało się iść w Twoje ślady, w Londynie mieszkałoby się znacznie przyjemniej. Na zdjęciu w gazecie wyglądałaś bardzo ładnie i właśnie dlatego postanowiłem do Ciebie napisać. Nazywam się James Gunter,*

*mam dwadzieścia pięć lat i sądzę, że jestem dość przystojny. Zawsze jednak miałem problemy z poznaniem właściwej dziewczyny...*

Złożyłam kartkę i położyłam ją na liście od pani Eagleton. Kolejny list bardziej przypominał pakiet. Rozdarłam kopertę. W środku znajdowały się papiery na wpół złożone, na wpół zwinięte w rulonik. Dostrzegłam wykresy, strzałki, tematy zebrane w kolumny. Jednak pierwsza strona wyraźnie przypominała adresowany do mnie list.

*Szanowna Pani Haratounian,*

*To interesujące nazwisko. Czy jest Pani może wyznawczynią zoroastryzmu? Proszę mi dać znać, przesyłając odpowiedź do mojej skrytki pocztowej (numer poniżej). Wrócę do tematu (Zoroastra później).*

*Umie się Pani bronić przed siłami ciemności. Ale jak Pani z pewnością wie, istnieją na świecie siły, z którymi nie tak łatwo walczyć. Czy wie Pani, co to takiego kunderbuffer? Jeśli tak, może Pani pominąć następny akapit i przejść do fragmentu, który dla Pani wygody zaznaczam gwiazdką. Podaję przykład (\*). Fragment, który powinna Pani przeczytać, dla Pani wygody zaznaczę dwoma (2) gwiazdkami, by uniknąć zamieszania.*

Położyłam list na kopercie od Jamesa Guntera. Weszłam do łazienki i umyłam ręce. To jednak nie wystarczyło. Musiałam wziąć prysznic. W moim mieszkaniu to zawsze stanowiło problem. Bardzo lubię kabiny z matowymi szybami, w których można spokojnie stać i polewać się wodą. Chodziłam kiedyś z facetem, którego - patrząc na to z perspektywy czasu - jedyną zaletą było posiadanie kabiny z sześcioma dyszami oprócz normalnego sitka nad głową. Prysznic w moim mieszkaniu polegał na kucaniu w wannie, walce z zardzewiałymi kurkami i wykręcaniu węża. Leżałam jednak w wannie przez kilka minut z twarzą przykrytą flanelową myjką, którą polewalam wodą. Przypominało to leżenie pod ciepłym, wilgotnym kocem.

Wreszcie wyszłam z łazienki i założyłam ubranie, które zwykle nosiłam do pracy. Zrobiłam sobie kubek kawy i zapaliłam papierosa. Poczulałam się



trochę lepiej. Poczulałbym się naprawdę dobrze, gdyby stosik listów zniknął, ale, niestety, nadal leżał na stole. Wszyscy ci ludzie wiedzieli, gdzie mieszkam. No, nie wszyscy. Kiedy przerzuciłam szybko parę kopert, przekonałam się, że zostały przesłane do mnie z redakcji gazet, gdzie początkowo trafiły. Niektóre z listów były prawdopodobnie miłe i sympatyczne. Co za szczęście, że ich nadawcy postanowili do mnie napisać, a nie zadzwonić albo wpaść z wizytą.

W tej chwili odezwał się telefon. Podskoczyłam przestraszona. Na szczęście nie był to żaden z moich wielbicieli, lecz Guy, pośrednik w handlu nieruchomościami, który rzekomo próbował sprzedać moją norę.

- Mam paru chętnych, którzy chcą obejrzeć mieszkanie.

- Świetnie - odparłam. - Masz klucze. A co z tą parą, która oglądała je w poniedziałek? Co o nim sądzą?

Tak naprawdę nie wiązałam z nimi żadnych nadziei. Mężczyzna był ponury. Kobieta rozmawiała bardzo przyjaźnie, niestety nie o mieszkaniu.

- Nie są pewni, czy odpowiada im lokalizacja - odparł Guy lekkim tonem. - Jest też trochę dla nich za małe. I uważają, że trzeba w nim sporo zrobić. Ogólnie rzecz biorąc, nie są zainteresowani.

- Dzisiaj nikt nie powinien przychodzić zbyt późno. Zaprosiłam paru przyjaciół na drinka.

- Urodziny?

Odetchnęłam głęboko.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć?

- No, cóż...

- Postanowiłam to uczcić, bo dziś mija dokładnie sześć miesięcy od chwili, gdy wystawiłam moje mieszkanie na sprzedaż.

- Niemożliwe.

- Możliwe.

- To już sześć miesięcy?

- Tak.

- Zupełnie nie wiem, kiedy minęły.

Musiałam go przekonywać dłuższą chwilę. Kiedy odłożyłam słuchawkę, rozejrzałam się z rozpaczą po mieszkaniu. Niedługo zjawią się tu obce osoby i będą je oglądać. Gdy przeprowadziłam się do Londynu, ciotka dała

mi książkę z pożytecznymi wskazówkami dotyczącymi gospodarstwa domowego. Między innymi radzono tam, jak posprzątać mieszkanie w piętnaście minut. Ale jak to zrobić, jeśli ma się tylko minutę? Szybko pościeliłam łóżko, wyprostowałam chodnik przy drzwiach, umyłam kubek po kawie i postawiłam go dnem do góry przy zlewie. W szafce znalazłam puste kartonowe pudełko. Wrzuciłam do niego wszystkie listy i wsunęłam pudełko pod łóżko. Minęło półtorej minuty i spóźniłam się do szkoły. Znowu. Wpadłam tam spocona, a upał dopiero się zaczynał.

- No, skarbie, co takiego możemy zrobić, żeby mieszkanie nadawało się do sprzedaży?

Louise stała przy oknie z butelką piwa w ręce. Wyrzuciła niedopałek papierosa na Holloway Road.

- To proste - odparłam. - Pozbyć się ulicy. Pozbyć się pubu w domu obok i knajpy, w której sprzedają kebab. Odnowić wnętrze. Wszystko tutaj jest straszne, prawda? Nie znosiłam tej nory od pierwszej chwili i nawet jeśli sporo na tym stracę, to muszę się jej pozbyć. Rynek nieruchomości podobno kwitnie. Musi się znaleźć jakiś wariat, który kupi to mieszkanie. - Zaciągnęłam się papierosem. - Oczywiście, sporo wariatów już je oglądało. Ale ja potrzebuję właściwego wariata.

Louise się roześmiała. Przyszła wcześniej, żeby pomóc mi wszystko przygotować i pogadać, ale przede wszystkim dlatego, że jest bardzo porządną dziewczyną.

- Nie przyszłam przecież, żeby gadać o nieruchomościach. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o tym nowym facecie. Przyjdzie dzisiaj?

- Wszyscy przyjdą.

- Co to znaczy wszyscy? Masz więcej niż jednego faceta?

Zachichotałam.

- Nie. Ale on stale się włóczy z tą swoją paczką. Znają się chyba jeszcze od podstawówki. Przypominają sześciopak piwa. No, wiesz, nigdy nie występują pojedynczo.

Louise zmarszczyła brwi.

- Nie znaczy to chyba, że uprawiacie seks grupowy, co? A jeśli tak, to chcę poznać wszystkie szczegóły.

- Nie, pozwalają nam spędzać sporo czasu tylko we dwoje.

- Jak się poznaliście?

Zapaliłam kolejnego papierosa.

- Poznałam ich wszystkich razem. Kilka tygodni temu poszłam na imprezę zorganizowaną w galerii w Shoreditch. Jedna wielka katastrofa. Już na miejscu okazało się, że osoba, którą znałam, nie przyszła. Snułam się po salach z drinkiem w ręce i udawałam, że trafiłam tu tylko na chwilę i zaraz muszę wyjść na jakieś ważne spotkanie. Wiesz, o co mi chodzi?

- W tej dyscyplinie jestem mistrzynią świata - odparła Louise.

- Kiedy dotarłam na górę, znalazłam tam grupkę bardzo przystojnych młodych mężczyzn stłoczonych wokół automatu do gry. Walili w niego, śmiali się i krzyczeli. Ogólnie rzecz biorąc, bawili się świetnie, znacznie lepiej od całej reszty. Jeden z nich, ale nie Fred, odwrócił się i zapytał, czy mam ochotę zagrać. Zagrałam. Zabawa była przednia i następnego wieczoru umówiłam się z nimi w mieście.

Louise się zamyśliła.

- Stałaś więc w obliczu dylematu, którego z nich wybrać?

- Nie całkiem - odparłam. - Dzień później Fred zadzwonił do mnie do domu i chciał się umówić. Zapytałam go, czy ma pozwolenie swojej paczki, a on trochę się zmieszał. - Wychyliłam się przez okno. - No, już nadciągają.

Louise wyjrzała na ulicę. Byli jeszcze dość daleko i nie zauważyli nas.

- Wyglądają sympatycznie - rzekła bez entuzjazmu.

- Fred to ten w środku, z jasnobrązowymi, niemal blond włosami.

Niesie dużą torbę.

- Wybrałaś wyraźnie najprzystojniejszego.

- Ten w bardzo długim płaszczu to Duncan.

- Jak on może nosić coś takiego w taki upał?

- Wygląda w nim jak rewolwerowiec z jakiegoś spaghetti westernu.

Nigdy go nie zdejmuje. Tamci dwaj to bracia Burnside. Ten w okularach i czapeczce to Graham, a ten z długimi włosami to Morris. Cześć! - wrzasnęłam do zbliżającej się grupki.

Spojrzeli w górę zaskoczeni.

- Wpadlibyśmy z wielką chęcią - zawołał Duncan. - Niestety, idziemy na inną imprezę.

- Cicho bądź! - zawołałam. - Łap.

Zrzuciłam z okna klucze, a Graham złapał je do czapeczki, którą szybkim ruchem zerwał z głowy. Muszę przyznać, że zrobił to w wielkim stylu. Wchodząc do środka, chłopcy na chwilę zniknęli nam z oczu.

- Szybko - powiedziała Louise. - Mamy jakieś trzydzieści sekund. Za którego powinnam wyjść? Który ma najlepsze perspektywy na przyszłość? Pozwalam ci wyłączyć Freda.

Zastanowiłam się przez ułamek sekundy.

- Graham pracuje jako asystent fotografa.

- Dobra.

- Duncan i Morris pracują razem. Zajmują się komputerami. Nic z tego nie kapuję, ale to chyba normalne. Duncan jest duszą towarzystwa, a Morris, kiedy jest sam, staje się cichy i nieśmiały.

- To ci bracia, tak?

- Nie. Braćmi są Morris i Graham. Duncan ma rude włosy. Zdecydowanie się wyróżnia.

- Już kapuję. Wygląda więc na to, że powinnam stawiać na komputerowców. Morris to ten nieśmiały, a Duncan to gadatliwy rudzielec.

Już po chwili wszyscy znaleźli się w pokoju. Kiedy parę dni temu rozmawiałam z nimi o tej imprezie, wypytywali mnie, jakie babki zaproszę, a na ulicy zachowywali się bardzo hałaśliwie. Jednak kiedy przedstawiałam ich Louise, byli spokojni i uprzejmi. Spodobało mi się to.

Fred podszedł do mnie i pocałował mnie namiętnie. Pomyślałam od razu, że było to przedstawienie odegrane dla reszty zebranych. Demonstracja uczuć, a może jak drapieżnik zaznaczał swoje terytorium? Po chwili wyjął z torby coś, co wyglądało jak kolorowa zasłona.

- Pomyślałem, że się przyda. Zawiesimy to na tej wilgotnej plamie - powiedział.

- Dzięki, Fred. - Spojrzałam na kilim z powątpiewaniem. Był nieco zbyt jaskrawy, kolory się gryzły. - Wydaje mi się jednak, że osoby oglądające mieszkanie mają prawo zaglądać za kilimy, by sprawdzić, co się za nimi kryje.

- Najpierw musisz znaleźć chętnego do obejrzenia mieszkania. No, powieś to na ścianie.

- Dobra.

- Zoë opowiadała mi, że jesteście komputerowymi geniuszami - powiedziała Louise do Duncana.

Stojący obok Morris zarumienił się lekko. Jakież to urocze.

- To ona tak uważa - odparł Duncan, otwierając puszkę piwa - ale ustawiła poprzeczkę bardzo nisko. Jest zachwycona, bo pokazaliśmy jej, jak korzystać z komputera. - Wypił łyk piwa. - To jednak było coś. Tak jakbyś uczył wiewiórkę, jak szukać orzechów.

- Ale wiewiórki świetnie sobie z tym radzą - zaprotestował Morris.

- Zgadza się - mruknął Duncan.

- One same to potrafią, nie trzeba im nic pokazywać. - Morris nie dawał za wygraną.

- Racja. Zoë radzi sobie teraz z komputerem tak dobrze, jak wiewiórki z szukaniem orzechów.

- Powinieneś więc powiedzieć, że ucząc Zoë, czułeś się tak, jakbyś uczył wiewiórkę żonglowania.

Duncan zmarszczył brwi.

- Przecież nie można nauczyć wiewiórki żonglowania.

Napełniłam kieliszek Louise.

- Potrafią tak gadać godzinami - wyjaśniłam. - I świetnie się rozumieją. Znają się przecież od piaskownicy.

Wyszłam do kuchni, żeby przynieść chrupki. Louise szybko do mnie dołączyła. Przez uchylone drzwi obserwowałyśmy chłopców.

- Przystojniacha z niego - powiedziała, kiwając głową w stronę Freda.

- Co on pali? Wygląda na bardzo rozluźnionego. Jak nie z tej bajki.

- Rzeczywiście ma w sobie coś z hipisa. Określenie rozluźniony bardzo do niego pasuje.

- Czy to coś poważnego?

Pociągnęłam łyk alkoholu z jej kieliszka.

- Pogadamy o tym za jakiś czas - odparłam.

Zjawilo się jeszcze parę osób. John, bardzo sympatyczny nauczyciel z naszej szkoły, który chciał się ze mną umówić, lecz zrobił to parę dni za późno, i kilka kobiet, które poznałam dzięki Louise. Zwykle towarzyskie spotkanie zaczęło nabierać charakteru prawdziwej uroczystości. Po kilku drinkach patrzyłam na zebranych w moim pokoju ludzi z czułością. Stanowiłam jedyny łączący ich element. Jeszcze rok temu byłam samotna i

zagubiona i nie znałam nikogo z nich, a teraz wszyscy wpadli w piątkowy wieczór do tak zwanego mojego domu. Nagle rozległ się lekki brzęk. Fred uderzał widelcem o butelkę.

- Cisza, cisza - powiedział, kiedy w pokoju było już cicho jak makiem zasiał. - Żaden ze mnie mówca i tak dalej, i tak dalej. Chciałbym jednak powiedzieć, że bardzo podoba mi się to mieszkanie i pragnę to godnie uczcić. Wznoszę więc toast za to, byśmy za sześć miesięcy mogli się tutaj spotkać raz jeszcze i spędzić równie uroczy wieczór. - Wszyscy zgodnie wznieśli w górę kieliszki i butelki. Błysnął flesz, gdy Graham zrobił zdjęcie. Zawsze można było na niego liczyć - rozmawiało się z nim, a on nagle wymierzał aparat prosto w twarz, niczym trzecie oko, i robił zdjęcie. Było to trochę denerwujące, bo nie można się było oprzeć wrażeniu, że nawet słuchając, co się do niego mówi, cały czas polował na dobre ujęcie.

- Jest to też - ciągnął dalej Fred - nasza rocznica. - Wokół rozległy się okrzyki zaskoczenia. Ja też nie miałam pojęcia o co mu chodzi. - Tak. Dokładnie dziewięć dni temu Zoë i ja po raz pierwszy... - Urwał. - ...Po raz pierwszy... mmm... spotkaliśmy się. - Za sobą usłyszałam tłumiony śmiech Grahama i Duncana. Nikt inny się nie roześmiał. Przez moment poczułam się tak, jakbym utknęła na kolacji w klubie rugby.

- Fred... - zaczęłam, ale podniósł rękę, by mnie uciszyć.

- Poczekaj - powiedział. - Źle by się stało, gdyby taki wieczór nie został odpowiednio uczczony, ale... a to co takiego? - Ostatnie słowa wypowiedział z dość żałośnie udawanym zdziwieniem. Pochylił się i sięgnął za fotel. Wyjął stamtąd dużą paczkę owiniętą w szary papier. - Albo jest to podarunek od jednego z anonimowych wielbicieli Zoë, albo prezent od nas.

- Idioci - powiedziałam, ale zabrzmiało to bardzo serdecznie. Paczka kształtem przypominała obraz. Rozerwałam papier i już wiedziałam, co to takiego.

- Wy dranie. - Roześmiałam się. Była to oprawiona w ramki pierwsza strona „Sun” z nagłówkiem „Ja i mój arbuz”. Pod nim widniał napis wydrukowany już mniejszą czcionką: „Odważna blondynka nokautuje napastnika”.

- Przemowa! - krzyknęła Louise, przykładając do ust zwiniętą dłoń. - Przemowa!

- No cóż - zaczęłam, ale przerwał mi dzwonek do drzwi. - Poczekajcie chwilę.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam na progu mężczyznę w brązowym sztrukturalnym garniturze i kaloszach.

- Przyszedłem obejrzyć mieszkanie - powiedział. - Nie przeszkadzam?

- Ależ skąd - rzuciłam ochotczo. - Proszę wejść.

Kiedy prowadziłam go po schodach, rozmowy na górze stawały się coraz głośniejsze.

- Ma pani gości.

- Tak. To moje urodziny.

## 4

Listy przychodziły coraz rzadziej. Pierwsza fala powoli osłabła, a po jakimś czasie zamieniła się w wąski strumyczek, który wreszcie wysechł. Muszę przyznać, że przez pewien czas nawet mnie to bawiło. Raz zabrałam kilka z nich na spotkanie z Fredem i chłopakami. Siedzieliśmy przy stoliku na ulicy w Soho, piliśmy bardzo zimne piwo i przekazywaliśmy je sobie z rąk do rąk, odczytując od czasu do czasu co lepsze fragmenty. W pewnej chwili, kiedy Morris i Duncan prowadzili jedną ze swoich rozmów, w których trudno było za nimi nadążyć i rzucali sobie wzajemnie wyzwania, by wymienić imiona siedmiu krasnoludków, siedmiu wspaniałych i nazwać siedem grzechów głównych, ja postanowiłam porozmawiać o listach z Grahamem i Fredem poważniej.

- Nie daje mi spokoju myśl, że w całej Wielkiej Brytanii jacyś ludzie piszą ośmiostronicowe listy do kogoś, kogo nie znają. Potem szukają jego adresu w książce telefonicznej i kupują znaczek na pocztę. Nie mają w życiu nic lepszego do robo-ty?

- Nie - odparł Fred. Położył mi rękę na kolanie. - Jesteś boginią. Ty i twój arbuz. My wszyscy kochaliśmy cię już wcześniej. A teraz stałaś się obiektem fantazji wszystkich mężczyzn w kraju. Silna, odważna, piękna kobieta. Wszyscy marzymy o kimś takim, kto chodziłby w szpilkach po naszym nagim ciele. - Pochylił się i szepnął mi do ucha: - I jesteś cała moja.

- Przestań. To wcale nie jest zabawne.
  - Teraz już wiesz, co to znaczy być sławną osobą - oświadczył Graham.
- Ciesz się tym, póki możesz.

- Och, na miłość Boską, czy nikt nie ma dla mnie ani krzty współczucia? Morris, co ty masz do powiedzenia w mojej sprawie?

- Właśnie - pochwycił Fred. - Powiedz nam, Morris. Jakiej rady możesz udzielić pięknej kobiecie, która ugina się pod ciężarem nagłej sławy?

Pochylił się i kilka razy klepnął go lekko w policzek. Obserwując chłopaków, czułam się czasem zażenowana, jakbym była świadkiem odprawiania jakichś dziwnych rytuałów związanych z egzotyczną kulturą, która była mi zupełnie obca. Jeden z nich mówił lub robił coś dziwnego, a ja nie miałam pojęcia, czy jest to żart, czy obelga, a może też żartobliwa obelga. Nie wiedziałam, czy ofiara roześmieje się, czy wybuchnie. Fred, na przykład, nigdy nie mówił do Morrisa nic miłego, ale czasami opowiadał o nim jak o swoim najlepszym przyjacielu. Przy stoliku zapadła nagle cisza, a ja poczułam ucisk w żołądku. Zaskoczony Morris zamrugał oczami i przeczeszał palcami włosy. Zawsze myślałam, że robi to tylko po to, by podkreślić, jak bardzo są gęste i długie.

- Kto potrafi wymienić dziesięć filmów ze słowem „list” w tytule? - spytał.

- Morris! - wykrzyknęłam z furją.
- *List od nieznannej kobiety* - powiedział Graham.
- *Listy od trzech kobiet* - rzucił Duncan.
- *List* - dodał Fred.
- To za łatwe - orzekł Morris. - Dziesięć filmów, w których pojawiają się listy, ale które nie mają słowa „list” w tytule.
- Na przykład?
- No... na przykład *Casablanca*.
- W *Casablance* nie ma żadnych listów.
- Są.
- Nie ma.

W ten sposób poważna rozmowa dobiegła końca.

Potem przestałam nawet je czytać. Niektóre rozpoznawałam po charakterze pisma na kopercie, więc nie zawracałam sobie głowy otwieraniem. Inne obrzucałam przelotnym spojrzeniem i wrzucałam do pudełka,



gdzie leżały pozostałe. Już nie były zabawne. Kilka było smutnych, kilka nieprzyzwoitych, a większość po prostu nudna.

Jeśli chciałam sobie przypomnieć, jak wygląda otaczający mnie obłęd, wystarczyło bym wyjrzała przez okno, którego rama, nawiasem mówiąc, była nadgniła. Młodzi mężczyźni w poobijanych samochodach, z poczerwieniałymi od gniewu twarzami, naciskający klaksony. Samotne stare kobiety z torbami na kółkach, przeciskające się przez tłum, mruczące coś pod nosem. Bezdomni siedzący na progu zabitego deskami sklepu kilka domów ode mnie, śmierzdzący sikami i whisky, z rozpiętymi rozporkami, rzucający groźne spojrzenia spod przekrzywionych czapek.

Szałaństwo wdzieralo się również i do mojego mieszkania pod postacią osób chętnych do jego kupna. Pewien mężczyzna, około pięćdziesiątki, niski i przysadzisty, z uszami jak kalafior, kulejący na jedną nogę, uklęknął na podłodze i stukał w wyszczerbione deski niczym lekarz opukujący klatkę piersiową pacjenta chorego na płuca. Stałam obok niego, kuląc się pod naporem muzyki dobiegającej z pubu. Albo też młoda kobieta, mniej więcej w moim wieku, chyba z tuzinem srebrnych kolczyków w uchu, która zjawiała się z trzema wielkimi, śmierzdzącymi psami. Myśl o tym, jak będzie wyglądało mieszkanie po tygodniu, który spędzi tutaj razem z nimi, sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. Trzy psiska zajmowały niemal całą powierzchnię. Jeden zjadł witaminy ze stolika, drugi leżał przy drzwiach wejściowych, śmierzdząc jak nieszczęście.

Większość zainteresowanych spędzała w mieszkaniu parę minut, bo tak nakazywało dobre wychowanie, po czym szybko wychodziła. Kilka osób wcale nie zawracało sobie głowy dobrym wychowaniem. Przychodzące razem pary często wymieniały głośnie uwagi na temat mieszkania.

Gdyby łączyła nas zwykła, przelotna znajomość, traktowałabym Guya jako normalnego członka ludzkiej rasy. Jednak jego kolejne porażki na froncie sprzedaży mojego mieszkania sprawiły, że zaczęliśmy przypominać długoletnich współników. Guy był zawsze bardzo elegancko ubrany w jeden z wielu garniturów, do których zakładał kolorowe krawaty. Na wielu widniały postacie z kreskówek. Bez względu na upał, nigdy się nie pocił.

Albo też pocił się bardzo dyskretnie. Po jego twarzy spływała zazwyczaj jedna, samotna kropelka. Pachniał płynem po goleniu i płynem do płukania ust. Po tylu nieudanych próbach można by sądzić, że moje mieszkanie stało się dla niego symbolem porażki i powinien go unikać. A już na pewno nie wymagało specjalnego przewodnika. Guy zawsze jednak towarzyszył oglądającym, nawet w tak niewygodnych porach jak późny wieczór czy weekend.

Nie powinnam więc być zaskoczona, kiedy po wyjściu szczupłej, nerwowej kobiety, spojrział mi prosto w oczy i powiedział:

- Zoë, musimy się kiedyś umówić na drinka.

Powinnam była natychmiast wymyślić jakąś straszliwie okrutną uwagę, która odzwierciedliłaby całą nienawiść, jaką czułam do niego, do jego opalenizny i wściekających mnie od samego początku eufemizmów, lecz nie takiego nie przyszło mi do głowy.

- Chyba powinniśmy obniżyć cenę - powiedziałam.

Mężczyzna, który przyszedł w ten wieczór, gdy miałam gości, zjawiał się raz jeszcze z taśmą mierniczą, notesem i aparatem. Było jeszcze wcześniej. Fred wyjechał do Yorkshire, gdzie na zamówienie lokalnej stacji telewizyjnej miał się zająć zaniedbanym ogrodem. Efekty jego pracy zamierzano potem pokazać w programie emitowanym równo za rok. Zadzwoił do mnie z pubu. Głosem nabrzmiałym od alkoholu i pożądania powiedział, że wyobraża sobie właśnie rzeczy, które będzie ze mną robił po powrocie. Ale nie to pragnęłam usłyszeć. Walczyłam właśnie z komputerem, na którym próbowałam stworzyć sprawozdanie dotyczące poziomu umiejętności czytania i pisania uczniów. Chciałam przedstawić wyniki w formie diagramu kołowego. Wydawało się to takie łatwe, gdy robił to Duncan (a może Morris?). Gdy robiłam to ja, na ekranie co chwilę pojawiała się informacja „Wystąpił błąd numer 19”. Paliłam więc papierosa za papierosem i przeklinałam, podczas gdy mężczyzna, który był potencjalnie zainteresowany kupnem mojego mieszkania, zaglądał do każdego kąta. Zmierzył dokładnie podłogę, pootwierał szafki w kuchni, uniósł wyblakły dywan, zajrzał za koszmarny kilim Freda, przyglądając się dokładnie plamie wilgoci, która straszyla na ścianie mimo panującego od tyłu dni upału, przekreślił kurek w łazience i przez parę minut obserwował lejącą się wodę.

Kiedy wszedł do sypialni i usłyszałam stukot otwieranych szuflad, nie mogłam już tego znieść.

- Co pan robi?

- Sprawdzam to i owo - odparł zupełnie nie zbity z tropu, przeglądając skłębioną masę moich staników, majtek i rajstop z oczkami.

Zatrzasnęłam szufladę i wyszłam do kuchni. Byłam głodna, ale kiedy otworzyłam lodówkę, znalazłam tam tylko pęczek cebulki, spleśniałą bułkę, pustą torebkę z szarego papieru z pestką czereśni w środku i puszkę coli. W zamrażarce leżała torebka krewetek, prawdopodobnie mocno przeterminowanych, i mały woreczek zielonego groszku. Stojąc nadal przed lodówką, wypiłam colę, po czym wróciłam do komputera i napisałam: „Naszym celem jest wykształcenie czytelników nie tylko sprawnych, ale i zainteresowanych lekturą. Starannie opracowany plan zajęć pomoże wzmocnić w uczniach procesy...”. O, cholera. Nie po to zostałam nauczycielką. Niedługo zaczęłam używać słów typu „zadowalający poziom umiejętności” i „dane wyjściowe”.

Włożyłam do ust trzy tabletki multiwitaminy i gryzłam je ze złością. Zabrałam się potem do pracy domowej - jeśli nie jest to określenie nieco na wyrost - którą zadałam moim uczniom i przyniosłam ze sobą do sprawdzenia. Poprosiłam ich, by narysowali ilustracje do swojej ulubionej bajki. Na niektórych trudno było cokolwiek dostrzec. Płatanina czarno-zielonych zygzaków na obrazku Bena nosiła tytuł *Zły wilk*. To chyba sztuka abstrakcyjna, pomyślałam. Jordane narysował okrągłe zielone kółko będące ilustracją do *Księżniczki na ziarnku grochu*. Wiele dzieci zilustrowało bajki Disneya, *Bambi*, *Królową Śnieżkę* i tym podobne historie. Przejrzałam obrazki, napisałam na marginesach pełne zachęty uwagi i wsunęłam wszystko do leżącej pod stołem teczki.

- Wychodzę już.

Mężczyzna stał w drzwiach z zawieszonym na szyi aparatem. Stukał w zęby długopisem i wpatrywał się we mnie. Zauważyłam, że niewielka łysina na czubku jego głowy ma kolor wściekłego różu. Nadgarstki też miał spieczone przez słońce. Dobrze mu tak.

- Ach tak.

Ani słowa o ewentualnym powrocie. Drań.

Wyszedłam z domu kilka minut po nim. Umówiłam się do kina z Louise i grupką jej przyjaciółek, których nigdy jeszcze nie spotkałam. Cudownie było siedzieć w babskim gronie w ciemnościach, jeść popcorn i chichotać. Czulałam się taka bezpieczna.

Wróciłam do domu bardzo późno. Kiedy otworzyłam drzwi, znalazłam leżący na wycieracze list. Ktoś musiał go wrzucić przez klapkę. Staranne, pochyle pismo, czarny atrament. Nie wyglądał, jakby wyszedł spod ręki kolejnego świra. Jeszcze stojąc w progu, rozerwałam kopertę.

*Droga Zoë,*

*Kiedy ktoś taki jak Ty, młody, ładny i zdrowy zaczyna bać się śmierci? Bardzo mnie to ciekawi. Palisz papierosy (nawiasem mówiąc, masz na palcu płamę z nikotyny). Czasami bierzesz narkotyki. Źle się odżywasz. Chodzisz późno spać, a następnego rana nie masz kaca. Myślisz pewnie, że będziesz żyła wiecznie, że jeszcze długo będziesz młoda.*

*Wiedz, Zoë, że z tymi swoimi białymi ząbkami i małym dołeczkiem w policzku, który pojawia się przy każdym uśmiechu, nie będziesz już długo młoda. To ostrzeżenie.*

*Boisz się, Zoë? Obserwuję cię. I nigdzie nie odejdę.*

Wpatrywałam się w list. Podniosłam lewą rękę. Na środkowym palcu zauważyłam płamę z nikotyny. Zwinęłam list w ciasną kulkę i wrzuciłam do kosza. Wpadła prosto między inne śmieci, odpadki życia innych ludzi.

*Dzisiaj ma na sobie bladoniebieską sukienkę na ramiączkach. Materiał spływa falą do kolan. Tuż przy obrętku widać ślad kredy, którego jeszcze nie zauważyła. Nie nosi stanika. Ogolila włoski pod pachami, jej nogi też są bardzo gładkie, delikatne. Paznokcie u nóg pomalowała jasnym lakierem, który zaczyna odpryskiwać na dużym lewym palcu. Na nogach ma sandały na płaskim obcasie, granatowe, stare, mocno zniszczone. Jest opalona, wioski na rękach nabrały złocistej barwy. Czasami udaje mi się dojrzeć mlecznobiałą skórę na wewnętrznej stronie ramion, o parę tonów jaśniejszą skórę pod kolanami; kiedy się pochyla, widzę, jak miodowa skóra ramion i szyi rozpływa się między piersiami. Włosy upina wysoko na głowie. Wyblakły na słońcu, więc pod spodem są dużo ciemniejsze. Nosi dziś małe srebrne kolczyki w kształcie kwiatków. Od czasu do czasu bawi się nimi, kręcąc je palcem wskazującym i kciukiem. Koniuszki jej uszu są bardzo długie. Pionowy rowek nad górną wargą jest bardzo wyraźny. Kiedy jest jej gorąco, tak jak dzisiaj, gromadzą się w nim kropelki potu. Co jakiś czas wyciera je chusteczką. Ma białe zęby, ale z tyłu dostrzegłem kilka plomb. Błyszczą, kiedy się śmieje lub ziewa. Nie nosi makijażu. Widzę blade koniuszki rzęs, lekko spierzchnięte wargi. Na nosie kilka piegów, których nie było, kiedy ostatni raz na nią patrzyłem. Żółta plama z nikotyny na środkowym palcu zniknęła. To dobrze. Na palcach nie ma żadnych pierścionków. Na przegubie nosi duży zegarek z Myszka Miki. Zamiast paska ma wstążeczkę.*

*Kiedy się śmieje, brzmi to tak, jakby dzwonił delikatny dzwonek do drzwi. Gdybym jej powiedział, że ją kocham, właśnie tak by się roześmiała. Pomyślałaby na pewno, że nie mówię poważnie. Tak właśnie postępują kobiety. Zamieniają to, co ważne i wielkie, w drobiazg, żart. Miłość nie jest żartem. To sprawa życia i śmierci. Pewnego dnia, już niedługo, zrozumie to. Dowie się, że sposób, w jaki się uśmiecha, szeroko otwiera oczy, słucha, sposób, w jaki jej piersi stają się płaskie, gdy unosi*

*ręce nad głowę, naprawdę ma znaczenie. Uśmiecha się zbyt łatwo. Zbyt łatwo się śmieje. Flirtuje. Nosi skąpe ubrania. Przez materiał sukienki widzę jej nogi. Dostrzegam kształt jej sutków. Zupełnie o siebie nie dba.*

*Mówi bardzo szybko, lekko ochrypłym głosem. Mówi „Taa” zamiast „Tak”. Ma szare oczy. Jeszcze nie jest przerażona.*

## 5

Wszyscy wiedzą doskonale, że szkoły na całym świecie, no może z wyjątkiem takich krajów jak Japonia, kończą działalność około czwartej lub pół do czwartej, choć maluchy, które uczę, wracają do domu jeszcze wcześniej, kwadrans po trzeciej. Wiedzą o tym nawet ludzie, którzy o dzieciach mają niewielkie pojęcie. Widzą na ulicach małych chłopców i dziewczynki prowadzonych za rękę przez matki lub podążających za opiekunkami z tornistrami i pudełkami na drugie śniadanie w ręce. Ja zdążyłam się już przekonać, że połowę ulicznego ruchu w Londynie w czasie godzin szczytu stanowią wielkie autobusy przewożące smutne dzieci w mundurkach. Pokonują w nich wielkie odległości pomiędzy swoimi pięknymi domami i szkołami, które rodzice uznali za godne kształcenia ich pociech. Dowiedziałam się też niedawno, że jednym z symboli statusu społecznego rodziców jest odległość, jaką ich dzieci muszą pokonywać w drodze do szkoły. Szkoła znajdująca się w pobliżu domu jest dobra dla biedaków, których dzieci uczę ja.

Zabawne jest to, że kiedy ludzie dowiadują się, iż jestem nauczycielką, natychmiast zaczynają mi zazdrościć krótkich godzin pracy i długich wakacji. I oczywiście mają rację, bo był to jeden z mniej szlachetnych powodów, które skłoniły mnie do podjęcia tej pracy. W szkole nie byłam orłem, więc nie miałam szans studiować czegoś bardzo ważnego, na przykład opieki nad chorymi kotami, choć jako dziecko o tym właśnie marzyłam. Mogłam się zająć tylko uczeniem małych dzieci. Nie miałam nic przeciwko temu. Lubię dzieci, ich przejrzystość, gorliwość i poczucie możliwości, jakie się przed nimi otwierają. Spodobał mi się też pomysł spędzania całego dnia przy piaskownicy, wycierania maluchom nosów i mieszania dla nich farb.

Zamiast tego wylądowałam w pracy, która bardziej przypominała posadę księgowego w samym środku wielkiego zoo. I przesiadywałam tam

dłużej niż księgowy. Z wielkim hukiem nadciągała bowiem wielka wizytacja. Kiedy odebrane ze szkoły dzieci wędrowały do swych wielkich domów i eleganckich bloków, my odbywaliśmy zebrania, wypełnialiśmy formularze, pisaliśmy plany pracy. Siedzieliśmy w szkole do siódmej, ósmej, dziewiętej, a Pauline powinna była ustawić sobie w gabinecie łóżko polowe i piecyk, bo wyglądało na to, że nigdy go nie opuszcza.

Tego wieczoru jednak wyszłam ze szkoły wcześniej, bo umówiłam się w mieszkaniu z jakimś facetem, który chciał je obejrzeć. Oczywiście na autobus czekałam całe wieki, więc kiedy za dwadzieścia ósma biegłam chodnikiem spóźniona pięć minut, on stał już przy drzwiach i czytał gazetę. Fatalny początek. Miał dość czasu, żeby rozejrzeć się po okolicy. Na szczęście wyglądało na to, że jest pochłonięty lekturą. Może nie zauważył pubu albo nie do końca zrozumiał, co oznacza jego sąsiedztwo. Miał na sobie garnitur o dość dziwnym kroju, z nierównymi klapami. Na pewno bardzo drogi. Mężczyzna miał na oko jakieś trzydzieści lat, krótko obcięte włosy, a lejący się z nieba żar jakoś nie robił na nim wrażenia.

- Bardzo przepraszam - wysapałam. - Autobus.

- Nie ma sprawy - odparł. - Jestem Nick Shale. Panna Haratounian. - Uścisnęliśmy sobie dłonie po europejsku. Uśmiechnął się.

- Co jest takie zabawne?

- Wyobrażałem sobie panią jako surową, starą gospodynię - wyjaśnił.

- Ach tak. - Spróbowałam uśmiechnąć się uprzejmie.

Otworzyłam frontowe drzwi. Na wycieracze leżały te same śmieci co zwykle: ulotki reklamujące dostawę pizzy, mycie okien, taksówki i jeden dostarczony przez posłańca list. Natychmiast rozpoznałam charakter pisma. To ten sam czubek, który napisał do mnie... kiedy to było? Pięć dni temu. Jakież to nudne i irytujące. Paskudne. Przez chwilę patrzyłam na kopertę, a potem zerknęłam na mężczyznę, który przyglądał mi się zakłopotany.

- Co pan powiedział? - spytałam.

- Pani torba. Mogę ją ponieść.

Oddałam mu ją bez słowa.

Oprowadziłam go po mieszkaniu w trzy minuty, wskazując wszystkie



godne uwagi miejsca i sprytnie omijając te, które na uwagę raczej nie zasługiwały. Od czasu do czasu Nick zadawał pytania, do których zdążyłam się już przyzwyczaić.

- Dlaczego chce się pani przeprowadzić?
- Myślał, że tak łatwo osaczy taka starą wygę jak ja?
- Chcę mieszkać bliżej pracy - skłamałam.

Wyjrzał przez okno.

- Ruch pani nie przeszkadza? - spytał.
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - odparłam. Wiedziałam, że to lekka przesada. Przynajmniej się nie roześmiał. Położyłam kopertę na stole. Nie otworzyłam jej. - Wszystkie sklepy są pod ręką.

Wsunął ręce w kieszenie i stał na środku mojego pokoju, jakby chciał sprawdzić, czy poczuje się dobrze w roli właściciela. Rzeczywiście wyglądał jak dziedzic niewielkiej posiadłości.

- Nie pochodzi pani z Londynu - powiedział.
- Skąd pan wie?
- Ma pani inny akcent - odparł. - Próbuję panią gdzieś umieścić. Z takim nazwiskiem powinna być pani Ormianką, ale nie mówi pani jak Ormianka. Choć wcale nie wiem, jak mówią Ormianie. Może właśnie tak jak pani.

Czuję się bardzo nieswojo, gdy oglądający moje mieszkanie ludzie wkraczają na teren osobisty, jakbyśmy mieli zostać bliskimi przyjaciółmi, ale tym razem nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Wychowałam się w małej wiosce w pobliżu Sheffield.
- Trudno to porównać z Londynem.
- Taa.

Zapadło milczenie, w czasie którego oboje mogliśmy się chwilę zastanowić.

- Chciałbym to jeszcze przemyśleć - powiedział Nick z wyrazem szczerości na twarzy. - Czy mógłbym tu wrócić i rozejrzeć się jeszcze raz?

Miałam pewne wątpliwości, czy rzeczywiście szuka takiego mieszkania jak moje, ale nie zaprzętałam sobie tym głowy. Małeńki cień zainteresowania to już było coś.

- Jak najbardziej - odparłam.
- Mogę do pani zadzwonić, czy muszę raz jeszcze kontaktować się z agentem?

- Obojętne. Ale dużo pracuję.
- Czym się pani zajmuje?
- Uczę w szkole podstawowej.
- To świetnie. Ma pani dużo wakacji.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Może mi pani podać swój numer?

Zapisał go w czymś, co wyglądało jak masywny kieszonkowy kalkulator.

- Miło było panią poznać, panno...?
- Zoë.
- Zoë.

Usłyszałam, jak zbiega na dół, przeskakując po dwa stopnie na raz i została sama z moim listem. Przez chwilę udawałam, że to nic takiego. Zrobiłam sobie kubek kawy rozpuszczalnej i zapaliłam papierosa. Dopiero potem otworzyłam kopertę i rozłożyłam list na stole.

*Droga Zoë,*

*Może się mylę, ale sądzę, że nie boisz się jeszcze tak, jak bym chciał. Wiesz, że Cię obserwuję. Może nawet w chwili, gdy czytasz ten list.*

To było głupie, ale podniosłam wzrok i rozejrzałam się dookoła, jakbym mogła dostrzec kogoś stojącego tuż obok mnie.

*Jak już wspominałem, tak naprawdę interesuje mnie obejrzenie twojego wnętrza; rzeczy, których Ty nigdy nie oglądasz. Ale ja to zrobię.*

*Może w tym swoim okropnym mieszkanku, którego nie możesz sprzedać, czujesz się bezpieczna. Ale nie jesteś bezpieczna. Weźmy na przykład okno od podwórza. Łatwo jest wspiąć się na stojącą tam szopę i wejść przez nie do mieszkania. Powinnaś założyć dobry zamek. Ten, który masz teraz, jest do niczego. Dlatego zostałem uchylone okno. Idź i sprawdź.*

*PS. Kiedy śpisz, wyglądasz na szczęśliwą. Śmierć to nic innego jak wieczny sen.*

Położyłam kartkę na stole. Przeszłam przez pokój i wyszłam do holu. Okno wychodzące na ogród było rzeczywiście lekko uchylone. Zadrżałam. Poczulałam się nagle tak, jakby w mieszkaniu panował przenikliwy chłód niczym w piwnicy, choć wiedziałam, że wieczór jest upalny. Wróciłam do pokoju i usiadłam przy telefonie. Zrobiło mi się niedobrze. Czy to był nagły wypadek? Czy to było cokolwiek?

Postanowiłam pójść na kompromis. W książce telefonicznej znalazłam numer najbliższego posterunku policji i zadzwoniłam. Kobieta z centrali rozmawiała ze mną dość pokrętnie, jakby szukała powodu, by jak najszybciej odłożyć słuchawkę. Kiedy powiedziałam jej, że doszło do włamania, spytała, co zostało skradzione i jakie szkody wyrządził włamywacz. Wyjaśniłam, że nie ma żadnych szkód i nie jestem pewna, czy coś zostało skradzione.

- Czy na pewno jest to sprawa dla policji? - spytała znużonym głosem.
- Grożono mi - wyjaśniłam. - To była bardzo poważna groźba.

Dyskusja ciągnęła się jeszcze przez parę minut i po konsultacji z inną osobą, którą kobieta próbowała zagłuszyć, przykrywając słuchawkę dłonią, powiedziała, że ktoś do mnie zajrzy „w odpowiednim czasie”. Nie wiem, co to miało oznaczać. Chodziłam od okna do okna, zamykając je i zasuwając zasuwę, gdzie tylko mogłam. Tak jakby ktoś mógł chcieć wspiąć się do okna na pierwszym piętrze przy ruchliwej Holloway Road. Nie włączyłam telewizora ani żadnej muzyki. Chciałam wszystko słyszeć. Pałałam tylko papierosa za papierosem i popijałam piwo.

Mniej więcej godzinę później zadzwonił dzwonek do drzwi. Zeszłam na dół, ale nie otworzyłam.

- Kto tam?

Za drzwiami rozległ się stłumiony dźwięk.

- Słucham?

Jeszcze jeden dźwięk. Schyliłam się niezgrabnie, odsunęłam klapkę na listy i wyjrzałam na zewnątrz. Dostrzegłam ciemnognatowy materiał. Otworzyłam drzwi. Przede mną stało dwóch oficerów policji. Za nimi zobaczyłam zaparkowany radiowóz.

- Chcą panowie wejść?

Nie odpowiedzieli, lecz spojrzeli na siebie i weszli do środka. Poprowadziłam ich na górę. Wchodząc do domu, obaj zdjęli czapki. Ciekawe, czy to jakaś prądawna forma okazania szacunku kobiecie. Najgorsze było to, że w obecności policjantów nie potrafię ukryć zdenerwowania. Próbowalam sobie przypomnieć, czy mam w mieszkaniu coś nielegalnego, w lodówce lub na półce nad kominkiem. Chyba nie, ale mój umysł nie pracował zbyt sprawnie, więc nie miałam absolutnej pewności. Wskazałam na leżący na stole list. Może nie powinnam go dotykać. To przecież dowód. Jeden z oficerów zrobił krok do przodu i pochylił się, by go przeczytać. Trwało to długą chwilę. Zauważyłam, że ma długi rzymski nos, a w miejscu, gdzie stykał się z czołem, widniał mały garbek.

- Otrzymała pani jakiś inny list od tej osoby? - spytał w końcu.

- Tak. Parę dni temu. Chyba w środę.

- Gdzie on jest?

Czekałam na to pytanie.

- Wyrzuciłam go - wyznałam skruszona, po czym zaczęłam mówić bardzo szybko, by nie zdążył się na mnie wściec. - Przepraszam. Wiem, że to było głupie. Ale bardzo mnie zdenerwował.

Jednak oficer nie wpadł w złość. W ogóle nie sprawiał wrażenia, by cała ta sprawa choć trochę go poruszyła. Albo zainteresowała.

- Sprawdziła pani okno?

- Tak. Było otwarte.

- Może nam je pani pokazać?

Wyprowadziłam ich z pokoju. Szli za mną dość ociężale, jakbym wymagała od nich zbyt wiele w tak trywialnej sprawie.

- Na dole jest ogródek pubu - mruknął drugi oficer, wyglądając przez okno.

Rzymski Nos skinął głową.

- Mógł zobaczyć okno właśnie stamtąd.

Wrócili z powrotem do pokoju.

- Czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto mógłby przysłać taki list? Dawny chłopak, ktoś z pracy?

Odetchnęłam głęboko i opowiedziałam im o arbusie i powodzi listów, które wywołał. Roześmieli się.

- To była pani? - spytał radośnie Rzymski Nos. Spojrzał na drugiego oficera. - To sprawa Danny'ego. Przyjechał na miejsce jako pierwszy. - Odwrócił się do mnie. - Nieźle się pani spisała. Mamy pani zdjęcie na posterunku. Jest pani dla nas bohaterką - zachichotał. - Arbuz, co? Okazał się lepszy od pałki. - Nagle jego krótkofalówka zatrzeszczała. Przycisnął guzik i rozległy się jakieś niezrozumiałe dla mnie słowa. - W porządku, zaraz tam będziemy. Do zobaczenia. - Spojrzał na mnie. - To by było tyle.

- Co takiego?

- Pani twarz pojawiła się w gazetach, takie rzeczy się zdarzają.

- Ale on się tu włamał, groził mi.

- Nie pochodzi pani z Londynu, prawda? Proszę mi przypomnieć swoje nazwisko.

- Haratounian. Zoë Haratounian.

- Śmieszne. Włoskie?

- Nie.

- Po mieście kręci się mnóstwo bardzo dziwnych osobników.

- To znaczy, że on nie popełnił przestępstwa? Rzymski Nos wzruszył ramionami.

- Czy coś zginęło? - spytał.

- Nie wiem. Chyba nie.

- Czy są ślady włamania?

- Nie zauważyłam.

Spojrzał na swojego towarzysza i skinął głową w stronę drzwi, co miało wyraźnie oznaczać: „Spadamy stąd, kiedy tylko ta baba się zamknie”.

- Jeśli wydarzy się coś poważnego - delikatnie, lecz nieprzyjemnie podkreślił słowo „poważnego” - proszę do nas zadzwonić.

Odwrócili się w stronę wyjścia.

- Nie wezmą panowie ze sobą listu?

- Zatrzymaj go, maleńka. Schowaj do szuflady. W jakieś bezpieczne miejsce.

- Nie spiszą panowie zeznań? Nie muszę wypełnić żadnych formularzy?

- Jeśli będzie cię dalej nękał, sami się tym zajmiemy. Dobrze? A teraz się prześpij. Mamy mnóstwo roboty.

Wyszli. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak radiowóz włącza się w strumień samochodów jadących rozpaloną ulicą.

Na Holloway Road grała głośna muzyka i raz po raz rozlegały się wybuchy śmiechu, jakby trwała tam nieco złowieszcza nocna impreza. Ktoś głośno bił brawo. Zaryczał klakson. W gorącym powietrzu unosiły się zapachy nocnych biesiad: smażonej cebuli, przypraw, spalin, paczuli, czosnku, cynamonu, do których dołączyła nieoczekiwana woń róż. Od czasu do czasu lekki podmuch wiatru poruszał zasłonami w otwartym oknie, lecz poza tym powietrze było ciężkie od gorąca. Był środek nocy, ale na niebie nie widać było gwiazd ani księżyca. Mrok pokoju rozjaśniał jedynie brudny pomarańczowy blask ulicznych latarni. Hałas. Ludzie. Samochody. Przez chwilę poczułam nagle pragnienie, by znaleźć się w środku lasu, na pustyni lub otwartym morzu.

Nie zamknęłam oczu. Spojrzałam na Freda. Uśmiechnął się lekko, pewny siebie, a pot z jego czoła kapał mi na twarz, szyję. Nasze dłonie ślizgały się na wilgotnych ciałach. Nadal był dla mnie obcy: jego wysokie czoło, pełne usta, smukłe, szczupłe, dość delikatne ciało. Nawet po wieczorze pełnym tańców i seksu pachniał czystością. Cytrynowym mydłem i ziemią, trawą i piwem. Zsunęłam wilgotne prześcieradło. Fred wyciągnął się na wąskim łóżku, założył ręce za głowę i uśmiechnął się szeroko.

- To było bardzo przyjemne - szepnęłam.

- Dzięki - odparł.

- Nie to miałeś powiedzieć. Powinieneś powiedzieć: „Tak, to było bardzo przyjemne”.

Potrząsnął głową.

- Było ci kiedyś tak dobrze?

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

- Mówisz poważnie? Chcesz, żebym powiedziała: „Och, Fred, nigdy nie myślałam, że może być aż tak”?

- Zamknij się. Zamknij się, do cholery.

Spojrzałam na niego. Nie uśmiechał się. Zraniłam jego uczucia. Był upokorzony i wściekły. Ach, ci mężczyźni.

Usiadłam na łóżku, krzyżując nogi. Z leżącej na podłodze paczki wytrząsnęłam dwa papierosy, zapaliłam i podałam jednego Fredowi.

- Nigdy wcześniej nie uprawiałam seksu z ogrodnikiem.

Zaciągnął się głęboko i wypuścił idealne kółeczko dymu. Zanim się rozplynęło, przez chwile wisiało w powietrzu.

- Nie jestem ogrodnikiem. Uprawiam ogrody. Pomagam ludziom.
- To ja nie jestem nauczycielką, tylko uczę, tak?

Wypuścił jeszcze jedno kółeczko i uważnie je obserwował.

- Ty jesteś nauczycielką. Ja rzucę tę robotę, kiedy tylko będę mógł.
- Ach tak. - Teraz ja poczułam się urażona. - Wielkie dzięki. Uprawiałeś już kiedyś seks z nauczycielką?

Uniósł brwi. Na jego twarzy pojawił się wyraz pożądania.

- Nie ze sławną nauczycielką.

Nie chciałam o tym myśleć. Przez cały wieczór piłam i śmiałam się, tańczyłam, ćpałam i próbowałam zapomnieć. Miałam już dość głupich żartów na temat arbuza, artykułów, w których nazywano mnie drobniutką blond Zoë i dziwnych listów leżących na wycieraczkę. Ludzi, których nigdy nie spotkałam, a którzy o mnie myśleli, snuli na mój temat fantazje. Może w tej chwili ktoś stoi przed drzwiami mieszkania, spogląda w otwarte okno i czeka, żeby Fred wreszcie sobie poszedł. Wytrzeźwiałam zupełnie.

Wrzuciłam papierosa do stojącej przy łóżku szklanki i usłyszałam cichy syk.

- Te ostatnie listy...

- Zignoruj je - powiedział szybko Fred. Zamknął oczy. - Co robisz w weekend?

- Przestraszyły mnie. Były... och, już sama nie wiem, takie zdecydowane.

- Mmmm. - Pogładził mnie lekko po włosach. - Zastanawialiśmy się nad piknikiem w sobotę. Za miastem. Chcesz pojechać?

- Czy wszystko robicie w kupie? Pochylił się i pocałował mnie w pierś.
- Parę rzeczy potrafię zrobić sam. W czym problem?
- Nie, nic takiego. Zostaniesz na noc? Oczywiście, jeśli chcesz.

Było zupełnie tak, jakbym mu powiedziała, że pod poduszką znajduje się bomba. Otworzył szeroko oczy i usiadł na łóżku.

- Przykro mi - powiedział. - Wcześniej rano muszę być u starszej pani

koło Wimbledonu. - Wciągnął bokserki i bawełniane spodnie. Boże, ależ on się szybko ubiera. Koszula, guziki, skarpetki, buty spod łóżka, poklepuje kieszenie, by sprawdzić czy ma drobne. Wisząca na krześle marynarka.

- Zegarek - rzuciłam sucho.

- Dziękuję. Cholera, spójrz, która godzina. Zadzwoń do ciebie jutro, umówimy się.

- Jasne.

- Nie martw się tym. - Przesunął dłonią po mojej twarzy, pocałował mnie w szyję. - Piękna z ciebie kobieta. Dobranoc.

- Cześć.

Kiedy wyszedł, wstałam z łóżka i choć nadal było straszliwie gorąco, zamknęłam okno w pokoju. Zrobił się jeszcze mniejszy niż zwykle. Wyrzaziłam na Holloway Road. Za parę godzin zacznie się rozwidniać. Sprawdziłam okno w holu, które tego wieczoru sprawdzałam już kilka razy i wzięłam z łazienki zegarek. Za piętnaście druga. Żeby już było rano. Byłam zmęczona, lecz nie śpiąca. Kiedy się jest przerażonym, czas wlecze się niemilosierdzie. Czułam na skórze pot. Nagle stał się lodowaty. Podniosłam z podłogi prześcieradło, wytarłam starannie całe ciało, po czym owinęłam się nim i zapaliłam kolejnego papierosa. Szkoda, że nie mam herbaty. Może gdzieś zostało trochę whisky. Poszłam do kuchni i przysunęłam krzesło do wysokiej szafki. Znalazłam mnóstwo pustych butelek, które zamierzałam zanieść kiedyś do skupu, ale ani kropli whisky. Był tam jednak likier miętowy, dostałam go na Gwiazdkę od rodziców i nawet nie tknęłam. Nalałam trochę do kubka z ubitym uszkiem. Likier był zielony, lepki i słodki. Przeleciał mi przez gardło niczym ognista kula.

- Uf - powiedziałam głośno i zorientowałam się, że wokół panuje grobowa cisza, przerywana od czasu do czasu stukotem przejeżdżającej ciężarówki, która wprawiała budynek w drżenie, i tupotem czyichś stóp na ulicy. Było piętnaście po drugiej. Owinięta prześcieradłem poszłam do łazienki, umyłam zęby i spryskałam rozpaloną twarz zimną wodą. Potem położyłam się na łóżku i próbowałam nie myśleć. Ale bez skutku. Raz jeszcze przebiegłam w myślach treść dwóch ostatnich listów. Pierwszy, wiadomo, wyrzuciłam. Ale pamiętałam, co w nim było. Drugi położyłam na



biurku. Policja, oczywiście, nie była przekonana, że przysłała je jedna i ta sama osoba. Ja wiedziałam, że tak było. Oni nie traktowali tego poważnie. Nie wiedzieli, jak się czuje kobieta leżąca samotnie w obskurnym mieszkaniu przy Holloway Road i umierające ze strachu, że gdzieś tam jest ktoś, kto ją obserwuje.

Wbrew sobie wzięłam list i leżąc w łóżku, przeczytałam go jeszcze raz. Wiedziałam, że ten mężczyzna patrzył na mnie, patrzył naprawdę. Zauważył rzeczy, na które nawet ja nie zwracam uwagi, jak poplamiony nikotyną palec. Uczył się mnie niczym ciała kochanki. Może chciał mnie zapamiętać całą, jak zapamiętuje się materiał wymagany do egzaminu. Był tutaj, wiedziałam, że był, bez względu na to, co sądziła o tym policja, i oglądał moje rzeczy, dotykał ich. Może przeglądał listy, zdjęcia, ubrania. Może nawet zabrał coś ze sobą. Widział, jak śpię. Powiedział, że chce zajrzeć do mojego wnętrza. Nie chce tam się znaleźć, chce zajrzeć. Zrobiło mi się niedobrze, ale to może przez ten nieszczęsny likier, który nadal czułam w ustach, albo przez alkohol, który wypłam wcześniej, a może seks, zmęczenie i, och, pieprzę to.

Zamknęłam oczy i nakryłam je ręką, leżałam więc w zupełnych ciemnościach. Za moim oknem czaił się Londyn, pełen oczu. Usłyszałam spadającą kroplę deszczu, potem następną. Mój umysł nadal pracował jak szalony, nie mogłam go zmusić, żeby trochę zwolnił. Raz po raz odtwarzałam treść listu.

„Jak już wspominałem”. To właśnie było najzabawniejsze. O co mu chodzi? Chciałby zajrzeć do mojego wnętrza. Jak już wspominał. Ale wcześniej nie pisał o tym. Spróbowałam odtworzyć dokładnie w myślach treść listu, który wyrzuciłam do śmieci. Pamiętałam jednak tylko fragmenty. Ale to bym na pewno zapamiętała. Co to mogło znaczyć?

Nagle coś przyszło mi do głowy; myśl, którą bardzo bym chciała móc zignorować. Usiadłam. Poczulałam, że zaschło mi w ustach. Wstałam z łóżka, poszłam do pokoju i wyjęłam spod sofy kartonowe pudełko. Leżało w nim parędziesiąt listów, niektóre nawet nieotwarte. To mogło trwać wieki. Wróciłam do sypialni i wciągnęłam stary dres. Potem nalałam sobie jeszcze jeden kubek tego obrzydliwego likieru, zapaliłam papierosa i zaczęłam szukać.

Zaglądałam do każdego listu, żeby się upewnić, choć już charakter pisma na kopercie mówił mi, że to nie on jest nadawcą. Moja droga Zoë... Panno Haratounian... Wracaj, skąd przyszłaś, dziwko... Czy odnalazłaś już Jezusa?... Uśmiechasz się, ale w oczach masz smutek... Dobrze się spisałaś... Gdyby zechciała pani przekazać jakąś sumę naszej organizacji charytatywnej... Czuję, że już się gdzieś spotkaliśmy... jeśli interesuje cię S&M... Piszę ten list z więzienia... Chciałabym podzielić się z tobą ciężko zdobytym doświadczeniem...

Znalazłam. Poczułam nagle, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Zdecydowanie zbyt szybko. Czułam ucisk w gardle, oddychałam z trudem. Ten charakter pisma, czarne, pochyle litery. Wzięłam do ręki kopertę, której wcześniej nie otworzyłam. Znajdował się na niej znaczek, mój adres z kodem pocztowym. Pociągnęłam spory łyk z kubka i palcem rozdarłam kopertę. List był krótki, ale bardzo treściwy.

*Droga Zoë,*

*Chcę zajrzeć do Twojego wnętrza, a potem chcę Cię zabić. Nie możesz zrobić nic, żeby mnie powstrzymać. Ale na razie to się nie stanie. Jeszcze nie teraz. Napiszę do Ciebie znówu.*

Wpatrywałam się w słowa, aż zaczęły mi się rozmywać przed oczami. Oddychałam spazmatycznie. O szyby uderzał mocny, letni deszcz. Zerwałam się z krzesła i zaczęłam przesuwając sofę, aż stanęła przed drzwiami wejściowymi. Podniosłam słuchawkę telefonu i drżącymi palcami wykręciłam numer Freda. Telefon dzwonił i dzwonił.

- Tak? - powiedział wreszcie zaspanym głosem.
- Fred, Fred, to ja, Zoë.
- Zoë. Która godzina, do cholery?
- Co? Nie wiem. Fred, mam jeszcze jeden list.
- Jezu, Zoë, jest wpół do czwartej.
- Píše, że mnie zabije.
- Posłuchaj...
- Mogę przyjść do ciebie? Boję się. Nie wiem, do kogo jeszcze mogę się zwrócić.
- Zoë, posłuchaj. - Usłyszałam, jak zapala zapałkę. - Wszystko jest w porządku. - Jego głos brzmiał łagodnie, lecz stanowczo, jakby przemawiał

do małego dziecka, które boi się ciemności. - Jesteś bezpieczna. - Chwila ciszy. - Posłuchaj, jeśli naprawdę się boisz, zadzwoń na policję.

- Proszę cię, Fred. Proszę.

- Spałem już, Zoë. - Jego głos brzmiał teraz lodowato. - Sama też spróbuj się przespać.

Poddałam się.

- Dobrze.

- Zadzwonię do ciebie.

- Dobrze.

Zadzwoniłam na policję. Połączyłam się z mężczyzną, z którym do tej pory nie rozmawiałam. Wszystkie dane zapisywał przeraźliwie wolno. Musiałam dwa razy literować swoje nazwisko: H jak hotel, A jak Anna. Za każdym razem, kiedy słyszałam jakiś dźwięk, sztywniałam i serce zaczynało mi bić mocniej. Ale przecież nikt nie mógł się dostać do środka. Wszystko było zamknięte i zaryglowane.

- Proszę chwilę poczekać.

Czekając, paliłam kolejnego papierosa. Moje usta zaczynały przypominać brudną popielniczkę.

Wreszcie powiedział, żebym rano przyszła na posterunek. Wyobrażałam sobie chyba, że jakiś policjant przyjedzie do mnie natychmiast i zapewni mi ochronę, a zyskałam tylko tyle. Jednak znużenie i rutyna w głosie mężczyzny trochę mnie uspokoiły. Takie rzeczy dzieją się przecież każdego dnia.

Wreszcie udało mi się zasnąć. Kiedy się obudziłam, była prawie siódma. Wyrzłam przez okno. W nocy mocno padało i deszcz oczyścił ulicę. Liście na platanach odzyskały barwy i nie były już tak pomarszczone. Nad miastem rozciągało się błękitne niebo. Już zapomniałam, jak wygląda.

## 7

Tym razem trafiłam przed oblicze wyżej postawionego policjanta, a to było już coś. Jeśli oficerowie, którzy byli u mnie, wyglądali jak członkowie szkolnej drużyny rugby, to detektyw na posterunku przypominał nauczyciela

geografii, choć był lepiej ubrany niż ci, których spotkałam w czasie mojej szkolnej kariery. Miał na sobie granatowy garnitur i stosowny krawat. Był wysoki i mocno zbudowany. Przedstawił się jako sierżant Aldham.

Nie przeszliśmy do pokoju przesłuchań ani do innego podobnie oficjalnego pomieszczenia. Przyjął mnie przy recepcji, a potem wystukał parę cyfr, by otworzyć drzwi prowadzące już do innych pomieszczeń na posterunku. Pierwszy raz pomylił się i musiał wystukać cyfry jeszcze raz. Tym razem zrobił to wolniej, przeklinając pod nosem. Poprowadził mnie do swojego biurka, podsunął stojące obok krzesło. Przez to poczułam się jeszcze bardziej jak niegrzeczna uczennica czekająca po lekcjach na rozmowę z nauczycielem. W tym przypadku raczej przed lekcjami. Musiałam zadzwonić do Pauline i powiedzieć, że się trochę spóźnię. Nie była zachwycona. Powiedziała, że wybrałam sobie nie najlepszą porę.

Aldham przeczytał oba listy bardzo wolno i uważnie, marszcząc brwi. Przez pięć minut kręciłam się na krześle. Rozglądałam się po pokoju i obserwowałam ludzi wchodzących do środka i rozmawiających przez telefon. Kilku oficerów śmiało się z czegoś, czego nie mogłam usłyszeć. Wreszcie Aldham podniósł wzrok.

- Napije się pani herbaty?
- Nie, dziękuję.
- Bo ja tak.
- W takim razie poproszę.
- Ciasteczko?
- Nie, dziękuję.
- Ja zjem.
- Jest jeszcze wcześniej.

Długo trwało, zanim wrócił z dwoma kubkami herbaty. Były tak gorące, że trudno je było utrzymać w dłoni. Detektyw zanurzył ciasteczko w herbacie i ugryzł wilgotny półksiężyc.

- I co pani o tym myśli?
- Co ja myślę? No cóż... to chyba pańska działka?
- Tego jeszcze nie wiem. Co było w tamtym liście?
- Był tak okropny, że natychmiast go wyrzuciłam. Pisał coś o dziwnych rzeczach, jakie jem. I coś o strachu przed śmiercią. Wyglądało to tak, jakby list napisał ktoś, kto mnie śledzi.

- Albo ktoś, kto panią zna?
- Zna?
- To może być żart. Nie ma pani znajomego, który mógłby to zrobić dla zabawy?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Ktoś grozi, że mnie zabije. Nie widzę w tym nic zabawnego. Aldham poruszył się niespokojnie na krześle.

- Ludzie mają często specyficzne poczucie humoru.

Zapadła cisza. Myślałam rozpaczliwie: Czy mogę się mylić? Może nie trzeba robić aż takiego zamieszania.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział wreszcie Aldham. - Muszę z kimś porozmawiać.

Wziął z biurka teczkę i wsunął do niej oba listy. Zabrał teczkę i herbatę, przeszedł ciężkim krokiem przez pokój i zniknął mi z oczu. Spojrzałam na zegarek. Ile to jeszcze potrwa? Czy warto wyjąć z torby papiery i zająć się pracą na rogu biurka? Jakoś nie miałam do tego nastroju. Kiedy wreszcie wrócił, przyprowadził ze sobą innego mężczyznę w garniturze. Ten był niższy, drobniejszy, o siwiejących włosach i wyglądał, jakby w łańcuchu pokarmowym znajdował się parę oczek wyżej. Przedstawił się jako inspektor Carthy.

- Obejrzałam pani listy, panno... er.... - mruknął coś pod nosem, co było najwidoczniej próbą wymówienia mojego nazwiska. - Oglądałam te listy, a sierżant Aldham przedstawił mi szczegóły sprawy. To z pewnością coś bardzo obrzydliwego. - Rozejrzał się i przysunął sobie krzesło stojące przy biurku obok. - Nasuwa się od razu pytanie: O co tutaj chodzi?

- Chodzi o to, że ktoś mi grozi i włamał się do mojego mieszkania. - Carthy skrzywił się. - Jestem napastowana. To chyba traktowane jest już jako zbrodnia, prawda?

- W pewnych okolicznościach. Bardzo pani współczujemy, ale naprawdę nie wiemy, co dalej z tym fantem zrobić.

- Nie sądzi pan, że ta osoba jest niebezpieczna?

- Może tak, może nie. O ile wiem, otrzymywała pani inne listy tego typu.

Raz jeszcze zrelacjonowałam wyczyn, który na jakiś czas okrył mnie sławą, a obaj detektywi uśmiechnęli się przelotnie.

- To pani znokautowała tego faceta arbuzem? - spytał Carthy. - Rewelacja. Mamy tu gdzieś pani zdjęcie. Dla nas wszystkich jest pani prawdziwą

bohaterką. Może zechce pani przed wyjściem zamienić parę słów z naszymi pracownikami? Wróćmy jednak do listów: wszystko wskazuje na to, że jest to coś, z czym musi się, niestety, zmagać każda stawna osoba. Po świecie chodzi mnóstwo smutnych, załamanych ludzi. W ten sposób nawiązują znajomości. W końcu straciłam cierpliwość.

- Proszę mi wybaczyć, ale odnoszę wrażenie, że nie traktują panowie tej sprawy poważnie. Ten człowiek nie tylko pisał do mnie listy. On był w moim mieszkaniu.

- Mógł być. - Carthy westchnął przeciągle. - No, dobrze. Zastanówmy się chwilę. Czy łatwo jest się dostać do pani mieszkania?

Wzruszyłam ramionami.

- To normalny budynek, który parę lat temu przerobiono. Do środka prowadzi wspólne wejście prosto z Holloway Road. Za podwórkiem na tyłach domu znajduje się należący do pubu taras i ogródek.

Carthy zapisał coś w dużym bloku, który trzymał na kolanach. Nie wiedziałam, czy robi notatki, czy tylko coś gryzmoli.

- Czy przychodzi do pani dużo osób?

- Co pan ma na myśli?

- Jedna tygodniowo? Dwie? Tak średnio.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Mam kilkoro przyjaciół. Spora grupka wpadła do mnie na drinka w zeszłym tygodniu. Mam też nowego chłopaka. Był u mnie kilka razy. - Znów parę uwag w bloku. - No i jeszcze jedno. Od sześciu miesięcy próbuję sprzedać to mieszkanie.

Carthy uniósł brew.

- To znaczy, że potencjalni kupcy przychodzili je oglądać?

- Jak najbardziej.

- Ilu?

- Sporo. W ciągu tych sześciu miesięcy mogło ich być sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu.

- Czy niektórzy z nich przychodzili więcej niż jeden raz?

- Kilka osób. Bardzo chcę, żeby przychodzili więcej niż jeden raz.

- Czy któraś z tych osób wydała się pani nieco dziwna?

Nie mogłam powstrzymać gorzkiego śmiechu.

- Mniej więcej trzy czwarte z nich. Zupełnie obcy ludzie zaglądali do moich szafek, otwierali szuflady. Tak to jest, gdy próbuje się sprzedać mieszkanie.

Carthy nie odpowiedział mi uśmiechem.

- Istnieje kilka motywów tego typu napastowania. Najbardziej powszechny z nich jest typowo osobistej natury. - Nagle zaczął sprawiać wrażenie mocno zakłopotanego. - Czy mogę pani zadać parę osobistych pytań?

- Tak, jeśli odnoszą się do sprawy.

- Powiedziała pani, że ma pani nowego chłopaka. Jak długo się znać?

- Dwa, może trzy tygodnie. To świeża sprawa.

- Czy oznacza to, że zerwała pani poprzedni związek?

- Raczej nie.

- Jak mam to rozumieć?

- Nie. Po prostu nie byłam z nikim związana.

- Ale utrzymywała pani niedawno bardzo bliskie... seksualne stosunki?

- Tak, dość niedawno. - Poczułam, że się beznadziejnie rumienię.

- Czy związek ten zakończył się burzliwie?

- Nie. To nie było tak. Spotykałam się z dwoma osobami.

- Z dwoma? - Carthy i Aldham wymienili znaczące spojrzenie.

- Proszę posłuchać, to wszystko zabrzmiało nie tak, jak powinno. - Zmieszałam się. Wiedziałam, co o mnie myślą i każde słowo mogło jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Najzabawniejsze było to, że w porównaniu z wszystkimi moimi znajomymi przypominam zakonnice: skępowaną, zażenowaną zakonnice. - W ciągu minionego roku spotykałam się, umawiałam, czy jak to chcecie nazwać, z dwoma mężczyznami. - Obaj policjanci patrzyli na mnie tak, jakby ta niewielka liczba mocno ich bulwersowała. - Z ostatnim zerwałam parę miesięcy temu.

- W gniewie?

Przypomniałam sobie, jak siedzieliśmy ze Stuartem w małej kafejce w pobliżu Camden Lock.

- Nie, po prostu się skończyło - roześmiałam się smutno. - Słyszałam ostatnio, że podróżuje po Australii. Możecie go skreślić z listy podejrzanych.

Carthy zamknął długopis i wstał.

- Sierżant Aldham pomoże pani wypełnić zgłoszenie przestępstwa i spíše pani krótkie zeznanie.
  - Co zamierzacie zrobić?
  - Już pani powiedziałem.
  - Chodzi mi o to, czy go złapiecie.
  - Jeśli wydarzy się coś jeszcze, proszę zadzwonić do Aldhama, wtedy zajmiemy się tą sprawą. I jeszcze jedno, przez pewien czas proszę zachowywać się rozsądnie i uważać na siebie.
  - Mówiłam już panom, że mam chłopaka.
- Skinął głową i odwrócił się, mrużąc pod nosem coś, czego nie mogłam już słyszeć.

## 8

Do szkoły przyszłam bardzo spóźniona. Znacznie bardziej niż zapowiadałam. Kiedy wyszłam z posterunku, byłam straszliwie zmęczona. Bałam się, że nogi odmówią mi posłuszeństwa. Czulałam, że pod bawełnianą sukienką skóra jest sucha i szorstka. Swędziała mnie głowa. W ustach zupełnie mi zaschło. Mięśnie ramion miałam spięte, pełne bolesnych, kipiących stresem węzłów. Kiedy stanęłam w blasku słońca, oczy zaczęły mnie szczypać. Szybko je zmrużyłam i zaczęłam szukać w torebce okularów słonecznych. Cholera, zostawiłam w domu. Witaminy też. Na dodatek został mi tylko jeden papieros. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinnam wrócić do domu, wykąpać się, umyć zęby i przed pójściem do szkoły zebrać się trochę do kupy. A może nawet pójść do pobliskiego parku, usiąść na wyschniętej trawie i przez chwilę oglądać pływające po stawie kaczki.

Zamiast tego kupiłam dwie paczki papierosów, parę tanich okularów na ulicznym stoisku i usiadłam w obskurnej kawiarence. Zamówiłam dwie filiżanki kawy i sadzone jajko na grzance. Jadłam powoli, oglądając przez zatłuszczone okno mijających kawiarenkę przechodniów. Rastafarianin w żółtej czapeczce. Objęta czule parka, przystająca co parę kroków, by się namiętnie całować. Grupa japońskich turystów w luźnych swetrach z aparatami na szyi. Na pewno się zgubili. Mężczyzna z niemowlęciem w nosidełku; widziałam tylko pokrytą puszką głowę malucha. Kobieta krzycząca na malutkie dziecko drepczące z poczerwieniałą twarzą u jej stóp.



Hinduska w szkarłatnym sari sunąca w delikatnych sandałkach między psimi kupkami i śmieciami. Grupka uczniów ze sprzętem do pływania wędrująca przez pełną spalin ulicę pod opieką zdenerwowanej młodej kobiety, która przypominała mi mnie. Rowerzysta w żółtych odblaskowych spodenkach, przemykający z pochyloną głową wśród samochodów. Kobieta w kapeluszu z szerokim rondem, z rozkołysanymi piersiami i z małym pudelkiem, wyglądająca tak, jakby trafiła tu z zupełnie innej bajki.

Ja też byłam z zupełnie innej bajki. W tej chwili mógł mnie obserwować nieznajomy mężczyzna. Może zdołałabym go dostrzec, gdybym tylko wiedziała, gdzie patrzeć. Co zrobiłam, żeby sobie zasłużyć na coś takiego? Zapaliłam papierosa i wypilałam chłodną kawę. Byłam już tak spóźniona, że tych kilka minut nie robi żadnej różnicy.

Zanim złapałam jadący w górę Kingsland Road autobus, minęłam budkę telefoniczną. Poczułam nagle głupi impuls, by zadzwonić do mamy. Mamy, która nie żyła od dwunastu lat. Chciałam, by mi powiedziała, że wszystko będzie w porządku.

Pauline przywitała mnie uprzejmie, lecz chłodno. Powiedziała, że dzwonił do mnie mężczyzna o imieniu Fred i prosił, żebym odezwała się do niego w ciągu dnia. Pauline nie wyglądała na zachwyconą faktem, że musi odbierać wiadomości od chłopaka dla nieobecnej w szkole nauczycielki. Asystentka, która mnie zastępowała, usadziła dzieci ubrane w plastikowe fartuszki i kazała im mieszać farby grubym pędzlem. Poprosiłam je, by namalowały teraz swój portret. Obiecałam, że powiesimy wszystkie obrazki na ścianie przed zebraniem rodziców. Raj namalował siebie z bladą różową twarzą i brązowymi włosami. Długie, proste nogi wyrastały mu prosto z brody. Eric, który nigdy się nie uśmiecha, namalował szerokie, czerwone usta od ucha do ucha. Stacey rozlała wodę na obrazek Tary, która uderzyła ją w szyję. Damian zaczął płakać, a lzy kapły mu prosto na kartkę papieru. Odprowadziłam go na bok i zapytałam, co się dzieje. Powiedział, że wszyscy mu dokuczają, nazywają go maminsynkiem, popychają na boisku, a raz zamknęli go w toalecie. Spojrzałam na niego:

na bladą, zasapaną figurkę z brudnymi uszami, w ubraniu zwisającym z chudego ciała.

Fred chciał, żebym przyszła wieczorem i kibicowała mu podczas meczu piłkarskiego, który miał rozegrać jako członek pięcioosobowej drużyny. Powiedział, że grają z chłopakami regularnie w każdą środę. Był wesoły i odprężony, tak jakby wczoraj w nocy nic się nie wydarzyło. Przycina różę na przedmieściach, ale cały czas myśli o moim cielem.

Pauline powiedziała, że do końca tygodnia muszę sporządzić raport o umiejętności czytania i pisania i spytała, czy sobie poradzę.

- Oczywiście - odparłam bez przekonania, czując pulsowanie w skroniach. Zwykle po drodze do szkoły kupuję w barze kanapkowym bułkę z serem i pomidorem, lecz dziś zupełnie o tym zapomniałam. Gdy inni nauczyciele jedli podczas przerwy na lunch zdrowe kanapki i owoce, ja musiałam się ograniczyć do ziemniaków i gotowanej fasolki, której kopiałą porcję nałożyła mi w stołówce gruba kucharka. Na deser zjadłam gorący pudding z sosem. Typowe jedzenie dla poprawienia nastroju, nic więc dziwnego, że od razu poczułam się lepiej.

Po przerwie kazałam dzieciom pisać w ćwiczeniach literę P. P jak pies, piłka i papuga. „I pieprzyć”, powiedział najmłodszy w klasie czteroletni Benny, ku wielkiej uciechu kolegów.

Na godzinie wychowawczej, siedząc na dywanie, rozmawialiśmy o dokuczaniu i zastraszaniu. Nie patrząc na Damiana, mówiłam, że wszyscy muszą się o siebie troszczyć i nawzajem pomagać, a dzieci odpowiadały mi spojrzeniem okrutnych, niewinnych oczu. Damian siedział blisko mnie, wyrrywając nitki z dywanu. Za grubymi okularami widziałam jego rozbiegane oczy.

- Lepiej? - spytałam, gdy pozostali uczniowie wyszli z klasy.

- Uhm - mruknął z pochyloną głową. Zauważyłam, że ma brudną szyję i czarne obwódki pod paznokciami. Nagle poczułam, że jestem na niego zła; zapragnęłam potrząsnąć nim bardzo mocno i wyrwać z tego marazmu. Pomyślałam, że może ze mną jest tak samo, może sama pozwalam, by mnie zastraszano.

Nie miałam pojęcia, ile hałasu potrafi zrobić dziesięciu mężczyznom. Nie tylko krzyczeli na siebie, lecz warczeli, wrzeszczeli, wyli, opadali z

głuchym hukiem na ziemię, wpadali na siebie, kopali się w golenie tak mocno, że zdawało mi się, iż usłyszę trzask pękających kości. Spodziewałam się, że za chwilę zobaczę tryskającą krew, rozciągnięte na noszach ciała i idące w ruch pięści, ale tak się nie stało. Po godzinie wszyscy, spocony i brudni, ale w doskonałych humorach, poklepywali się po plecach. Poczułam się trochę głupio, kiedy tak stałam przy bocznej linii boiska, oglądając ich niczym członek fanklubu. Oprócz mnie były tam jeszcze trzy kobiety, które najwyraźniej się znały i co środę przychodziły na mecz, by oglądać swoich mężczyzn w akcji. Annie, Laura i trzecia, której imienia nie dosłyszałam, ale nie chciałam się dopytywać. Zapytały, jak poznałam Freda, i uznały, że prawdziwy z niego czarusz. Rozmawiały ze mną przyjaźnie, lecz z rezerwą. Pomyślałam, że prawdopodobnie co środę pojawia się tu inna dziewczyna i nie chcą nawiązywać ze mną zbyt bliskiej znajomości. Domyśliłam się, że powinnam oklaskiwać Freda, kiedy mijał mnie, krzycząc coś z obłędem w oczach, ale nie potrafiłam się do tego zmusić.

Po meczu podszedł do mnie, objął mnie ramieniem i mocno pocałował.

- Jesteś spocony.

Nie do końca mi to przeszkadzało, ale z drugiej strony, nie sprawiało też zbyt wielkiej przyjemności.

- Mmmm - szepnął, przytulając się mocniej. - Ty za to jesteś chłodna i pachnąca.

Po pracy poszłam do Louise. Wzięłam prysznic i założyłam szare bawełniane spodnie i bezrękawnik z dzianiny, który mi pożyczyła. Nie chciałam wracać do siebie.

- Pójdiesz z nami na drinka?

- Jasne. - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęło moje ciało, był alkohol, ale potrzebowałam towarzystwa. Tak długo, jak byłam z innymi w publicznym miejscu, czułam się bezpieczna. Myśl o zapadających ciemnościach i pustym mieszkaniu przerażała mnie jak nic dotąd.

- Wezmę tylko prysznic.

Jeden drink przeszedł w kilka, w mrocznym pubie, którego właściciel najwyraźniej wszystkich znał.

- Zoë wciąż dostaje te zwariowane listy - mówił Fred, jakby wszystko było jednym wielkim żartem. Położył mi rękę na ramieniu i przesunął w dół żeber. Poruszyłam się niespokojnie, zapaliłam kolejnego papierosa i wypilałam resztkę piwa. - Także i takie, w których grożą jej śmiercią. Prawda, Zoë?

- Tak - mruknęłam. Nie chciałam o tym rozmawiać.

- Co powiedziała policja? - spytał Fred.

- Niewiele - odparłam. - Nie przejmuj się, Fred. - Siliłam się na lekki ton. - Na pewno będziesz podejrzanym numer jeden.

- To na pewno nie ja - odrzekł wesoło.

- Dlaczego nie?

- No...er...

- Nigdy nie widziałeś, jak śpię. - Natychmiast pożałowałam tych słów, ale Fred wyglądał tylko na zaskoczonego. Poczułam ulgę, gdy Morris zaczął mi opowiadać o wieczorach, jakie spędzali w pubie podczas cotygodniowych quizów.

- To okrutne, naprawdę - powiedział. - One są dla nas za łatwe. Czuję się tak, jakbyśmy zabierali im pieniądze. Mamy szczęście, że nie zabrali nas na podwórko i nie połamali nam kciuków.

- Bilardzista - rzucił Graham.

- Co takiego? - spytałam.

- Czy mój brat-idiota cię nudzi?

- Nie bądź niemiły - powiedziałam.

- Nie, nie - zaprotestował Morris. - To jeszcze jeden cytat. Herman Mankiewicz powiedział tak o Josephie Mankiewiczu. - Uśmiechnął się szeroko do brata. - Ale w końcu to Joseph odniósł większy sukces.

- Przykro mi - powiedziałam - ale nie mam pojęcia, kim są ci ludzie.

Niestety, nagle wszyscy zaczęli mi tłumaczyć. Dla mnie ta rozmowa starych przyjaciół była oszalałającą mieszaniną dowcipów, niejasnych odniesień i tylko im znanych odzywek. Pomyślałam, że najlepszym wyjściem z sytuacji jest siedzieć cicho i czekać na temat, w którym będę się lepiej orientować. Po chwili gorączkowa wymiana zdań ucichła, a ja znów zaczęłam rozmawiać z Morrisem.

- Czy jesteś z którąś... - spytałam przyciszonym głosem, kiwając dyskretnie głową w stronę młodych kobiet siedzących przy stoliku.

- Laura i ja jesteśmy... w pewnym sensie... - powiedział wymijająco.  
- W jakim sensie? - zainteresowała się siedząca po drugiej stronie stołu Laura. Była mocno zbudowaną kobietą z prostymi, brązowymi włosami ściągniętymi w mały kok.

- Mówiłem właśnie Zoë, że masz uszy jak nietoperz.

Pomyślałam, że Laura wścieknie się na niego jak diabli. Ja na pewno bym tak zareagowała. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu zorientowałam się jednak, że kobiety siedziały niejako obok, rozmawiając niemal wyłącznie ze sobą, a do ogólnej rozmowy włączały się tylko wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne. Nie zdarzało się to zbyt często. Młodzi mężczyźni o zarumienionych twarzach i błyszczących po emocjach meczu oczach bardziej niż kiedykolwiek przypominali małych chłopców. Dlaczego postanowili przygarnąć mnie do swojej małej grupki? By mieć wdzięczną publiczność? Morris przysunął się bardzo blisko. Przez chwilę myślałam nawet, że zamierza pocałować mnie w ucho. Ale chciał tylko do niego szepnąć.

- To już skończone - powiedział.

- Co?

- Laura i ja. Tyle tylko, że ona jeszcze o tym nie wie.

Spojrzałam na nią. Siedziała przy stole, nie wiedząc o tym, że nad jej głową wisi już wyrok.

- Dlaczego?

Wzruszył tylko ramionami, a ja poczułam, że nie zniosę dalszej rozmowy na ten temat.

- Jak ci leci w pracy? - spytałam, by zmienić temat.

Zapalił papierosa i dopiero wtedy odpowiedział na moje pytanie.

- Wszyscy czekamy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zaciągnął się głęboko i wypił spory łyk piwa.

- Spójrz tylko na nas - powiedział. - Graham jest asystentem fotografa, a chce zostać reporterem. My z Duncanem pokazujemy głupim sekretarkom, jak się obchodzić z komputerem, a przecież one mogą się tego nauczyć z instrukcji. Czekamy, by parę naszych pomysłów przyniosło spodziewane efekty. W dzisiejszych czasach musisz tylko mieć jakiś w miarę sensowny pomysł, a będziesz wart więcej niż British Airways.

- A Fred?

Morris się zamyślił.

- Fred kopie i sadi, cały czas próbując odkryć, kim naprawdę jest.

- A w wolnych chwilach szpanuje opalenizną i muskularnymi ramionami - rzucił Graham, który najwyraźniej przysłuchiwał się naszej rozmowie.

- Mmmm - mruknęłam.

Siedzieliśmy w pubie bardzo długo i wypiliśmy stanowczo za dużo, zwłaszcza chłopcy. Później Morris przesiadł się, by być bliżej Laury. Zrobił to na jej wyraźną prośbę, która zabrzmiała bardziej jak rozkaz. Duncan usiadł obok mnie. Najpierw opowiadał o swojej pracy z Morrisem, o tym, jak co dnia wyruszają w trasę i pracują, głównie osobno, w różnych firmach, ucząc bogatych idiotów, którzy nie mają dość czasu, by zająć się własnymi komputerami. Potem opowiadał mi o Fredzie, jak długo się znają i przyjaźnią.

- Jest tylko jedna rzecz, której nie mogę mu wybaczyć - powiedział.

- Co takiego?

- Ty - odparł. - To nie było fair.

Roześmiałam się. Spojrzał na mnie badawczo.

- Uważamy, że jesteś najlepsza.

- Najlepsza w czym?

- Po prostu najlepsza.

- My?

- Chłopaki. - Wskazał na zebranych przy stole kolegów. - Fred zawsze rzuca swoje dziewczyny.

- Zajmiemy się tym, kiedy już do tego dojdzie, dobrze?

- Mogę cię potem mieć? - spytał.

- Co takiego?

- Nie, to ja chcę ją mieć - rzucił Graham siedzący po drugiej stronie stołu.

- A co ze mną? - spytał Morris.

- Ja byłem pierwszy - odparł Duncan.

Jakaś częstka mnie uświadomiła sobie, że to tylko jeden z ich żartów. Może w innych okolicznościach też bym się roześmiała i dołączyła do ogólnej wesołości, nawet lekko flirtując, ale teraz nie miałam na to ochoty.

Fred przysunął się do mnie. Położył mi rękę na spodniach, spodniach Louise. Nagle poczułam, że robi mi się niedobrze. Duszna, hałaśliwa atmosfera pubu zaczynała mnie przytłaczać.

- Czas się zbierać - powiedziałam.

Fred odwiózł mnie do domu swoją furgonetką, podrzucając po drodze Laurę i Morrisa. Wcześniej wypił stanowczo za dużo i na pewno przekroczył dozwolony limit.

- Przeszkadza ci, kiedy tak do mnie mówią?

- Są po prostu zazdrośni.

Opowiedziałam mu o tym, jak policja wypytywała mnie o życie prywatne.

- Dali mi do zrozumienia, że to moja wina. Pytali też o pozycie seksualne.

- To długa historia? - spytał z błyskiem w oczach.

- Bardzo krótka.

- Aż tylu? - Gwizdnął cicho.

- Nie bądź głupi.

- Myślą więc, że to jeden z twoich byłych kochanków?

- Może.

- Czy któryś z nich sprawiał wrażenie świra?

- Nie. - Zawahałam się. - Tyle tylko, że kiedy zaczynasz się nad tym zastanawiać, każdy może się wydać trochę dziwny, może nawet niebezpieczny. Nikt nie jest przecież do końca normalny, prawda?

- Nawet ja?

- Ty? - Spojrzałam na niego. Prowadził furgonetkę, trzymając na kierownicy szczupłe dłonie. - Nawet ty.

Wyglądał na zadowolonego. Zauważyłam, że uśmiechnął się od ucha do ucha.

Popchnął mnie na siedzenie i pocałował tak mocno, że poczułam na wargach smak krwi. Przycisnął mi dłoń do piersi, ale nie spytał, czy może wejść na górę. A ja zapamiętałam nauczkę z zeszłej nocy. O nic go nie prosiłam. Gdy odjeżdżał, pomachałam na pożegnanie z udaną wesołością, lecz zamiast wejść do mieszkania, ruszyłam wciąż zatłoczoną ulicą w poszukiwaniu najbliższego automatu. Zadzwoiłam do Louise: może będę

mogła spędzić tę noc u niej. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie podniósł słuchawki. Stałam w budce, przyciskając telefon do rozpalonej twarzy, aż mocno zdenerwowany mężczyzna z dużym neserem zastukał w szybę. Nie znałam nikogo innego na tyle dobrze, by go o to poprosić. Nie miałam dokąd pójść. Przez kilka minut kręciłam się jeszcze po ulicy, a potem powiedziałam sobie w duchu, że nie mogę być przecież tak głupia. Wróciłam do domu, otworzyłam frontowe drzwi, zebrałam z wycieraczki reklamówki, rachunek za gaz i pocztówkę od ciotki i poszłam na górę. Wszystkie okna były zamknięte. Na stole stała otwarta butelka likieru miętowego. W mieszkaniu nie było nikogo.

## 9

- On chyba jest naprawdę zainteresowany.

- Kto? Fred?

- Nie. Ten mężczyzna, którzy przychodzi obejrzeć mieszkanie jeszcze raz. Bóg jeden wie dlaczego, ale chyba mu się spodobało. Oby tylko tak było. Wiesz, Louise, że nienawidzę tej nory. Naprawdę nienawidzę. Boję się tu wracać wieczorem. Gdybym tylko się stąd wydostała, może przestałabym dostawać te listy i wreszcie miałabym spokój.

Louise rozejrzała się po pokoju.

- O której ma przyjść?

- Koło dziewiątej. Trochę dziwna pora na oglądanie mieszkań, nie uważasz?

- Czyli mamy jakieś dwie godziny.

- Na pewno chcesz poświęcić na to swój cenny czwartkowy wieczór?

- Miałam zamiar siedzieć przed telewizorem, przeskakiwać z kanału na kanał i opychać się czekoladą. Ocaliłaś mnie przed samą sobą. Poza tym, bardzo lubię wyzwania.

Rozejrzałam się posępnie dookoła.

- To z pewnością jest spore wyzwanie.

Louise podwinęła rękawy bluzki, zupełnie jakby zamierzała zabrać się do szorowania podłogi.

- No, to gdzie zaczynamy?



Uwielbiam Louise. Jest praktyczna i wielkoduszna; nawet kiedy postanawia zaszaleć i jest lekkomyślna, wiem, że twardo stąpa po ziemi. Czasem chichocze jak szalona. Płacze na łzawych filmach. Je za dużo ciastek, a potem stosuje wymyślne, beznadziejne, zupełnie niepotrzebne diety. Nosi spódnice, na których widok Pauline unosi w górę swoje pięknie zarysowane brwi, i wysokie buty na platformach, podkoszulki z dziwnymi napisami, wielkie kolczyki, ma przekłuty pępek. Jest nieduża, uparta, pewna siebie, zawzięta, ma ostro zakończoną brodę i lekko zadarty nos. Nic nie jest w stanie jej załamać. Przypomina trochę konia pracującego w kopalni.

Kiedy zaczęłam pracować w szkole, Louise wzięła mnie pod swoje skrzydła, choć sama była tam zaledwie od roku. Udzieliła mi wielu cennych wskazówek, powiedziała, którzy rodzice lubią stwarzać problemy, podczas przerwy na lunch dzieliła się ze mną kanapkami, kiedy zapomniałam przynieść coś do jedzenia, pożyczała mi tampony i aspirynę. I była moim jedynym stałym punktem odniesienia w tej płynnej masie, jaką jest Londyn. A teraz przyszła, żeby pomóc mi uporządkować moje życie.

Zaczęłyśmy od kuchni. Umyte naczynia schowałyśmy do szafek, wyszorowałyśmy blaty, zamiotłyśmy podłogę, umyłyśmy małe okno wychodzące na ogródek pubu. Louise nalegała, żeby zdjąć patelnie i garnki, które zawiesiłam na ścianie nad piecykiem.

- Potrzebujemy trochę przestrzeni - powiedziała, mrużąc lekko oczy, jakby wcieliła się nagle w rolę dekoratorki wnętrz niezbyt zachwyconej tym, co widzi przed sobą.

W saloniku o wymiarach cztery metry na trzy opróżniła popielniczki, przesunęła stół pod okno, zasłaniając nieco łuszczące się tapety, wywróciła na drugą stronę poplamione poszewki poduszek, odkurzyła dywan, ja tymczasem układałam na zgrabny stosik papiery i wyrzucałam niepotrzebne ulotki.

- Czy to są te listy? - spytała, wskazując kartonowe pudełko.
- Tak.
- To szaleństwo. Dlaczego ich nie wyrzucisz?
- A powinienam? Może policja będzie chciała rzucić na nie okiem.
- Po co? Przecież listy od tego zbrojnego i tak trzymasz osobno. Wyrzuć je. Potraktuj jak śmieci, bo przecież nimi są.

Przyniosła duży worek i trzymała go, gdy wrzucałam do środka lawendowe koperty, pisane zielonym atramentem listy, instrukcje samoobrony i smutne biografie. Poczulałam się dużo lepiej. Louise wyszła na Holloway Road, by kupić kwiaty, a ja umyłam wannę starą flanelową szmatą. Wróciła, niosąc żółte róże do pokoju i dużą roślinę w doniczce do kuchni.

- Kiedy przyjdzie, powinnaś puścić muzykę klasyczną.

- Nie mam sprzętu.

- No to w ostatniej chwili możemy zaparzyć kawę. Upiec ciasto. To zrobi dobre wrażenie.

- Jest tylko rozpuszczalna i gdybym nawet miała wszystkie potrzebne składniki, a nie mam, nie zamierzam piec żadnego cholernego ciasta.

- Nie ma sprawy - rzuciła trochę zbyt lekko i zaczęła obcinać łożyski róż. - To spryskaj się tylko perfumami. Mogę wsadzić je do tego słoja? No, proszę, czyż teraz nie jest lepiej?

Było. Ja sama też czułam się lepiej, gdy była ze mną Louise, z tymi swoimi długimi rzęsami, mocno czerwonymi ustami i paznokciami, w obcisłej zielonej sukience. Wszak był to zwykły, nędzny pokój wychodzący na ogródek pubu, a nie trumna.

- Strasznie mnie to wszystko przygnębiło - powiedziałam.

Louise nalała wody do czajnika.

- Gdzie się to włącza, do cholery? Nie ma wolnego gniazdka. To jeszcze jedna rzecz, jaką trzeba zrobić w tym mieszkaniu - nowa instalacja. Od góry do dołu. - Energicznym ruchem wyciągnęła jakąś wtyczkę z gniazdka.

- Jeśli tylko będziesz miała ochotę, zawsze możesz przyjść do mnie. Nie mam wolnego łóżka, ale wolny kawałek podłogi zawsze się znajdzie. Zostań ze mną już w ten weekend, jeśli chcesz.

Musiałam siłą powstrzymać szloch.

- To bardzo miłe z twojej strony - wydusiłam.

Sypialnia była mniej więcej w porządku. Nie pościeliłam tylko łóżka i kosz z brudną bielizną był niemal pełny. Wepchnęłyśmy go do szafy i wygładziłyśmy poduszki. Louise wywinęła róg kołdry tak, jak robiła to moja mama. Rozglądając się po pokoju, zatrzymała się i spojrzała na ustawione na blacie komody przedmioty.

- A cóż to za dziwna kolekcja? - spytała.

- Przysłali mi to różni ludzie.

- Razem z listami?
- Tak. Policja chce rzucić na to okiem.
- O, cholera - powiedziała, przyglądając się uważniej.

Na komodzie leżał gwizdek, który powinnam nosić na szyi i korzystać z niego w niebezpiecznych sytuacjach. Para jedwabnych majtek. Okrągły gładki kamyk, który wyglądał jak ptasie jajo. Mały brązowy miś.

- Po co przysłali ci coś takiego? - Louise wzięła do ręki lekko wyszczerbiony różowy grzebień.

- Dostałam też instrukcję, jak z niego korzystać. Chodzi o to, żeby przeciągnąć nim po nosie napastnika, dokładnie rzecz biorąc, między nozdrzami. Podobno odstrasza morderców.

- Pod warunkiem, że napastnik będzie stał nieruchomo i czekał, aż wyciągniesz grzebień. To jest bardzo ładne. - Patrzyła na delikatny srebrny medalion na cienkim łańcuszku. - Wygląda na cenny.

- Jeśli go otworzysz, znajdziesz w środku pasemko włosów.

- Kto ci to przysłał?

- Nie wiem. Był owinięty w kawałek gazety z artykułem o przypadkowych bohaterach. Śliczny, prawda?

- A te są bardzo ekscytujące. - Oglądała talię kart ze zdjęciami pornograficznymi. Przyjrzała się dokładnie zdjęciu kobiety ściskającej powiększone sztucznie piersi. - Ach, ci mężczyźni.

Choć było straszliwie gorąco, zadrzałam.

Nick Shale zjawił się tuż po dziewiątej. Zdażyłam wziąć prysznic i przebrać się w dżinsy i żółtą bawełnianą koszulę. Chciałam wyglądać czysto i schludnie, podobnie jak moje mieszkanie. Włosy upięłam wysoko na głowie i skropiłam się za uszami odrobiną perfum.

Nick miał na sobie szorty do biegania, a kiedy zdjął płócienny plecak, zauważyłam plamę potu w kształcie litery V.

- Proszę, przyniosłem to dla ciebie. - Podał mi brązową papierową torebkę. - To morele ze stoiska na ulicy. Nie mogłem się oprzeć.

Zarumieniłam się. Poczulałam się tak, jakby wręczył mi kwiaty. Nie sądzę, by osoby zainteresowane kupnem mieszkania powinny wręczać

prezenty jego obecnym właścicielom. Morele były złote, mięsiste, błyszczące.

- Dziękuję - powiedziałam nieśmiało.

- Nie poczęstujesz mnie?

Zjedliśmy je, stojąc w wąskiej kuchni. Powiedział, że następnym razem przyniesie truskawki. Udałam, że nie dosłyszałam wzmianki o następnym razie.

- Chcesz jeszcze raz obejrzeć mieszkanie?

- Jasne.

Chodził od pokoju do pokoju, spoglądając na sufit, jakby dostrzegał tam bardzo interesujące malowidła. Wysoko w kątach wisiało parę pajęczyn, które przeoczyliśmy w czasie porządków. W sypialni otworzył szafę w ścianie i przez chwilę patrzył na kosz z brudną bielizną z zabawnym uśmiechem na twarzy. Potem wyprostował się i spojrzał na mnie.

- Napiłbym się kieliszek wina.

- Niestety, nie mam.

- No to mamy szczęście, bo przyniosłem ze sobą.

Pochylił się i otworzył plecak, wyjmując ze środka smukłą zieloną butelkę. Dotknęłam jej: była bardzo zimna, a po szyjce spływały krople wilgoci.

- Masz korkociąg?

Nie byłam tym wcale zachwycona, ale wyjęłam korkociąg z szuflady. Otwierając butelkę, odwrócił się do mnie tyłem. Podałam mu kieliszek i szklankę. Nalał wino pewną ręką, nie roniąc przy tym ani kropelki. Powiedział, że mieszka w Norfolk, ale musi kupić mieszkanie w Londynie, bo często spędza tu dwie, trzy noce w tygodniu.

- Moje mieszkanie może się więc stać *pied-à-terre* - powiedziałam. - Co za zaszczyt.

- Zdrowie.

- Muszę teraz wyjść. - Oczywiście kłamałam. Nie miałam żadnych planów na weekend.

- Trochę późno, co?

Nie odpowiedziałam. Nie widziałam powodu, żeby tłumaczyć się obcemu mężczyźnie.

- Zabierz butelkę.

- Nie, zatrzymaj ją - odparł, zbierając się do wyjścia.

- A co z mieszkaniem?

- Podoba mi się - powiedział. - Będę w kontakcie.

Usłyszałam stukot zamykanych na dole drzwi. Nawet mi się spodobał. Ciekawe, jaki ma charakter pisma.

## 10

Następnego dnia w szkole czułam się jak robot. Udawało mi się jednak całkiem niezłe naśladować sprawnie funkcjonującą nauczycielkę. Robot poradził sobie bez trudu z lekcją pisania, gdy tymczasem ja byłam zajęta zupełnie innymi sprawami. Muszę się pozbyć mieszkania. Ta myśl powracała nieustannie, niczym natrętna melodyjka. Stale towarzyszyło mi złudne poczucie, że jeśli zdołam zamknąć drzwi do tej znieawidzonej nory wykrojonej z domu przy ruchliwej ulicy, to i wszystko, co się z nią łączy, też pozostawię za sobą. Tak naprawdę powinnam zadbać o to, by mieszkanie stało się bardziej bezpieczne, ale to raczej nie miało sensu, podobnie jak mycie rozbitej butelki. Najlepszym sposobem na to, by moja nora stała się lepsza i bardziej bezpieczna, było jak najszybsze pozbycie się jej. Żadne inne wyjście nie wchodziło w grę. W przyszłym tygodniu zacznę się poważnie rozglądać za czymś innym.

Kiedy kupowałam obecne mieszkanie, byłam zdecydowanie za młoda. Pieniądze, które tato zostawił mi po śmierci, były jak wygrana na loterii. Było ich stanowczo za dużo, aby mogły być prawdziwe. Tato powiedział mi, że bym kupiła sobie jakiś dom i zabrzmiało to niemal jak ostatnie życzenie. Należał do osób, które uważają, że jeśli jest się właścicielem jakiejś nieruchomości, to nic człowiekowi nie zagraża; świat nie może go tknąć, bez względu na to, co się wydarzy. Postąpiłam więc jak posłuszna córka, choć oczywiście nie byłam już niczyją córką, bo oboje rodzice nie żyli. Zostałam zupełnie sama, przerażona i zagubiona, i postąpiłam tak, jak kazał tato. Bardzo szybko. A ponieważ przeprowadziłam się do Londynu z małej wioski, chciałam kupić mieszkanie znajdujące się w prawdziwym mieście, gdzie dużo się dzieje, gdzie są sklepy, targowiska, ludzie, dużo hałasu. I znalazłam coś takiego.

- Zoë?

Zostałam nagle wyrwana ze stanu, który dla mnie był jak sen, a dla postronnego obserwatora gorączkową aktywnością (zaskoczona zauważyłam,

że trzymam w ręce kawałek kredy, którą wypisałam na tablicy duże B i P). Rozejrzałam się dokoła. W drzwiach stała Christine, jedna z naszych nauczycielek do zadań specjalnych. W naszej szkole było ich całkiem sporo. Bardzo często można było zauważyć Christine siedzącą na korytarzu przy stoliku z dziećmi, które zmagaly się z najróżniejszymi problemami: maltretowaniem, niedożywieniem; z dziećmi, które przybyły niedawno ze strefy wojennej we wschodniej Europie lub środkowej Afryce.

- Pauline wzywa cię do gabinetu - powiedziała. - To pilne. Zastąpię cię.

- Dlaczego?

- Jest u niej jedna z matek. Coś ją chyba bardzo zdenerwowało.

Poczułam tępy ból w żołądku, jakby ktoś wymierzył mi niewidzialny cios. Spojrzałam na klasę. Co to może być? Przepływ dzieci był niesamowity. Rodzice zabierali je ze szkoły, czasem nawet wyjeżdżali za granicę, bez słowa wyjaśnienia. Inni uczniowie z problemami szybko zajmowali ich miejsce. Mieliśmy tu dzieci z wyrokami sądu dla nieletnich, przebywające pod opieką kuratorów. Szybko przeliczyłam klasę. Trzydzieści jeden. Nikogo nie brakowało. Żaden malec nie wymknął się do domu. Żadnemu nie powinienem była podać lekarstwa. Żaden nie miał piany na ustach. Poczułam się znacznie lepiej. Co takiego strasznego mogło się wydarzyć?

Przemierzając niewielką odległość dzielącą klasę i gabinet Pauline, myślałam, że równie mocno jak nienawidzę mojego mieszkania, Kocham szkołę. Na środku małego holu znajdowała się zbudowana z cegieł sadzawka z dużymi, tłustymi rybkami. Mijając ją, jak zawsze zamoczyłam palce w wodzie na szczęście. Szkoła znajdowała się nieopodal jednej z głównych arterii komunikacyjnych Londynu. Przez cały dzień wstrząsały nią ciężarówkami zmierzające ku wschodniej Anglii, do hrabstwa Kent i na południowe wybrzeże. Aby dotrzeć do najbliższego parku, trzeba było prowadzić ustawione w pary dzieci przez długą ulicę i dwa niebezpieczne skrzyżowania. Ale to właśnie kochałam w tej pracy. Szkoła przypominała jakby klasztor w samym środku hałasu i brudu. Nawet kiedy dzieci biegały z krzykiem po korytarzach i boisku, była jak azyl.

Może to wszystko przez te ryby? Pamiętam, że jako dziecko czytałam książkę wyjaśniającą otaczające nas zjawiska. Dowiedziałam się z niej, że woda przenosi dźwięki o wiele lepiej niż powietrze. Prawdopodobnie rybki przez całe życie skarżą się na hałas dobiegający z ulicy i marzą o tym, by znaleźć się w znacznie przyjemniejszym miejscu. Próbowałam sobie przypomnieć, jak to jest, gdy leżę w wannie, myjąc głowę. Czy słyszę ciężarówki przejeżdżające ulicą? Nie pamiętam.

Pauline stała w uchylonych drzwiach z kobietą, którą natychmiast rozpoznałam. Nie rozmawiały ze sobą. Najwyraźniej czekały na mnie. Widywałam tę kobietę codziennie po szkole, stojąc w drzwiach klasy. Matka Elinor. Skinęłam głową na powitanie, lecz nie zwróciła na mnie uwagi. Próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądała dziś rano Elinor. Czy była zdenerwowana? Raczej nie. Przywołałam obraz klasy, z której przed chwilą wyszłam. Nie przyszło mi do głowy nic niezwykłego, co mogłoby się wydarzyć.

- Zamknij za sobą drzwi - powiedziała Pauline, prowadząc mnie do gabinetu. Matka została na zewnątrz. Pauline wskazała stojące przy biurku krzesło. - To była Gillian Tite, matka Elinor.

- Wiem.

Zauważyłam, że Pauline jest bardzo blada i drży. Była albo bardzo zdenerwowana, albo tak wściekła, że nie potrafiła nad sobą panować.

- Czy w zeszłym tygodniu zadałaś uczniom jakąś pracę domową?

- Tak, jeśli można to tak nazwać.

- Co to było?

- Tylko zabawa. Rozmawialiśmy w klasie o różnych historiach i poprosiłam, żeby narysowali w zeszytach ilustrację do swojej ulubionej bajki.

- Co zrobiłaś z tymi zadaniami?

- Chcę, żeby się przyzwyczaili do oddawania prac na czas, więc zebrałam zeszyty w środę. Tak, to była środa. Jestem pewna. Natychmiast wszystkie przejrzałam. - Pamiętam, że oglądałam je, kiedy ten dziwny mężczyzna, który chciał obejrzeć mieszkanie, zaglądał do moich szuflad. Tego dnia znalazłam na wycieraczkach list. - Pod każdym napisałam parę

miłych słów i następnego ranka oddałam dzieciom. Matka Elinor nie spodziewała się chyba, że wystawię im oceny. Są jeszcze na to za małe. Pauline zignorowała zupełnie moje wyjaśnienia.

- Pamiętasz, co narysowała Elinor?

- Nie.

- Czy to oznacza, że nie obejrzałaś rysunków?

- Ależ skąd. Oglądałam je, kiedy dzieci zaczęły rysować jeszcze w szkole i pod każdym napisałam tytuł. Obejrzałam je potem jeszcze raz, gdy były już skończone. Zabrałam zeszyty do domu. Nie ślęczałam nad każdym z nich po parę godzin, ale pod każdym coś napisałam.

- Matka Elinor przyszła do mnie we łzach - powiedziała Pauline. - To rysunek jej córki. Obejrzyj go.

Przesunęła w moją stronę dobrze mi znany duży zeszyt. Był otwarty i na dole strony rozpoznałam mój charakter pisma. „Śpiąca królewna”. Elinor dość nieudolnie spróbowała skopiować tytuł. P było zwrócone w złą stronę, a drugie słowo rozmyło się, jakby nagle zabrakło jej energii. Rysunek był jednak zupełnie inny. W niczym nie przypominał dzieła, które wyszło spod ręki malucha. Tu i tam widać było co prawda krzywe kreski Elinor, ale cała reszta została zamalowana i poprawiona. Dziewczyna leżała teraz w starannie wypracowanym pokoju. Dostrzegłam coś, czego Pauline nie mogła zauważyć. To był mój pokój. Moja sypialnia. A przynajmniej jej fragmenty. Na ścianie wisiał obrazek z krową, który towarzyszył mi od dziecka, oraz lustro z zawieszoną na ramie siatką. Zawsze chciałam ją zdjąć, ale jakoś o tym zapomniałam.

Leżąca na łóżku Śpiąca Królewna nie spała i nie była to z pewnością Śpiąca Królewna. To byłam ja. A przynajmniej miałam na nosie okulary. Łóżko wyglądało jak stół w kostnicy. Całe ciało leżącej na nim kobiety było pocięte, a ze środka wypływały wnętrzności. Niektóre części ciała, zwłaszcza wokół pochwy - mojej pochwy - były doszczętnie zmasakrowane. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Poczulałam żółć napływającą do ust, ale udało mi się jakoś ją przełknąć. Pozostawiła w gardle gorzki smak. Zaczęłam kaszleć. Wyjęłam z kieszeni chusteczkę i wytarłam usta. Odsunęłam zeszyt w stronę Pauline. Spojrzała na mnie poważnie.



- Jeśli miał to być jakiś bardzo dziwny żart, to lepiej powiedz od razu. Wy tłumacz, dlaczego to zrobiłaś?

Nie odezwałam się. Nie mogłam wydusić ani słowa. Pauline postukała palcem w blat biurka, jakby chciała mnie obudzić.

- Zoë, czy zdajesz sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znalazłaś? Czego ode mnie oczekujesz?

Poczułam pieczenie pod powiekami. Nie wolno mi płakać. Muszę być silna, nie wolno mi się załamać.

- Zadzwoń na policję - powiedziałam.

## 11

Pauline początkowo z niechęcią odniosła się do mojej prośby, ale nie ustępowałam. Carthy dał mi swoją wizytówkę, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że z trudem wydobyłam ją z torebki. Paulina patrzyła na mnie mocno zdziwiona, gdy starannie wystukałam numer, nie spuszczać oka z wizytówki. Myślała chyba, że zadzwonię na 999.

- Coś takiego wydarzyło się już wcześniej - wyjaśniłam. - W pewnym sensie.

Poprosiłam o połączenie z Carthym. Nie było go, więc skierowano mnie do Aldhama. Rozmawiając z nim, straciłam zupełnie panowanie nad sobą. Powiedziałam, że natychmiast musi przyjechać tutaj, do szkoły. Aldham niezbyt się do tego palił, więc zagroziłam, że jeśli zaraz się tu nie zjawi, złożę oficjalne zażalenie. Rzuciłam też wszystkie inne groźby, jakie tylko przyszły mi do głowy. Wreszcie się zgodził. Podałam mu adres szkoły i szybko odłożyłam słuchawkę. Zapaliłam papierosa. Pauline burknęła, że palenie dozwolone jest wyłącznie w pokoju nauczycielskim, ale przeprosiłam ją i wyjaśniłam, że to nagły wypadek.

- Wrócisz do klasy? - spytała.

- To nie jest najlepsza pora - odparłam. - Muszę porozmawiać z policją. Chcę się przekonać, co na to powiedzą. Poczekam na nich tutaj.

Zapadła długa chwila ciszy. Pauline patrzyła na mnie, jakbym była jakim zwierzęciem, z którym należy się obchodzić niezwykle delikatnie. Przynajmniej tak mi się zdawało. Czułam, że jeśli tylko ktoś mnie dotknie,

eksploduję. Wreszcie wzruszyła ramionami.

- Porozmawiam z panią Tite na zewnątrz - powiedziała cicho.
- Dobrze - odparłam, nie do końca rozumiejąc, o co jej chodzi.

Zatrzymała się przy drzwiach.

- Chcesz powiedzieć, że narysował to ktoś inny? Ten rysunek?

Zgasiałam papierosa i natychmiast zapaliłam następnego.

- Tak - powiedziałam. - Dzieje się coś strasznego. Naprawdę strasznego. Muszę to wszystko ukrócić.

Zaczęła coś mówić, lecz urwała i zostawiła mnie samą w gabinecie. Straciłam zupełnie poczucie czasu. Paliłam papierosa za papierosem. Wzięłam gazetę z biurka, ale nie mogłam się skoncentrować. Chyba pół godziny później usłyszałam na korytarzu głosy i do gabinetu wszedł eskortowany przez Pauline Aldham. Powiedziała mu już wszystko, czego zdołała się dowiedzieć. Nie zawracałam sobie głowy żadnymi powitaniem.

- Proszę spojrzeć - powiedziałam, wskazując na zeszyt, który nadal leżał otwarty tam, gdzie go zostawiłam. - To ja. To cholernie dokładny rysunek mojej sypialni. Tego na pewno nie można dostrzec z tego pieprzonego pubu.

Może Pauline ostrzegła go, że znajduję się w bardzo złym stanie, bo nie zareagował na mój język. Spojrzał tylko na rysunek i mruknął coś pod nosem. Wyglądał na mocno zaskoczonego.

- Kiedy to zostało narysowane? - spytał, podnosząc wzrok.

- A skąd mam wiedzieć? - Z trudem zmusiłam się, żeby mówić. - Zeszyt leżał wśród innych. Miałam go w szkole w zeszły piątek, kiedy zebrałam wszystkie od uczniów.

- Gdzie je pani trzymała?

- W klasie. W zeszytą środę zabrałam zeszyty do domu i przyniosłam z powrotem następnego ranka.

- Czy straciła je pani z oczu?

- Oczywiście. Nie myśli pan chyba, że siedzę i pilnuję ich przez całą noc. Przepraszam. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. To tylko... o Boże, przepraszam. Muszę chwilę pomyśleć. Tak, poszłam do kina z przyjaciółmi. Nie było mnie w domu jakieś dwie, trzy godziny. Tego dnia znalazłam list na wycieraczkę. Mówiłam panu o tym. Ten pierwszy list, a raczej

ten, który uznałam za pierwszy. Wyrzuciłam go. Aldham zmarszczył nos i skiniął głową.

- Ach, tak. - Był wyraźnie zakłopotany i niespokojny. Nie patrzył mi w oczy. - Kiedy oddała pani zeszyty?

- Już mówiłam, następnego ranka. Miałam je w domu tylko ten jeden wieczór. Jestem pewna. Absolutnie pewna.

- Rysunek został odkryty dopiero dzisiaj?

Pauline zrobiła krok do przodu.

- Matka zajrzała dziś rano do zeszytu córki.

- Czy w innych zeszytach pojawiło się coś podobnego?

- Nie wiem - odparłam. - Nie sądzę. Ale nie jestem pewna.

- Sprawdzimy pozostałe - powiedziała Pauline.

Zapaliłam następnego papierosa. Czułam, że serce wali mi jak szalone. Puls wydawał się wypełniać całe moje ciało, twarz, ręce i nogi.

- I co pan o tym sądzi? - spytałam.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Wyjął z kieszeni komórkę i przeszedł do rogu gabinetu. Usłyszałam, jak prosi o połączenie z detektywem Carthym, po czym zaczął z nim cicho rozmawiać. Najwyraźniej nie dla wszystkich był nieosiągalny. Dobiegły mnie urywane fragmenty rozmowy.

- Czy powinniśmy porozmawiać ze Stadlerem? Tak jest, z detektywem inspektorem Cameronem Stadlerem. I z Grace Schilling?... Możesz - do niej zadzwonić? I przyślij oficera z aktami. Przyślij Lynne, ona jest dobra w takich sprawach. Tam się z nią spotkamy... Dobra, do zobaczenia później.

Aldham wyłączył telefon i odwrócił się do Pauline.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żeby panna Haratounian udała się z nami?

- Ależ skąd - odparła Pauline. Spojrzała na mnie nagle zatroskana. - Czy wszystko w porządku?

- Będzie - powiedział Aldham. - Musimy tylko postępować zgodnie z procedurami. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i ujął przez nią zeszyt Elinor. - Można? - spytał.

Wlekleśmy się przez Londyn straszliwie. Korki dręczące mieszkańców

co dnia, w piątek były jeszcze gorsze. W dodatku na jednym z podjazdów prowadzących na budowę utknęła skręcająca tam ciężarówka, więc Aldham postanowił pojechać na skróty. W efekcie utknęliśmy w korku nieopodal Balls Pond Road.

- Jedziemy na posterunek? - spytałam.

- Może później - odparł między przekleństwami rzucanymi pod adresem innych kierowców. - Spotkamy się z kobietą, która świetnie się orientuje w tego typu sprawach.

- Co pan sądzi o tym rysunku?

- Ludzie, co?

Nie wiedziałam jednak, czy odnosi się to do autora rysunku, czy też może do starszej kobiety, która bardzo powoli przechodziła przez ulicę. Nie bardzo za nim nadążałam.

Mniej więcej po godzinie wjechaliśmy w boczną ulicę i zatrzymaliśmy się przed budynkiem, który wyglądał jak szkoła. Jednak na tablicy przy wejściu widniał napis Welbeck Clinic. W recepcji siedziała policjantka pogrążona w lekturze akt. Kiedy nas dostrzegła, szybko zamknęła teczkę i ruszyła w naszą stronę. Podała teczkę Aldhamowi.

- Proszę tu zostać - rzuciła do mnie. - Posterunkowa Burnett dotrzy-  
ma pani towarzystwa.

- Lynne. - Posterunkowa Burnett uśmiechnęła się do mnie. Miała fioletową bliznę na policzku i duże oczy. Gdybyśmy się spotkały w innych okolicznościach, na pewno by mi się spodobała.

Zaczęłam zapalać następnego papierosa, ale to było naprawdę zabronione, więc stanęłyśmy razem na schodach prowadzących do budynku. Lynne wzięła ode mnie papierosa niczym grzeczna dziewczynka. Zrobiła to chyba tylko po to, żeby naprawdę dotrzymać mi towarzystwa. I nie odzywała się ani słowem, co przyjęłam z ulgą. Aldham zjawił się po dziesięciu minutach. Towarzyszyła mu wysoka kobieta w długim, szarym płaszczu. Jasne włosy nosiła luźno upięte. Trzymała skórzany neseser i płócienną torbę w kolorze khaki. Nie wyglądała na wiele starszą ode mnie. Była chyba tuż po trzydziestce.

- Panno Haratounian, to jest doktor Schilling - przedstawił ją Aldham.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Spojrzała na mnie, mrużąc oczy, jakbym była niezwykłym okazem, który należy dokładnie zbadać.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Jestem już spóźniona na spotkanie, ale chciałam zamienić z panią parę słów.

Załamalam się. Aldham wiozł mnie przez cały Londyn, żebym mogła porozmawiać z tą kobieta na schodach kliniki.

- I co pani o tym sądzi?

- Myślę, że trzeba to potraktować bardzo poważnie - rzuciła Aldhamowi ostre spojrzenie. - Należało to zrobić znacznie wcześniej.

- Ale to przecież mógł być żart.

- To jest żart - powiedziała.

Wyglądała na zaniepokojoną.

- On nic nie zrobił. Chodzi mi o to, że nie zrobił nic, żeby mnie zaatakować. - W obliczu jej powagi, chciałam zamienić całe to zamieszanie w głupi wybryk.

- W rzeczy samej - podchwycił Aldham, nieco zbyt entuzjastycznym tonem.

- Problem z tego typu argumentacją - doktor Schilling zwracała się bardziej do Aldhama niż do mnie - polega na tym... - Urwała i próbowała się opanować. Co chciała powiedzieć? Przełknęła ślinę. - Panna Haratounian nie otrzymała odpowiedniej ochrony.

- Proszę mówić do mnie Zoë. To prostsze.

- Zoë, musimy się spotkać jak należy w poniedziałek rano i omówić wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Chciałabym cię tu zobaczyć o dziewiętej.

- Ale ja pracuję.

- To jest twoja praca - powiedziała. - A przynajmniej na razie. Teraz muszę już iść, ale... Ten rysunek to naprawdę jest twoja sypialnia?

- Już to mówiłam.

Doktor Schilling kręciła się nerwowo, przestępując z nogi na nogę. Gdyby była moją uczennicą, kazałabym jej iść do toalety.

- Masz chłopaka, prawda? - spytała.

- Tak, Freda.

- Mieszkacie razem?

Zmusiłam się do półuśmiechu.

- Nie spędza u mnie nocy.

- Nigdy?

- Nie.

- Ale to związek seksualny?
  - Tak, poszliśmy na całość, czy jak tam chce to pani nazwać.
- Spojrzała na Aldhama.
- Proszę z nim porozmawiać.
  - Jeśli myśli pani, że to może być Fred, to proszę sobie dać spokój. To na pewno nie on, bo... no, bo nie.
- Skinęła głową uprzejmie, ale bez przekonania.
- Kiedy to się wydarzyło, nie było go w mieście. Był w Yorkshire i z paroma innymi osobami kopał tam w jakimś ogrodzie. Wrócił dopiero następnego wieczoru. Telewizja z Yorkshire coś tam kręciła, więc możecie go nawet obejrzeć na taśmie.
  - Jest pani pewna?
  - Tak. Na sto procent.
  - Mimo wszystko, proszę z nim porozmawiać - powiedziała doktor Schilling do Aldhama. Potem zwróciła się do mnie: - Do zobaczenia w poniedziałek, Zoë. Nie chcę cię straszyc, bo może rzeczywiście trochę to wyolbrzymiamy, ale dobrze by było, gdybyś przez pewien czas nie spała sama w swoim mieszkaniu. Doug. - To chyba do Aldhama. - Sprawdź tam zamki, dobrze? Do widzenia w poniedziałek.
- Razem z Aldhamem wróciłam do samochodu.
- Szybko poszło... - mruknęłam.
  - Proszę się nią nie przejmować - rzucił Aldham. - Z tego co mówi, dziesięć procent to bzdury, a pozostałe dziewięćdziesiąt ma chronić jej własny tyłek.
  - Powiedziała, że powinien pan porozmawiać z Fredem. Ale pan nie chce, prawda?
  - Od kogoś musimy zacząć.
  - Teraz?
  - Wie pani, gdzie on jest?
  - Pracuje nad ogrodem.
  - Chciała pani powiedzieć w ogrodzie.
  - Nie, Fred twierdzi, że pracuje nad ogrodem. Wydaje mu się, że brzmi to mniej przyziemnie, a bardziej artystycznie. Dokąd teraz jedziemy?
  - Hampstead.
  - Fred musi być gdzieś niedaleko. Mówił mi, że to gdzieś w północnym Londynie.
  - Świetnie. Zna pani adres?

- Mogę do niego zadzwonić. Ma przy sobie komórkę. Ale czy nie lepiej z tym poczekać?

- Proszę - powiedział Aldham, podając mi telefon.

Znalazłam numer w notesie i zaczęłam wystukiwać.

- Jeśli się pan z nim umówi, czy mogłabym porozmawiać z nim pierwsza?

Aldham był wyraźnie zbity z tropu.

- Po co?

- Nie wiem - odparłam. - Chyba z czystej grzeczności.

Zobaczyłam Freda, zanim on mnie zauważył. Znajdował się na końcu długiego ogrodu na tyłach imponującej posiadłości. Chodził wzdłuż kłombów z przyczepioną pasami do ramienia podkaszarką. Na głowie miał czapkę bejsbolową założoną daszkiem do tyłu, ubrany był w podarte dżinsy, białe podkoszulek i ciężkie, robocze buty. Oczy osłaniał dużymi goglami, a uszy słuchawkami, więc mogłam zaznaczyć swoją obecność, tylko klepiąc go delikatnie w ramię. Trochę się wystraszył, choć uprzedziłam go telefonicznie, że się niebawem zjawię. Wyłączył maszynę i odpiął pasy. Zdjął gogle i słuchawki. Sprawiał wrażenie oszołomionego hałasem, choć ten już ucichł, i jasnym światłem. Staliśmy w blasku słońca przy kłombie pełnym lilii. Fred był spocony.

Spojrzał na mnie zaskoczony, nawet trochę rozgniewany. Pomyślałam, że - należy do tych ludzi, którzy lubią trzymać wszystko w osobnych szufladkach: praca i życie prywatne stanowiły dwie zupełnie odrębne sprawy, podobnie jak seks i sen. Ja przekroczyłam tę granicę. Wyraźnie nie był tym zachwycony.

- Cześć - powiedział, lecz zabrzmiało to jak pytanie.

- Cześć - odparłam, całując go w wilgotny policzek. - Przepraszam. Powiedzieli, że chcą z tobą porozmawiać. Mówiłam, że to zupełnie niepotrzebne.

- Teraz? - spytał nieufnie. - Jesteśmy w samym środku roboty. Nie mogę tak po prostu przestać.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. Chciałam ci tylko powiedzieć o sobie, że jest mi przykro, że cię w to wciągnęli.

Zesztywniał nagle.

- O co tu, do diabła, chodzi?

Zrelacjonowałam mu krótko, co zaszło w szkole, ale niespecjalnie mnie słuchał. Przypominał jedną z tych okropnych osób na przyjęciach, które patrzą nad twoim ramieniem na bardziej atrakcyjną dziewczynę stojącą przy barze. W tym przypadku Fred patrzył na Aldhama, który stał w drugim końcu ogrodu przy drzwiach prowadzących do domu.

- Powiedział też, że parę dni powinnam się trzymać z dala od domu.

Zapadła chwila milczenia, spojrzałam na niego. Czekałam, żeby przemówił, współczuł mi, powiedział, że jeśli tylko chcę, mogę oczywiście zostać u niego, aż wszystko się wyjaśni. Czekałam, by mnie objął i powiedział, że wszystko będzie dobrze, a on przez cały czas jest przy mnie. Jego twarz pod warstwą potu przypominała jednak maskę. Nie wiedziałam, o czym myśli.

Po chwili jego oczy spoczęły na moich piersiach. Poczułam, że się rumienię z upokorzenia i powoli wzbiera we mnie gniew.

- Ja... - zaczął, po czym urwał i rozejrzał się wokół. - Dobra. Chwilę z nimi porozmawiam. Ale i tak nie mam nic do powiedzenia.

- I jeszcze jedno - dodałam, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co zamierzam powiedzieć. - Sądzę, że powinniśmy przestać się widywać.

Na dźwięk tych słów jego lekko pożądlivy wzrok przestał błędzić, a otaczająca go aura rozkojarzenia znikła zupełnie. Spojrzał na mnie. Dostrzegłam pulsującą żyłę na jego skroni, zaciskające się mięśnie szczęki.

- A to niby dlaczego, Zoë? - Jego głos zabrzmiał lodowato.

- Bo to nie jest najlepsza pora na spotkania.

Odpiął wielką podkaszarkę i położył ją na ziemi.

- Zrywasz ze mną?

- Tak.

Na jego przystojną twarz wypłynął nagle rumieniec. Oczy patrzyły lodowato. Obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów, jakbym stała na wystawie sklepu, a on miał się zdecydować, czy kupić mnie, czy nie. Po chwili jego usta skrzywiły się szyderczo.

- Za kogo ty się, do cholery, uważasz? - spytał.



Spojrzałam na niego, na spoconą twarz i wytrzeszczone oczy.

- Boję się - powiedziałam. - I potrzebuję pomocy, a u ciebie najwyraźniej jej nie znajdę, prawda?

- Ty cipo - powiedział. - Ty głupia, nadęta cipo.

Odwróciłam się i odeszłam. Chciałam się stąd wydostać i znaleźć w jakimś bezpiecznym miejscu.

*Jej włosy opadają falą na ramiona. Powinna je umyć. Przedziałek jest ciemny, trochę tłusty. W ciągu ostatniego tygodnia bardzo się postarzała. Od skrzydełek nosa do ust biegną dwie głębokie bruzdy, pod oczami widać ciemne kręgi, a między brwiami rysuje się głęboka zmarszczka, jakby ściągała je całymi godzinami. Cera wygląda niezdrowo, pod opalenizną wydaje się szara i szorstka. Dziś nie nosi kolczyków. Ma za to na sobie stare, bawełniane spodnie, ten kolor nazywa się chyba kremowy, i białą bluzkę z krótkimi rękawami. Spodnie zwisają na niej luźno i wymagają prasowania. Przy bluzce brakuje jednego guzika. Obgryza skórkę przy paznokciu środkowego palca prawej ręki, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Wciąż się rozgląda, nie zatrzymuje wzroku na jednej osobie dłużej niż przez sekundę. Czasami mruga szybko, jakby miała problemy ze skupieniem się na jednej rzeczy. Przez cały czas pali, odpalając jednego papierosa od drugiego.*

*Uczucie w moim wnętrzu stale rośnie. Będę wiedział, kiedy będę już gotowy. I kiedy ona będzie gotowa. To jak miłość, po prostu wiesz. Nie ma nic bardziej pewnego. Ta pewność wypełnia mnie, sprawia, że jestem silny i zdecydowany. Ona z dnia na dzień staje się coraz mniejsza i słabsza. Patrzę na nią i myślę: to moje dzieło.*

Załomotałam do drzwi. Dlaczego ona nie otwiera? Proszę, otwórz szybko. Nie mogę oddychać. Wiedziałam, że muszę oddychać, wszyscy to przecież robią, ale kiedy próbowałam, nie mogłam, a przynajmniej nie tak, jak należy, choć w piersiach rosło ciśnienie nie do wytrzymania. Chwycałam parę płytkich haustów powietrza, zupełnie jakbym rozpaczliwie szlochała. Głowę otaczała mi bolesna obręcz i wszystko wokół straciło ostrość. Proszę, pomóż mi. Nie mogłam tego powiedzieć, nie mogłam krzyżeć. W gardle rosła wielka kula, rosła w płucach, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza. Nie mogłam już dłużej stać, wszystko się zacierało, stawało szaroczarne. Opadłam przy drzwiach na kolana.

- Zoë? Zoë! Na miłość Boską, Zoë, co się stało? - Louise uklękła obok mnie, zawinięta w ręcznik, z mokrymi włosami. Objęła mnie ramieniem, ręcznik zaczął się zsuwać, ale nie zwracała na to uwagi, kochana Louise. Nie zwracała też uwagi na to, że przechodnie obrzucają nas zdziwionymi spojrzeniami i prawdopodobnie przechodzą na drugą stronę ulicy, żeby tylko się do nas nie zbliżyć. Próbowałam coś powiedzieć, ale nie mogłam wydobyć z siebie słów, tylko dziwny, niezrozumiały bełkot.

Louise objęła mnie ramionami i zaczęła kołysać. Od czasu śmierci Mamy nikt mnie tak nie kołysał. Znow poczułam się jak mała dziewczynka, nareszcie ktoś się mną opiekował. O Boże, jak mi tego straszliwie brakowało. Jakże brakowało mi Mamy. Szeptala mi do ucha słowa, które nie miały żadnego sensu, powtarzała, że wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży, no już, już, ciii, cii, już dobrze. Kazała mi oddychać spokojnie, raz i dwa, raz i dwa. Powoli się uspokajałam. Ale jeszcze nie mogłam mówić. Tylko jęczeć, jak malutkie dziecko. Poczułam, jak spod zaciśniętych powiek zaczynają mi płynąć łzy i toczą się po rozpalonych policzkach. Nie

chciałam się nigdzie ruszać, już nigdy więcej. Ręce i nogi miałam ciężkie, zbyt ciężkie, by nimi poruszać. Teraz mogłam już zasnąć.

Louise pomogła mi wstać, przytrzymując ręcznik jedną ręką. Poprowadziła mnie po schodach do swojego mieszkania, posadziła na sofie i usiadła obok.

- To był atak paniki - powiedziała. - Tylko tyle, Zoë.

Panika minęła, ale pozostał strach. Powiedziałam Louise, że czuję się tak, jakbym stale pozostawała w zimnym cieniu. Jakbym spoglądała z dachu budynku tak wysokiego, że w dole nie było widać ziemi.

Chciałam zwinąć się w kłębek i spać, tak długo, aż ten koszmar wreszcie się skończy. Pragnęłam, żeby ktoś inny przejął kontrolę i dopilnował, by wszystko znów było w porządku. Chciałam przycisnąć dłonie do uszu, zamknąć oczy i poczekać, aż wszystko minie.

- Pewnego dnia - powiedziała Louise, siląc się na wesoły ton - gdy spojrzysz na to wszystko z perspektywy czasu, uznasz, że wydarzyło się coś strasznego, co na szczęście dawno minęło. Zamienisz to w ciekawą historię i będziesz opowiadać znajomym. - Nie wierzyłam jej, nie wierzyłam, że to kiedykolwiek się skończy. Dla mnie świat nie był już taki sam.

Zostałam z Louise w jej mieszkaniu w Dalston, w pobliżu targu. Nie miałam dokąd pójść. Była moją przyjaciółką, ufałam jej, przy niej, niedużej, silnej i miłej, bałam się znacznie mniej. Nie mogło mnie spotkać nic złego, jeśli była przy mnie Louise.

Najpierw wzięłam kąpiel i było to o wiele przyjemniejsze niż w moim własnym mieszkaniu. Leżałam w gorącej wodzie, a Louise siedziała na sedesie, piła herbatę, potem umyła mi plecy. Opowiadała o swoim dzieciństwie w Swansea, o samotnej matce, która ją wychowywała, i babci, która nadal żyła. Opowiadała o deszczu, szarych dachach, skłębionych chmurach, wzgórzach. Zawsze jednak wiedziała, że przeniesie się do Londynu i tu zamieszka.

Ja opowiedziałam jej o wiosce, z której pochodziłam. Tak naprawdę było to tylko parę domów i poczta. O ojcu, który nocami jeździł taksówką, spał w dzień i umierał cicho, by jak zawsze nikomu nie sprawić kłopotu. Na koniec opowiedziałam jej, jak umarła moja mama. Miałam wtedy zaledwie dwanaście lat. Przez dwa lata odsuwała mnie od siebie coraz bardziej,

zamykając się w swoim świecie bólu i strachu. Stałam przy jej łóżku, trzymałam ją za zimną, kościstą rękę i czułam, że staje się dla mnie zupełnie obcą osobą. Opowiadałam jej o tym, co robiłam w ciągu dnia, albo przekazywałam wiadomości od znajomych, a przez cały ten czas marzyłam o tym, by bawić się z koleżankami albo siedzieć w swoim pokoju i czytać albo słuchać muzyki - zresztą gdziekolwiek, byle nie w tym pachnącym chorobą pokoju, z kobietą, której kości rysowały się ostro pod skórą i która nie spuszczała ze mnie wzroku. Ale gdy tylko ją opuszczałam, ogarniało mnie poczucie winy i nie mogłam sobie znaleźć miejsca. A kiedy umarła, pragnęłam tylko tego, by móc wrócić do jej pokoju, trzymać ją za wychudzoną rękę i opowiadać, co się zdarzyło. Powiedziałam Louise, że czasami trudno mi uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczę.

Wtedy, po tym wszystkim, nie wiedziałam, co chcę w życiu robić ani kim być. Wszystko stało się jakby zamazane, pozbawione celu. W ten sposób skończyłam jako nauczycielka w Hackney. Ale pewnego dnia odejdę, by robić coś innego. Pewnego dnia sama będę miała dzieci.

Louise zadzwoniła i zamówiła pizzę z dostawą do domu. Pożyczyłam od niej jasnoczerwony szlafrok. Usiadliśmy na sofie, jadliśmy rękami ociekające sosem kawałki pizzy, piłyśmy tanie czerwone wino i oglądałyśmy *Dzień świstaka*. Obie, oczywiście, znałyśmy ten film, ale na ten wiecór pasował wręcz idealnie.

Kilka razy zadzwonił telefon. Louise odbierała i rozmawiała cicho, zasłaniając dłonią słuchawkę. Jeden telefon był do mnie: sierżant Aldham. Przez jeden głupi moment pomyślałam, że go złapali. Niestety, moje nadzieje okazały się płonne. Sierżant sprawdzał tylko, gdzie jestem. Raz jeszcze powtórzył, że nie powinnam sama wracać do domu ani przebywać sama z żadnym mężczyzną, którego dobrze nie znam. Powiedział też, że będą chcieli porozmawiać ze mną raz jeszcze w poniedziałek, razem z doktor Schilling. Chodzi o bardzo długie i szczegółowe rozmowy, dodał.

- Proszę bardzo uważać, panno Haratounian.

Fakt, że się nie pomylił, wypowiadając moje nazwisko, przeraził mnie niemal tak mocno jak jego szczery, pełen szacunku ton. Od początku

chciałam, by traktowali mnie poważnie. I teraz byli poważni.

Louise nalegała, żebym spała w jej łóżku, a sobie pościeliła na podłodze. Myślałam, że nie zasnę, i rzeczywiście, przez pewien czas leżałam, nie mogąc zmruzzyć oka, a myśli przelatywały mi przez głowę niczym nietoperze, którym zepsuł się radar. Noc była gorąca i duszna i na próżno szukałam na poduszce chłodnego miejsca. Mieszkanie Louise znajdowało się przy cichej ulicy. Gdzieś daleko walczyły koty, zagrzecotała pokrywa od kosza na śmieci, samotny mężczyzna przeszedł chodnikiem, śpiewając na cały głos *O Little Town Of Bethlehem*. Musiałam jednak zasnąć dość szybko. Następną rzeczą, jaką pamiętam, był zapach przypalonej grzanki, blask słońca wpadający przez zasłony w niebieskie paski i wirujące w powietrzu drobinki kurzu. W saloniku zadzwonił telefon, a Louise wsunęła głowę przez uchylone drzwi sypialni.

- Herbata czy kawa?
- Kawa, proszę.
- Grzanka czy grzanka?
- Nic.
- No to grzanka.

Zniknęła, a ja wygramoliłam się z łóżka. Nawet nie czułam się najgorzej. Nie miałam do ubrania nic poza rzeczami, które zrzuciłam wczoraj wieczorem, więc choć były nieświeże, musiałam je założyć.

Kiedy już zjadłam grzankę i wypiłam kawę, zadzwoniłam do Guya, by sprawdzić, czy coś drgnęło na froncie mieszkaniowym. W jego głosie słychać było zatroskanie, w niczym nie przypominał radosnego, rozgadanego faceta, którego do tej pory znałam.

- Słyszałem, że przeżywasz trudne chwile - powiedział. Jasne, policja na pewno już go przesłuchała.

- Rzeczywiście, nie wiem się najlepiej. Jak tam sprzedaż mieszkania?

- Pan Shale chce je jeszcze raz obejrzeć. Jest wyraźnie zainteresowany. Chyba udało nam się go złapać.

- O czym ty mówisz? - spytałam znużonym tonem.

- Chyba już dojrzał do złożenia oferty. Chce wiedzieć, czy może się zjawić u ciebie dziś w południe.

- Nie mógłbyś go sam oprowadzić?

Znów ten irytujący śmiech.

- Mógłbym, ale on ma parę pytań. Nie przejmuj się, ja też tam będę.

- Dobra. Mam już dość obcych mężczyzn.

Umówiliśmy się w biurze Guya w południe. Im więcej osób, tym lepiej. Potem we trójkę przejdziemy piechotą do mojego mieszkania, rozejrzemy się szybko i tyle. Louise nalegała, że zawiezie mnie taksówką, więc przez pół godziny stałyśmy w korkach, przeklinając upał. Oczywiście spóźniłam się na spotkanie. Obaj mężczyźni już na mnie czekali, Guy w cienkim niebieskim garniturze, Nick w białym podkoszulku i dzinsach.

Kiedy dotarliśmy do mieszkania, Guy otworzył drzwi swoimi kluczami i wszedł do środka pierwszy. Nick cofnął się, by przepuścić mnie przodem. W środku unosił się śmieszny zapach. Niby słodki, ale pod nim dało się wyczuć coś wyraźnie mało przyjemnego. Nick zmarszczył nos i spojrzał na mnie pytająco.

- Musiałam coś zostawić - wyjaśniłam. - Nie było mnie tu przez jakiś czas.

Zapach dobiegał z kuchni. Otworzyłam szybko drzwi. Zapach był silniejszy, ale nadal nie mogłam go zidentyfikować. Spojrzałam na powierzchnię blatów. Nic. Zajrzałam do kosza na śmieci, ale był pusty. Otworzyłam lodówkę.

- O mój Boże - szepnęłam.

W środku nie zapaliło się światło i nie powiało chłodem. To jednak nie było najgorsze. Mleko skisło zupełnie, ale poza nim w lodówce w zasadzie nie było nic więcej. Wiedziałam już, skąd dobiega ten paskudny zapach. Kiedy otworzyłam małą zamrażarkę na górze, mogłam tylko jęknąć. Wyglądało to tak, jakby wszystkie produkty dokładnie się ze sobą wymieszały. Pojemnik lodów kawowych przewrócił się na bok i cała zawartość wylała się na otwarty woreczek krewetek. Zapach i widok nieświeżych krewetek polanych roztopionymi lodami niemal przyprawił mnie o mdłości.

- Cholera jasna - powiedziałam.

- Zoë. - Guy położył mi rękę na ramieniu, a ja odskoczyłam jak oparzona. - To tylko głupi wypadek.

- Poczekaj - rzuciłam. - Muszę zadzwonić na policję.

- Co takiego? - spytał z zakłopotanym, niemal zażenowanym wyrazem twarzy.

Odwrociłam się gwałtownie do niego.

- Zamknij się, do cholery. Po prostu się zamknij. Nie zbliżaj się do mnie, słyszysz? Łapy przy sobie.

- Zoë...

- Zamknij się. - Teraz już niemal krzyczałam.

Zaczął coś mówić, ale zaraz podniósł obie ręce do góry.

- Dobrze już, dobrze.

Spojrzał na Nicka z pełnym najgorszych przeczuć wyrazem twarzy. Chyba sobie uświadomił, że sprzedaż mieszkania oddała się bezpowrotnie. Ale to już nie miało znaczenia. Teraz musiałam tylko zostać przy życiu. Znałam numer policji na pamięć. Szybko go wystukałam i poprosiłam o połączenie z Carthym. Tym razem szybko się odezwał. Bez słowa zbędnego komentarza powiedział, że zaraz przyjedzie. I rzeczywiście zjawił się w mieszkaniu po dziesięciu minutach, razem z Aldhamem i jeszcze jednym mężczyzną, który niósł dużą skórzaną walizkę i kiedy tylko przekroczył próg, zaczął wciągać cienkie gumowe rękawiczki. Wszyscy obejrżeli dokładnie cały bałagan i zaczęli coś szeptać w rogu. Carthy zadawał mi jakieś pytania, ale nie do końca je rozumiałam. Wspomniał coś o ochronie policji. Guy i Nick zostali w kuchni. Guy powiedział, że powinni już pójść, ale Carthy poprosił, by poczekali na schodach.

- On znów tu był. To nie do zniesienia.

Aldham wszedł do pokoju i obrzucił mnie pełnym troski spojrzeniem.

- Co zamierzacie zrobić? - spytałam.

Podszedł do Carthy'ego i szepnął mu do ucha coś, co wyraźnie nim wstrząsnęło. Zbliżył się do mnie.

- Zoë - powiedział cichym, łagodnym tonem. - Nie było żadnego listu, prawda?

- Nie wiem. Nic nie zauważyłam, ale się nie rozglądałam.

- Za to my szukaliśmy. Ale bez rezultatu.

- Więc?

- Sprawdziliśmy lodówkę. Została wyłączona, a w gniazdku tkwi wtyczka od czajnika.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Moim zdaniem to zwykła pomyłka. Nic więcej.



- Ale ja... - zaczęłam, po czym przypomniałam sobie Louise.

Chciała zrobić mi herbaty i wyłączyła lodówkę. O, cholera. Poczułam, że się rumienię.

Zapadła cisza. Aldham wpatrywał się w dywan, Carthy spojrzął na mnie. Odpowiedziałam mu spojrzeniem.

- Kazał mi pan mieć się na baczności.

- Oczywiście - odparł łagodnie Aldham.

- Dla was to proste. A ja cały czas myślę, że niedługo umrę.

- Wiem - powiedział niemal szeptem Aldham. Łagodnym gestem położył mi rękę na ramieniu. - Zastanawiam się, czy przypadkiem nie przestraszyliśmy pani zbyt mocno. Przepraszam.

Strząsnęłam jego rękę z ramienia.

- Wy... wy...

Nie przychodziło mi jednak do głowy nic obraźliwego. Odwróciłam się i wybiegłam, nie zdając sobie sprawy, że zostawiam ich wszystkich w moim mieszkaniu.

## 13

Louise czekała na mnie, kiedy wróciłam do jej mieszkania. Nałożyła maseczkę, więc jej twarz była kredowobiała, z wyjątkiem różowych kręgów wokół oczu, przez co wyglądała, jakby bardzo się czemuś dziwiła. Kiedy opowiadałam jej, co się wydarzyło w mieszkaniu, uświadomiłam sobie, że zakładałam z góry, iż pozwoli mi zostać u siebie. Ale ona wszystko mi ułatwiła.

- Możesz zostać tutaj, jak długo zechcesz.

- Ale będę spać na sofie.

- Jeśli chcesz.

- I płacić czynsz.

Uniosła w górę brwi, a zmarszczki na czole sprawiły, że wyschnięta już maseczka popękała w paru miejscach.

- Jeśli przez to poczujesz się lepiej, nie ma sprawy. Ale wcale nie musisz tego robić. Tylko podlewaj kwiatki. Ja zawsze o tym zapominam.

Już czułam się lepiej. Strach, który trzymał mnie od wczoraj w mocnym uścisku, zelżał. Nie będę musiała spać w moim mieszkaniu, oglądać Guya, oprowadzać po mieszkaniu obcych ludzi, pozwalać im zaglądać do

szuflad i gapić się na moje piersi. Już nigdy nie będę musiała leżeć w ciemnościach, nasłuchując, czekając, starając się oddychać normalnie. Nigdy już nie będę musiała spotykać się z Fredem ani z jego narwanymi kumplami. Czułam się tak, jakbym rzuciła z siebie brudną, duszącą mnie skórę. Zamieszkałam z Louise, wieczorami będziemy jeść kolację przed telewizorem i malować sobie paznokcie u nóg. W poniedziałek spotkam się z doktor Schilling. Ona będzie wiedziała, co dalej. Jest przecież ekspertem.

Louise utrzymywała, że nie ma żadnych planów na weekend i choć podejrzewałam, że ze względu na mnie wszystko odwołała, czułam zbyt wielką ulgę, by choć w najmniejszym stopniu zaprotestować. Kupiliśmy francuskie bagietki z serem i pomidorami i poszliśmy do pobliskiego parku, gdzie usiadliśmy na wyschniętej, żółtej trawie. Słońce paliło nie miłosiernie, powietrze aż drżało z gorąca, w parku było mnóstwo ludzi: grupki nastolatków grały w frisbee albo całowały się w cieniu drzew, tu i tam widać było całe rodziny z koszami piknikowymi, piłkami i skakankami, opalające się dziewczyny w bluzkach z gołymi plecami; ludzie z puszkami piwa, psami, kamerami, latawcami, rowerami, chlebem dla kaczek. Wszyscy mieli na sobie jasne, lekkie ubrania i uśmiechali się od ucha do ucha.

Louise podwinęła bluzkę i wyciągnęła się na trawie, zakładając ramiona za głowę. Usiadłam obok niej. Paliłam papierosa za papierosem i obserwowałam mijającą nas falę ludzi. Czekałam, aż zobaczę wśród nich znajomą twarz lub twarz, z której bym wyczytała, że mnie zna. Nic takiego jednak nie zauważyłam.

- Wiesz co?
- Co? - spytała Louise rozmarzonym głosem.
- Cały czas byłam bardzo pasywna.
- Nie, wcale nie.
- Ależ tak - upierałam się. - Chciałam, żeby inni wszystko za mnie załatwili. Ja nie zamierzałam zawracać sobie tym głowy.
- Nie bądź głupia, Zoë.
- To prawda. To chyba ma coś wspólnego z mieszkaniem w Londynie. Pragnęłam się tu zagubić. Nie chciałam, by ktokolwiek mnie zauważył. Muszę się sobie dobrze przyjrzeć. Tak jest. Muszę się sobie dokładnie przyjrzeć, żeby pojąć, dlaczego ten ktoś wybrał właśnie mnie. I kto mógł to zrobić.

- Jutro - powiedziała Louise. - Zaczynaj się sobie przyglądać jutro. Dzisiaj po prostu się o siebie zatroszcz.

Pozwoliłam, by słońce pieściło moją skórę, przeniknęło pod przepoczone ubranie. Jeszcze nigdy nie byłam tak zmęczona. Bolały mnie i piekły oczy, ręce i nogi zdawały się zbyt ciężkie, by nimi poruszać. Teraz chciałam już tylko kąpać się w ciepłej, pachnącej wodzie, spać godzinami w czystej pościeli, zdrowo się odżywiać, jeść surową marchewkę, zielone jabłka, pić sok pomarańczowy i herbatę ziołową. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, bym jeszcze kiedykolwiek miała ochotę pójść do klubu, upić się, naćpać albo być z mężczyzną. Gorące, przepoczone, gorączkowe życie, jakie prowadziłam w Londynie, napełniało mnie niejasnym poczuciem przerażenia. Cały ten hałas i zabieganie. Pomyślałam, że może nawet rzucić palenie. Ale jeszcze nie teraz.

Minęłyśmy wesoły sklep z artykułami dla dzieci - jasne bawełniane ogrodniczki, topy w drobne paseczki, krótkie kurteczki, czerwone, żółte i różowe. Louise wciągnęła mnie do środka.

- Wyglądasz zupełnie jak mała dziewczynka - powiedziała. - Stanowczo za bardzo schudłaś, muszę cię trochę podtuczyć. Ale na razie kupimy ci parę rzeczy.

Sprzedawczyni spoglądała na mnie z dezaprobatą, gdy zdjęłam to i owo z wieszaka i zniknęłam w przymierzalni. Przeciągnęłam przez głowę szarą sukienkę w prążki, rozmiar dla trzynastolatki, i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Może być. Wyglądałam w niej bardzo płasko i bezpłciowo. Tego mi właśnie trzeba. Zdjęłam sukienkę i założyłam śliczny biały podkoszulek z wyhaftowanymi drobnymi kwiatuśkami.

- Pokaż się - krzyknęła Louise. - Przecież nie można iść na zakupy z przyjaciółką i nie zamienić tego w pokaz mody.

Rozsunęłam zasłony, zachichotałam i wykonałam obrót.

- I co o tym myślisz?

- Bierz - rzuciła rozkazującym tonem.

- Nie jest dla mnie za mały?

- Będzie po paru dniach, które spędzisz u mnie, jedząc te paskudztwa co ja. Ale teraz jest naprawdę śliczny. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Sama wyglądasz jak kwiatuśzek.

Później pojechałyśmy rozklekotanym samochodem Louise do supermarketu, żeby uzupełnić zapasy jedzenia. Od dłuższego czasu odżywiałam się wyłącznie chrupkami, batonikami i gotowymi kanapkami, które jadłam w zadymionym pokoju nauczycielskim. Minęły z pewnością całe tygodnie, a może nawet miesiące, od czasu, gdy coś ugotowałam, patrząc na przepis i składniki, które należy ze sobą zmieszać.

- Zrobię dziś dla nas coś na kolację - rzuciłam odważnie. Czuałam się trochę tak, jakbym bawiła się w dom. Wrzuciłam do wózka makaron, hiszpańskie cebule, duże główki czosnku i mięsiste włoskie pomidory, mały słoiczek przypraw, sałatę, ogórek, mango i truskawki. Kubeczek śmietany. Butelkę chianti. Kupiłam też kilka par majtek, dezodorant, gąbkę do mycia, szczoteczkę i pastę do zębów. Nie myłam zębów od wczorajszego ranka. Muszę też zabrać rzeczy z mieszkania.

- Jutro - rzekła zdecydowanym tonem Louise. - Teraz daj sobie z tym spokój. Pojedziemy jutro rano samochodem. Na razie wystarczą ci te dziecinne ubrania.

Przy kasie dorzuciłam do zakupów bukiet owiniętych w celofan róż.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, Louise.

- To nie dziękuj.

Na kolację przyszła przyjaciółka Louise, Cathy. Była bardzo wysoka i szczupła, miała delikatnie rzeźbiony nos i malutkie uszy. Louise najwyraźniej wszystko jej o mnie opowiedziała, bo traktowała mnie bardzo łagodnie, uprzejmie, zupełnie jakbym była kaleką. Trochę rozgotowałam makaron, ale sos był w porządku. Każdy też potrafi pokroić truskawki i mango i wymieszać je razem w misce. Louise zapaliła świece i ustawiła je na starych spodeczkach. Siedziałam przy stole w kuchni w nowej szarej sukience. Trochę kręciło mi się w głowie i czuałam się oderwana od rzeczywistości. W żołądku miałam wielką pustkę, ale nie bardzo mogłam jeść. Ani zbyt wiele mówić. Wystarczyło mi, że siedzę spokojnie przy stole, słuchając Louise i Cathy; ich słowa dźwięczały lekko, odbijając się od moich myśli. Wypiłyśmy kupione przez mnie chianti, prawie całą butelkę przyniesionego przez Cathy białego wina, a po kolacji oglądałyśmy w

telewizji jakiś stary film. Był to chyba kryminał, ale nie potrafiłam skoncentrować się na szczegółach fabuły. Błądziłam gdzieś myślami podczas jednej sceny, dlatego nie rozumiałam, dlaczego w następnej głównej bohater włamuje się do magazynu, co planuje zrobić i co ma nadzieję znaleźć. Za oknem zaczął padać deszcz. Krople uderzały o dach i grzechotały o szyby. Poszłam spać jeszcze przed wyjściem Cathy. Leżałam skulona na sofie w małym pokoju, mając na sobie kusą koszulę nocną Louise. Słyszałam, jak rozmawiają w kuchni, jednostajny szum ich rozmowy działał na mnie kojąco, czasem rozlegał się śmiech. Zasnęłam w poczuciu pełnego bezpieczeństwa.

Następnego ranka po śniadaniu pojechaliśmy do mnie, żeby zabrać trochę ubrań. Nie zamierzałam jeszcze pakować wszystkiego, choć nie miałam najmniejszego zamiaru tam mieszkać. Chciałam zabrać tylko parę najpotrzebniejszych rzeczy. Nadal padał deszcz. Louise nie mogła znaleźć miejsca do zaparkowania, więc stanęła na podwójnej ciągłej linii kilka metrów od frontowych drzwi. Powiedziałam jej, że szybko wbiegnę sama na górę.

- To potrwa tylko kilka minut - powiedziałam.

- Na pewno nie chcesz, żebym poszła z tobą? Potrząsnęłam głową, uśmiechnęłam się.

- Chcę się tylko pożegnać.

Mieszkanie pachniało brudem i zaniedbaniem, choć nie było mnie tutaj tylko jeden dzień. Zupełnie jakby wiedziało, że nikt się nim nie zajmuje. Weszłam do sypialni i wyjęłam z szafy parę sukienek, dwie pary spodni, cztery podkoszulki, kilka par majtek, staniki i skarpetki. Adidasy. Na razie wystarczy. Wrzuciłam wszystko do dużej torby. Potem weszłam do łazienki, zrzuciłam z siebie brudne ubranie i cisnęłam je do kąta. Później zabiorę rzeczy do prania. Innym razem.

Nagle usłyszałam stukot, jakby ktoś zamykał drzwi szafki. To nic takiego, uspokoiłam się w duchu. Wyobraźnia potrafi płatać głupie figle. W sypialni znalazłam czystą bieliznę. Zasunęłam zasłony i stanęłam przed lustrem, żeby ją założyć. Spojrzałam na odbicie swojej twarzy, z ciemnymi kręgami pod oczami. Na moje nagie ciało, opalone ręce i nogi, białą

brzuch. Wciągnęłam majtki i z torby, którą przyniosłam ze sobą, wyjęłam nowy podkoszulek - ten, w którym, zdaniem Louise, wyglądam jak kwiatusek - i przeciągnęłam go przez głowę. To głupie, ale nie czułam się na siłach, by założyć cokolwiek, co pachniało tym mieszkaniem, moim starym życiem. Chciałam być czysta i nowa.

Kiedy obciągałam podkoszulek na piersiach, poczułam nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zaciskające się na szyi dłonie. Ktoś ścisnął mnie od tyłu, napierał na mnie całym ciałem. Straciłam równowagę i upadłam na podłogę. Ten ktoś zwałił się na mnie, przyciskając mi twarz do podłogi. Byłam ogłuszona, bolało mnie. Przez podkoszulek czułam przyciśniętą do moich ust rękę, ciepłą rękę pachnącą mydłem, jabłkowym mydłem z mojej łazienki. Silne ramię owinęło się wokół moich żeber, tuż pod piersiami.

- Ty suko.

Zaczęłam się wykręcać, wymachiwać rękami i nogami, próbowałam krzyżeć. Ale ten ktoś mocno przytrzymał mi ręce. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, tylko parzył mi ucho gorącym oddechem. W końcu przestałam walczyć. Na ulicy ktoś krzyknął, w pobliżu rozległ się i ucichł jęk syreny. Jechała gdzieś indziej.

Uścisk na mojej szyi zelżał, próbowałam poruszyć się i krzyknąć, ale zaraz poczułam to na gardle. Nic już nie mogłam zrobić. Nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam walczyć. Nie mogłam krzyżeć. Pomyślałam o Louise siedzącej przed domem w samochodzie. Czekała na mnie, choć teraz nie czułam, że jest blisko. Była bardzo, bardzo daleko. Może niedługo przyjdzie tutaj i mnie znajdzie. Ale nie stanie się to dość szybko. Jak głupio tak umierać, zanim zaczęłam naprawdę żyć. Zanim zdążyłam mieć jakiegoś życie. Jakież to głupie.

Powoli podłoga ruszyła mi na spotkanie. Czułam, jak głowa odbija mi się od desek, ślizgają się stopy. Słyszałam krople deszczu rozbijające się o szybę. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa, już nie miałam czasu, by powiedzieć cokolwiek, ale gdzieś głęboko w moim wnętrzu jakiś głos powtarzał: Nie, proszę. Nie. Proszę.

Część druga

Jennifer

## 1

Miałam wrażenie, że wszystko dzieje się naraz, ale nasz dom w porze śniadania zawsze przypominał jeden z tych średniowiecznych zamków, z osłami, świniami i chłopami pańszczyźnianymi szukającymi schronienia, gdy tylko czuli, że nadciąga niebezpieczeństwo. W ciągu paru tygodni od przeprowadzki wszystko stało się jeszcze bardziej chaotyczne, jeśli w ogóle można mówić o jeszcze większym chaosie, a w samym środku średniowiecznego zamku trwały prace budowlane.

Clive wyszedł z domu o szóstej, jeszcze wcześniej niż zwykle, gdyż pracuje teraz nad jakąś poważną transakcją przejęcia jednej firmy przez drugą. Tuż przed ósmą Lena ciągnie dwóch starszych chłopców do renault espace, żeby ich zawieźć do szkoły. Lena pracuje u nas jako połączenie opiekunki z au-pair. Jest uroczą, młodą, szczupłą Szwedką, o niesamowicie jasnych włosach. W nosie ma kolczyk, którego widok zawsze przyprawia mnie o drżenie. Bóg jeden wie, jak musi ją boleć, gdy chce wydmuchać nos.

Tuż po ich wyjściu zaczęli się zjawiać inni. Oczywiście Mary, nasza bezcenna sprzątaczką, która zjawiała się razem z nami na Primrose Hill. To prawdziwy skarb. Ale prawda jest taka, że muszę poświęcać wiele czasu, by stać nad nią i mówić, co ma zrobić, a potem sprawdzać, czy to zrobiła. Powiedziałam więc Clive'owi, iż równie dobrze mogę się sama zająć sprzątaniami. Potem przyszła reszta ludzi, która teoretycznie ma zajmować się ulepszaniem naszego domu, a w praktyce sprowadziła go do gruzowiska pokrytych pyłem cegieł. Tydzień wcześniej robotnicy uporali się z wymianą instalacji i rur, więc w zasadzie wszystkie prace, jakie się tu od tej pory odbywają, można już uznać za postęp.

Mimo wszystko byłam zadowolona. Tego właśnie chciałam od zawsze i Clive zawsze mi to obiecywał. Nowy projekt. Budynek został rozebrany do



gołych desek i ścian, a ujmując rzecz ściślej, do belek i krokwi. Teraz zamierzałam zamienić go w dom, z którego będziemy dumni. Wiem doskonale, że na widok nowego domu należy natychmiast się w nim zakochać, ale w przypadku naszego przed upływem sześciu miesięcy o żadnej miłości nie może być mowy. Wcześniej mieszkała tutaj para uroczych staruszków, a dom przypominał antykwariat z książkami, do którego od lat pięćdziesiątych nikt nie zaglądał. Problem polegał nie na tym, co zmienić, ale co z tego wszystkiego można ewentualnie zachować.

Cztery długie miesiące razem z Jeremym, naszym zdolnym architektem, pochylałam się nad planami, pojąc go przy tym litrami kawy. Chodziło przede wszystkim o to, by wszystko maksymalnie uprościć. Zerwać, co się da. Położyć nowy dach. Potem kuchnia i jadalnia w piwnicy, pokoje dzienne na parterze, gabinet Clive'a na pierwszym piętrze i sypialnie. Przeróbka strychu na pokój dla opiekunki, by mogła się zajmować tym, czym zwykle zajmują się w wolnym czasie opiekunki, nie zakłócając przy tym spokoju domownikom. Toalety po prawej i lewej stronie. Duża łazienka dla mnie i Clive'a. Prysznic z biczami wodnymi dla chłopców w nadziei, że skłoni ich to do mycia się przynajmniej od czasu do czasu.

Tego ranka Jeremy wpadł o wpół do dziewiątej razem z Mickiem, by rozwiązać jakiś problem z łukiem czy belką. Tuż po nich zjawił się Francis, którego wynajęliśmy, żeby popracował - czyli zupełnie przerobił - nad tym, co uchodziło za ogród. Sto metrów kwadratowych, całkiem nieźle jak na Londyn, na razie przypominało wybieg dla królików. Cała armia elektryków i hydraulików, dzięki Bogu, już zakończyła pracę, lecz Mick ze swoją ekipą nadal nas nachodzi. Ja podrzuciłam Christophera, który ma cztery lata, do przedszkola, gdzie zapisałam go tuż po przeprowadzce. Miałam, co prawda, spore wątpliwości na temat tej instytucji - dzieci nie noszą mundurków, tylko niebieskie bluzy, bawią się w gigantycznych piaskownicach i malują palcami - nie warto jednak było się szarpać. We wrześniu i tak zaczniesz chodzić do zerówki w szkole Lascelles i, co ważniejsze, będę go miała z głowy, a to już spora ulga.

Potem szybki powrót do domu. Wreszcie na chwilę usiądę, napiję się kawy i rzucę okiem na gazety oraz pocztę, zanim zabiorę się do pracy,

czyli do chodzenia po domu, doglądania wszystkich prac, powstrzymywania robotników przed zburzeniem niewłaściwej ściany i prowadzenia rozmów o tym, co jeszcze trzeba zrobić. Wpadnie też Leo, mój wierny pomocnik, i razem będziemy pocić się nad listą spraw czekających na załatwienie. Muszę też poważnie porozmawiać z Jeremym w sprawie kuchni. To najtrudniejszy element naszych planów. Problem polega na tym, że jeśli w jakiejś innej części domu coś zostanie zrobione nie tak jak trzeba, można potem z tym żyć. Natomiast, jeśli drzwi lodówki otwierają się w złą stronę, blokując przy tym szufladę ze sztućcami, to do późnej starości może to doprowadzać do wściekłości przynajmniej dwadzieścia pięć razy dziennie. Idealnym rozwiązaniem jest wyposażenie kuchni, korzystanie z niej przez sześć miesięcy, a potem dokonanie niezbędnych przeróbek. Jednak nawet Clive nie jest tak bogaty, byśmy mogli sobie pozwolić na coś takiego. A już na pewno nie ma tyle cierpliwości.

Do domu weszła Lena, zleciłam jej parę spraw. Kiedy zabrała się do pracy, wypiłam parę łyków kawy i wreszcie mogłam się zająć gazetami i pocztą. Kieruję się w życiu zasadą, by nigdy nie poświęcać gazetom więcej niż pięć minut. Przecież i tak nie ma w nich nic ciekawego. Czas na pocztę. Z reguły dziewięćdziesiąt procent przesyłek adresowanych jest do Clive'a. Pozostałe dziesięć przeznaczonych jest dla dzieci, zwierząt domowych i dla mnie. Nie oznacza to wcale, że w chwili obecnej mamy w domu jakiegoś zwierzęta. Na sumę zwierzątek, która w 1999 roku towarzyszyła nam w domu, składał się jeden kot, obecnie zaginiony, prawdopodobnie martwy lub bawiący się wspaniale w czyimś domu w Battersea, i chomik pochowany w nieoznaczonym grobie w ogrodzie tamże. Przez pewien czas zastanawiałam się nad kupnem psa. Zawsze twierdziłam, że Londyn nie jest do tego odpowiednim miejscem, ale teraz, kiedy mieszkamy dwie minuty od Primrose Hill, na mojej twarzy czasami pojawia się rozmarzony wyraz, gdy wyobrażam sobie siebie spacerującą z psem. Nie wspominałam jednak jeszcze o tym Clive'owi.

Z pocztą uporałam się bardzo szybko. Jeden stosik z przesyłkami, na których widniało nazwisko Clive'a. Drugi z rachunkami. Wyczuwam rachunki z odległości dwóch metrów, nawet nie muszę otwierać koperty.

Kolejny stosik to listy adresowane do pana i pani Hintlesham. Jak zwykle zanoszę wszystko na górę i kładę na biurku w sanktuarium Clive'a. Zajmuje się przesyłkami po powrocie do domu, a najczęściej podczas weekendu.

Zostały mi jeszcze dwa listy do Josha i Harry'ego, zawierające identyczne informacje o dniu sportu w Lascelles oraz reklamy i ulotki, które od razu trafiły do kosza. W poczcie znalazł się też jeden list adresowany do mnie. Każdy z nich niemal bez wyjątku okazuje się rachunkiem z firmy realizującej zamówienia pocztowe i jako taki trafia natychmiast na kupkę przeznaczoną dla Clive'a. Albo też w kopercie jest list z innej firmy realizującej zamówienia pocztowe, która właśnie zdobyła mój adres.

Ten jednak był zupełnie inny. Moje nazwisko i adres napisano starannym charakterem pisma. Nie rozpoznałam go. Nie należał do mamy ani nikogo z przyjaciół bądź krewnych. List od razu mnie zaintrygował i chciałam się nim nacieszyć. Nalałam sobie kolejną filiżankę kawy, wypłam łyk i otworzyłam kopertę. Znalazłam w niej złożoną na pół małą kartkę papieru. Zauważyłam od razu, że tekstu jest na niej niewiele. Rozłożyłam ją na stole.

*Droga Jenny,*

*Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, iż zwracam się do Ciebie po imieniu. Ale uważam, że jesteś bardzo piękna. Ślicznie pachniesz, Jenny, i masz cudowną skórę. Zamierzam Cię zabić.*

To było bardzo głupie. Próbowałam sobie przypomnieć, kto mógłby się pokusić o taki żart. Niektórzy przyjaciele Clive'a mają okropne poczucie humoru. Pewnego razu Clive poszedł na wieczór kawalerski jednego z nich o imieniu Seb i to było straszne. Były tam dwie striptizerki, a wszyscy panowie mieli potem ślady szminki na kołnierzykach. W tej chwili zjawił się Jeremy i zaczęliśmy rozmawiać o kłopotach, jakie pojawiły się w kuchni. W tych straszliwie gorących dniach nie dawał mi spokoju duży piec. Chciałam sprawdzić, czy można otworzyć znajdujące się nad nim świetliki. W magazynie „Dom i ogród” oglądałam specjalne zawiasy, które otwiera się pociągnięciem za sznurek. Pokazałam Jeremy'emu zdjęcie, ale nie był tym rozwiązaniem zachwycony. Nigdy nie jest, jeśli sam na to nie

wpadnie. Zaczęliśmy się kłócić. Nie dawał za wygraną i był bardzo uparty. Nagle przypomniałam sobie o liście i pokazałam mu go. Nie roześmiał się. Wcale nie uznał tego za zabawne.

- Wiesz, kto mógł go przysłać?

- Nie.

- Lepiej zadzwoń na policję.

- Nie bądź niemądry. Ktoś zrobił sobie głupi żart. Wyjdę tylko na idiotkę.

- To nie ma znaczenia. I nieważne, czy ktoś zrobił głupi żart, czy nie.

Musisz zadzwonić na policję.

- Pokażę go Clive'owi.

- Nie - rzucił stanowczym tonem. - Zadzwoń natychmiast. Jeśli się wstydzisz, sam to zrobię.

- Jeremy...

Uparł się jak osioł. Zadzwoił do biura numerów i zdobył telefon miejscowego komisariatu. Wybrał go zaraz, po czym podał mi słuchawkę, jakbym była niesfornym maluchem rozmawiającym z babcią.

- Proszę - powiedział.

Telefon dzwonił i dzwonił. Pokazałam mu język.

- Chyba nikogo nie ma w domu... Halo? Proszę posłuchać, wiem, że to zabrzmia głupio, ale właśnie dostałam dość dziwny list.

## 2

Przez kilka minut rozmawiałam z dziewczyną, której głos przypominał osobę dzwoniącą z ofertą niezwykle okazycznej isprzedaży metalowych ram okiennych. Ja nadal miałam wątpliwości, a ona sprawiała wrażenie znużonej. Powiedziała jednak, że przekaze sprawę komu trzeba i ktoś do mnie wpadnie, ale to może potrwać. Odparłam, że nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia, zakończyłam rozmowę i więcej już o całej tej sprawie nie myślałam.

Wróciłam do Jeremy'ego, który nalewał sobie kolejną filiżankę kawy w samoobsługowej stołówce Hintleshamów, jak Clive określił komunę, w której od pewnego czasu przyszło nam żyć. Pocziwi starsuszkowie przebili się przez wszystkie ściany, wymienili wszystkie stare drzwi, usunęli

wszystkie kominki i gzymsy, jakie tylko nawinęły się pod rękę. Wiem, że w latach sześćdziesiątych była to powszechna praktyka, ale w efekcie wyglądało to tak, jakby chcieli udawać, że mieszkają w mieszkaniu komunalnym na piętrze wieżowca, a nie w bliźniaku stojącym na końcu cichej uliczki z czasów wiktoriańskich.

Większość prowadzonych w domu prac polegała na przywróceniu mu historycznego stylu. Jedyne kuchnie wyłączyłam z tych planów. Kuchnia w czasach wiktoriańskich była miejscem przeznaczonym dla licznej służby i kucharzy. Mieliśmy nadzieję, że z gotowaniem sami sobie poradzimy, ale mimo wszystko pragnęłam zachować w niej atmosferę z epoki. Problem polegał na tym, by uniknąć rozwiązania, które Jeremy określił mianem „Ikea rodem z farmy”. Kazałam mu przerabiać plany chyba z osiem razy. W kuchni stał też niewygodny słup, który jakoś musieliśmy obejść. Chciałam go po prostu zburzyć, ale Jeremy orzekł, że zawali się cały tył domu.

Omawialiśmy właśnie jego ostatnie błyskotliwe pomysły, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Jak zwykle pozostawiłam ich otwarcie Lenie, gdyż jedynymi gośćmi, jacy teraz do nas przychodzili, byli robotnicy dźwigający wiadra farby, kaloryfery i miedziane rury o najdziwniejszych kształtach. Usłyszałam, jak Lena woła mnie ze szczytu schodów. Nie znoszę, gdy ktoś krzyczy na mnie w moim własnym domu, tak samo jak nie cierpię gdy ktoś coś żuje. Wysłałam na parter. Lena stała w otwartych drzwiach frontowych.

- Jeśli masz mi coś do przekazania, to proszę, żebyś się do mnie pofatygowała i powiedziała mi o tym.

- Przecież powiedziałam - odparła niewinnym tonem.

Poddałam się i ruszyłam w jej stronę. Na progu dostrzegłam dwóch umundurowanych policjantów. Byli młodzi i wyraźnie skrupowani, niczym harcerze, którzy pragną zaoferować umycie samochodu i nie mają pojęcia, z jaką się to spotka reakcją. Serce zabiło mi mocniej.

- Pani Hintlesham?

- Tak, tak. To bardzo miłe z panów strony, że tak szybko się tu zjawiliście. Nie sądzę jednak, by było to konieczne. - Zmieszali się jeszcze bardziej. - Proszę wejść. Skoro już tu jesteście.

Niezwykle starannie wytarli buty i ruszyli za mną schodami w dół.

Kiedy stanęliśmy w miejscu, które miało stać się naszą kuchnią, Jeremy skrzywił się, co mniej więcej oznaczało: „Mam spadać?”. Potrząsnęłam głową.

- To zajmie tylko chwilę - powiedziałam. Wskazałam list, który nadal leżał na stole przy piecu. - Przekonacie się panowie sami, że to jakiś głupi żart. Nie warto zawracać sobie tym głowy. Czy zrobić herbaty?

- Nie, dziękujemy - odparł jeden z nich, po czym obaj pochyłili się nad listem. Wróciłam do przerwanej rozmowy z Jeremym. Po kilku minutach podniosłam wzrok i zauważyłam, że jeden z policjantów wyszedł do ogrodu i rozmawia przez radio. Drugi rozglądał się po kuchni.

- Nowa? - spytał.

- Tak - odparłam i wymownym gestem odwróciłam się do Jeremy'ego. Nie byłam w nastroju do prowadzenia uprzejmej rozmowy o wystroju wewnątrz z młodszym oficerem policji. Jego kolega wrócił do środka. Nie wiem, czy to wina ich mundurów, czarnych butów czy też tego, że zdjęli czapki, ale nagle poczułam, że ta duża piwnica stała się nagle mała i zatłoczona.

- Skończyliście już? - spytałam.

- Nie, proszę pani. Właśnie dzwoniłem na posterunek. Przyjedzie tu ktoś jeszcze.

- Po co?

- Chce obejrzeć ten list.

- Planowałam zaraz gdzieś wyjść.

- Zajmie to pani tylko chwilę.

Prychnęłam lekko z dezaprobatą.

- Też coś! Czyż nie marnujemy wszyscy czasu? - Odpowiedzią było jedynie delikatne wzruszenie ramion, z którym trudno było polemizować. - Będą panowie czekać tutaj?

- Nie. Poczekamy na detektywa na zewnątrz, w samochodzie.

- Dobrze.

Wyszli zawstydzeni. Ruszyłam na górę z Jeremym i dobrze się stało, bo przyniesiono właśnie puszkę farby nie w tym odcieniu co trzeba. Jednym z głównych odkryć, jakich dokonałam w czasie tego całego koszmarnego remontu, było to, że zawsze należy się upewniać, czy dostarczono ci rzeczy, które zamówiłaś i czy potem zrobiono z nimi to, co należało. A to już praca na pełny etat. Kiedy próbowałam wyjaśnić całe to nieporozumienie

z tępą kobietą, która odebrała telefon u dostawcy farb, usłyszałam dzwonek do drzwi. Nadal rozmawiałam, gdy do pokoju wszedł mężczyzna w szarym garniturze. Skinęłam w jego stronę ręką, usiłując jednocześnie dogadać się jakoś z kobietą, do której nie trafiały żadne argumenty. Trudno jednak złościć się na kogoś, kogo się nigdy w życiu nie widziało, gdy obok z wyrazem oczekiwania na twarzy stoi osoba, którą też widzi się pierwszy raz w życiu. Szybko skończyłam rozmowę. Mężczyzna przedstawił się jako detektyw sierżant Aldham. Zaprowadziłam go do piwnicy.

Spojrzał na list i usłyszałam, że przeklina pod nosem. Pochylił się nad kartką, jakby był krótkowidzem ze straszliwą wadą. Wreszcie jęknął i podniósł wzrok.

- Ma pani kopertę?
- Co takiego? Nie, chyba wyrzuciłam do kosza.
- Gdzie?
- W szafce pod zlewozmywakiem.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Policjant podszedł do szafki, wyciągnął kosz, podniósł pokrywkę i zaczął przeszukiwać jego zawartość niczym włóczęga.

- Bardzo przepraszam, ale mogą tam również być fusy po kawie i herbacie.

Wyjął zmiętą kopertę. Była wilgotna i poplamiona. Trzymał ją bardzo delikatnie za róg, po czym położył obok listu.

- Przepraszam na chwilę. - Wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

Przeszłam na drugą stronę kuchni i włączyłam czajnik. Słyszałam urywki jego rozmowy: „Tak, z pewnością”, „Raczej tak” i „Jeszcze z nią nie rozmawiałem”. Najwyraźniej od tej chwili sierżant Aldham słyszał już same złe wieści. Jego reakcją były bowiem zadawane lekko piskliwym głosem pytania: „Co takiego?”, „Jesteś pewny?”. Wreszcie westchnął zrezygnowany i wsunął telefon do kieszeni. Twarz mu nagle poczerwieniała i oddychał z trudem, jakby dopiero co tu przybiegł. Przez chwilę nie odzywał się ani słowem.

- Dwóch innych detektywów już tutaj jedzie – powiedział poważnym tonem. - Jeśli to tylko możliwe, będą chcieli panią przesłuchać - mruczał teraz niezbyt wyraźnie. Wyglądał teraz jak zbity pies.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - zaprotestowałam. - To tylko jakiś głupi list. Coś w rodzaju nieprzyzwoitego telefonu.

Aldham ożywił się na moment.

- Odbierała pani takie telefony?

- Nieprzyzwoite? Nie.

- Czy przychodzi pani na myśl coś, co mogłoby się wiązać z tym listem? Jakies inne wiadomości tego typu, może jakaś osoba, cokolwiek?

- Nie, absolutnie nic. Chyba że jest to jakiś głupi żart.

- Zna pani kogoś, kto mógłby się o taki żart pokusić?

Zaskoczył mnie zupełnie.

- Nie znam się zbyt dobrze na żartach - odparłam. - To bardziej domena Clive'a.

- Clive'a?

- Mojego męża.

- Jest teraz w pracy?

- Tak.

W kuchni zapanowała dość niezręczna atmosfera. Aldham stał w kącie z wyrazem zakłopotania na twarzy. Ja próbowałam czymś się zająć, ale patrząc na niego, nie mogłam się w ogóle skoncentrować. Wszyscy poczuliśmy ulgę, gdy jakieś piętnaście minut po przybyciu Aldhama rozległ się dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć, a sierżant ruszył krok w krok za mną. Wydało mi się to trochę absurdałne. Tym razem za drzwiami zebrał się spory tłumek. Na przodzie stało dwóch dość eleganckich detektywów, którym towarzyszyło dwóch policjantów w mundurach, za nimi kobieta, a za nią kolejny policjant. Na ulicy zauważyłam dwa radiowozy i dwa samochody zaparkowane tuż obok nich.

Starszy mężczyzna lekko łysiał, a siwiejące włosy miał ostrzyżone bardzo krótko.

- Pani Hintlesham? - spytał z uspokajającym uśmiechem. - Główny inspektor Links. Stuart Links. - Uścisnęliśmy sobie dłonie. - A to inspektor Stadler.

Stadler w ogóle nie wyglądał na policjanta. Przypominał bardziej polityka albo jednego z kolegów Clive'a. Miał na sobie świetnie skrojony ciemny garnitur, dyskretny krawat. W pewnym sensie był niezwykle przystojny. Z wyglądu przypominał trochę Hiszpana. Wysoki, dobrze zbudowany, ciemne, zaczesane do tyłu włosy. Jemu też podałam rękę. Ujął ją



miętko, przyciskając palce do wnętrza, jakby chciał się czegoś o niej dowiedzieć. Było to trochę denerwujące. Pomyślałam, że zaraz uniesie moje palce do ust i delikatnie je pocałuje.

- Strasznie was dużo - powiedziałam.

- Przepraszam - odparł Links. - To jest doktor Marsh, nasz specjalista od dowodów. Przywiózł ze sobą asystentkę, Gili...

- Gill Carlson - rzuciła nieśmiało kobieta.

Była bardzo ładna, a jej twarz nie nosiła śladu makijażu. Doktor Marsh z kolei wyglądał jak trochę zaniedbany nauczyciel.

- Na pewno się pani zastanawia, dlaczego zjawilo się tutaj aż tyle osób - ciągnął Links.

- No cóż...

- List, jaki pani otrzymała, jest jawną groźbą. Musimy ustalić, na ile ta sprawa jest poważna. A tymczasem musimy zapewnić pani bezpieczeństwo.

Patrzył mi prosto w oczy. Po chwili jednak przeniósł spojrzenie na Aldhama, który z minuty na minutę sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zakłopotanego

- Przejmiemy tę sprawę - powiedział cicho Links.

Aldham coś do mnie mruknął, domyśliłam się, że są to słowa pożegnania, po czym wysunął się z kuchni i zniknął.

- Po co on tu przyjechał? - spytałam.

- Zwykle nieporozumienie - odparł Links. Rozejrzał się. - Wprowadziła się tu pani niedawno?

- W maju.

- Postaramy się nie robić zbyt wielkiego zamieszania. Chciałbym zobaczyć list, a potem zadać kilka pytań. Mam nadzieję, że to będzie wszystko.

- Proszę na dół - mruknęłam słabym głosem.

- Piękny dom.

- Dopiero będzie - odparłam.

- Musiał sporo kosztować.

- No cóż... - Nie chciałam wdawać się w dyskusje dotyczące kosztów nieruchomości.

I tak kilka minut później siedziałam z dwoma detektywami przy stole w na wpół ukończonej kuchni. Z powodów, których nawet nie starałam się zrozumieć, dwóch policjantów w mundurach obchodziło dom i ogród.

Wszyscy przeczytali list, który potem szczypczykami schowali do plastikowego woreczka. Do drugiego trafiła zmięta, poplamiona koperta. Każdy ze specjalistów dostał więc po dowodzie i wyszli, trzymając je mocno w dłoniach.

Obaj mężczyźni coś ze sobą przez chwilę szepotali, co uznałam za lekko irytujące. Po chwili odwrócili się w moją stronę.

- Proszę posłuchać - zaczęłam. - Nie mam pojęcia, w czym mogłabym panom pomóc? To jakiś straszliwie głupi list i na tym koniec. Nic więcej nie wiem.

Wyglądali na głęboko zamyślonych.

- Tak - powiedział w końcu Links. - Zadamy pani tylko kilka rutynowych pytań. Niedawno wprowadziła się pani do tego domu. Czy wcześniej mieszkała pani w tej okolicy?

- Nie. Mieszkaliśmy bardzo daleko stąd, na południe od rzeki, w Battersea.

- Zna pani szkołę Laurier?

- Dlaczego pan pyta?

Links oparł się wygodnie o krzesło.

- Próbujemy ustalić związek z innymi groźbami tego typu, które mogły mieć miejsce. Ma pani dzieci?

- Tak. Trzech synów.

- Laurier to państwowa szkoła podstawowa niedaleko Kingsland Road w Hackney. Czy rozważała pani posłanie tam swoich synów?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Państwowa szkoła podstawowa w Hackney? Nie mówi pan chyba poważnie?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- A może poznała pani jedną z pracujących tam nauczycielek? Na przykład Zoë Haratounian.

- Nie. Co szkoła ma wspólnego z listem?

- Były pewne... incydenty związane z tą szkołą.

- Jakiego rodzaju incydenty?

- Listy podobne do tego, jaki pani otrzymała. Możemy kontynuować nasze pytania? Czy ten list przyszedł tak sobie? Nie potrafi go pani z niczym ani z nikim powiązać, choćby nawet to powiązanie było bardzo odległe?

- Nie.

- Chciałbym określić, ile osób ma dostęp do tego domu. Rozumiem, że prowadzicie tu państwo prace remontowe.

- Zgadza się. Dom bardziej przypomina teraz dworzec Waterloo.

Uśmiechnął się.

- Z usług którego pośrednika handlu nieruchomościami pani korzystała?

- Dom sprzedał nam Frank Dickens. Jego agencja to banda rekinów.

- Czy korzystała pani kiedykolwiek z usług agencji Clarke?

Wzruszyłam ramionami.

- Możliwe - odparłam. - Szukaliśmy czegoś takiego od lat. Jestem chyba na liście klientów wszystkich agencji w Londynie.

Znów spojrzeli na siebie.

- Sprawdzę to - powiedział Stadler.

Ze schodów zeszała policjantka. Towarzyszyła jej kobieta. Wysoka, z długimi blond włosami, których część upięta była na czubku głowy. Wyglądało to tak, jakby fryzurę zrobił ślepiec i to na dodatek w ciemnych pokoju. Miała na sobie kostium, któremu przydałby się bliższy kontakt z żelazkiem. Kobieta niosła w ręce neseser, a przez ramię przetrzuciła płaszcz przeciwdeszczowy. Robiła wrażenie zaniepokojonej i wyraźnie brakowało jej tchu. Obaj detektywi obejrzeni się i skinęli jej na powitanie głową.

- Witaj, Grace - powiedział Links. - Dziękuję, że zjawiałaś się tak szybko. - Odwrócił się w moją stronę. - Może się to wydać pani bardzo dziwne, ale ktoś panią wybrał. Nie wiemy, dlaczego. Nie wiemy, kim jest ta osoba, szczerze mówiąc, nie wiemy o niej nic. Ale mamy panią. Nie możemy przyjrzeć się życiu tej osoby, ale możemy zbadać pani życie.

Poczułam nagły niepokój i irytację. To zaczynało być męczące.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Co to znaczy zbadać moje życie?

- To doktor Grace Schilling. Jest uznanym psychologiem. Bada psychikę ludzi, którzy robią podobne rzeczy. Będę pani bardzo wdzięczny, jeśli zechce pani z nią porozmawiać.

Spojrzałam na doktor Schilling. Spodziewałam się, że się zarumieni lub uśmiechnie, słysząc pochlebstwa Linksa. Nie zrobiła tego. Patrzyła na mnie, mrużąc oczy. Poczułam się jak owad przypięty szpilką do kartonu.

- Czy możemy usiąść w jakimś spokojnym miejscu? - spytała.

Rozejrzałam się.

- Nie jestem pewna, czy takie tutaj znajdziemy – odparłam z wymuszonym uśmiechem.

### 3

- Przepraszam za ten bałagan - powiedziałam, gdy drobny mi kroczkami szłyśmy przez pokój w stronę sofy, mijając po drodze wielkie pudła. - Za jakieś dwadzieścia lat będzie tutaj salon.

Zdjęła zmięty żakiet i usiadła w niewygodnym wiklinowym fotelu. Była wysoka i szczupła, miała długie ciemnoblonde włosy i długie szczupłe palce bez pierścionków.

- Dziękuję, że poświęca mi pani czas. - Założyła okulary. Same szkła, bez oprawek. Wyjęła z torby blok do notatek i długopis. Napisała coś na górze i podkreśliła.

- Prawdę mówiąc, nie mam tego czasu zbyt wiele. Jak pani widzi, jestem bardzo zajęta. Mam jeszcze mnóstwo pracy, zanim chłopcy wrócą ze szkoły. - Usiadłam i wygładziłam spódnice na kolanach. - Napije się pani herbaty albo kawy?

- Nie, dziękuję. Postaram się, by wszystko poszło szybko i sprawnie. Chciałam tylko, żebyśmy się poznały.

Nagle ogarnął mnie niepokój. Nie wiedziałam, co się dzieje, dlaczego ona podchodzi do tego wszystkiego tak poważnie.

- Szczerze mówiąc, sądzę, że policja trochę przesadza. To przecież tylko głupi list. Nie zamierzałam do nich dzwonić, i oto proszę, zrobił się tu ruch jak na Picadilly Circus.

Wyglądała na bardzo zamyśloną. Tak bardzo, że odniosłam wrażenie, iż w ogóle nie słucha, co do niej mówię.

- Nie przesadza - powiedziała nagle. - Postąpiła pani bardzo słusznie.

- Przepraszam, ale nie pamiętam pani nazwiska. Moja pamięć coraz bardziej przypomina sito. To chyba przedwczesna starość.

- Grace. Grace Schilling. To wszystko musi być dla pani bardzo dziwne.

- W zasadzie nie. Powiedziałam już policji, że uznałam to za głupi żart.

To Grace Schilling była osobą w kostiumie i z notesem w ręce; to ona była doktorem. A jednak wierciła się w fotelu, jakby nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Oczywiście, w tym paskudnym fotelu nie da się wygodnie siedzieć, ale nadal nie wiedziałam, do czego ta kobieta zmierza.

- Nie chcę pani zanudzać wykładem z psychologii. Chcę tylko zrobić wszystko, by pani pomóc. - Urwała, jakby usiłowała podjąć jakąś decyzję. - Jak pani na pewno wie, niektórzy mężczyźni atakują przypadkowo wybrane kobiety. List, który pani dostała, wskazuje na coś zupełnie innego.

- To wiem.

- On panią widział. Wybrał panią. Zastanawiam się, czy ta osoba mogła być pani bliska. Twierdzi w liście, że ślicznie pani pachnie. Że ma pani cudowną skórę. Jak pani to odbiera?

Roześmiałam się trochę niepewnie. Nie odpowiedziała mi uśmiechem. Pochyliła się tylko i spojrzała na mnie uważnie.

- Naprawdę ma pani cudowną skórę.

Nie zabrzmiało to jednak jak komplement, lecz jak uwaga czysto naukowej natury.

- Staram się. Używam specjalnego kremu.

- Czy często zdaje sobie pani sprawę z tego, że inni uznają panią za bardzo atrakcyjną kobietę?

- Też mi pytanie. Nie mam pojęcia, w czym pani pomoże. Ale zastanówmy się. Niektórzy przyjaciele Clive'a bardzo lubią flirtować. W istocie, jest paru takich mężczyzn, którzy patrzą na mnie tak... tak jak mężczyźni patrzą na kobiety. - Grace Schilling nie odzywała się ani słowem, patrzyła na mnie tylko z tym swoim lekko zaniepokojonym wyrazem twarzy. - Na miłość Boską, mam prawie czterdzieści lat - powiedziałam, żeby przerwać milczenie. Zrobiłam to głośniej niż zamierzałam.

- Pracujesz, Jenny?

- Nie tak jak pani - odparłam niemal wojowniczym tonem. - Nie mam takiej pracy jak pani. Mam za to dzieci i ten dom. - Dobrze ci tak, pomyślałam nie bez satysfakcji. - Nie pracuję od czasu, gdy zaszłam w ciążę z Joshem, czyli od piętnastu lat. Razem z Clive'em zawsze uważaliśmy, że gdy pojawią się dzieci, rzucę pracę. Kiedyś byłam modelką. Ale tylko używałam swoich dłoni.

Chyba nie bardzo wiedziała, o co mi chodzi.

- Dłoni?

- Na plakatach reklamujących lakier do paznokci i tym podobne rzeczy, na których widać było tylko gigantyczną rękę. Na początku i w połowie lat osiemdziesiątych większość tych rąk należała właśnie do mnie.

Obie spojrzaliśmy na moje ręce spoczywające na kolanach. Nadal bardzo się staram, by były ładne i zadbane: raz w tygodniu robię manikiur, usuwam skórki, a codziennie wcieram bardzo drogi balsam i używam go od dawna. Nigdy też nie zmywam niczego bez rękawiczek. Niestety, nie są już takie jak kiedyś. Przede wszystkim zrobiły się bardziej pulchne. Nie mogę zdjąć obrączki i pierścionka zaręczynowego, nawet gdy potrę mydłem.

Doktor Schilling uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- To trochę tak, jakby ktoś się w tobie zakochał - powiedziała. - Na odległość. Jak w powieści. Albo ktoś bardzo bliski. To może być ktoś, kogo nigdy nie widziałas na oczy albo równie dobrze ktoś, kogo widzisz codziennie. Byłoby dobrze, gdybyś pomyślała chwilę o mężczyznach, których spotykasz; zastanowiła się, czy któryś z nich nie zachowuje się w stosunku do ciebie dziwnie, może niewłaściwie.

Jęknęłam.

- Możemy zacząć od chłopców - powiedziałam.

- Mogłabyś opisać mi swoje życie?

- O Boże, ma pani na myśli jeden dzień z życia?

- Chciałabym się dowiedzieć, jakie rzeczy są dla ciebie naprawdę ważne.

- To śmieszne. Nie można przecież złapać kogoś na podstawie tego, co ja myślę o swoim życiu. - Czekala cierpliwie, lecz tym razem pobiłam ją jej własną bronią. Patrzyłam na nią spokojnie. Gdzieś w tle usłyszałam wielki huk, jakby ktoś upuścił coś bardzo ciężkiego. Pewnie jakiś niezgrabny policjant.

- Czy spędzasz dużo czasu z synami?

- Jestem przecież ich matką, prawda? Chociaż czasami czuję się tak, jakbym była ich pracującym za darmo szoferem.

- A twój mąż?

- Clive jest straszliwie zajęty. Jest... - urwałam. Nie miałam pojęcia, dlaczego miałabym tłumaczyć tej kobiecie coś, co sama ledwo rozumiałam. - Ostatnimi czasy rzadko go widuję.

- Jak długo jesteście małżeństwem? Piętnaście lat?

- Tak. Tej jesieni minie szesnaście. - Wielki Boże, aż tyle? Westchnęłam zupełnie bezwiednie. - Byłam bardzo młoda.

- Określiłabyś swoje małżeństwo jako szczęśliwe? Jesteście sobie bliscy?

- Wcale nie zamierzam go określać.

- Jenny. - Pochyliła się w fotelu i przez jedną straszliwą chwilę pomyślałam, że zamierza ująć moje dłonie czułym gestem, który przyprawi mnie o mdłości. - Jakiś mężczyzna pisze, że chce cię zabić. Wiem, że to może brzmieć śmiesznie, ale musimy to potraktować poważnie.

Wzruszyłam ramionami.

- To po prostu małżeństwo - powiedziałam. - Nie wiem, co chce pani usłyszeć. Mamy lepsze i gorsze chwile, czasem głupio się kłócimy, jak wszyscy.

- Czy powiedziałaś mężowi o liście?

- Kazał mi to zrobić jeden z detektywów. Zostawiłam mu wiadomość w pracy. Zadzwoni później.

Spojrzała tak, jakby chciała mnie przejrzeć na wylot. Poczułam się niepewnie. Zapadła długa chwila milczenia.

- Jenny - powiedziała w końcu. - Wiem, że to, co odczuwasz teraz albo poczujesz niebawem, to świadomość gwałtu, jakiego dokonano na twojej osobie. A co gorsza, część naszych wysiłków, by ci pomóc, też możesz odebrać jako gwałt. Ale są pewne sprawy, o których muszę się dowiedzieć. - Obrzuciła spojrzeniem panujący w domu chaos i raz jeszcze uśmiechnęła się tym swoim wszystkowiedzącym uśmiechem. - Pomyśl o mnie jak o kierowniku budowy, który ogląda wszystkie kąty w poszukiwaniu szczelin, przez które może wdrzeć się woda.

- Coś o tym wiem - mruknęłam z udaną goryczą.

Znów pochyliła się w moją stronę.

- Czy twój mąż jest ci wierny?

- Słucham?

Powtórzyła pytanie, jakby nie było w nim nic zdroźnego. Spojrzałam na nią wściekła i poczułam, że się rumienię. Powoli zaczynała mnie boleć głowa.

- Chyba powinna pani jego o to spytać - odparłam najspokojniej jak umiałam.

Zapisała coś na kartce bloku.

- A ty?

- Ja? - prychnęłam. - Przecież to głupota. Jeśli nawet miałabym ochotę na romans, to jakim cudem znalazłabym na to czas? Chyba że zrobiłabym to z ogrodnikiem, murarzem albo trenerem tenisa. Szczerze mówiąc, nikogo innego nie spotykam. Zgoda, wykonuje pani swoją pracę, ale zadała już pani pytania, a ja chciałabym się zająć moimi sprawami.

- Czy sądzisz, że te pytania są zbyt nachalne?

- Oczywiście. Wiem, że to teraz niemodne, ale chciałabym zachować moje prywatne sprawy dla siebie.

Wreszcie wstała, ale wcale nie zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Jenny. - Irytowało mnie to, że stale zwraca się do mnie po imieniu. Wcale jej na to nie pozwoliłam. Czułam się przy niej tak, jakby była agentem ubezpieczeniowym, który wsunął stopę w drzwi i nie pozwalał ich zamknąć. - Chcę tylko, wszyscy chcemy, żeby się to skończyło i żebyśmy mogli zniknąć z twojego życia. Jeśli tylko przyjdzie ci do głowy coś, co mogłoby mieć choćby najmniejszy związek z tą sprawą, zawiadom zaraz policję albo mnie. Pozwól nam decydować, co jest ważne, a co nie. Nie wahaj się i nie wstydz, dobrze?

Przemawiała do mnie niemal błagalnym tonem. Poczulałam się znacznie lepiej, jakbym odzyskała panowanie nad sytuacją.

- Dobrze - odparłam. - Przemyślę to.

- Koniecznie - odwróciła się do wyjścia. - I, Jenny...

- Tak?

Zawahała się, a potem zmieniła zdanie.

- Nie, nic. Uważaj na siebie.

Po chwili wszyscy wyszli, z wyjątkiem Stadlera, policjanta o rozmarzonych oczach. Powiedział mi, że ze względów bezpieczeństwa będą rano otwierać moją pocztę.

- Koniec z przykrymi niespodziankami - oświadczył i rzucił mi uśmiech zbyt mocno ocierający się o pożądanie. Naprawdę! Spojrzałam na niego z wściekłością. - I jeszcze jedno - dodał. - Zostawiamy przed domem dwóch policjantów,

- To już nie jest zabawne - odparłam.

- To tylko środek ostrożności - powiedział uspokajająco, jakbym była narowistym koniem. - W ciągu dnia przez cały czas będzie pani towarzyszyć policjantka. - Uśmiechnął się.



Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale przychodziły mi na myśl same obelgi, więc tylko spojrzałam na niego ze złością.

- Już tutaj jest. Proszę chwilę poczekać. - Podszedł do drzwi i zawołał: - Lynne! Lynne, możesz tu przyjść na chwilę? Pani Hintlesham, to jest posterunkowa Burnett. Lynne, to pani Hintlesham.

Kobieta była niemal mojego wzrostu, ale o wiele młodsza, mogłaby niemal uchodzić za moją córkę. Miała jasnobrązowe włosy, jasne rzęsy, a na lewym policzku znamię. Wyglądało to tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz chwilę przed tym, nim weszła do środka. Uśmiechnęła się do mnie, ale nie odpowiedziałam jej uśmiechem.

- Postaram się pani nie przeszkadzać - powiedziała.

- I dobrze - rzuciłam ostro. Znaczącym gestem odwróciłam się tyłem do niej i do Stadlera, dopóki nie wyszli z pokoju. Nareszcie zostałam sama.

W kuchni stało pełno pustych kubków, a na podłodze przy prowadzących do ogrodu drzwiach leżały dwa niedopałki. Mogli przynajmniej po sobie posprzątać. Raz jeszcze zadzwoniłam do Clive'a, ale nadal był zajęty.

Lena przyprowadziła Christa i Josha. Harry'ego miała przywieźć po treningu piłkarskim matka kolegi. Nie wdając się w szczegóły, opowiedziałam Joshowi o głupim liście, jaki dostałam i o dyżurujących przed domem policjantach. Pomyślałam, że może go to trochę zaniepokoi, zrobi na nim wrażenie. Ale oparł się tylko o drzwi do kuchni, przygryzł dolną wargę, a potem wzruszył ramionami i poszedł do swojego pokoju, zaopatrzoney w dwie kanapki z masłem orzechowym i karton mleka. Nie mam pojęcia, gdzie podziewa się to całe jedzenie, które pochłania.

Aż boję się myśleć, co tam u siebie knuje. Zasuwa zasłony, po czym rozlega się głośna muzyka, piski i krzyki z tych okropnych gier komputerowych. W powietrzu unosi się zapach kadzidełka, które zapala prawdopodobnie po to, by stłumić odór przemycanych na górę papierosów. Jego pokój zawsze sprząta Mary, ona też zmienia pościel. Ja tam w ogóle nie wchodzę, krzyczę tylko przez drzwi, żeby odrobił zadanie, poćwiczył na saksofonie, ściszył muzykę albo zniósł na dół brudne rzeczy. Tak nagle stał się dorosły. Przeszedł mutację, na czole ma pryszcze, nad górną wargą pojawił się meszek. I jest taki wysoki. O wiele wyższy ode mnie. I tak

dziwnie pachnie. Pod zapachem płynów i żeli, jakich on i jego koledzy z takim upodobaniem teraz używają, daje się wyczuć wyraźną woń męzczyzny.

Christo jest oczywiście zbyt mały, by to wszystko zrozumieć. Nic mu więc nie powiedziałam, przytuliłam go tylko mocno. Moje maleństwo.

Pojechałam potem do centrum budowlanego, ale właśnie je zamknięto, więc nie dostałam haczyków, których potrzebowałam. To była przysłowiowa ostatnia kropla.

Clive zadzwonił, by uprzedzić, że wróci do domu późno. Położyłam już Christa do łóżka i opowiedziałam mu bajkę, a potem zjadłam kolację z Joshem i Harrym. Jedliśmy lazanie, które wcześniej wyjęłam z zamrażarki, zielony groszek, a na deser lody polane sosem czekoladowym. Żadne z nas nie mówiło zbyt wiele. Patrzyłam, jak pochłaniają jedzenie, jakby to było paliwo. Ja sama jadłam niewiele, męczył mnie upał.

Po kolacji chłopcy zniknęli w swoich pokojach, a ja nalałam sobie kieliszek białego wina i usiadłam na dole. Włączyłam telewizor i zaczęłam przerzucać magazyny. Potrzebowaliśmy stołu do jadalni. Wiedziałam, czego szukam: dużego stołu z ciemnego drewna, długiego i prostego, jakie bywają w klasztornych refektarzach. Niedawno jeden bardzo mi się spodobał, miał blat zrobiony z kawałków różnokolorowego drewna. Jeremy uznał jednak, że najpierw muszę znaleźć krzesła, bo potem trudno jest je dopasować. Opowiedział mi o jednym ze swoich klientów, który szukał idealnych krzeseł przez osiem lat. Ja nie miałam tyle cierpliwości.

Clive nadal nie wracał. Z pokoju Josha dobiegało dudnienie basów w tej okropnej muzyce elektronicznej, którą uwielbia. Zaciągając zasłony, dostrzegłam dwóch policjantów siedzących w samochodzie. Pomyślałam, że kiedy już kupimy stół, powinniśmy wydać kolację. Mogłabym założyć czarną sukienkę i brylantowy naszyjnik, który Clive podarował mi na piętnastą rocznicę ślubu. Zaczęłam przerzucać książkę kucharską w poszukiwaniu przepisów odpowiednich na lato. Na początek szampan. Potem mrożona trybula i zupa ogórkowa, tuńczyk z kolendra, sorbet morelowy, chłodne białe wino, a na stole żółte róże z naszego ogrodu, zasadzone przez Francisca tuż po przeprowadzce. Przyłożyłam kieliszek do czoła. Było tak gorąco.

Usłyszałam szcęk klucza w zamku. Clive pocałował mnie w policzek. Twarz miał poszarzałą ze zmęczenia.

- Wielki Boże, co za dzień - powiedział.
- Jeśli masz ochotę, zostało trochę łazanii.
- Nie, dziękuję, jadłem z klientami.

Spojrzałam na niego: drogi grafitowy garnitur, czarne, wyczyszczone do połysku buty, szaro-bordowy krawat, który podarowałam mu na gwiazdkę, lekki brzusek pod białą wykrochmaloną koszulą, pasemka siwizny w czarnych włosach, ledwo dostrzegalny podwójny podbródek, rysujące się powoli delikatne zmarszczki na wysokim czole. Jest bardzo przystojnym mężczyzną. Zawsze uważałam, że najlepiej wygląda, gdy zmęczony wraca do domu późnym wieczorem. Wczesnym rankiem zawsze jest bardzo nerwowy i rozkojarzony, nim założy swoją maskę prawnika i wyjdzie wreszcie do pracy. Teraz zdjął marynarkę i powiesił ją starannie na oparciu krzesła, po czym z westchnieniem opadł na sofę. Pod pachami widać było plamy potu. Przyniosłam z kuchni dwa kieliszki białego wina, bardzo zimne, prosto z lodówki. Głowa nadal mnie bolała.

- Miałam bardzo niezwykły dzień.
- Tak? - Zrzucił buty, rozluźnił krawat i pilotem zmienił kanał w telewizorze. - Powiedz.

Chyba źle to zrobiłam. Nie potrafiłam oddać niezwykłości tego zdarzenia ani mojego zdziwienia, że policja potraktowała je aż tak poważnie. Kiedy skończyłam, pociągnął łyk wina i oderwał wzrok od ekranu.

- To miło, że komuś podoba się twoja skóra, Jens. - I dodał po chwili:
- To na pewno jakiś czubek. Nie chcę, żeby po domu snuły się tłumy policjantów.
- Masz rację. To wariactwo, prawda?

## 4

Nigdy nie schodzę na dół, zanim nie nałożę makijażu, nawet w weekendy. Czułabym się tak, jakbym paradowała nago. Kiedy tylko słyszę, jak za Clive'em zamykają się drzwi, wstaję z łóżka i biorę prysznic. Szoruję całe ciało ostrą gąbką, żeby usunąć martwe komórki skóry. Potem siadam

przy toalecie, która zdaniem Clive'a równie dobrze mogłaby stać w garderobie gwiazdy filmowej. Wokół lustra umieszczono bezlitosne małe żarówki i w ich świetle dokładnie się sobie przyglądam. Wczoraj znalazłam w brwiach kilka siwych włosów. Zauważyłam też zmarszczki, których nie było jeszcze w zeszłym roku, okropne zmarszczki nad górną wargą i te biegnące od kącików ust w dół. Gdy jestem zmęczona, nadają mojej twarzy przygnębiony wyraz. Niewielkie worki pod oczami. Czasami bolą mnie oczy, pewnie z powodu pyłu stale unoszącego się w domu. Nie zamierzam jednak nosić okularów.

Moja skóra nie jest już młoda, bez względu na to, co ten wariat napisał w liście. Kiedyś miałam naprawdę piękną skórę. Kiedy poznałam Clive'a, powiedział mi, że mam przepiękną, brzoskwińową cerę. Ale to było dawno temu. Teraz już nie mówi mi takich rzeczy. Czasami myślę, że należy je mówić właśnie Wtedy, gdy zaczynają się mijać z prawdą. Patrząc czasem w lustro, odnoszę wrażenie, że moja skóra przypomina grejpfrut. Jakiś czas temu, gdy na szkolną imprezę założyłam zieloną sukienkę, Clive kazał mi się przebrać, żeby dzieci nie musiały się wstydzić.

Sprawdzam dokładnie, czy żadne pojedyncze włoski nie pojawiły się między brwiami lub, broń Boże, na brodzie, po czym zaczynam nakładać podkład. Mieszam go z kremem nawilżającym, żeby nie zostawiał brzydkich smug. Potem wokół nosa i pod oczami nakładam cudowny specyfik ukrywający zmarszczki. Powiedziała mi o nim moja przyjaciółka Caro. Jest nieprawdopodobnie drogi. Czasami próbuję obliczyć, ile funtów nakładam na twarz. W ciągu dnia wszystko musi być niewidoczne. Delikatny beżowy cień do powiek, cieniutka czarna kreska, tusz, który nie skleja rzęs, może odrobina błyszczyku na usta. Wtedy czuję się o wiele lepiej. Podoba mi się twarz, która spogląda na mnie z lustra: nieduża, owalna i jasna, gotowa zmierzyć się ze światem.

Śniadanie jak zwykle było okropne. W samym środku chaosu rozległo się pukanie do drzwi. Posterunkowa Burnett, z tą tylko różnicą, że dziś miała na sobie cywilne ubranie: szarą spódnicę, niebieską bluzkę i wełnianą kamizelkę. Wyglądała nawet dość elegancko, ale z jakiegoś powodu

zirytowała mnie myśl, że założyła coś takiego, by towarzyszyć pani Hinthesham. Bez wątpienia po to, by wtopić się w otoczenie.

- Proszę mówić mi po imieniu - zaproponowała.

Otóż właśnie. Wszyscy chcą być twoimi przyjaciółmi. A ja pragnę tylko tego, żeby zajęli się swoją pracą.

Powiedziała mi, że jej pierwszym zadaniem jest przejrzenie poczty.

- Będiesz też próbować mojego jedzenia? - spytałam sarkastycznym tonem.

Zarumieniła się, a znamię na jej policzku zalśniło purpurą. Zadzwonił telefon. To Clive, który dotarł już do pracy. Zaczęłam mu opisywać, co się dzieje w domu, ale przerwał mi, mówiąc, że w sobotę przychodzą do nas na kolację Sebastian z żoną.

- Ale przecież nie mamy stołu w jadalni - zaprotestowałam. - I zdążyliśmy urządzić tylko pół kuchni.

- Jens, dokumentacja, którą przygotowujemy do połączenia firm w przyszłym miesiącu, liczy tysiąc stron. Jeśli ja potrafię sobie z tym poradzić, to ty chyba możesz zorganizować kolację dla klienta.

- Oczywiście, chciałam tylko powiedzieć, że... - Do pokoju weszła Mary z mopem i zaczęła ostentacyjnie zmywać podłogę wokół moich stóp. Kiedy znów zaczęłam mówić, Clive już się rozłączył. Odłożyłam słuchawkę i rozejrzałam się dokoła. Lynne, oczywiście nadal stała w pobliżu. Wiedziałam, co mnie czeka, ale mimo wszystko trochę się rozczarowałam. Jakaś częśćka mnie miała nadzieję, że moja strażniczka zniknie niczym ból głowy, który zaczęłam odczuwać po rozmowie z Clive'em.

- Idę porozmawiać z ogrodnikiem - rzuciłam lodowatym tonem. - Domyślałam się, że chciałabyś go poznać.

- Tak - odparła.

Z długim, opadającym na plecy warkoczem Francis wygląda jak osobnik, który zmierza prosto na imprezę w Stonehenge, lecz tak naprawdę jest absolutnym geniuszem. Jego ojciec był jakąś grubą rybą w marynarce, a on uczył się do Marlborough. Jeśli spojrzysz na niego, mrużąc lekko oczy, można sobie wyobrazić, że podobnie jak Clive pracuje w City. Tyle tylko, że poza tymi długimi na metr włosami, jest mocno opalony i dzięki dźwiganiu ciężarów ma bardzo silne, muskularne ramiona. Niektórzy

mogliby nawet uznać, że jest dość przystojny. Nie wiem nic o jego życiu prywatnym, które, jak się domyślam, jest dość ożywione, ale to jedna z niewielu osób, do których mam bezgraniczne zaufanie.

Przedstawiłam go Lynne, która od razu się zarumieniła. Ale ona rumieni się cały czas.

- Lynne jest tutaj, bo ktoś napisał do mnie głupi list - wyjaśniłam.

Wyglądał na mocno zdziwionego. - Francis będzie u mnie pracował jeszcze przynajmniej przez miesiąc.

- Co dokładnie robisz? - spytała Lynne.

Spojrzał na mnie. Skinęłam głową, a on wzruszył ramionami.

- Najpierw wylaliśmy tu beton i rozsypaliśmy gruz. Potem zwieźliśmy mnóstwo ziemi. Teraz zaczynamy tworzyć ogólny zarys ogrodu i wytyczać ścieżki.

- I robisz to wszystko sam? - spytała Lynne.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście że nie - powiedziałam. - Francis ma całą ekipę zagubionych chłopców, którzy pracują dla niego, kiedy ich potrzebuje. Po Londynie snuje się cała subkultura ogrodników. Są jak gołębie i lisy.

Rzuciłam mu zaniepokojone spojrzenie. Może powiedziałam za dużo. Ludzie potrafią być czasem bardzo drażliwi. Lynne wyjęła notatnik i zaczęła go wypytywać o godziny pracy, płot i dostęp do domu. Zapisała też nazwiska wszystkich jego współpracowników.

Kiedy wreszcie wyszłam z domu, choć było już dość późno, poczułam wielką ulgę. A przynajmniej tak było do czasu, gdy Lynne powiedziała, że jedzie ze mną.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Przepraszam, Jenny. - Tak, zwraca się do mnie po imieniu, choć wcale jej na to nie pozwoliłam. - Nie jestem pewna, jak daleko ma sięgać ochrona, ale dziś nie zamierzam odstąpić cię ani na krok.

Już miałam się wściec, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Na progu stał Stadler, więc to on usłyszał moje protesty. Uśmiechnął się oficjalnie.

- To dla pani bezpieczeństwa. Przyjechałem, żeby sprawdzić, czy

wszystko jest w porządku. Czy ma pani coś przeciwko monitorowaniu rozmów telefonicznych?

- Z czym to się wiąże?
- Praktycznie z niczym. Nawet pani tego nie zauważy.
- Dobrze - jęknęłam.
- Chcemy też sporządzić listę osób, z którymi się pani kontaktuje.

Proszę jutro usiąść z Lynne i przejrzeć swój notes z adresami, terminarz, tego typu rzeczy, dobrze?

- Czy to naprawdę konieczne?
- Jeśli zaczniemy teraz ostro działać, całe to zamieszanie szybciej się skończy.

Złość niemal mi przeszła. Zastąpiło ją poczucie lekkiej odrazy.

Pierwszym przystankiem na naszej drodze było centrum budowlane i miedziane haczyki. O mały włos nie kupiłam okrągłego okna z witrażem ze starego kościoła, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Przynajmniej Lynne nie weszła ze mną do sklepu.

Wchodziła za to do sklepów w Hampstead lub przynajmniej stała na zewnątrz, spoglądając obojętnym wzrokiem na wystawy pełne damskich ubrań. Bóg jeden wie, co sobie o niej myślały sprzedawczynie. Ja udawałam, że ją ignoruję. Potrzebowałam kupić coś na sobotnią kolację. Zabrałam do przymierzalni całe naręcze ubrań, ale kiedy wyszłam, mając na sobie wyszywany koralikami różowy top, i chciałam obejrzeć się w dużym lustrze, dostrzegłam przez okno jej twarz. Wyszłam ze sklepu z pustymi rękami.

- Znalazłaś to, czego szukałaś? - spytała. Zupełnie jakbyśmy były przyjaciółkami, które wybrały się razem na zakupy.

- Nie szukałam niczego konkretnego - syknęłam.

Wstąpiłam do sklepu mięsnego, by kupić ulubione kielbaski chłopców, po czym zajrzałam do mieszczącego się obok sklepu z antykami. Już wcześniej wpadło mi tam w oko lustro w złoczonej oprawie. Kosztowało 375 funtów, ale byłam pewna, że zdołam kupić je taniej. Będzie idealnie pasowało do holu, kiedy wreszcie pomalują tam ściany.

Umówiłam się na lunch z Laurą, więc kiedy odebrałam naszywki z nazwiskiem Christa na wszystkie jego ubrania do Lascelles, zjechałam ze

wzgórza. W lusterku wstecznym cały czas widziałam samochód Lynne. Laura już na mnie czekała. Choć cieszyłam się na to spotkanie, nie sprawiło mi oczekiwanej przyjemności. Lynne siedziała na zewnątrz w samochodzie i jadła kanapkę. Widziałam ją cały czas, grzebiąc widelcem w sałatce z pieczonej czerwonej papryki. Czytała książkę w miękkich okładkach. Gdyby do restauracji wszedł nagle mężczyzna z siekierą, prawdopodobnie nawet by go nie zauważyła. Nie mogłam się skoncentrować na niczym, co mówiła do mnie Laura. Skróciłam znacznie nasze spotkanie, mówiąc, że muszę już pędzić.

Następny przystanek na naszej drodze to Tony w Primrose Hill. Normalnie uwielbiam wizyty u fryzjera. Czuję się cudownie, siedząc w małym, eleganckim pomieszczeniu pełnym luster, tacek z kolorowymi płynami, pachnącym parą i perfumami. Szczęk nożyczek tnących włosy zawsze działa na mnie kojąco.

Ale nie dzisiaj. Było mi gorąco, byłam zła i rozkojarzona. Bolała mnie głowa, a przepocone ubranie kleiło się nieprzyjemnie do ciała. Nowa fryzura też mi się nie spodobała. Sprawiała, że nos wydawał się zbyt duży, a twarz zbyt koścista. Kiedy jechałam do domu w gęstniejącym coraz bardziej ruchu ulicznym, ogarniała mnie coraz większa wściekłość, więc stojąc na światłach, przyciskałam niecierpliwie pedał gazu. Lynne cierpliwie jechała za mną. Czasami była tak blisko, że widziałam w lusterku jej piegi. Pokazałam język, wiedząc, że nie może tego zauważyć.

Przez resztę dnia chodziła za mną krok w krok niczym wierny pies - taki, którego ma się ochotę kopnąć. Poszła za mną, kiedy odprowadzałam Christa do kolegi - małego, mizernego chłopca o imieniu Todd. Jak można dać dziecku takie imię? Potem musiałam odebrać chłopców, bo Lena miała wolny wieczór. Środy zawsze są najgorsze. Josh został po lekcjach w szkole na zajęciach kółka komputerowego. Odbywają się one w Portakabin, gdzie unosi się przykry zapach przepoconych stóp. Zwykle kiedy po niego przyjeżdżam, siedzi przy komputerze z chłopcem, na którego mówią Scorpion lub Spider. Wybierają sobie strasznie głupie przydomki. Josh do niedawna nazywał się Ganymede, ale doszedł do wniosku, że brzmi to



po dziewczynisku i zmienił je na Eclipse. To jego komputerowe hasło. Jego najlepszy przyjaciel wybrał Freak, pisane przez ph: Phreak. Traktują to wszystko ze śmiertelną powagą.

Tego wieczoru jednak Josh siedział skulony na krześle, a miły młody człowiek, który prowadzi z nimi co tydzień zajęcia, przykucnął przy nim, coś mu żarliwie tłumacząc. Przypomniałam sobie, że kiedy poznałam go przed paroma tygodniami, powiedział mi, iż wszyscy nazywają go Hacker. Gdy się skrzywiłam, rzucił szybko, że to nie jest jego prawdziwe imię i mogę mówić do niego Hack.

- Czy to jest pana prawdziwe imię? - spytałam, lecz on tylko się roześmiał.

Wszyscy chłopcy nadal mieli na sobie szkolne mundurki, lecz Hack ubrany był w stare, podarte džinsy i podkoszulek zadrukowany japońskimi napisami. Był jeszcze bardzo młody, miał długie, kręcone włosy. Wyglądał niemal jak uczeń szóstej klasy. W pierwszej chwili pomyślałam, że Josh miał jakiś wypadek, że ktoś rozbił mu nos, ale kiedy podeszłam bliżej i obaj podnieśli głowy, zauważyłam, że płacze. Miał zaczerwienione oczy. Bardzo mnie to zdziwiło. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio płakał. Wyglądał przez to na jeszcze młodszego i bardziej bezbronniego. Pomyślałam, że jest bardzo chudy i blady. Spojrzałam na pokryte przyszczami czoło i rysujące się na szczupłej szyi jabłko Adama.

- Josh! Co się stało?

- Nic - odparł bardziej rozniewanym niż nieszczęśliwym tonem. Wstał gwałtownie. - Do zobaczenia we wrześniu, Hack, w następnym semestrze.

Hack. Też mi coś. Nic dziwnego, że Josh nie może się pozbierać.

- Kto wie? Może zabierze mi cię letnia miłość - powiedział Hack.

- Co takiego? - spytałam.

- To tylko taka piosenka - odparł.

- Czy wszystko w porządku?

- To? - Wskazał gestem na Josha. - To nic wielkiego, proszę pani.

- Jenny. - Poprawiłam go jak co tydzień. - Proszę mówić do mnie Jenny.

- Przepraszam, Jenny.
- Wyglądał na poruszonego.

Hack zbyt szybko tym nie przejął.

- To prawdopodobnie szkoła, lato, tego typu sprawy. Poza tym nieźle oberwał na ekranie.

- Może ma niski poziom cukru we krwi.
- Możliwe. Daj mu trochę słodczy, Jenny.

Spojrzałam na Hacka. Nie wiedziałam, czy się ze mnie śmieje, czy mówi poważnie.

Harry przebywał po drugiej stronie szkoły, w wielkiej sali, która raz do roku, podczas szkolnego przedstawienia, zamieniała się w teatr. Kiedy weszliśmy z Joshem do środka, Harry z purpurową twarzą stał z boku sceny w narzuconej na spodnie żółtej sukni i w boa z piór na szyi. Jego widok znacznie poprawił Joshowi humor. Na scenie kręciła się grupka chłopców, część z nich również w jasnych sukniach.

- Harry - zawołał mężczyzna z niewielkim wąsikiem, okrągłą głową i króciutko ostrzyżonymi włosami. Najprawdopodobniej gej. - Harry Hintlesham, to twoje wejście. No już! „Spotkamy się o blasku księżycy, dumna Tytanio”. Powinieneś wejść na scenę, gdy Roley wypowiada tę kwestię.

Harry ruszył niepewnym krokiem, potykając się o suknię.

- O, zazdrosny Oberonie - mruknął pod nosem. Włosy miał mokre od potu. - Wróżki, odstępście, mam długi...

- Przeskocz tutaj - ryknął mężczyzna z wąsikiem. - Nie tam, tutaj, chłopcze, i na miłość Boską, mów głośniej. Koniec próby. Rodzice nie mogą teraz tego oglądać. Sztuka będzie gotowa na święta. A skoro mowa o rodzicach, to przybyła twoja uroczą mamą, Tytanio. Dobry wieczór, pani Hintlesham. Pani obecność rozświetla naszą mroczną salę.

- Jenny. Dobry wieczór.
- Proszę przypilnować syna, żeby nauczył się roli.
- Spróbuję.
- I przekonąć go, żeby zaczął używać dezodorantu, dobrze?

*Nie żyje. Oczywiście. Tak jak chciałem. Oczywiście. Ale czuję się oszukany. To jasne. Zapomnij o tym. Będzie następna. Następna kobieta.*

*Za bardzo się małuje. Przypomina maskę. Cała jej twarz jest lśniąca i zadbana - błyszczące wargi, ciemne rzęsy, kremowomleczna skóra, starannie uczesane lśniące włosy. Jest jak obraz, stale poprawiany i wygładzany. Wizerunek prezentowany światu. Ale przede mną się nie ukryje. Wyobrażam sobie jej twarz pozbawioną makijażu. Zmarszczki wokół oczu, nosa, ust; jej wargi byłyby blade, miękkie, nerwowe.*

*Kiedy idzie ulicą, stale zerka na swoje odbicie w szybach wystawowych, sprawdza, czy wszystko jest na miejscu. I zawsze jest. Ubranie wyprasowane, fryzura przypomina dobrze dopasowaną czapkę. Zadbane paznokcie pomalowane blad różowym lakierem, paznokcie u nóg też blad różowe, ładnie wyglądają w drogich sandałach. Ma gładkie nogi. Trzyma się prosto, broda podniesiona do góry. Jest czysta, zadbana, aż kipi energią i pewnością siebie.*

*Ja ją jednak obserwowałem. Zaglądam za jej uśmiech, który nie jest prawdziwym uśmiechem, i za jej śmiech, który, jeśli dobrze się wsłuchać, jest wymuszony i nerwowy. Ona sama przypomina zbyt mocno naciągniętą strunę skrzypiec. Nie jest szczęśliwa. Gdyby była szczęśliwa albo szalała ze strachu lub pożądania, stałaby się prawdziwie piękna. Wyzwoliłaby się ze swojej skorupy. Ale ona nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie jest szczęśliwa. Tylko ja to wiem. Tylko ja potrafię zajrzeć do jej wnętrza i ją uwolnić. Czeka na mnie, uwięziona w sobie, nietknięta przez świat.*

*Los się do mnie uśmiecha. Teraz to widzę. Początkowo nie wiedziałem, że stałem się niewidzialny. Nikt mnie nie może dostrzec. Mogę to robić dalej. Bez końca.*

## 5

Jest bardzo późno, niemal północ, lecz nadal panuje niemilosierny upał. Choć otworzyłam okna na górze, wpadający przez nie wiatr też jest ciepły, jakby nadlatywał z nad pustyni. Clive jeszcze nie wrócił. Jego sekretarka, Jan, zadzwoniła do domu i powiedziała Lenie, że Clive wróci bardzo późno. No i jest już bardzo późno, a jego nadal nie ma. Jak zwykle zostawiłam mu kanapki w lodówce. Sama też jedną zjadłam.

W domu panuje głęboka cisza. Lena wyszła Bóg jeden wie dokąd i Bóg jeden wie, kiedy wróci. Chłopcy już śpią. Tuż po jedenastej poszłam na górę i zgasiłam im światło. Nawet Josh już spał, wyczerpany wieczorem spędzonym przy telefonie. Uporałam się już ze wszystkim. Zaczęłam pakować rzeczy Josha i Harry'ego, którzy mają jutro samolot. Przez kilka następnych tygodni w domu będzie bardzo cicho i to z różnych powodów.

Nie przepadam specjalnie za alkoholem. Clive lubi tylko najlepsze wino, ale gdyby chodziło tylko o mnie, w ogóle nie zavracałabym sobie tym głowy. Tego wieczoru było jednak tak straszliwie duszno, a ja czułam się tak dziwnie poirytowana, że pomyślałam nagle o dżinie z tonikiem. Zupełnie tak, jakbym przeczytała reklamę w jakimś magazynie. Wyobraziłam sobie piękną, zmysłową kobietę o złocistej opaleniznie, znajdującą się w bardzo egzotycznym miejscu. Trzymała w dłoni szklankę tak zimną, że natychmiast pokryła ją delikatna warstwa wilgoci. Kobieta pociła się w bardzo seksowny sposób, a pomiędzy kolejnymi łykami przyciskała szklankę do czoła. Siedziała sama, ale wiadomo było, że czeka na przybycie bardzo atrakcyjnego mężczyzny.

Musiałam więc, oczywiście, napić się dżinu. Nie do wiary, ale w domu nie było cytryny, znalazłam jedynie wyschnięty plasterek ukryty w drzwiach lodówki, który musiał mi wystarczyć. Zrobiłam sobie drinka i poczułam, że mam ochotę coś przegryźć.

Znalazłam tylko chrupki serowe, które dają Chrisowi na lunch. Usiadłam i zjadłam całą paczkę. Zabrało mi to tylko minutę. Ze zdumieniem odkryłam, że opróżniłam też kieliszek. Ponieważ nalałam do niego bardzo mało dżinu, uznałam, że mogę wypić jeszcze trochę, zabrałam więc drinka na górę do łazienki.

Nie pociałam się tak ładnie ani tak seksownie jak dziewczyna z reklamy. Bluzkę na plecach miałam mokrą, stanik też był wilgotny, podobnie jak brzegi majtek. Skóra lepiała się dosłownie wszędzie. Czułam, że bardzo brzydko pachnę. Pomyślałam, że cała zaczynam gnić.

Kąpiel była ciepła i pachnąca. Kiedy wypiałam połowę drugiego drinka, wyraźnie się rozluźniłam. Na przykład, choć nalałam do wody sporo płynu do kąpieli i umyłam włosy, to splukałam je w wannie, nie zawracając sobie głowy prysznicem. Normalnie nigdy tego nie robię. Czy wspominałam już, że dostałam drugi list?

Dziś, tuż po lunchu, wciąż ktoś coś dostarczał: farbę we właściwym odcieniu, grzejniki, które powinniśmy dostać ponad miesiąc temu. Czułam się zupełnie tak, jakby do naszego domu co chwilę wchodziła drużyna rugbystów. Na koniec Lena znalazła na wycieracze zaadresowaną do mnie kopertę. Przyniosła ją. Od razu wiedziałam, co to jest, jednak otworzyłam.

*Droga Jenny,*

*Jesteś piękną kobietą. Ale nie wtedy, gdy przebywasz w towarzystwie. Tylko kiedy jesteś sama, idziesz ulicą. Czasami, gdy się nad czymś zastanawiasz, przygryzasz górną wargę. Śpiewasz coś pod nosem.*

*Patrzysz na swoje odbicie w szybach, a ja patrzę na Ciebie. To nas łączy. Pewnego dnia będę na Ciebie patrzył, ale Ty będziesz martwa.*

Oczywiście trochę mnie to przestraszyło, ale przede wszystkim zdenewowało. Nie, nie zdenewowało, wściekło. Już od dwóch dni Lynne nie odstępowała mnie ani na krok. Czaiła się w tle, niby dyskretnie, ale stale tu była. Denerwowała mnie, ale była zbyt uprzejma, by okazać niezadowolenie, gdy na nią warczałam. Przed domem stał zaparkowany radiowóz, obserwowali mnie z niego jacyś ludzie, przez cały dzień nie spuszczano

mnie z oka. I na nic się to nie zdało. Kiedy przeczytałam list, poszłam jej poszukać. Rozmawiała przez telefon. Stałam przed nią i czekałam, aż poczula się zawstydzona i odłożyła słuchawkę.

- Mam coś, co powinno cię zainteresować - powiedziałam, podając jej list.

Podsłoczyła jak oparzona. Nie minęło dziesięć minut, a w kuchni siedział już Stadler, patrząc na mnie z uwagą.

- Na wycieracze, tak? - spytał niewyraźnym głosem.

- Tam znalazła go Lena - odparłam cierpko. - Ten osobnik najwyraźniej opracował własny sposób na dostarczanie poczty. Szczerze mówiąc, zaczynam się zastanawiać, po co to całe zamieszanie, skoro on nadal może bez trudu podejść do domu i zostawić list.

- To rzeczywiście spore rozczarowanie - powiedział Stadler, przeczesując palcami włosy. Przystojny, i doskonale o tym wie, jak o tego typu mężczyznach wyrażała się z dezaprobatą moja babcia. - Czy widziała pani kogoś, kto zbliżał się do domu?

- Tłum ludzi kręcił się tu przez cały dzień, wchodził do środka.

- Czy dostarczono coś jeszcze?

- Tak, mnóstwo rzeczy.

- Czy mogłaby pani opisać ludzi, którzy je przywieźli?

- Nikogo nie widziałam. Proszę zapytać o to Lenę.

Chodziłam tam i z powrotem po kuchni. Stadler siedział przy stole z pęsnym wyrazem twarzy, biedaczek.

- Proszę mi powiedzieć, co tak naprawdę robicie w tej sprawie - rzuciłam.

- Robimy? - powtórzył, jakby moje pytanie było zupełnie pozbawione sensu.

- Tak, proszę mi wybaczyć głupotę, ale będę wdzięczna, jeśli wyjaśni mi pan wszystko ze szczegółami.

Położył rękę na mojej dłoni. Pozwoliłam, żeby ją trzymał przez chwilę, gorącą i ciężką.

- Proszę pani... Jenny, robimy wszystko, co w naszej mocy. Poddaliśmy wszystkie listy najbardziej drobiazgowym testom, próbujemy się dowiedzieć, skąd pochodzi papier, badamy odciski palców w pani domu na wypadek, gdyby się tu włamał. Jak pani wie - próbował uśmiechnąć się smutno, ale wcale to do niego nie pasowało - spotykamy się z wszystkimi

pani przyjaciółmi, znajomymi, ludźmi, którzy dla pani pracowali lub pracują, z osobami, z którymi się pani kontaktuje, i próbujemy wykryć jakikolwiek związek pomiędzy panią i... innymi osobami, które otrzymały podobne listy. No i oczywiście do chwili, kiedy ten osobnik zostanie złapany, dbamy o to, by była pani w stu procentach bezpieczna.

Cofnęłam dłoń.

- Czy to naprawdę ma jakiś sens?

- Co? - spytał Stadler.

- Całe to nedorzeczne zamieszanie z otwieraniem listów i przebywaniem w moim domu.

Zapadła długa chwila ciszy. Najwyraźniej się zastanawiał, co powiedzieć. Wreszcie podniósł głowę i spojrzał na mnie tymi swoimi ciemnymi oczami, zdecydowanie zbyt ciemnymi.

- To bardzo poważna sprawa - powiedział. - Czytała pani listy. Ten człowiek grozi pani śmiercią.

- Tak, listy są dość nieprzyjemne - przyznałam - ale mieszkając w Londynie, trzeba się z czymś takim liczyć. Podobnie jak z nieprzyzwoitymi telefonami, ruchem ulicznym i psimi kupkami na chodnikach.

- Możliwe. Ale musimy traktować to poważnie. Za chwilę połączę się z detektywem Linksem i zaproponuję, a jestem pewny, że się zgodzi, by pani najbliższe otoczenie stało się jeszcze bardziej bezpieczne.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Należy przerwać wszystkie prace w domu. Przynajmniej na jakiś czas.

- Oszalał pan? - Nie kryłam oburzenia. - Z tymi robotnikami trzeba się umawiać sześć miesięcy wcześniej. Za kilka dni Jeremy wyjeżdża do Niemiec. Na początku przyszłego tygodnia w domu zjawią się tynkarze. Chce pan zobaczyć terminarz? Nie mogę go zamknąć i otworzyć znowu, kiedy pan będzie miał na to ochotę.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale to niezbędne.

- Niezbędne dla kogo? Wyłącznie dla pana, bo nie umie pan właściwie wypełniać swoich obowiązków?

Stadler wstał.

- Przepraszam - powiedział. - Przykro mi, że nie złapaliśmy jeszcze tego szaleńca. Ale to trudna sprawa. Normalnie działamy zgodnie z

procedurą, pukamy do drzwi, szukamy świadków. Ale kiedy ktoś wybiera sobie ofiarę na chybił trafił, żadne procedury nie wchodzi w grę. Trzeba jedynie mieć nadzieję, że coś w końcu wypłynie.

Chciałam się roześmiać, ale zachowałam lodowate milczenie. Ten śmieszny człowiek szukał mojego współczucia. Chciał, żebym powiedziała: „No już, w porządku”. Miałam szczerą ochotę wyrzucić go z domu, jego i całą resztę.

- Trzeba poważnie traktować fakt - ciągnął dalej - że on grozi pani śmiercią. Chcemy go oczywiście złapać, ale najpierw musimy zapewnić pani absolutne bezpieczeństwo. Nie ma mowy o podejmowaniu jakiegokolwiek ryzyka. Innym rozwiązaniem może być tylko przeprowadzka w bardziej bezpieczne miejsce.

Czułam się tak, jakby gdzieś głęboko w moim żołądku miał za chwilę wybuchnąć wulkan. Drugie rozwiązanie było jeszcze gorsze od pierwszego, więc z zimną furią zgodziłam się na jego propozycję. Zapytałam, kiedy robotnicy mają opuścić dom. Odparł, że natychmiast, najlepiej jeszcze teraz, gdy on jest tutaj. Przesłam więc przez dom niczym ochroniarz w nocnym klubie i poprosiłam, by wszyscy wyszli. Potem przez straszliwą godzinę dzwoniłam do zdumionych ludzi, tłumaczyłam, dlaczego tak się stało i próbowałam umówić się na inny termin w niedalekiej przyszłości.

Wypiłam resztę dzinu z tonikiem, wyszłam z wanny i owinęłam się w duży, miękki ręcznik. W łazience było tak gorąco i wilgotno, że mimo wycierania, skóra nadal było mokra. Szybko wyszłam do sypialni. Drzwi do wbudowanych w ściany szaf miały lustro. W przyszłym tygodniu miano je usunąć. Teraz stanęłam przed jednym z nich i przyglądałam się sobie uważnie, wycierając najpierw włosy, a potem całe ciało. Robiłam to bardzo rzadko i nigdy nie patrzyłam na siebie nagą, bez makijażu.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ktoś spojrzy na to ciało po raz pierwszy i uzna je za atrakcyjne. Zmrużyłam oczy i przechyliłam głowę na bok, ale to nie pomogło. Tak właśnie bywa w długotrwałych małżeństwach: stajesz się po prostu jednym z mebli, czymś, czego nie zauważasz do czasu, gdy zaczyna się psuć. Może dlatego inne rzeczy - mam na myśli oczywiście innych ludzi - mogą się wydać bardziej kuszące. Próbowałam sobie przypomnieć, jak to było, gdy razem z Clive'em oglądaliśmy



siebie po raz pierwszy w ten sposób. To zabawne, ale w ogóle nie pamiętałam tamtego pierwszego razu. W jego pierwszym mieszkaniu w Clapham. Pamiętałam wszystkie szczegóły: sztukę, którą wcześniej oglądaliśmy, co potem jedliśmy, pamiętałam nawet jakie ubranie miałam na sobie (Clive potem sam je ze mnie zdjął), ale co czułam, oglądając po raz pierwszy nasze nagie ciała... to zupełnie wypadło mi z pamięci.

Wcześniej miałam na poważnie tylko jednego chłopaka. No, przynajmniej dla mnie była to dość poważna sprawa. Był fotografem, nazywał się Jon Jones. Teraz jest nawet sławny. Można znaleźć jego nazwisko na stronach „Harper's” i „Vogue”.

Wykonywał zamówienie na reklamę lakieru do paznokci. Ja użyczyłam dłoni i tak się zaczęło. Jeśli chodzi o seks, byłam bardzo zdenerwowana. Nie wiedziałam, co robić. Przede wszystkim byłam posłuszna. Nie jestem pewna, czy to było podniecające od strony czysto technicznej, ale sama myśl o nim bardzo mnie podniecała.

Czułam się jak we śnie, aż nagle uświadomiłam sobie, że stoję naga w sypialni przy zapalonym świetle. Nie zaciągnęłam zasłon. Okno było otwarte. Podeszłam szybko, żeby je zamknąć, lecz zmieniłam zdanie. Co z tego, że ktoś mnie zobaczy? Czy jest w tym coś złego? Przez chwilę stałam nieruchomo. Do pokoju wpadał gorący wiatr. W tej chwili oddałabym wszystko za podmuch chłodnego powietrza. Było zbyt gorąco, by zamykać okno, ale odwróciłam się i zgasiłam światło. Wyszło na jedno.

Położyłam się na łóżku na plecach, odrzucając pościel. W taki wieczór nawet prześcieradło przyprawiało o ból. Dotknęłam czoła i piersi. Znów byłam spocona. Przesunęłam palce w dół brzucha i wsunęłam je między nogi. Poczulałam ciepło i wilgoć. Dotknęłam się delikatnie i spojrzałam w sufit. Jak to jest, gdy ktoś patrzy na ciebie pierwszy raz? Jak to jest, gdy ktoś cię pragnie? Pożąda? Patrzy na ciebie. Pragnie.

## 6

Świetnie sobie radzę z pakowaniem. Zawsze pakuję rzeczy Clive'a, gdy wyjeżdża na parę dni. Jeśli chodzi o odpowiednie składanie koszul, mężczyźni są beznadziejni. Teraz pakowałam rzeczy chłopców, którzy wyjeżdżali

na letni obóz w dzikich ostępach Vermontu. Dowiedzieliśmy się o tym obozie przed laty od przyjaciela Clive'a z pracy. Trzy tygodnie zjazdów na linie, windsurfing i przesiadywanie wieczorami przy ognisku, a w przypadku Josha prawdopodobnie obserwowanie ponętnych dziewcząt w skąpych szortach. Powiedziałam mu to, składając starannie w walizce podkoszulki, szorty, spodnie i kąpielówki. Spojrzał na mnie posepnie.

- Chcesz się nas tylko pozbyć z domu - mruknął.

Ostatnimi czasy wyłącznie mruczy pod nosem i z trudem go rozumiem. Czuję się trochę tak, jakbym powoli traciła słuch.

- Josh, wiesz doskonale, że w zeszłym roku byłeś zachwycony. Harry wcale nie uważa, że obóz trwa za długo.

- Ja nie jestem Harry.

- Tylko nie mów, że będziesz za mną tęsknił - rzuciłam wesoło.

Spojrzał na mnie poważnie. Ma duże brązowe oczy i potrafi nimi patrzeć z wyrzutem, jak pluszowy osiołek. Zauważyłam jak bardzo jest błądy i chudy: obojczyki sterczą mu pod skórą, a nadgarstki są skłębioną masą ścięgien. Kiedy zdjął koszulę, by przed lotem założyć czyste ubranie, jego żebra przypominały drabinę, po której bez trudu można by się wspiąć po chudym ciecie.

- Przyda ci się trochę świeżego powietrza. Temu pokojowi zresztą też. Czy ty nigdy nie otwierasz okien?

Nie odpowiedział, wpatrywał się tylko smutnym wzrokiem w ulicę na dole. Zaklaskałam w dłonie, żeby go przywołać do rzeczywistości.

- Śpieszę się. Ojciec za godzinę zabiera was na lotnisko.

- Zawsze się spieszysz.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić tuż przed wyjazdem na wakacje.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Dlaczego nie załatwisz sobie jakiejś pracy?

- Gdzie twój dezodorant? Ja już mam pracę. Jestem twoją matką. Byłbyś pierwszy w kolejce do narzekania, gdybym przestała cię wozić na imprezy i do klubu, gotować ci obiad i prać ubrania.

- Czym się zajmujesz, gdy Lena pracuje za ciebie?

- Urządzam ten dom. I wygląda na to, że taki układ ci się podoba. No

dobra, co zamierzasz robić do odjazdu? Masz niewiele czasu. Może pójdziesz do Christa? Będzie za tobą tęsknił.

Josh usiadł przy komputerze.

- Za chwilę. Chcę jeszcze spojrzeć na tę nową grę. Dopiero ją dostałem.

- Widzisz? Dlatego cieszę się, że wyjeżdżasz. Inaczej spędziłbyś trzy tygodnie w ciemnym pokoju, siedząc przed ekranem komputera. A skoro już tutaj jesteś, możesz zdjąć pościel i przygotować ją Mary do prania. - Cisza. Powoli wychodziłam z pokoju, ale jeszcze się zatrzymałam. - Josh? - Cisza. - Będziesz za mną tęsknił? Och, na miłość Boską, Josh! - Teraz już krzyczałam.

Odwrócił się z wyraźną niechęcią.

- Co?

- Nie, nic.

Zostałam go samego z bezkrwawą walką, w której każdy cios przypominał odgłos padającego drzewa.

Uścisnęłam Harry'ego, choć on zapewne uważa, że mając jedenaście lat, jest już za duży na przytulanie, bo stał sztywno w moich ramionach. Jest bardzo wesołym chłopcem, na szczęście nie ma w sobie nic z humorów Josha. Jest podobny do mnie, ja też nie marnuję czasu na rozmyślania. Wystarczy spojrzeć na jego kręcone brązowe włosy, zadarty nos i mocne nogi. Josh wygląda przy nim jak szkielet, z chudą szyją wystającą z nowej, trochę za dużej koszuli. Pocałowałam go w policzek.

- Baw się dobrze, Josh. Na pewno będziesz zachwycony

- Mamo...

- No, kochani, musicie już iść. Tato czeka w samochodzie. Bądźcie grzeczni i nie pakujcie się w żadne kłopoty. Do zobaczenia za trzy tygodnie. Pa, kochani. Pa. - Machałam do nich, aż zniknęli mi z oczu.

- Chodź, Chris, przez najbliższe trzy tygodnie będziemy tylko ty i ja.

- I Lena.

- Oczywiście, Lena też. Prawdę mówiąc, zabierze cię zaraz do zoo. Weźmiecie ze sobą koszyk piknikowy. Mamusia ma dziś dużo pracy.

Byłam zajęta gotowaniem na to przekłete przyjęcie, do którego zmusił mnie Clive. Nie pamiętałam już chwili, gdy ostatni raz zostałam sama w domu. Panowała w nim dziwna cisza. Nie było Josha i Harry'ego, Chrisa i Leny, Clive'a, Mary; nie było Jeremy'ego, Leo i Francisa. Nie słychać było uderzeń młotków, pogwizdywania robotników malujących ściany; nie dźwięczał dzwonek do drzwi oznajmiający kolejną dostawę żwiru, tapet czy kabli elektrycznych. No, byłam prawie całkiem sama. Lynne zawsze czała się gdzieś w pobliżu, niczym trzmiel wpadający co jakiś czas do pokoju i znów wylatujący na świeże powietrze.

Nasz dom, do tej pory plac budowy, co samo w sobie było złe, teraz stał się porzuconym placem budowy: do połowy położone tapety w pokoju gościnnym, panele podłogowe czekające, by je położyć w pomieszczeniu, które kiedyś stanie się jadalnią, płachty materiału rozłożone w salonie, przygotowane do malowania, które nie nastąpi, ogród pełen chwastów i dziur. Policja może nigdy nie złapie mężczyzny, który mi groził, za to skutecznie zablokowała wszystkie moje plany. A ta Schilling nieźle się na mnie wkurzyła.

Była u mnie. Znów ta irytująca gadka i wyczekujący wyraz twarzy, który na pewno ćwiczy przed lustrem. Natrętne pytania o moje życie, a Clive'a, mężczyzn, pytania, pytania, pytania. Twierdzi, że to standardowa część każdego dochodzenia. Czasami nie mogę oprzeć się poczuciu, że ten przestępca w ogóle ją nie interesuje. Tak naprawdę chce rozwiązać moje problemy. Zmienić mnie w inną osobę. Jaką? Pewnie w taką jak ona. Wciąż mam ochotę powiedzieć jej, że nie jestem drzwiami, które pewnego dnia staną otworem, odsłaniając kryjący się w moim wnętrzu piękny ogród. Przykro mi. Taka właśnie jestem: ja, Jenny Hintlesham, żona Clive'a, matka Josha, Harry'ego, Chrisa. Można mnie taką zaakceptować albo zostawić. Najlepiej zostawić - zostawić w spokoju, żebym mogła znów się zająć swoim życiem.

Nie przepadam zbyt bardzo za gotowaniem, ale lubię przygotowywać kolacje dla gości, jeśli oczywiście mam na to dość czasu. A dziś mam go mnóstwo. Lena nie wróci do podwieczorku, a Clive prosto z lotniska pojedzie na pole golfowe. Przejrzałam książki kucharskie, które nadal leżą w kartonowym pudle pod schodami. Z powodu upału postanowiłam przyrządzić

typowo letni posiłek: świeży, chrupiący, z mnóstwem dobrego, białego wina. Kanapki z grzybami będę musiała przygotować w ostatniej chwili, gazpacho zrobiłam wczoraj wieczorem, kiedy Clive siedział przed telewizorem. Danie główne - barwę w sosie pomidorowo-szafranowym, podawaną na zimno - mogę przyrządzić teraz. Najpierw wzięłam się za sos: gęsty, z oliwą z oliwek, cebulą, ziołami z ogródka (Francis zdążył przynajmniej założyć ogródek z ziołami, zanim wstrzymałam wszystkie prace), mnóstwem czosnku i obranych ze skórki pomidorów. Kiedy jest już gęsty, dodaje się czerwone wino, odrobinę octu winnego i trochę szafranu. Uwielbiam szafran. Położyłam sześć kawałków barweny na długim półmisku i polałam je sosem. Trzeba je dusić na wolnym ogniu przez pół godziny, potem można odstawić do spizarni.

Na deser postanowiłam podać dużą tartę z morelami. Zawsze prezentuje się wspaniale, a o tej porze roku morele są rewelacyjne. Rozwałkowałam ciasto (kupiłam gotowe, naprawdę są pewne granice ofiarności) i wyłożyłam nim formę. Potem wymieszałam mielone migdały, cukier, masło i jajka i wylałam masę na ciasto. Potem pokroiłam morele na połówki i ułożyłam je na wierzchu. Na koniec trzeba już tylko wsunąć formę do nagrzanego piekarnika na dwadzieścia pięć minut. Smakuje rewelacyjnie z odrobiną bitej śmietany. Wino i szampan chłodziły się już w lodówce. Masło czekało pocięte na małe kostki. Razowe bułeczki kupię świeże po południu. Zieloną sałatę przyrządzę tuż przed podaniem.

Kolację zjemy w kuchni, nie zważając na ważnego klienta Clive'a. Ustawiłam jednak chiński parawan, dzieląc pomieszczenie na pół, i przykryłam stół białym koronkowym obrusem, który dostałam od kuzynki w prezencie ślubnym. Ze srebrnymi sztuccami, masą pomarańczowych i żółtych róż stół prezentował się naprawdę pięknie.

Zaprosiłam też Emmę i Jonathana Bartonów. Bóg jeden wie, jaki okaże się ten Sebastian i jego żona. Wyobrażałam sobie tęgawego typa z City, ze sporym brzuchem i popękkanymi naczynkami na nosie oraz jego nadętą, ambitną żonę. Na pewno okaże się tlenioną blondyną o mocno zaokrąglonych biodrach, ubraną jak na bizneswoman przystało. Nie zazdroścę

takim kobietom, niektóre traktują czasami osoby takie jak ja nieco protekcjonalnie.

Tego wieczoru chciałam wyglądać dobrze. Emma Barton ma grube biodra, duże piersi i pełne wargi, które maluje jasnoczerwoną szminką nawet rano, gdy odwozi dzieci do szkoły. Dla mnie jest nieco zbyt wyzywająca, ale najwyraźniej podoba się mężczyznom. Problem polega na tym, że zaczyna powoli się starzeć. Jest mniej więcej w moim wieku, może trochę starsza. Wydymanie ust i chichotanie jest urocze, gdy ma się dwadzieścia lub trzydzieści lat, ale zaczyna wyglądać śmiesznie, gdy ma się czterdzieści, a po pięćdziesiątce staje się żalosne. Znamy Bartonów od zawsze. Dziesięć lat temu on nie widział poza nią świata, lecz teraz zauważyłam, że szuka wzrokiem kobiet, które wyglądają dokładnie tak, jak Emma przed laty.

O szóstej wzięłam długą kąpiel i umyłam włosy. Usłyszałam otwierane na dole drzwi i do domu weszła Lena z Chrisem. Założyłam szlafrok i usiadłam przed lustrem. Na wieczór przyda się trochę mocniejszy makijaż. Nie tylko podkład, ale i róż na policzkach, szarozielone cienie na powiekach, ciemnoszara kredka, szminka w kolorze dojrzałej śliwki, ulubione perfumy za uszami i na nadgarstkach - później dodam jeszcze parę kropel. Zwykle, między daniami, znikam na chwilę w sypialni, by poprawić makijaż i skropić się perfumami. To dodaje mi odwagi.

Założyłam długą czarną suknię na cienkich ramiączkach, a na nią narzuciłam delikatny top z ciemnobrązowej koronki z lamówkami z czarnego aksamitu przy dekolcie i rękawach, który zeszłego roku kupiłam za ciężkie pieniądze we Włoszech. Buty na wysokich szpilkach. Brylantowy naszyjnik i kolczyki. Przyjrzałam się sobie w dużym lustrze. Nikt nie pomyśli, że zbliżam się do czterdziestki. Trzeba sporo wysiłku, by długo pozostać młodym.

Usłyszałam, że Clive wrócił do domu. Musiałam pójść i powiedzieć dobranoc Chrisowi, i upewnić się, zanim wszyscy przyjdą, że wszystko u niego w porządku. Czy pamiętałam, żeby położyć czekoladki na blacie szafki?

Chris był spalony przez słońce i rozdrażniony. Zostawiłam go przy świetle nocnej lampki, słuchającego taśmy Roalda Dahla. Modliłam się, żeby podczas kolacji nie zaczął marudzić. Clive brał prysznic. Na dole przykryłam mój wieczorowy strój wielkim fartuchem i zaczęłam nakładać

grzyby na kanapki. Wrzuciłam sałatę do miski. Podam rybę z samą tylko sałatą. Podstawą elegancji jest prostota. Niebo za oknem w kuchni miało barwę malin. Czerwone niebo wieczorem, radość pasterzy. Josh i Harry na pewno dotarli już na miejsce.

- Cześć - powiedział Clive. Był opalony i w garniturze prezentował się doskonale. Otaczała go aura sukcesu.

- Wyglądasz bardzo elegancko. Ale nie widziałam wcześniej tego krawata - powiedziałam. Chciałam, żeby mi powiedział, że wyglądam dziś wieczór bardzo pięknie.

Przesunął palcami po węźle krawata.

- Nie, jest nowy.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

Sebastian ani jego żona Gloria w najmniejszym stopniu nie wyglądali tak, jak sobie wyobrażałam. Sebastian był wysoki i - o dziwo - łyсы. Gdyby nie czuł się tak skrepowany, byłby nawet przystojny w nieco złowieszczy, typowy dla Hollywood sposób. Clive traktował go z lekką pogardą, chwilkami nawet nieuprzejmie. Olśniło mnie nagle, że Clive postanowił wykołować Sebastiana w procesie przejęcia firmy, a dzisiejsza kolacja jest tylko okrutną demonstracją fałszywej przyjaźni. Gloria, łowczyni głów z City, była o wiele młodsza od męża - na oko zbliżała się do trzydziestki. Jej jasne, niemal srebrne włosy na pewno nie były dziełem fryzjera. Miała bładoniebieskie oczy, szczupłe brązowe ramiona, zgrabne kostki, z cieni-  
kim srebrnym łańcuszkiem wokół jednej z nich. Na ten upalny wieczór założyła prostą, białą luźną sukienkę, która pasowała wręcz idealnie do delikatnego makijażu. Na jej widok poczułam się jak przebrana. Emma wyglądała przy niej jak balon.

Wszyscy trzej mężczyźni koncentrowali całą uwagę tylko na niej, odwracali się subtelnie w jej stronę, gdy popijając szampana, staliśmy na rozgrzebanym patio. Była w pełni świadoma swojej urody. Spuszczała niewinnie rzęsy i hojnie rozdawała półuśmieszki. Jej śmiech przypominał delikatny srebrny dzwoneczek.

- Ładny krawat - powiedziała do Clive'a, rzucając mu ten uśmiech. Widząc to, miałam ochotę wylać jej wino na sukienkę.

Wyglądało na to, że poznali się już wcześniej - zważywszy na ich pracę, nie było to aż tak mało prawdopodobne. Razem z Sebastianem, Clive'em i Jonathanem rozmawiali o Footsie i przyszłości rynku, gdy tymczasem ja z Emmą tkwiłam przy krzaku agrestu.

- Zawsze uważałam, że Footsie to komiczna nazwa dla indeksu - powiedziałam głośno, nie chcąc, by mnie zupełnie ignorowano.

Gloria odwróciła się uprzejmie w moją stronę.

- Czy ty też pracujesz w City? - spytała, choć wiedziałam, że wie doskonale, że tak nie jest.

- Wielkie nieba, nie. - Roześmiałam się głośno i wypiłam łyk szampana. - Nawet grając w brydża, nie potrafię dodać punktów. Nie, razem z Clive'em postanowiliśmy, że kiedy na świat przyjdą dzieci, przestanę pracować poza domem. A ty masz dzieci?

- Nie. Czym się wcześniej zajmowałaś?

- Byłam modelką.

- Ale używałaś tylko swoich rąk - dodała szybko Emma.

Zawsze można liczyć na przyjaciółkę.

- Masz bardzo ładne ręce - odezwał się dość sztywno Sebastian.

Pomachałam dłońmi, żeby wszyscy mogli je podziwiać.

- Były moim skarbem - powiedziałam. - Przez cały czas nosiłam rękawiczki, nawet podczas posiłków. Czasami nawet w łóżku. Wariactwo, prawda?

Jonathan nalał nam szampana. Gloria szepnęła coś do Clive'a, który uśmiechnął się do niej promiennie. Na górze Chris zaczął płakać. Szybko dopiłam szampana.

- Bardzo was przepraszam. Nie przeszkadzajcie sobie. Obowiązki wzywają. Powiem wam, kiedy kolacja będzie gotowa. i proszę, poczęstujcie się jeszcze kanapkami.

Przełożyłam Chrisowi taśmę, pocałowałam go i powiedziałam, że jeśli jeszcze raz mnie zawoła, będę bardzo zła. Potem weszłam do sypialni. Nałożyłam świeżą warstwę szminki, wyszczotkowałam włosy i roztarłam kroplę perfum między piersiami. Czułam, że jestem lekko wstawiona. Marzyłam o tym, by położyć się do łóżka i poczuć na skórze czystą, chłodną pościel. Chciałam leżeć sama.



Do zupy piłam tylko gazowaną wodę, ale do ryby wypłam kieliszek cudownego chardonnay, kieliszek czerwonego wina do sera brie i bardzo dobre wino deserowe do tarty morelowej. W powodzi alkoholu kawa smakowała świeżością.

- Ależ z niej manipulanka - powiedziałam później do Clive'a, kiedy zmywałam wacikiem makijaż, a on czyścił zęby.

Starannie wypłukał usta. Spojrzał na mnie, stojącą z jednym okiem jeszcze umalowanym.

- Jesteś pijana.

Nagle zapragnęłam go uderzyć i wbić mu w żołądek nożyczki do panokci. Przeraziło mnie to.

- Ależ skąd. - Roześmiałam się. - Tylko lekko wstawiona, kochanie. Ale wszystko poszło świetnie, prawda?

## 7

Moją wielką słabością są katalogi i zamówienia składane za pośrednictwem poczty. W pewnym sensie to czyste szaleństwo, bo zupełnie kłóć się z moim usposobieniem. Jeśli jest coś, w co bezgranicznie wierzę, tym czymś jest przeświadczenie, że wszystkie przedmioty znajdujące się w domu powinny być dokładnie takie, jak powinny. Myśl o posiadaniu rzeczy trochę gorszych, które wybrało się wyłącznie dlatego, że były odrobinę - albo dużo - tańsze, a potem latami stoją wciśnięte gdzieś w kącie pokoju, to dla mnie prawdziwa tortura. Zanim się kupi jakąś rzecz, należy jej dotknąć, obejść dookoła, poczuć, jak wpasuje się w to szczególne miejsce, jakie jej przeznaczono.

Nie powinnam więc w ogóle zawracać sobie głowy katalogami. Ręczniki, które na zdjęciach wyglądają na miękkie i puszyste, mogą okazać się syntetycznymi bublami, a ich odcień na dodatek gryzie się z drewnianą ramą cudownego lustra, które zeszłego lata znalazłam na targu staroci. Łyżki do sałaty tylko w katalogu wyglądają na solidne i ciężkie. Wiem, że teoretycznie można zwrócić każde zamówienie, lecz dziwnym zrzędzeniem losu jakoś nigdy do tego nie dochodzi. Nie potrafię zwalczyć w sobie tego zamilowania, a Clive traktuje je z jawną pogardą, choć przecież sam

do późna w nocy ślęczy nad swoim katalogiem z winami.

Kiedy więc dostaję nowe katalogi, nie mogę się oprzeć, by ich nie przetrzucić i zawsze coś wpadnie mi w oko: adidasy lub kurtka bejsbolowa dla chłopców, zgrabny uchwyt na ołówki, karbowana łyżka, zabawny budzik albo kosz na śmieci, który będzie się całkiem nieźle prezentował w gabinecie. Najczęściej moje zamówienia lądują jednak na strychu lub gdzieś w głębi szafki, czasami jednak udaje mi się zdobyć naprawdę świetne rzeczy. Zawsze jest tak zabawnie, gdy dostaję zamówienie, dostarczone specjalnie do domu, wymagające potwierdzenia. To coś na kształt dodatkowych urodzin. A pod wieloma względami nawet lepsze. Gdybym chciała pokusić się o sarkazm, mogłabym rzec, że kiedy chłopcy - i pewni mężczyźni, których imiona tu przemilczę - potrafią o urodzinach zapomnieć, to firma Next nigdy nie zapomni dostarczyć abażuru, który zamówiłam, nawet jeśli już mi nie zależy na nim tak bardzo, jak początkowo sądziłam.

Firmy wysyłkowe, trochę niesfornie, przekazują potem twoje nazwisko innym firmom, zwłaszcza jeśli ich komputery zachowały w pamięci fakt, że masz żaloszny zwyczaj zamawiania rzeczy, których tak naprawdę nie potrzebujesz. To trochę tak, jakbyś była najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Wszyscy chcą się z tobą przyjaźnić, ale ty nie zawsze chcesz być ich przyjaciółką. Czasami dostaję reklamy od najbardziej niezwykłych ludzi. W zeszłym tygodniu dostałam broszurę z firmy produkującej poncza z sierści lam. Dwadzieścia dziewięć funtów dziewięćdziesiąt dziewięć pensów, tak jakby ktoś, kto nie mieszka w Andach, chciał chodzić w czymś takim.

Cały ten wywód stanowi preludium do tego, co wydarzyło się w poniedziałek, kiedy późnym rankiem zesłam na dół i zauważyłam na wycieraczkach stosik kopert. Nie była to oczywiście normalna poczta, tylko zwykła porcja ulotek oferujących pizzę z dostawą do domu z puszką coli za darmo, umycie okien, wycenę domu, wymianę okien. Wśród nich znalazła się także i ta z napisem „Wiktoriańskie wnętrza - oferta specjalna” na koperce. Natychmiast ją otworzyłam.

Założę się, że nie macie pojęcia, w jaki sposób otwieracie koperty. Robicie to codziennie, ale nigdy się nad tym nie zastanawiacie. Ja już wiem, bo teraz zmuszono mnie, żeby to dokładnie przemyślała. Należy wziąć

list do ręki i jeśli jest mocno zaklejony, podważyć róg klapki i lekko go naderwać. Chodzi przede wszystkim o to, by wsunąć palec wskazujący pod klapkę i przesunąć go wzdłuż koperty, rozrywając ją. Tak właśnie zrobiłam i najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że jeszcze nie poczułam wcale bólu. Otworzyłam kopertę i dostrzegłam zimny błysk metalu. A także to, że koperta jest w kilku miejscach mokra, mokra i poplamiona na czerwono.

Dopiero wtedy poczułam nie tyle ból, co tępe pulsowanie w prawej ręce. Spojrzałam w dół i sporo czasu upłynęło, zanim dotarło do mnie to, co zobaczyłam. Krew była wszędzie, poplamiała moje jasne spodnie, kapąca na podłogę, spływała po palcach. Nadal nie rozumiałam co się stało, więc patrzyłam głupio na kopertę, jakby kapąca z niej na podłogę czerwona farba. Dostrzegłam płaskie kawałki metalu przyłączone jeden obok drugiego do kartki papieru. Początkowo nie wiedziałam, co to takiego, lecz w tej chwili przypomniałam sobie ojca. Kiedy byłam małą dziewczynką, siadywałam na brzegu wanny i patrzyłam na jego pokrytą pianką do golenia twarz. Myślałam wtedy, że wygląda jak Święty Mikołaj. Żyłетки. Staroświeckie żyłетки.

Spojrzałam na place. Na deski podłogi kapał z nich strumyczek krwi. Podniosłam rękę i dokładnie się jej przyjrzałam. Palec wskazujący był głęboko rozcięty. Czułam, jak pulsuje. Wtedy dopiero zaczęło mnie naprawdę boleć. W jednej chwili zrobiło mi się zimno i gorąco. Poczułam, że kręci mi się w głowie. Nie krzyczałam, nie płakałam. Nie zrobiło mi się niedobrze. Zamiast tego nogi odmówiły mi posłuszeństwa, osunęłam się na zalaną krwią podłogę. Nie wiem, jak długo tak leżałam. Pewnie tylko kilka minut, zanim znalazła mnie Lena i pobiegła po pomoc. Kiedy zjawiła się Lynne, jej usta przybrały kształt niemal idealnej litery O.

*Ma na sobie kremowe spodnie i brązową koszulę. Często ujmuje za-  
bandażowaną dłoń w zdrową rękę, jakby ta była rannym ptakiem. Za-  
łożone za uszy włosy sprawiają, że jej twarz wydaje się jeszcze szczuplej-  
sza, a kości policzkowe bardziej wystające. Już wygląda na starszą, niż  
jest w istocie. To ja dodaję jej lat.*

*Dziś nie ma w uszach kolczyków. Nie skropiła się perfumami. Na  
ustach ślad czerwonej szminki, która podkreśla bladość twarzy. Zbyt  
gruba warstwa pudru, na policzkach i czole widać parę grudek. Chodzi  
jak we śnie, szurając stopami po podłodze. Ma pochylone ramiona. Co  
chwilę marszczy brwi, jakby próbowała coś sobie przypomnieć. Przy-  
kłada dłoń do serca. Chce poczuć pulsujące w niej życie. Tamta też tak  
robiła.*

*Była tak opanowana, a teraz zaczyna się sypać. Kawalek po kawałku  
skorupa pęka. Widzę ją. Fragmenty, których nigdy nikomu nie chciała  
pokazywać. Strach zupełnie niszczy ludzi.*

*Czasami mam ochotę się śmiać. Wszystko ułożyło się tak idealnie. To  
może być całym moim życiem. Na to właśnie czekałem.*

## 8

- Boli? - Główny inspektor Links pochylał się w moją stronę. Zbyt blisko. Ale jednocześnie był bardzo daleki.

- Dali mi pigułki przeciwbólowe.
- To dobrze. Musimy zadać pani parę pytań.
- Och, na miłość Boską.

Policja czasem może się przydać. Potrafi umieścić na przodzie kolejki w ambulatorium, podwieźć do szpitala i z powrotem, zrobić herbatę. To inne rzeczy stanowią problem.

- Wiem, że przeżywa pani bardzo trudne chwile. Ale potrzebujemy pani pomocy.

- Po co? Mam już dość waszych pytań. Dla mnie to prosta sprawa. Jakiś mężczyzna stale przychodzi do mojego domu. Nie możecie go aresztować, gdy wsuwa koperty przez drzwi?

- To nie takie proste.
- Dlaczego?

Links wziął głęboki oddech.

- Jeśli ktoś wbije sobie do głowy, że coś zrobi, to... - urwał gwałtownie.

- To co?
- Chcemy przejrzeć z panią listę nazwisk.
- Dobrze. Ma pan ochotę na filiżankę herbaty? Jest w dzbanku.
- Nie, dziękuję.

- A ja mogę? - Nalałam herbatę do filiżanki i odstawiłam dzbanek na blat. Przechylił się jednak powoli i spadł na wyłożoną płytkami podłogę, rozbijając się na kawałki. Gorąca herbata rozlała się wszędzie.

- Przepraszam, to przez tę moją rękę. Straszna ze mnie niezgraba.  
- Pomogę pani. - Links zaczął zbierać kawałki porcelany. Lynną wytarła mopem podłogę. Choć raz do czegoś się przydała. Po chwili znów

siedzieliśmy przy stole. Lynne podała Linkowski teczke. Otworzył ją. W środku była lista nazwisk, do większości z nich dołączono zdjęcia. Byli tam nauczyciele, ogrodnik, pośrednik w handlu nieruchomościami, architekt i mnóstwo innych ludzi w garniturach, podkoszulkach, gładko ogolonych, z zarostem. Ból, pigułki albo szok sprawiły, że wpadłam w stan lekkiego otępienia. Zabawnie było przyglądać się ludziom, których nigdy nie widziałam na oczy.

- Kim oni są? Przestępcami?

Linkowski się zmieszał.

- Nie mogę pani powiedzieć wszystkiego. Z czysto proceduralnych względów. Jedynie to, że próbujemy ustalić wszelkie możliwe związki mogące łączyć panią z... - Wyglądało na to, że szuka właściwego słowa - ...Z obszarami, gdzie wystąpiły podobne zdarzenia. Każda najdrobniejsza informacja może okazać się przydatna. Nawet jeśli się pani wydaje, że nie ma żadnego związku ze sprawą. Weźmy na przykład tego pośrednika, Guya Branda. Nie chcę nic sugerować, ale pośrednik ma dostęp do wielu nieruchomości. A pani niedawno się przeprowadziła, szukając wcześniej domu w wielu dzielnicach Londynu.

- Tak, spotkałam setki pośredników. Ale jeśli chodzi o twarze, mam okropną pamięć. Dlaczego pan jego nie zapyta?

- Już to zrobiliśmy - odparł Linkowski. - Nie mogli znaleźć pani nazwiska w swoich archiwach. Ale też ich księgi pozostają w dość opłakanym stanie.

Spojrzałam raz jeszcze na zdjęcie.

- Wydaje mi się znajomy. Ale z drugiej strony, wszyscy pośrednicy w handlu nieruchomościami są do siebie podobni, prawda?

- Mogła go więc pani spotkać?

- Tego nie jestem pewna - odparłam. - Gdyby mi pan udowodnił, że go spotkałam, nie uznałabym tego za niemożliwe.

Linkowski nie wyglądał na zadowolonego z tej odpowiedzi.

- Jeśli pani chce, mogę zostawić te zdjęcia.

- Po co on miałby to robić? - spytałam. - Zadawać sobie tyle trudu, żeby zrobić coś tak paskudnego?

Linkowski spojrzał na mnie i po raz pierwszy nie potrafił ukryć niepokoju.

- Nie wiem.

- To mnie raczej nie zaskakuje - rzuciłam cierpko. W tej chwili po całym domu, niczym mrówki, krążyło ośmiu policjantów, chowając różne rzeczy do małych pudełek i foliowych woreczków, mrużąc coś do siebie po kątach i patrząc na mnie, jakbym była rannym zwierzęciem. Nie mogłam zrobić kroku, żeby na kogoś nie wpaść. Na swój sposób byli bardzo grzeczni i uprzejmi, ale nadal trudno było znaleźć w całym domu miejsce, w którym mogłabym być sama. Podniosłam głos. - Chcę się tylko dowiedzieć, co robicie w czasie, kiedy ja wychodzę z siebie, by wam pomóc?

- Zapewniam panią, że my też bardzo ciężko pracujemy - odparł.

Kiedy się później nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że wyglądał na bardzo zmęczonego.

Idąc na górę, minęłam na schodach oficera schodzącego z całym stosem papierów. Weszłam do łazienki i zamknęłam drzwi na zamek, opierając się o nie na chwilę. Jedną ręką spryskałam twarz zimną wodą. Przez bandaż owijający drugą zaczęła powoli sączyć się krew. Później usiadłam przed toaletką i lewą ręką, niezgrabnie, poprawiłam makijaż. Po tych wszystkich przejściach wyglądałam trochę nieporządnie. Powinnam umyć włosy. W takim upale trzeba je chyba myć codziennie. Wtarłam odrobinę kremu w cienie pod oczami, a na usta położyłam nową warstwę błyszczącego. Musiałam przyznać w duchu, że to wszystko zaczyna mnie przygnębiać. Bardzo chciałam, żeby Clive do mnie oddzwonił, bym mogła wreszcie porozmawiać z kimś, kto nie jest policjantem. Powiedziałam mu już o wypadku. Był wstrząśnięty i koniecznie chciał rozmawiać ze Stadlerem. Zarzucił go przez telefon pytaniami, ale nie wrócił pędem do domu z bukiem kwiatów, choć miałam nadzieję, że tak właśnie zrobi.

Zaraz potem okazało się, że o szczegółach mojego codziennego życia chce porozmawiać inspektor Stadler. Musieliśmy przejść do salonu, bo Mary zabrała się do mycia podłogi w kuchni.

- Jak pani ręka? - spytał tym swoim cichym, natarczywym głosem.

Zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Na czole widać było kropelki potu. Kiedy zadawał mi pytania, zawsze patrzył mi prosto w oczy.

Nie mogłam się oprzeć poczuciu, że chce mnie na czymś przyłapać.

- W porządku - odparłam, co nie do końca było zgodne z prawdą. Bolała mnie jak diabli. Rany od żyłki zawsze są straszne. Tak powiedziała lekarka, która opatrywała mi rękę.

- Ta osoba - powiedział - najwyraźniej wie, że była pani modelką i używała do reklam swoich dłoni.

- Pewnie tak.

Wziął do ręki dwa notesy. Zauważyłam po raz pierwszy, że jest to mój terminarz i notes z adresami.

- Czy możemy to przejrzeć? - spytał.

Westchnęłam ciężko.

- Skoro musimy. Powiedziałam już pana szefowi, że jestem bardzo zajęta.

Spojrzał na mnie uważnie i poczułam, że się rumienię.

- To przecież dla pani dobra.

Patrzyłam więc, jak przed moimi oczami przesuwają się moje życie. Zaczęliśmy od terminarza. Przerzucał stronę po stronie, pytając o nazwiska, miejsca, spotkania.

To fryzjer, wyjaśniałam, a to wizyta z Harrym u dentysty. A to lunch z Laurą, Laurą Offen. Tłumaczyłam inicjały, opisywałam sklepy, wyjaśniałam ustalenia z robotnikami, nauczycielami francuskiego, instruktorami tenisa, lunche, poranne spotkania przy kawie. Cofaliśmy się coraz bardziej, wracając do wydarzeń, o których zdążyłam już zapomnieć: negocjacje w sprawie kupna domu, spotkania z pośrednikami, ekspertami, specjalistami od przycinania drzew. Rok szkolny. Moje życie towarzyskie. Najdrobniejsze szczegóły dnia powszedniego. Pytał wciąż, gdzie był Clive, gdy wydarzyło się to i tamto.

Wreszcie dotarliśmy do pierwszego stycznia, Stadler zamknął terminarz i wziął do ręki notatnik z adresami. Omówiliśmy każde przekłete nazwisko. Przeprowadziłam Stadlera przez porzucony, zakurzony strych mojego życia towarzyskiego. Tyle osób przeprowadziło się lub zmarło. Pary, które zdążyły się już rozstać. Przyjaciele, z którymi ja straciłam kontakt albo oni ze mną. Zaczęłam się zastanawiać, czy w ostatnich latach często udzielałam się towarzysko. Czy ten ktoś mógł nosić jedno z tych nazwisk?

Jakby tego było mało, Stadler wyjął rachunki Clive'a związane z remontem domu. Próbowałam mu tłumaczyć, że to wszystko domena Clive'a,



bo ja nie mam zupełnie głowy do liczb, ale mnie nie słuchał: 2300 funtów za zasłony do salonu, których jeszcze nie powieszono, 900 funtów za pracę specjalisty od przycinania drzew, 3000 za żyrandol, 66 za kołatkę do drzwi frontowych, w której zakochałam się na targu przy Portobello Road. Po chwili wszystkie liczby zaczęły mi tańczyć przed oczami. Pogubiłam się zupełnie. A już na pewno nie pamiętałam, że te kamienne płytki były takie drogie. To straszne, jak zacznie się to wszystko dodawać.

Kiedy skończyliśmy, spojrzał na mnie. Pomyślałam, że ten mężczyzna wie o mnie więcej niż ktokolwiek inny, z wyjątkiem Clive'a.

- Czy to wszystko jest aż tak ważne? - spytałam.

- Na tym polega problem. Nie mamy pojęcia. Na razie potrzebujemy jak najwięcej informacji.

Potem powiedział mi, żebym była ostrożna. Zupełnie jak Links.

- Nie chcemy, żeby jeszcze coś się wydarzyło, prawda?

Powiedział to dość radosnym tonem.

W ogrodzie liście drzew zmieniły barwę na ciemnozieloną. Zwiślały smutno z gałęzi, prawie nie poruszając się w lekkim, gorącym wietrze. Sam ogród wyglądał jak pustynia: wypalona, spękana ziemia przypominała starą porcelanę; niektóre z roślin zasadzonych niedawno przez Francisa zaczynały powoli usychać. Nowy młody krzew magnolii z pewnością nie przetrzyma tego upału. Wszystko było suche i zwiędnięte.

Raz jeszcze zadzwoniłam do Clive'a. Sekretarka powiedziała mi, że wyszedł z biura, i dodała, że jest jej przykro, choć z tonu głosu wcale to nie wynikało.

Doktor Schilling była zupełnie inna. Nie wmaszerowała do pokoju z plikiem nazwisk do sprawdzenia i nie zarzuciła mnie gradem pytań. Spojrzała na moją rękę, rozwinęła bandaż i dotknęła moich palców. Powiedziała, że jest jej bardzo przykro, jakby sama ponosiła winę za ten wypadek. Ku mojemu wielkiemu przerażeniu poczułam, że chce mi się płakać, ale z pewnością nie zamierzałam zalać się łzami w jej obecności. Na pewno o niczym innym nie marzyła.

- Chcę ci zadać parę pytań, Jenny.
- Na jaki temat?
- Czy możemy porozmawiać o tobie i twoim mężu?
- Myślałam, że już to zrobiliśmy.
- Chcę poznać jeszcze parę szczegółów. Nie masz nic przeciwko temu?
- Raczej nie, ale... - Zrobiło mi się nieswojo. - ...Nie najlepiej się z tym wszystkim czuję. Chcę mieć pewność, że twoje pytania mają na celu wyłącznie jak najszybsze schwytanie tego drania. Myślisz sobie pewnie, że zupełnie zwariowałam i wiodę okropne życie, ale jestem szczęśliwa. Czy to jasne? Nie potrzebuję twojej pomocy. A nawet jeśli potrzebuję, to jej nie chcę.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Wcale tak nie pomyślałam.
- To dobrze. Chciałam, żeby wszystko było jasne.
- Świetnie. - Spojrzała na leżący na kolanach notatnik.
- Chciałaś porozmawiać o mnie i moim mężu.
- Nie przeszkadza ci, że tak często go nie ma?
- Nie. - Czekala, ale nie powiedziałam nic więcej. Zdążyłam już poznać jej sztuczki.

- Myślisz, że jest ci wierny?

- Już mnie o to pytałaś.

- Ale nie odpowiedziałaś.

Westchnęłam przeciągle.

- Skoro detektyw, jak mu tam, Stadler, wie już, kiedy będę miała następny okres, to chyba równie dobrze mogę ci opowiedzieć o moim życiu seksualnym. Jeśli tak bardzo chcesz to wiedzieć, to tuż po narodzinach Harry'ego Clive miał... no, miał coś na boku.

- Coś? - Uniosła w górę brwi.

- Tak.

- Jak długo to trwało?

- Nie jestem pewna. Rok, może półtora.

- Nie było to więc „coś”, prawda? To była o wiele poważniejsza sprawa.

- Nigdy nie zamierzał mnie opuścić. Ona była tylko dodatkiem. Mężczyźni są tacy banalni, nie sądzisz? Byłam zmęczona, trochę przytyłam. - Dotknęłam skóry pod oczami. - Zaczęłam się starzeć.

- Jenny - powiedziała łagodnie - kiedy urodził się Harry, miałas dopiero dwadzieścia parę lat.

- Mniej więcej.

- Jak się z tym czułaś?

- Przepraszam, ale nie chcę o tym rozmawiać.

- Dobrze. Czy były jeszcze inne kobiety? Wzruszyłam ramionami.

- Możliwe.

- Nie wiesz?

- Nie chcę wiedzieć. Jeśli ma jakiś głupi romans, wolę, żeby zachował to dla siebie.

- Myślisz, że ma romanse?

- Powiedziałam już, że może tak. - Przed oczami stanął mi obraz Clive'a patrzącego na Glorię. Szybko go odepchnęłam.

- A ty nie masz?

- Już o to pytałaś. Mówiłam, że nie.

- Nigdy?

- Nie.

- Nawet o tym nie myślałaś?

- Och, daj spokój, na miłość Boską.

- Czy wasze pożycie intymne jest udane?

Potrząsnęłam głową.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie mogę.

- Dobrze. - Raz jeszcze okazała się nieoczekiwanie delikatna. - Czy sądzisz, że twój mąż cię kocha?

Zamrugałam powiekami.

- Kocha mnie?

- Tak.

- To wielkie słowo. - Odetchnęłam głęboko. - Nie.

- Lubi?

Wstałam z fotela.

- Mam już dość - powiedziałam. - Ty rozbierzesz tę rozmowę na czynniki pierwsze i zrobisz z niej notatki, ale ja będę musiała z nią żyć i nie mam na to ochoty. To nie Clive przysłał mi w liście żyletki, więc po co chcesz to wszystko wiedzieć? - Stałam przy drzwiach. - Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że to, co robisz, jest okrutne? A teraz przepraszam cię, ale jestem zajęta...

Wyszła, a ja stałam sama na środku salonu. Czułam się tak, jakby ktoś

odwrócił mnie do góry nogami i wysypał całą zawartość na podłogę.

## 9

Słyszałam wiatr szumiący w gałęziach drzew w ogrodzie. Chciałam otworzyć okna, wpuścić wieczorną bryzę do domu, ale nie mogłam tego zrobić. Nie wolno. Wszystko musi być zamknięte. W trosce o moje bezpieczeństwo. Otaczało mnie ciężkie, gorące, martwe powietrze. Byłam zamknięta w domu, do którego świat nie miał dostępu. Czułam, jak znów zaczyna się tu wkładać chaos i brud: tapety zwisały ze ścian, nagle przzerwano prace przy gipsowaniu, wszędzie walały się wyrwane z podłogi deski, między którymi widać było czarne, posępne dziury. Kurz i resztki minionych lat znów próbowały wydostać się na powierzchnię. W gruzach leżały wszystkie moje marzenia o idealnej przestrzeni: chłodnej bieli, cytrynowej żółci, jasnej szarości, groszkowej zieleni, eleganckim holu, ogniu w kominku rzucającym cienie na kremowy dywan, o fortepianie z bukietem gladioli w wazonie, okrągłych stolikach na kryształowe szklanki z drinkami, o grafikach wiszących pod małymi lampkami, rozciągającym się za oknem pięknym widoku na zielone trawniki i wdzięczne krzewy.

Pociłam się. Odwróciłam poduszkę, by znaleźć na niej jakieś chłodniejsze miejsce. Drzewa przed domem zaszeleściły. W pokoju nie było całkiem ciemno; przez okna wpadał pomarańczowy blask ulicznych latarni. Widziałam zarysy mebli: toaletki, krzesła, wysokiej szafy, nieco bledsze kwadraty dwóch okien. I widziałam, że Clive'a nadal nie ma w domu. Która może być godzina? Usiadłam na łóżku i mrużąc oczy, spojrzałam na cyfry elektronicznego budzika. Patrzyłam, jak siódemka rozrasta się w ósemkę, a potem chudnie do dziewiątki.

Wpół do trzeciej, a jego jeszcze nie ma. Lena miała wolne do jutra rana, została na noc u swojego chłopaka, więc byłam w domu sama z Chrisem. Sama w tych pustych, pełnych gruzu pokojach, z policyjnym radiowozem przed domem. Czułam pulsowanie w rozciętym palcu, bolało mnie gardło, piekły oczy. Już nie zmrużę oka.

Wstałam i zobaczyłam swoje niewyraźne odbicie w lustrze. W długiej białej koszuli wyglądałam jak duch. Podreptałam do pokoju Chrisa. Spał z jedną stopą wsuniętą pod kolano drugiej nogi, ramiona wyrzucił do góry niczym baletnica. Kołdra leżała zwinięta na podłodze. Wilgotne włosy przykleiły mu się do czoła. Śpiąc, lekko rozchylił usta. Może powinnam zabrać go do domu rodziców w Hassocks. Pojechać tam, wyrwać się z całej tej makabry? Po prostu wsiąść do samochodu i odjechać. Niby czemu nie? Co, u diabła, mogło mnie powstrzymać i dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

Wyszłam na podest schodów i spojrzałam w dół. W holu paliło się światło, ale w pokojach panował mrok. Przelknęłam ślinę. Z trudem łapałam oddech. To głupie. Głupie, głupie, głupie. Jestem bezpieczna, absolutnie bezpieczna. Przed domem waruje dwóch policjantów, wszystkie drzwi i okna są zamknięte. W oknach na dole tkwią paskudne, grube kraty. Mamy alarm antywłamaniowy. Gdy tylko ktoś przechodzi przez ogród, natychmiast zapala się lampa.

Weszłam do pokoju, który kiedyś będzie spełniał rolę gościnnego, i zapaliłam światło. Połowę ściany pokrywały tapety, pozostała część była przygotowana do ich położenia. Rolki tapet ustawiono w rogu, czekały na swoją kolej obok drabiny i stołu na kozłach. Żelazne łóżko, rozebrane na kawałki, leżało na podłodze. W pokoju pachniało wilgocią i pleśnią. Poczulałam w piersi gorącą kulę gniewu; jeśli otworzę usta, zamieni się w krzyk. Krzyk, który będzie trwał bez końca, rozdzierając ciemność nocy, budząc wszystkich w mieście, ostrzegając ich, by mieli się na baczności. Zacisnęłam usta. Muszę uporządkować swoje życie. Nikt inny tego za mnie nie zrobi, to pewne. Clive nie wrócił do domu. Leo, Francis, Jeremy i cała reszta zniknęli, jakby nigdy ich tu nie było. Mary przesuwała się obok mnie, jakbym cierpiała na jakąś zakaźną chorobę i mogłam mówić o wielkim szczęściu, jeśli opróżniła kosze na śmieci. Jutro powiem jej, że nie jest mi więcej potrzebna. Policjanci są głupi i niekompetentni. Gdyby pracowali u mnie, już dawno bym ich wyrzuciła. Mogę liczyć tylko na siebie. Zostałam zupełnie sama. Poczulałam, że prawa powieka zaczyna mi nerwowo drgać. Kiedy przyłożyłam tam palec, lekko podskakiwał.

Podniosłam z podłogi pudełko kleju do tapet i zaczęłam czytać instrukcję. To przecież żadna filozofia. Dlaczego wszyscy robią z tego takie halo? Zacznę od tego pokoju, a potem zajmę się swoim życiem, układając je po kawałku tak, by wszystko znów wróciło do normy.

Clive wrócił do domu pół godziny później. Klucz zazgrzytał w zamku. Zamarłam na moment, dopóki nie usłyszałam, jak zdejmuje buty i idzie do kuchni, gdzie odkręcił kurek. Nie przerwałam pracy. Nie miałam czasu. Zamierzałam skończyć wszystko do rana.

- Jenny! - zawołał, wchodząc do sypialni. - Jens, gdzie jesteś?

Nie odpowiedziałam. Posmarowałam tapetę klejem.

- Jens! - zawołał raz jeszcze, tym razem z łazienki, w której pewnego dnia na ścianie pojawią się włoskie kafelki. Brzeg koszuli nocnej poplamiał klejem, ale to nie miało żadnego znaczenia. Bandaż na ręce też był mokry, a w palcach pulsował ból. Najtrudniej było tak przyłożyć tapetę do ściany, żeby pod spodem nie pojawiły się banieczki powietrza. Od czasu do czasu nakładałam zbyt grubą warstwę kleju, który plamił papier. To nic, wszystko wyschnie, pomyślałam.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - Clive stał w progu w białej koszuli, czerwonych bokserkach i cholernych skarpetkach, które dostał w zeszłym roku na Gwiazdkę.

- A jak myślisz?

- Jens, jest środek nocy.

- I co z tego? - Nic nie powiedział, rozglądał się tylko po pokoju, jakby nie wiedział, gdzie jest. - Co z tego, że jest środek nocy? Jeśli nikt inny się tym nie zajmie, zrobię to sama. A na pewno nikt się tym nie zajmie. Zdążyłam się już nauczyć, że jeśli chcę, by coś było zrobione, muszę zrobić to sama. Uważaj, gdzie idziesz, na miłość Boską. Wszystko zniszczysz i będę musiała zacząć od początku, a nie mam na to czasu. Dzień upłynął ci bardzo miło, prawda? Miły dzień w biurze, który trwał do trzeciej nad ranem.

- Jens.

Wspięłam się na drabinę, trzymając w ręce lepki papier, który zaczął się skręcać.

- To moja wina - powiedziałam. - Pozwoliłam, żeby wszystko rozpadło

się na kawałki i tyle. Początkowo tego nie zauważyłam, teraz już wszystko rozumiem. Kilka głupich listów, a my pozwalałyśmy, żeby dom popadł w ruinę, pokrył się kurzem. Czysta głupota.

- Jens, przestań. Wszystko i tak jest krzywe. I masz klej we włosach.

Natychmiast zejść z tej drabiny.

- Rozkaz pana i władcy - syknęłam.

- Zachowujesz się jak wariatka.

- Doprawdy! Może mi powiesz, jak powinnam się zachowywać? Zabieraj rękę z mojej kostki.

Cofnął się. Gdzieś za oczami poczułam nagle ostry ból.

- Jenny, zamierzam zadzwonić do doktora Thomasa.

Spojrzałam na niego z góry.

- Wszyscy mówią do mnie takim tonem, jakby coś ze mną było nie tak. A przecież nic się nie dzieje. Muszą tylko złapać tego łobuza i wszystko wróci do normy. A ty. – Machnęłam umoczoną w kleju pędzlem i jedna kropla spadła na jego uniesioną w górę, zasepioną twarz. - Ty jesteś moim mężem. Przypominam ci na wypadek, gdybyś o tym zapomniał, kochanie. W dobrej i złej doli, a teraz zdecydowanie przyszła zła.

Próbowałam wygładzić papier na ścianie, pochylając się pod bolesnym kątem. Wilgotna koszula przykleiła mi się do nóg, stopy miałam zakurzone, ale tapeta nadal się marszczyła.

- To beznadziejne. - Rozejrzałam się po pokoju. - To wszystko jest zupełnie beznadziejne.

- Chodź do łóżka.

- Dziękuję, nie jestem zmęczona. - I rzeczywiście nie byłam. Aż kipiałam energią i gniewem. - Ale jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to zadzwoń do doktor Schilling i powiedz jej, że w najlepszym wypadku jest bardzo nudne. Ona będzie wiedziała, o co mi chodzi. W tych skarpetkach wyglądasz żałośnie - rzuciłam ze złością.

- Dobra. Niech będzie, jak chcesz. - W tonie jego głosu słychać było obojętność i pogardę. - Idę spać. Ty rób, co chcesz. A tak nawiasem mówiąc, przykleiłaś ten pasek odwrotnie.

A szóstej Clive wyszedł do pracy. Wychodząc, krzyknął mi „Do widzenia”, ale nie odpowiedziałam. Chris wstał sam. Krzyknęłam, żeby zrobił

sobie śniadanie. Przez kilka minut patrzył na mnie, jakby za chwilę miał się rozpląkać. Na sam jego widok, kiedy tak stał w niebieskiej piżamie w misie, smutny, z kciukiem w buzi, poczułam zniecierpliwienie i złość. Gdy próbował się do mnie przytulić, odsunęłam go szybko, mówiąc, że cała się lepę. Kiedy zjawiała się Lena, podbiegł do niej, jakbym była złą macochą. Nowa strażniczka, która udawała, że jest moją najlepszą przyjaciółką i przedstawiła się jako posterunkowa Page, maszerowała po domu, sprawdzając wszystkie okna. Weszła do gościnnej sypialni i przywitała mnie, jakby nic a nic nie dziwił jej widok, gdy ubrana tylko w nocną koszulę przyklejam tapety do ściany. Ją też zignorowałam. Idiotka. Wszyscy oni nie są mi do niczego potrzebni, nie mam do nich za grosz zaufania.

Kiedy skończyłam przyklejanie tapet, wzięłam kąpiel. Umyłam włosy trzy razy, wydepilowałam woskiem nogi, ogoliłam włosy pod pachami, wyregulowałam brwi. Polakierowałam paznokcie i nałożyłam mocniejszy niż zwykle makijaż: gruba warstwa podkładu, który ukrył plamy na skórze, odrobina różu, eyeliner. Moja twarz przypominała maskę. Nie mogłam jednak opanować drżenia rąk. Szminka stale wychodziła poza brzeg ust, przez co wyglądałam żałośnie. Wreszcie mi się udało: dyskretny śliwkowy kolor, ledwo zauważalny. W lustrze znów zobaczyłam siebie: nieskazitelna Jenny Hintlesham.

Założyłam cienką czarną spódnicę, czarne szpilki i białą koszulę. Chciałam wyglądać elegancko i szykownie. Spódnica okazała się jednak za luźna. Musiałam stracić sporo na wadze. No, proszę, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Poprosiłam Lenę, żeby zabrała Chrisa do London Aquarium, a potem kupiła mu coś na lunch. Chris chciał zostać ze mną, ale posłałam mu całusa i powiedziałam, żeby nie był głuptaskiem, na pewno spędzi cudowny dzień. Wręczyłam Mary tygodniową pensję i oznajmiłam, że może już tu nie wracać. Przesunęłam palcem po kuchence mikrofalowej i pokazałam warstwę kurzu, która się tam zebrała. Oparła dłonie na biodrach i burknęła, że i tak chciała odejść, bo zaczyna bać się tej pracy.

Zrobiłam listę. Dwie listy. Pierwsza obejmowała rzeczy, które należy



zrobić w domu i spisanie ich nie zajęło mi dużo czasu. Drugą sporządziłam dla Linksa i Stadlera. Ta była już bardziej skomplikowana i pisząc ją, wypilałam cztery filiżanki kawy. Powiedzieli przecież, że wszystko, co sobie przypomnę, może okazać się ważne.

Doktor Schilling przyjechała razem ze Stadlerem. Oboje wyglądali bardzo poważnie, a na ich twarzach malował się tajemniczy wyraz. Poprosiłam ich do gabinetu Clive'a.

- Nic się nie stało - powiedziałam. - Proszę się nie niepokoić. Postanowiłam powiedzieć wam wszystko. Macie ochotę na kawę? Nie? A ja się jeszcze napiję. Ojej!

Rozlałam kawę na biurko i wytarłam brązową kałużę dokumentem, który leżał przy komputerze. Na górze widniał napis „Bez uszczerbku”.

- Jenny...

- Chwileczkę. Spisałam listę rzeczy, które powinniście wiedzieć. Próbowałam też dodzwonić się do tej panny Haratounian.

Doktor Schilling spojrzała na Stadlera. Patrzyła na niego tak, jakby chciała go zmusić do powiedzenia czegoś. On jednak zmarszczył tylko brwi.

- Jeśli chcecie wiedzieć, poznałam wiele dziwnych osób. Szczerze mówiąc, wy też jesteście dziwni. Można powiedzieć, że nikt się w tym towarzystwie nie wyróżnia. - Roześmiałam się i wypilałam łyk kawy. - Mój pierwszy chłopak, a prawdę mówiąc, mój jedyny chłopak, nie licząc Clive'a, nazywał się Jon Jones. Był fotografem, nadal nim jest, może go nawet znacie. Robi zdjęcia modelek w bardzo skąpych ubraniach. Poznałam go, gdy byłam modelką, ale ja, jak wiecie, użyczałam tylko swoich rąk, nie musiałam zdejmować stanika, a przynajmniej nie publicznie. Ale prywatnie zrobił mnóstwo zdjęć. Kiedy zerwaliśmy ze sobą, choć nie było to naprawdę zerwanie, on po prostu coraz mniej się mną interesował i w końcu nie byłam już pewna, czy nadal chodzimy ze sobą, czy nie. Tak, kiedy to się wydarzyło, mniej więcej w czasie, gdy poznałam Clive'a, poprosiłam go o zwrot zdjęć. Ale tylko się roześmiał i powiedział, że ma do nich prawa autorskie, więc chyba nadal są u niego.

- Jenny - przerwała mi doktor Schilling. - Może być coś zjadła?

- Nie jestem głodna - odparłam, wypijając kolejny łyk kawy. - Zanim to wszystko się wydarzyło, zaczęłam tyć w biodrach. Poza tym i tak nie

przepadam za seksem. - Pochyliłam się do przodu i syknęłam cicho: - Ziemia jakoś nie chce się dla mnie poruszyć.

Doktor Schilling wyjęła mi z ręki kubek z kawą. Zauważyłam odcisk dna na blacie biurka Clive'a. Nie szkodzi. Wyczyszczę to potem jakimś cudownym środkiem i plama w magiczny sposób zniknie. Umyję też okna i wszystko będzie wyglądać tak, jakby od świata nie oddzielała mnie żadna bariera.

- Nie, nie to chciałam powiedzieć, choć ona stale wypytuje mnie o moje życie seksualne. Zrobiłam listę mężczyzn, którzy, moim zdaniem, zachowywali się w stosunku do mnie dość dziwnie. - Pomachałam w ich stronę kartką papieru. - Muszę przyznać, że jest dość długa. Przy tych najgorszych umieściłam gwiazdkę, by ułatwić wam pracę. - Zmrużyłam oczy i spojrzałam na listę. Tego ranka pisałam dość niewyraźnie, a może byłam zbyt zmęczona, by pisać prosto. Choć, co było dziwne, wcale nie czułam się zmęczona.

Stadler wyjął mi listę z ręki.

- Czy mogę dostać papierosa? - spytałam. - Wiem, że pan pali. Obserwowałam pana z okna. Obserwuję pana, detektywie Stadler. Ja obserwuję pana, a pan mnie.

Wyjął z kieszeni pudełko, wysunął dwa papierosy i zapalił je. Jednego podał mnie. Ten gest wydał mi się dość intymny, odsunęłam się więc od niego ze śmiechem.

- Przyjaciele Clive'a są bardzo dziwni - powiedziałam, zanosząc się od kaszlu. Kiedy zaciągnęłam się dymem, pokój zakolysał się przed moimi załzawionymi oczami. - Wyglądają bardzo dostojnie, ale założę się, że wszyscy mają romanse albo przynajmniej chcą je mieć. Mężczyźni są jak zwierzęta w zoo. Trzeba ich trzymać w klatkach, żeby się nie rozbiegli. A kobiety są dozorcami. Na tym właśnie polega małżeństwo, prawda? Staramy się ich oswoić i wytresować. Może więc małżeństwo to cyrk, a nie zoo. Och, sama już nie wiem.

- Próbowałam przypomnieć sobie wszystkie osoby, które zjawily się w tym domu, nawet jeśli ich nazwisk nie ma w moim notesie z adresami i terminarzu. Nie wiem, od czego zacząć. W grę wchodzi oczywiście wszyscy mężczyźni pracujący w ogrodzie i w domu. Wiadomo, jak oni się zachowują. Ale, szczerze mówiąc, tak samo jest wszędzie. Dosłownie wszędzie.

Kiedy spotykam innych ojców w szkole Harry'ego albo kiedy odbieram Josha z kółka komputerowego. Wszędzie jest sporo dziwaków. I... Doktor Schilling położyła mi rękę na ramieniu.

- Jenny, chodź ze mną. Zrobię ci coś na śniadanie.  
- To dopiero pora śniadania? Wielkie nieba. No, ale przynajmniej mam dość czasu, by posprzątać pokoje chłopców. Nie skończyliśmy jednak omawiać mojej listy.

- Chodź.  
- Pozbyłam się Mary.  
- Naprawdę?  
- Zostałam sama. No, nie, sama z Chrisem i Clive'em. Ale oni się nie liczą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?  
- Oni mi nie pomogą. Mężczyźni nigdy w niczym nie pomagają. Wiem to z doświadczenia.

- Grzanka?  
- Cokolwiek. Wielki Boże, ta kuchnia przypomina chlew. Wszędzie panuje taki straszliwy bałagan. Wszędzie. Jak na Boga uda mi się go uporządkować bez niczyjej pomocy?

## 10

Potem wszystko zaczęło się zacierać. Powiedziałam, że chcę iść na zakupy i chyba nawet poszłam po płaszcz. Nie mogłam jednak go znaleźć, a wszyscy wokół powtarzali, żebym tego nie robiła. Wydawało mi się, że ich głosy dobiegają z wielu różnych kierunków i drapią mnie od środka, jakby były pszczołami, które miotają się pod moją czaszką, gotowe w każdej chwili użądlić. Zaczęłam krzyczeć, żeby sobie poszli i zostawili mnie w spokoju. Głosy ucichły, ale poczułam, że ktoś chwyta mnie za ramię. Znalazłam się nagle w mojej sypialni, a doktor Schilling była tak blisko mnie, że czułam jej oddech na twarzy. Mówiła do mnie coś, czego nie rozumiałam. Poczułam ból w ramieniu, po czym wszystko rozplynęło się w ciszy i ciemności.

Miałam wrażenie, że leżę na dnie głębokiej, czarnej dziury. Od czasu do czasu wypływałam na powierzchnię i widziałam twarze, które mówiły do mnie coś, czego nie rozumiałam, po czym znów zapadałam w kojącą

ciemność. Kiedy się wreszcie obudziłam, poczułam się zupełnie inaczej. Było szaro, zimno i ogólnie rzecz biorąc, strasznie. Przy moim łóżku siedziała policjantka. Spojrzała na mnie, wstała i wyszła z pokoju. Chciałam znów zasnąć, osunąć się w otchłań, ale już nie mogłam. Zaczęłam rozmyślać o tym, co zrobiłam, potem spróbowałam o tym nie myśleć. Nie wiem, co mnie opętało, ale nie było sensu tego roztrząsać.

Po pewnym czasie do pokoju weszła doktor Schilling z inspektorem Stadlerem. Sprawiali wrażenie lekko zdenerwowanych, jakby wchodzili do gabinetu dyrektorki szkoły. Wydawało mi się to nawet zabawne do chwili, gdy uświadomiłam sobie, że pewnie są przekonani, iż nadal będę się tak dziwnie zachowywać. Musiałam jednak czuć się znacznie lepiej, bo ich obecność w mojej sypialni mocno mnie poirytowała. Spojrzałam w dół i zauważyłam, że mam na sobie zieloną koszulę nocną. Kto mnie rozebrał? Kto był obecny w chwili, gdy zakładano mi koszulę? Jeszcze jedna rzecz, o której lepiej nie myśleć.

Stadler zatrzymał się przy drzwiach, lecz doktor Schilling podeszła do łóżka, trzymając w ręce jeden z francuskich glinianych kubków, które tak naprawdę przeznaczone są dla dzieci. Ludzie nic nie rozumieją. Kuchnia Hintleshamów to bardzo skomplikowana operacja i nikt poza mną nie ma pojęcia, jak funkcjonuje. Bóg jeden wie, co się tam jeszcze wyprawia.

- Przyniosłam ci kawę - powiedziała. - Czarną. Taką, jak lubisz.

Usiadłam i ujęłam w dłonie ciepły kubek. Bandaż trochę mi to utrudniał, ale z drugiej strony stanowił ochronę przed temperaturą.

- Podać ci szlafrok?

- Bardzo proszę. Ten jedwabny.

Postawiłam kubek na stoliku przy łóżku i z trudem założyłam szlafrok. Przypomniałam sobie, jak mając trzynaście lat, wbijałam się na plaży w kostium, owinięta ciasno ręcznikiem. Byłam teraz tak samo głupia jak wtedy. Nikt nie dbał o to, czy mnie zobaczy naga, czy nie. Doktor Schilling przysunęła krzesło, a Stadler stanął w nogach łóżka. Postanowiłam się nie odzywać. Nie miałam za co przeproszać, a poza tym chciałam, by sobie poszli. Nigdy jednak nie mogłam znieść milczenia, więc w końcu mruknęłam:

- To przypomina odwiedzin w szpitalu.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Patrzyli na mnie z obrzydliwym wyrazem współczucia na twarzy. Jeśli jest coś, czego nie potrafię znieść, to jest tym bez wątpienia litość.

- Gdzie jest Clive?

- Był tutaj w nocy. Jest już wtorek. Musiał iść do pracy, ale zaraz zadzwonię do niego i powiem mu, jak się czujesz.

- Musisz mieć mnie serdecznie dość - powiedziałam do doktor Schilling.

- To zabawne - odparła - bo pomyślałam sobie dokładnie to samo. To znaczy, że ty masz mnie serdecznie dość. Rozmawialiśmy o tobie.

- Na pewno.

- Ale tylko dobrze. Jest jedna rzecz, co do której nie możemy się zgodzić, czy też... mamy na ten temat odmienne zdanie... - mówiąc to, spojrzała na Stadlera, który bawił się węzłem krawata i nie zwracał na nią uwagi. - Otóż odnoszę... odnosimy wrażenie, że może nie byliśmy z tobą do końca szczerzy i chcę zrobić coś, by to naprawić. Jenny... - urwała na chwilę. - Jeśli czujesz, że byłam zbyt natarczywa, to przede wszystkim chcę cię przeprosić. Wiesz chyba, że jestem psychiatrą i zajmuję się leczeniem ludzi. Moja praca tutaj ma na celu pomóc policji w ujęciu tego niebezpiecznego osobnika. - Mówiła bardzo łagodnym tonem, jakby przemawiała do dziecka leżącego w łóżku z wysoką temperaturą. - Stałaś się obiektem czyjś obsesyjnego zainteresowania. Jednym ze sposobów na złapanie takiego osobnika jest odkrycie, co mogło takie zainteresowanie wzbudzić, a to z kolei oznacza, że w swoich pytaniach mogę stać się zbyt wścibska i natarczywa. Wiem, że masz już bardzo dobrego lekarza i nie zamierzam go zastępować. Nie chcę też cię pouczać, jak żyć.

Rzuciłam jej sarkastyczne spojrzenie, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe. Przed oczami stanął mi nagle obraz ich obojga, jak postanawiają wejść do mojej sypialni i traktować mnie bardzo „delikatnie”. Ta śmieszna Jenny Hintlesham, z którą należy się obchodzić niezwykle łagodnie.

- Odkryłaś już chyba, że jestem wariatką - powiedziałam.

Chciałam, by zabrzmiało to sarkastycznie i ostudziło jej zapał, ale nic z tego nie wyszło.

Doktor Schilling się nie uśmiechnęła.

- Chodzi ci o wczoraj? - spytała. Nie odezwałam się. Nie zamierzałam rozmawiać z nią na ten temat. - Żyjesz teraz w wielkim napięciu. Wszyscy mamy z tym problemy. Próbujemy ci pomóc. Ale to wszystko skupia się na tobie. To ty musisz sobie z tym radzić. Chcę, byś wiedziała, że w pełni to doceniamy.

Podniosłam zabandażowaną dłoń i spojrzałam na nią. Może to tylko wybryk mojej głupiej wyobraźni, ale wydawało mi się, że boli mnie bardziej, gdy na nią patrzę.

- Czujesz mój ból? - spytałam z goryczą. - Nie chcę waszej litości - dodałam cicho. - Chcę, żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

Spodziewałam się, że wpadnie w złość albo się zarumieni, ale ona prawie w ogóle nie zareagowała na moje słowa.

- Wiem - powiedziała. - Inspektor Stadler porozmawia z tobą na ten temat.

Odsunęła krzesło na bok, lecz mimo to nadal siedziała blisko mnie. Stadler zrobił parę kroków do przodu. Na jego twarzy malował się wyraz typowy dla sympatycznego posterunkowego, który przyszedł do szkoły, bo poinstruować maluchy, jak należy się zachowywać, przechodząc przez ulicę. Wyglądał z tym dość dziwnie. Przysunął sobie krzesło.

- W porządku, Jenny? - spytał.

Byłam trochę poruszona faktem, że ot, tak sobie, użył mojego imienia, ale skinęłam tylko głową. Siedział bardzo blisko mnie. Po raz pierwszy zauważyłam, że ma dołek w brodzie. Taki, który aż kusi, by pieszczotliwym gestem włożyć do niego palec.

- Zastanawia się pani, dlaczego nie możemy złapać tego człowieka i wiem doskonale, o co chodzi. To przecież nasza praca, prawda? Nie zamierzam pani zanudzać, ale faktem jest, że większość zbrodni jest cholernie łatwo wykryć. Bo większość przestępców nie zadaje sobie wcale trudu. Wala kogoś w głowę, coś kradną, ktoś ich przy tym widzi. Zgarniamy ich i po sprawie. Ale ten osobnik to zupełnie co innego. Nie jest bynajmniej geniuszem, ale to co robi, to jego hobby i bardzo się do tego przykładają. Równie dobrze mógłby założyć kurtkę z kapturem i liczyć pociągi. Ale zamiast tego wybrał panią.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie potraficie go złapać?

- Trudno to zrobić w normalny sposób.

- Przyszedł do mojego domu. Pod waszym nosem.  
- Proszę nam odpuścić. - Uśmiechnął się z zażenowaniem.  
- Ale to bardzo ważne - wtrąciła doktor Schilling. - Gdyby tylko chciał, mógłby atakować kobiety. Ale jemu chodzi o zademonstrowanie siły i władzy.

- Nie obchodzi mnie jego psychika - rzuciłam z rozdrażnieniem.  
- A mnie tak. To jego psychika pomoże nam go złapać. Możemy ją wykorzystać. A jednym ze sposobów jest spojrzenie na ciebie tak, jak on to robi. Obawiam się tylko, że nie będzie to dla ciebie miłe.

- Liczymy na panią - powiedział Stadler. - Wiem, że przez to powiększamy jeszcze stres, w jakim pani żyje, ale chcielibyśmy, by zastanowiła się pani nad swoim życiem i powiedziała nam, czy nie wydarzyło się w nim nic niezwykłego.

- Nie mamy do czynienia ze zwykłym podglądaczem - powiedziała doktor Schilling. - To może być ktoś, na kogo wpadasz na ulicy częściej, niż myślisz. Lub przyjaciel, który nagle zaczął cię darzyć większymi względami albo nieoczekiwanie mniejszymi. Chce zademonstrować swoją siłę, dlatego w tej chwili najważniejsze jest to, by w twoim najbliższym otoczeniu wychwycić jakiś nowy element, coś niezwykłego. On chce nam pokazać, że bez trudu może ci dostarczać przeszytki.

Prychnęłam.

- Wcale nie chodzi o przybywanie nowych rzeczy - powiedziałam - lecz o to, że stare znikają.

Stadler podniósł gwałtownie wzrok.

- Co pani ma na myśli?

- Nic, co mogłoby wam pomóc. Nie wiecie, czym jest przeprowadzka? Nasze rzeczy przewoziły dwie gigantyczne ciężarówki i jestem przekonana, że do dziś po autostradzie M25 krąży niewielka furgonetka z rzeczami, które nigdy nie dotarły na miejsce. Buty, części do mikserów, moja ulubiona bluzka, do wyboru, do koloru.

- To zniknęło w czasie przeprowadzki? - spytał Stadler.

- Niech mnie pan nie rozśmiesza. Ten osobnik nie mógłby ukraść tego wszystkiego, chyba że zjawiłby się tutaj z furgonetką i czterema pomocnikami. A coś takiego nawet wy byście zauważyli.

- Mimo wszystko... - Zamyślił się. Pochylił się w stronę doktor Schilling i coś do niej szepnął, jakby to, co mieli sobie do powiedzenia, było tak interesujące, że aż należało to trzymać w sekrecie. Po chwili spojrzał na mnie. - Jenny, czy wyświadczy nam pani przysługę?

Przypominało to gigantyczną wyprzedaż garażową zorganizowaną przez ślepego szaleńca. Po wcześniejszym odbyciu rozmowy telefonicznej zabrali mnie na posterunek, a tam do specjalnego pokoju, gdzie - jak poinformował Stadler - wystawiono pewne przedmioty. W samochodzie doktor Schilling położyła dłoń na mojej gestem, który przyprawił mnie o gęsią skórkę, i poprosiła, żebym popatrzyła na te przedmioty i powiedziała, co tylko przyjdzie mi na ich widok do głowy. Teraz przychodziło mi do głowy tylko to, że chyba biorę udział w jakimś żalonym pokazie sztuczek magicznych.

Przedmioty ułożone na stołach niemal doprowadziły mnie do śmiechu. Grzebień, dość wulgarne różowe majtki, puchaty miś, kamyk, gwizdek, talia zdecydowanie pornograficznych kart.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, czego ode mnie oczekujecie.

W tej samej chwili poczułam się tak, jakby ktoś wymierzył mi cios prosto w żołądek i jednocześnie poraził prądem. Zobaczyłam to. Śmieszny mały medalion. W jednej chwili przypomniałam sobie najróżniejsze rzeczy. Dzień i noc spędzone w Brighton w pierwszą rocznicę naszego ślubu. W późniejszych latach odwiedzaliśmy znacznie lepsze miejsca, ale tam było nam najlepiej. Łaziliśmy po małych uliczkach niedaleko morza, śmiejąc się z okropnych sklepów z pamiątkami. I wtedy zauważyliśmy ten medalion na wystawie sklepu jubilerskiego, Clive wszedł do środka i natychmiast go kupił. Przypomniałam sobie jeszcze jedną głupią rzecz. Tej nocy w hotelu Clive zdjął ze mnie wszystko, zostawiając tylko ten medalion. Wisiał między moimi piersiami. Clive całował go i całował moje piersi. To szaleństwo, że pamiętam takie rzeczy. Poczułam, że się rumienię i musiałam siłą powstrzymać się od płaczu. Podniosłam medalion i poczułam w ręce znajomy ciężar.

- Ładny, prawda? - powiedział Stadler.



- Jest mój - odparłam.

Na jego twarzy pojawił się kompletnie idiotyczny wyraz.

- Co takiego? - spytał z niedowierzaniem, niemal bez tchu.

- Dostałam go od Clive'a - mruknęłam jakby we śnie. - A potem gdzieś zginął.

- Ale.... Jest pani pewna?

- Oczywiście. Z tyłu jest mały zameczek. Kiedy otworzy pan medalion, znajdzie pan tam pasemko moich włosów. O, proszę.

Patrzył zdumiony.

- Rzeczywiście. - Doktor Schilling też nie mogła uwierzyć własnym oczom. Patrzyli na siebie z otwartymi ze zdziwienia ustami.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział wreszcie Stadler.

I pędem wypadł z pokoju.

## 11

Nie rozumiałam. Nie rozumiałam absolutnie nic. Czulałam się tak, jakbym patrzyła na jedną z tych okropnych gier komputerowych Joshua, jakie przychodzą do nas pocztą i na widok których rozjaśnia się zazwyczaj jego gburowata twarz. Ja jednak nie znałam języka, w jakim zostały napisane. Dla mnie były to tylko kropki, kreski, tajemnicze znaki. Spojrzałam na doktor Schilling, jakby ona mogła mi wyjaśnić, co się dzieje, rzuciła mi tylko pozbawiony głębszego znaczenia uspokajający uśmiech, który przyprowadził mnie o drżenie. Potem raz jeszcze popatrzyłam na medalion, leżący wśród innych dziwnych przedmiotów. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam go palcem, delikatnie, jakby mógł wybuchnąć mi prosto w twarz.

- Chcę wracać do domu. - Wcale tego nie chciałam, ale musiałam coś powiedzieć, żeby przerwać ciszę panującą w tym obskurnym pokoju.

- Już niedługo - odparła.

- Chciałabym też coś zjeść. Jestem głodna.

Skinęła głową, lecz zrobiła to z wyraźnym roztargnieniem, marszcząc lekko brwi.

- Kiedy ostatni raz jadłam? Chyba wieki temu. - Próbowałam odtworzyć wydarzenia paru ostatnich dni, ale miałam wrażeni, że spoglądam w

puszkę czarną jak bezgwiezdna noc. - Czy ktoś może mi wyjaśnić, jakim sposobem mój medalion trafił właśnie tutaj?

- Oni z pewnością...

Przerwał jej Stadler, który wszedł do pokoju z Linksem. Usiedli naprzeciw mnie i wyglądali na bardzo poruszonych. Links podniósł medalion za łańcuszek.

- Jest pani pewna, że należy do pani?

- Oczywiście. Clive ma nawet gdzieś jego zdjęcie. Zrobiliśmy je dla celów ubezpieczeniowych.

- Kiedy go pani zgubiła?

Musiałam się zastanowić.

- Trudno powiedzieć. Pamiętam, że miałam go na koncercie. To było dziewiątego czerwca, dzień przed urodzinami mojej matki. Kilka tygodni później chciałam go założyć na przyjęcie w biurze Clive'a, ale nie mogłam znaleźć.

- Kiedy to było?

- Na miłość Boską, macie przecież mój terminarz. Ale to było w czerwcu, gdzieś pod koniec miesiąca.

Stadler spojrział na leżący na kolanach notatnik i skinął głową, jakby był w pełni usatysfakcjonowany moją odpowiedzią.

- Dlaczego to jest takie ważne? Gdzie go znaleźliście?

Stadler spojrział mi prosto w oczy, a ja zmusiłam się, żeby nie odwrócić wzroku. Przez ułamek sekundy sądziłam, że coś mi powie, ale tak się nie stało. Raz jeszcze zajrzał do swojego notesu z wyrazem bardzo tajemniczego zadowolenia na twarzy.

Na krótką chwilę w pokoju zapanował dziwny szum i musiałam podnieść głos.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co się tutaj dzieje? - Zrobiłam to jednak zupełnie beznamyślnie. Mój gniew rozplynął się w tajemniczy sposób.

- Nic nie rozumiem.

- Proszę pani - zaczął Links - czy możemy ustalić...

- Nie teraz - rzuciła nagle doktor Schilling. Wstała z krzesła. - Zabieram Jenny do domu. To dla niej wielki stres, nie czuła się ostatnio najlepiej. Później.

- Co ustalić?

- Chodź, Jenny.

- Nie lubię sekretów. Nie podoba mi się, kiedy ludzie wiedzą coś, o czym ja nie mam pojęcia. Złapaliście go? O to chodzi?

Doktor Schilling ujęła mnie pod łokieć i wstałam. Po co założyłam te bawełniane spodnie? Nie nosiłam ich od lat; wyglądam w nich fatalnie.

Wszyscy zachowywali się bardzo dziwnie. Dom kipiał nową energią, jakby rozsunięto zasłony i otwarto szeroko okna. Nikt mi oczywiście nic nie powiedział, ale doktor Schilling wróciła ze mną i ze znużoną posturą. Links i Stadler zjawili się niedługo po nas. Wszyscy dawali sobie jakieś znaki, coś mruczeli pod nosem, zerkali na mnie, lecz szybko odwracali wzrok, gdy zobaczyli, że na nich patrzę. Doktor Schilling nie sprawiała wrażenia tak zadowolonej jak pozostali.

- Czy może pani zadzwonić do męża? - spytał Stadler, idąc za mną do kuchni.

- Dlaczego pan tego nie zrobi?

- Chcemy z nim porozmawiać. Pomyśleliśmy, że będzie grzeczniej, jeśli wyjdzie to od pani.

- Kiedy?

- Zaraz.

- Po co u licha?

- Musimy wyjaśnić pewne sprawy.

- Mamy dziś wieczór koktajlowy. Bardzo ważny.

- Im szybciej porozmawiamy, tym szybciej będzie wolny. Podniosłam słuchawkę.

- Będzie zły - uprzedziłam.

Był wściekły.

Zadzwonił telefon. To Josh i Harry z Ameryki. U nich był wczesny rano, choć słyhać ich było tak, jakby dzwoniłi z budki za rogiem i lada chwila mogli wpaść do domu. Harry powiedział mi, że złapał w rzece okonia i uczy się pływać na desce. Josh spytał, jak się mają sprawy w domu; mówił załamującym się głosem, jak zawsze, gdy jest podekscytowany.

- W porządku, kochanie.

- Czy policja nadal tam jest?

- Chyba robią postępy. - Poczulałam nagły przyływ nadziei.

- Czy musimy tu zostać jeszcze dwa tygodnie?

- Nie bądź niemądry, kochanie, przecież świetnie się bawisz. Masz jeszcze pieniądze?

- Tak, ale...

- Zapakowałam ci dość rzeczy? Och, i nie zapomnij powiedzieć Harry'emu, że zapasowe baterie do jego walkmana są u ciebie w plecaku.

- Dobra.

Odłożyłam słuchawkę z poczuciem, że rozmowa nie była zbyt udana. Obok mnie przeszedł Christo, ciągnąc za sobą koc. Kiedy zobaczyłam jego mizerną buzię, poczułam wyrzuty sumienia.

- Cześć. Uściskasz mamusię?

Odwrócił się w moją stronę.

- Nie nazywam się Christo - powiedział. - Jestem Alexander. A ty nie jesteś moją mamusią. - Lena zawołała go swoim śpiewnym szwedzkim akcentem, a on podniósł jasną głowę. - Już idę, mamusiu! - zawołał, rzucając mi pełne triumfu spojrzenie.

Przebrałam się w żółtą sukienkę z obniżoną talią, w uszy wsunęłam kolczyki. Spojrzałam w lustro. Nie nałożyłam makijażu. Moja twarz była chuda i blada, włosy w nieładzie, oczy dziwnie błyszczały, choć skóra pod nimi była sucha jak papier. Na policzku zauważyłam długie zadrapanie. Skąd się wzięło? Z trudem rozpoznawałam samą siebie.

Doktor Schilling kazała mi zjeść omlet, zrobiła go dla mnie, wykorzystując ziola, które oszczędzałam na mającą się odbyć po koktajlu kolację. Trudno. Zjadłam go bardzo szybko, prawie nie gryząc, po każdym kęsie wpychałam do ust kawał brązowego, lekko czerstwego chleba. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem głodna. Grace patrzyła jak jem, opierając brodę na ręce. Przyglądała mi się, jakbym była dla niej wielką zagadką. Już niedługo, pomyślałam, odzyskam nad wszystkim kontrolę, posprzątam dom, sprowadzę z powrotem robotników, ogrodnika, sprzętaczkę, wezmę głęboki oddech i znajdę w sobie dość energii, by znów stać się Jenny Hintlesham. Jutro. Zacznę wszystko od jutra. Ale muszę przyznać, że było mi przyjemnie, kiedy tak się mną opiekowano. Miałam wrażenie, że nie jestem już u siebie w domu, ale gdzieś, gdzie czekam, by coś

się wydarzyło; wszyscy na to czekali.

Otworzyłam oczy. Szczęk klucza w zamku, trzaśnięcie drzwi, ciężkie kroki w holu.

- Jenny! Jens, gdzie jesteś?

Grace Schilling wstała w tej samej chwili co ja. Stadler i Links znaleźli się tuż za nami. Wszyscy staliśmy ściśnięci przy schodach.

- Co się tutaj dzieje? - warknął Clive. Jego ostry głos sprawił, że rozboleła mnie nagle głowa. W tej chwili zauważył na podłodze w holu pudełko ze swoimi cennymi dokumentami. Dostrzegłam pulsującą z gniewu żyłę na jego skroni.

- Dziękuję, że pan przyszedł - powiedział Stadler.

Był o wiele wyższy od Clive'a.

- Co jest?

Odnosił się do Stadlera, jakby ten był funkcjonariuszem najniższego szczebla.

- Wolelibyśmy, żeby udał się pan z nami - powiedział Links.

Clive spojrzał na niego ze złością.

- O co panu chodzi? - spytał. - Dokąd mam iść?

- Chcemy spisać zeznanie. Tak będzie lepiej.

Clive spojrzał na zegarek.

- Lepiej, żeby to było naprawdę ważne - warknął.

- Proszę - powiedział Stadler, otwierając drzwi dla Clive'a, który przed wyjściem jeszcze się do mnie odwrócił.

- Zadzwoń do Jan i powiedz jej cokolwiek, żebyśmy nie wyszli na totalnych idiotów - rzucił. - I do Becky. Idź na to przyjęcie i bądź wesoła, jakby wszystko było w najlepszym porządku, słyszysz? - Położyłam mu dłoń na ramieniu, ale strząsnął ją gwałtownym ruchem. - Mam tego dość - powiedział. - Niedobrze mi się robi.

Grace Schilling ruszyła za nimi. Wychodząc przez drzwi, zdecydowanym ruchem zapinała długi żakiet.

Zadzwoiłam do biura i poinformowałam Jan, że Clive'a bardzo bolą plecy.

- Znowu? - spytała z sarkazmem, którego nie zrozumiałam. To samo powiedziałam dwie godziny później Becky Richards, a ona roześmiała się ze współczuciem.

- Mężczyźni to straszni hipochondrycy, prawda?

Rozejrzałam się po pokoju. Obrzuciłam spojrzeniem wszystkie kobiety w czarnych sukienkach i mężczyzn w ciemnych garniturach. Znałam większość z nich przynajmniej z widzenia, ale nagle nie mogłam znaleźć w sobie dość energii, by z nimi porozmawiać. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć. Czułam w środku zupełną pustkę.

## 12

Clive nadal się nie zjawiał, a ja czułam się coraz bardziej nieswojo, stojąc tam z kieliszkiem w dłoni, patrząc na obrazy, przechodząc z jednego pokoju do drugiego, jakbym kogoś szukała. Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że samotne wyjście na przyjęcie jest dla mnie zupełnie nieznanym doświadczeniem. Czułam, że coś jest nie tak. Czasami żartowałam z Clive'em, że tak naprawdę to z nim wszyscy chcą się spotkać i porozmawiać, a ja zjawiam się tam wyłącznie jako jego żona.

Poczułam więc ulgę, a nie straszliwe zażenowanie, kiedy Becky szepnęła mi, że ktoś czeka na mnie przy drzwiach.

- To policjant - powiedziała delikatnie, nie kryjąc jednak zdumienia.

Wiemy doskonale, co dla takich zwykłych ludzi jak my może oznaczać przybycie policjanta: wypadek, śmierć, nagle zniknięcie. Ale ja nie byłam już zwykłą osobą. Ruszyłam w stronę drzwi bez cienia niepokoju. Na progu stał Stadler z umundurowanym policjantem, którego wcześniej nie widziałam. Becky przystanąła na chwilę w pobliżu, zaciekawiona i chętna do pomocy. Oficer nie odezwał się ani słowem, a ja odwróciłam się do niej i spojrzałam na nią pytająco.

- Jeśli tylko będę mogła ci w czymś pomóc, jestem w środku - powiedziała i odeszła z wyraźną niechęcią.

Odwróciłam się do policjanta.

- Przepraszam, że zawracamy pani głowę - powiedział. - Przysłano mnie, żebym pani powiedział, że pan Hintlesham nie przyjdzie. Pani mąż jest nadal przesłuchiwany.

- Czy coś się stało? - spytałam.

- Staramy się wyjaśnić parę szczegółów.

Staliśmy na progu, patrząc sobie w oczy.

- Tak naprawdę nie mam ochoty wracać na to przyjęcie - powiedziałam.

- Jeśli pani chce, możemy odwieźć panią do domu - zaproponował Stadler. Po chwili dodał: - Jenny - i jego twarz pokryła się ciemnym rumieńcem.

- Wezmę tylko płaszcz.

Po drodze do domu nikt nie odezwał się do mnie ani słowem. Raz czy dwa Stadler i policjant mruknęli coś do siebie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Stadler wszedł ze mną po schodkach. Przekręcając klucz w zamku, przez jedną szaloną chwilę poczułam się tak, jakbyśmy wracali ze spędzonego razem wieczoru i właśnie mieli się pożegnać.

- Czy Clive wróci dziś do domu? - spytałam stanowczym tonem, jakbym chciała udowodnić samej sobie, jak głupie są takie myśli.

- Nie jestem pewny - odparł.

- O czym z nim rozmawiacie?

- Chcemy, żeby potwierdził parę szczegółów dotyczących śledztwa. - Mówiąc to, rozglądał się dookoła. - Aha, i jeszcze jedno. Chcielibyśmy jutro rano dokładniej przeszukać dom, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu

- Chyba nie. Choć trudno mi uwierzyć, że mogliście coś przeoczyć. Co chcecie jeszcze sprawdzić?

Stadler znów obrzucił ulicę pobieżnym spojrzeniem.

- Różne miejsca. Niektóre pokoje na górze. Może gabinet pani męża.

Gabinet Clive'a. To pierwszy pokój, jaki urządziliśmy w nowym domu, co było chyba lekką przesadą, bo nie korzysta z niego nikt poza nim. Bez względu na to, gdzie mieszkaliśmy, Clive zawsze na to nalegał: musiał mieć pokój, który był jego azylem, tam trzymał wyłącznie swoje rzeczy. Kiedy planowaliśmy rozkład pokoi w nowym domu, pamiętam, jak protestowałam ze śmiechem, że nie mam swojego sanktuarium. Odparł na to, że to nie ma znaczenia, bo moim sanktuarium jest cały dom.

Pokoju Clive'a nigdy nie zamykało się na klucz, ale też nie było takiej

potrzeby. Chłopcom zakazał tam wchodzić pod karą śmierci i okrutnych tortur. Mnie nie zabronił wstępu. Wchodziłam czasami do środka, gdy Clive siedział nad jakimiś papierami lub pisał listy. Nie złościł się wtedy na mnie ani nie kazał mi wyjść. Odwracał się tylko w moją stronę, brał kawę lub słuchał tego, co miałam do powiedzenia, czekał aż skończę i zaczął zbierać się do wyjścia. Zawsze powtarzał, że nie potrafi pracować, gdy jestem w pokoju.

Czułam więc, że dopuszczam się niemal wykroczenia, kiedy wieczorem weszłam do gabinetu. Wcześniej sprawdziłam dom, rozebrałam się, włożyłam nocną koszulę i szlafrok. Włączyłam światło i od razu dopadło mnie poczucie winy. Podeszłam do okna i zaciągnęłam zasłony, by poczuć się naprawdę sama. Zbliżała się północ.

Pokój był dokładnie taki jak Clive: czysty, poukładany, niemal surowy. Na ścianach wisiało tylko kilka obrazów. Niewielka, mglista akwarela przedstawiająca żaglowiec, odziedziczona po matce. Stary sztych prywatnej szkoły, do której uczęszczał, pamiątka jeszcze z dzieciństwa. Zdjęcie Clive'a w otoczeniu kolegów na jakiejś uroczystej kolacji: cygara, lśniące rumiane twarze, puste kieliszki, splecione ramiona. Clive wygląda na trochę zagubionego i przerażonego. Nigdy nie lubił, by ktoś go dotykał, a zwłaszcza inni mężczyźni.

Gabinet mojego męża. Co tutaj mogłoby wzbudzić zainteresowanie policji? Nie zamierzałam oczywiście niczego przeszukiwać. Sama myśl o tym, kiedy on siedział na posterunku policji, byłaby już dowodem strasznego braku lojalności. Chciałam tylko spojrzeć. To może okazać się ważne, jeśli będę zmuszona przemawiać w jego imieniu. To właśnie powtarzałam sobie w duchu.

W gabinecie stały dwie szafki na dokumenty: jedna wysoka, brązowa, druga - niska, przysadzista, z szarego metalu. Otworzyłam obie i przerzuciłam teczki i papiery, ale były straszliwie nudne. Dokumenty hipoteczne, instrukcje obsługi, stopy potwierżeń, rachunków i gwarancji, faktury, listy od księgowych. Poczulałam w sercu płomyk miłości do Clive'a. Zajmował się tym wszystkim, żeby mnie odciążyć. Zostawiał mi bardziej interesującą, twórczą część wszystkich przedsięwzięć, a sam borykał się z tą nudą. Wszystkie rachunki były zapłacone, odpowiedział na każdy list. Co



ja bym zrobiła bez niego? Nie patrzyłam wcale na poszczególne papiery. Chciałam się tylko przekonać, że w którejś teczce kryje się coś, co nie jest nudne.

Zamknęłam drugą szafkę. Co za głupota. Nie było tutaj nic, co choć trochę mogłoby zainteresować policję, chyba że chcieliby przejrzeć naszą umowę hipoteczną. Jeszcze jeden pozbawiony sensu wysiłek. Gdyby zechcieli mnie spytać, sama bym im to powiedziała.

Odsunęłam pokrywę biurka. Rozległ się straszliwy zgrzyt. Rozejrzałam się nerwowo dookoła. Nie chciałam zrobić nic, czego nie można by cofnąć w ciągu paru sekund, gdyby nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Nie muszę chyba dodawać, że nie znalazłam nic ciekawego. Clive zawsze powtarzał, że zanim wstanie od biurka, musi wszystko dokładnie uporządkować. To jego żelazna zasada. Na blacie leżały wyłącznie ołówki, długopisy, gumki do ścierania, dość droga elektryczna strugaczka do ołówek, gumki-recepturki, spinacze, wszystko w specjalnych pojemnikach. W przegródkach znajdowały się koperty, kartki do notatek, wizytówki, naklejki. Na policjantach na pewno zrobi to spore wrażenie, nawet jeśli nie znajdą nic ciekawego.

Pozostały już tylko szuflady. Usiadłam na krześle. Tuż nad moimi kolanami znajdowała się płaska szuflada pełna pocztówek. Przejrzałam je. Wszystkie były czyste. Zajrzałam do szuflad po bokach. Książeczki czekowe, nowe i czyste. Broszury reklamujące wakacje zimowe. Masa papierów z kancelarii Matheson Jeffries, gdzie Clive pracuje. Wszystko, dzięki Bogu, straszliwie nudne.

W dolnej szufladzie po prawej stronie leżało kilka wypchanych szarych kopert. Zajrzałam do pierwszej z brzegu. Zawierała pisane ręcznie listy. Tym samym charakterem pisma. Spojrzałam na koniec jednego z nich. Podpis „Gloria”. Wiedziałam, że jedną z najgorszych rzeczy jest czytanie cudzych prywatnych listów bez pozwolenia. „Podszuchując, nie dowiesz się o sobie niczego dobrego”, przypominałam sobie nagle stare powiedzenie. Wiedziałam, że nie wolno mi ich czytać i naprawdę powinnam je odłożyć, pójść spać i szybko o wszystkim zapomnieć. Jednocześnie przyszło mi do głowy, że rankiem policja może zacząć czytać te listy z sobie tylko znanych powodów. Czy nie powinnam wiedzieć, co zawierają?

Wybrałam rozwiązanie kompromisowe. Przerzucalam listy, czytając tylko luźne zdania i słowa. W ten sposób trudno się zorientować, co kryje treść listu, ale słowa niemal wyskakiwały z kartek: Kochanie... strasznie za Tobą tęsknię... myślę o zeszłej nocy... liczę godziny. To śmieszne, ale początkowo nie czułam gniewu ani do Clive'a, ani nawet do Glorii. Pierwszym uczuciem, jakie mnie ogarnęło, była pogarda z powodu trywialności tych listów. Czy ludzie mający potajemne romanse muszą używać w listach tak straszliwie oklepanych zwrotów? Czy Clive'a nie stać na coś więcej? Po chwili przypomniałam sobie kolację, w czasie której widziałam ją ostatni raz; jak pochylała się, by coś do niego szepnąć, patrzyła na niego nad blatem stołu. Poczulałam, że płoną mi policzki. Ostrożnie wsunęłam listy do koperty. Leżący na samym wierzchu był najświeższy. Naprawdę nie powinienam była ich czytać; wyrządzą mi tylko jeszcze większą krzywdę, przyniosą więcej bólu i upokorzenia, to pewne.

Jeszcze tylko fragmencik. Jeden cały akapit, nie tylko jedno zdanie. Ostatni z ostatniego listu. Muszę wiedzieć, na czym stoję.

„Muszę już kończyć, kochanie. Piszę ten list w pracy i pora wracać do domu. To straszne, że tak rzadko się widzujemy, ale we wrześniu będziemy mieli Genewę”. Genewa. Wyjazd w interesach. Jeszcze mi o nim nie wspominał. „Straszne, że muszę to wyznać, ale czasami jej nienawidzę, niemal tak mocno jak ty”.

Odłożyłam list i przelknęłam ślinę. Nie pozbyłam się jednak tkwiącej w gardle kuli. Nienawidzi mnie. On mnie nienawidzi. Nie kocha. Nawet nie lubi. Nie czuje obojętności. Nienawidzi. Raz jeszcze spojrzalam na list. „Ale nie wolno nam. Wszystko się ułoży i będziemy razem. Znajdziemy jakiś sposób, wierzę w to, bo tak przecież powiedziałaś. Całuję Cię mocno, kochanie. Gloria”.

Złożyłam list i wsunęłam go na spód koperty, tam gdzie powinien się znaleźć. Spojrzałam na inne pękate koperty leżące w szufladzie i sama myśl o tym, co zawierają, przepełniła mnie beznadziejnym smutkiem. Zajrzałam do jednej z nich i znalazłam tam zdjęcie. Zdjęcie kobiety, ale nie była to Gloria. Wyglądała tak, jakby była na przyjęciu. Trzymała w dłoni drinka i ze śmiechem unosiła go w stronę fotografa. Wyglądała zupełnie inaczej niż wszystkie znane mi kobiety. Zabawnie. Była niewysoka,

szczupła i bardzo młoda. Ciemnoblond włosy, krótka spódniczka, zwyczajna bluzka. Przez jedną szaloną chwilę pomyślałam, że wygląda całkiem ładnie, że mogłaby być moją przyjaciółką, a potem poczułam gniew, złość i nie mogłam już tego dłużej znieść. Wsunęłam zdjęcie do drugiej koperty i zamknęłam szufladę. Wyszedłam z pokoju, pamiętając o tym, by zgasić światło.

## 13

Otaczały mnie ciemności. Moje życie było jednym wielkim mrokiem. Wszystko, co kiedyś uważałam za pewnik, rozpadało się, przerażało. Do tej pory myślałam, że gdzieś tam jest ktoś, kto chce mnie skrzywdzić i już to było straszne, ale teraz uświadomiłam sobie, że nigdzie nie jestem bezpieczna. Ani tam, ani tutaj, nie z mężczyzną, za którego wyszłam przed piętnastu laty, nie w moim własnym domu, w moim pokoju, we własnym łóżku. Nigdzie.

Josh i Harry byli w Ameryce, w jakimś namiocie ustawionym na zboczach góry, daleko od domu. Christo udawał, że nie jestem jego matką. A Clive mnie nienawidził: tak właśnie powiedział Glorii. Leżąc tej nocy w łóżku, testowałam to słowo, jak testuje się baterię, przykładając do niej koniuszek języka. Nienawidzi. Nienawidzi. Nienawidzi. To słowo raniło mi mózg. Mój mąż mnie nienawidzi. Ciekawe od jak dawna? Od czasu Glorii czy od wielu lat? Od zawsze?

W ogrodzie wiatr westchnął w liściach umęczonych drzew. Wyobraziłam sobie oczy wpatrzone bezustannie w moje okno.

Może mój mąż pragnie mojej śmierci.

Usiadłam i zapaliłam stojącą przy łóżku lampkę. To śmieszne. Szalone. Nie wolno mi tak myśleć. Ale dlaczego policja przetrzymuje go aż tak długo?

O świcie, po nocy pełnej niespokojnych snów, weszłam do pokoju Christa i usiadłam na jego łóżku. Przez firanki wpadały pierwsze promienie słońca, zapowiadał się kolejny upalny dzień. Christo odrzucił kołdrę, miał rozpięte guziki od pizamy. W zaciśniętej ręce trzymał pluszowego delfina, którego Lena kupiła mu w zoo. Przez lekko rozchyłone usta szepotał od czasu do czasu jakieś niezrozumiałe słowa. Dzisiaj, pomyślałam,

wyślę go z Leną do moich rodziców. Już dawno powinnam to była zrobić. To nie jest odpowiednie miejsce dla dziecka.

Policja zjawiała się bardzo wcześnie. Trzej oficerowie wmaszerowali do gabinetu Clive'a niczym oddział do zadań specjalnych. Udawałam, że ich tam nie ma.

Przygotowałam dla Christa i Leny ciepłe śniadanie, lecz Lena, która nigdy nic nie jadła, zaledwie dziubnęła smażony pomidor i zepchnęła resztę jedzenia na bok talerza tak, by wyglądało, że jednak coś wzięła do ust. A Christo, gdy już przekłuł widelcem żółtko sadzonego jajka i rozsmarował je po całym talerzu, powiedział, że to świństwo i zapytał czy nie mógłby dostać płatków czekoladowych. Jak brzmi magiczne słowo, spytałam automatycznie. Proszę. Bardzo proszę, czy mogę nie jeść tego obrzydlistwa?

Policjanci wyszli, wnosząc pudła. Kilka miesięcy temu wniosła je do środka grupka krzepkich mężczyzn i ustawiła w gabinecie. Christo nie pytał o ojca, bo Clive zwykle wychodzi do pracy, zanim on się obudzi. Wychodzi, zanim Christo się obudzi, wraca, gdy już śpi. Nienawidzi mnie. Mój mąż mnie nienawidzi.

W kuchni panował straszliwy bałagan. Podobnie zresztą jak w całym domu, odkąd odprawiłam Mary. Jutro wszystko posprzątam. Nie dzisiaj. Spojrzałam na swoje gołe nogi. Znów muszę je wydepilować. Lakier na paznokciach też zaczyna się łuszczyć.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - spytała Lena śpiewnym głosem. Ależ ona jest ładna, taka jasna i szczupła w cienkiej letniej sukience, z delikatnymi ramionami brązowymi od słońca. Może Clive też myśli podobnie. Patrzyłam na nią, aż jej twarz zaczęła się rozmywać.

- Proszę pani?
- Tak, tak. - Przyłożyłam palce do policzków. Moja skóra była bardzo cienka i stara. - Źle spałam...
- Chcę oglądać kreskówki.
- Nie teraz, Christo.
- Chcę oglądać kreskówki!
- Nie.

- Jesteś dupa.
- Christo! - Chwyciłam go za ramię i mocno ścisnęłam.
- Co powiedziałeś?
- Nic.

Puściłam go i odwróciłam się do Leny, która przyglądała się nam z wyrazem fałszywej skromności na twarzy.

- Dzisiaj nie jest najlepszy dzień - powiedziałam niejasno. - Może pójdziesz z Christem do parku, weźcie kosz piknikowy, niech on sobie poskacze w dmuchanym zamku.

- Nie chcę pikniku.
- Proszę cię, Christo.
- Chcę zostać z tobą.
- Nie dzisiaj, kochanie.
- Chodź, Chrissy, wybierzemy coś do ubrania. - Lena wstała. Nic dziwnego, że Christo ją kocha. Nigdy się nie denerwuje, przemawia do niego śpiewnie tym swoim śmiesznym głosem.

Ukryłam twarz w dłoniach. Wszędzie kurz i pył. Stos prasowania. Nikt mi nie pomoże. Clive nadal jest na posterunku, odpowiada na pytania policji. Jakie pytania? Czy nienawidzi pan swojej żony? Jak bardzo? Wy-starczająco, by wysłać jej w liście żyletki?

Wyszli razem, trzymając się za ręce. Christo miał na sobie szorty i koszulkę w paski. Patrzyłam na zasychnięte na ich talerzach jedzenie. Wyjrzałam przez brudne okno. Ze świetlika nade mną zwisała pajęczyna. Ciekawe, gdzie jest pająk.

Wzdrygnęłam się, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Na progu stał Stadler, wymięty i spocony, z pokrytą zarostem twarzą. Wyglądał tak, jakby w ogóle nie spał tej nocy.

- Jenny, czy mogę zadać pani kilka pytań? - Teraz często mówił do mnie Jenny, jakbyśmy byli przyjaciółmi, kochankami.

- Znowu?
- No, tylko jedno - odparł, rzucając mi znużony uśmiech.

Zeszliśmy na dół do kuchni. Odmówił, gdy zaproponowałam mu kawę lub śniadanie. Rozejrzał się.

- Gdzie jest Lynne?
- Siedzi w samochodzie przed domem. Musiał ją pan minąć.

- W porządku - odparł jak przez sen.
- Chciał mnie pan o coś zapytać?
- Zgadza się. To tylko szczegół. Czy pamięta pani, gdzie pani była w niedzielę osiemnastego lipca?

Usiłowałam przypomnieć sobie cokolwiek, lecz po chwili się poddałam.

- Ma pan przecież mój terminarz.
- Tak, ale tego dnia napisała pani tylko „Odebrać ryby”.
- Ach tak, już sobie przypominam.
- Co pani robiła?
- Byłam w domu. Gotowałam, zajmowałam się najróżniejszymi rzeczami.

- Z mężem.

- Nie. - Stadler drgnął, a potem uśmiechnął się ze skrywanym zadowoleniem. - Nie rozumiem, dlaczego aż tak to pana dziwi. Wie pan doskonale, że rzadko bywa w domu.

- Gdzie był wtedy?
- Powiedział, że musi wyjść. W pilnej sprawie.
- Jest pani pewna?
- Tak. Przygotowywałam kolację. Rano powiedział mi, że musi wyjść.

Dokładnie pamiętałam ten dzień. Lena miała wolne. Harry i Josh snuli się po domu, a potem wyszli na spotkanie z przyjaciółmi. Christo przez większość dnia oglądał telewizję i bawił się klockami lego. Poszedł spać wcześniej, zmęczony upałem i złym humorem, a ja siedziałam w kuchni, mając za sobą zupełnie nieudany dzień. Patrzyłam na stół z pyszną kolacją, kieliszkami do wina i kwiatami z ogrodu. Clive nie wrócił.

- Nie było go więc przez cały dzień?
- Tak.
- Może pani dokładnie określić czas?

Słyszałam swój głos, bezbarwny, smutny.

- Wyszedł zbyt wcześnie, by mógł iść do supermarketu. Wrócił około północy. Może trochę później. Nie było go w domu, gdy kładłam się spać.

- Czy złoży pani potwierdzające to zeznanie?

Wzruszyłam ramionami.

- Jeśli pan chce. Zakładam, oczywiście, że nie dowiem się, dlaczego to ma aż tak wielkie znaczenie.

Zaskoczył mnie, ujmując moją dłoń. Trzymał ją przez długą chwilę.

- Jenny - powiedział cicho, a jego głos zabrzmiał jak pieszczota - jeśli to panią pocieszy, to mogę powiedzieć, że to wszystko niebawem się skończy.

Poczułam, że się rumienię.

- Och. - Tylko tyle zdołałam wydusić, niczym idiotka z małej wiochy.

- Niedługo wrócę - powiedział.

Nie chciałam, żeby odchodził, ale, oczywiście, nie mogłam tego powiedzieć. Cofnęłam rękę.

- Dobrze.

Leżałam na łóżku na plamie słońca. Nie mogłam się poruszyć. Nogi i ręce miałam ciężkie niczym kamienie, a umysł ospały, jakbym znajdowała się pod wodą.

Snułam się z pokoju do pokoju. Czemu w ogóle polubiłam ten dom? Był brzydki, odpychający i nie miał duszy. Teraz już widziałam, że nie był wart całego tego zachodu.

Weszłam do pokojów chłopców. Przebiegłam palcami po ułożonych w szufladach ubraniach i sportowych trofeach stojących na półkach. Tak bardzo byliśmy sobie dalecy. Popatrzyłam na swoje odbicie w dużym lustrze w holu - chuda kobieta w średnim wieku, z tłustymi włosami i kościstymi kolanami, snująca się jak duch po domu, zdecydowanie dla niej za dużym.

Niebo za oknem było zamglone od upału i spalin.

Może przeniesiemy się na wieś, do małego domku z rosnącym przy drzwiach krzewem róż. Moglibyśmy mieć basen, a w ogrodzie duże drzewo, na które chłopcy będą się wspinać.

Otworzyłam lodówkę i zajrzałam do środka.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Nie mogłam wydusić ani słowa. Po prostu nie mogłam. To nie działało się naprawdę. Potrząsnęłam głową. Myślałam, że w ten sposób uda mi się odpędzić od siebie całe to zamieszanie. Links przysunął się do mnie bliżej, jakbym była głuchym krótkowidzem, na dodatek szalonym.

- Czy słyszała pani, co powiedziałem?
- Co?
- Pani mąż, Clive Hintlesham. - Mówił tak, jakby chciał mi słowo po słowie wbić do głowy. - Godzinę temu. Oskarżyliśmy go o zamordowanie Zoë Haratounian rankiem osiemnastego lipca 1999 roku.
- Nie rozumiem. To jakieś szaleństwo.
- Proszę pani, Jenny...
- Szaleństwo - powtórzyłam raz jeszcze. - Szaleństwo.
- Jego adwokat już został powiadomiony. Jutro rano pojawi się w sądzie. Złożą wniosek o wyznaczenie kaucji. Wniosek zostanie odrzucony.
- Kim jest ta kobieta? Co miała wspólnego z Clive'em? Ze mną i tymi listami?

Links się zmieszał. Odetchnął głęboko i zaczął mówić spokojnym, cierpliwym tonem; mówił cicho, choć nie było przy nas nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

- Nie mogę podać pani wszystkich szczegółów, ale z powodu szczególnych okoliczności doszedłem do wniosku, że powinienem panią przygotować. Wygląda na to, że pani mąż miał z nią romans. Sądźmy, że podarował jej pani medalion. W jego papierach znaleźliśmy jej zdjęcie.

Przypomniałam sobie fotografię, którą oglądałam zeszłej nocy: szczerą, roześmianą twarz, kieliszek uniesiony w toaście za przyszłość, której nie miała. Przełknęłam ślinę i poczułam, że robi mi się niedobrze.

- To jeszcze nie znaczy, że ją zabił.
- Panna Haratounian otrzymywała podobne listy jak pani. Pisane przez tę samą osobę. Jesteśmy przekonani, że pani mąż najpierw jej groził, a potem ją zabił.

Spojrzałam na niego. Poszczególne kawałki układanki zaczynały do siebie pasować, ale powstały w ten sposób obrazek nie miał żadnego sensu. Był jak zły sen.

- Chce pan przez to powiedzieć, że to Clive pisał do mnie te listy? To nie był jego charakter pisma.

- Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że pani mąż jest oskarżony o zamordowanie panny Haratounian.

- Proszę mi powiedzieć, co pan o tym wszystkim sądzi.
- Proszę pani...



- Musi mi pan powiedzieć. To przecież nie ma żadnego sensu.

Milczał przez chwilę. Najwyraźniej próbował podjąć jakąś decyzję.

- To bardzo przykre - powiedział. - Chciałem pani tego oszczędzić. Ale możliwe jest, że z jakiegoś powodu chciał się po zbyć tej kobiety. Kiedy już to zrobił, okazało się, że nikt nie wiedział, że w ogóle się spotkali. Dlatego gdyby pani została... wybrana przez tego, który popełnił tamto morderstwo, on nie znalazłby się w kręgu podejrzanych. - Kolejna długa chwila ciszy. - To oczywiście tylko jedna z hipotez. Bardzo mi przykro.

- Czy on aż tak bardzo mnie nienawidzi?

Links nie odezwał się ani słowem.

- Przyznał się?

- Nadal stanowczo zaprzecza, jakoby w ogóle znał pannę Haratounian - powiedział sucho Links. - Co brzmi trochę śmiesznie.

- Chcę się z nim zobaczyć.

- Ma pani do tego prawo. Ale czy jest pani tego pewna?

- Chcę go zobaczyć.

- Chyba w to nie wierzysz, Jenny? Jens. Nie możesz przecież uwierzyć w te niedorzeczne oskarżenia. - W jego głosie słyszałam gniew i strach. Miał czerwoną, nieogoloną twarz, poplamione ubranie. Spojrzałam na niego. Mój mąż. Obwisłe policzki, chuda szyja, zaczerwienione oczy.

- Jens.

- Dlaczego nie miałabym w to wierzyć?

- Jens, to ja, Clive, twój mąż. Wiem, że ostatnio nie było między nami najlepiej, ale to ja.

- Nie było najlepiej - powtórzyłam.

- Jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat, Jens. Znasz mnie. Powiedz im, że to śmieszne. Byłem tego dnia z tobą. Wiesz, że byłem.

Mucha usiadła mu na policzku, odpędził ją gwałtownym ruchem ręki.

- Opowiedz mi o Glorii - powiedziałam. - To prawda?

Zarumienił się, zaczął coś mówić, ale zaraz urwał.

Spojrzałam na niego, na wystające z nosa włoski, smugę brudu na szyi,

łuszczącą się skórę przy uszach, łupież we włosach. Wyglądał dobrze tylko wtedy, gdy był zadbany. Nie należał do tych osób, jak na przykład Stadler, które prezentują się znacznie lepiej po nieprzespanej nocy; mogą nie zmrużyć oka, a mimo to wyglądać bardzo seksownie.

- Chyba nie mamy już o czym rozmawiać, prawda?
- Tak.
- Do widzenia.
- Jeszcze zobaczysz - krzyknął. - Zobaczysz i pożałujesz. Popełniasz największy błąd w swoim głupim życiu. - Uderzył pięściami w blat stołu, aż siedzący przy drzwiach policjant o okrągłej twarzy wstał. - Gorzko tego pożałujesz, przekonasz się.

Przed moim domem trzymał wartę już tylko jeden policjant. Leżał w samochodzie na wpeł śpiąc, ukryty za gazetą. Gabinet Clive'a wyglądał, jakby ktoś się do niego włamał. Dom był placem budowy. Ogród przypominał pustynię; chwasty i osty rosły na grządkach przeznaczonych przez Francisa na kwiaty i ozdobne krzewy; trawa zupełnie pożółkła.

Otworzyłam butelkę szampana i wypiałam kieliszek, ale zrobiło mi się niedobrze. Powinnam coś zjeść, ale nie mogłam. Chciałam, żeby zjawiała się Grace Schilling i przyrządziła mi omlet z ziołami, niezbyt ścisły i pachnący. I żeby zadzwonił Josh i powiedział, że wraca do domu.

Siedziałam sama w kuchni. Sporo przeszłam, ale byłam wolna.

## 14

Dzień pełen gorączkowej aktywności znacznie mnie uspokoił. Tego właśnie potrzebowałam. Wreszcie się uwolniłam od dręczących myśli i pozbyłam uporczywego brzęczenia w głowie, którego nie uciszał żaden proszek. Ranek wstał słoneczny, lecz jeszcze niezbyt upalny i kiedy siedziałam w kuchni z Lynne, byłam niemal spokojna. Lynne znów miała na sobie mundur. Obie czułyśmy, że coś się skończyło i nadszedł czas pożegnań. Wypiliśmy razem prawie cały dzbanek kawy, zrobiłam też grzanki,

które obie skubałyśmy. Spytała, czy może zapalić. Nie tylko pozwoliłam, ale sama poprosiłam o papierosa i znalazłam stary spodeczek, który posłużył nam za popielniczkę.

Kiedy zaciągnęłam się po raz pierwszy, poczułam się okropnie, zupełnie jakbym miała czternaście lat, ale potem było już lepiej. Odkryłam, że papieros ma na mnie kojący wpływ. Może w nowym życiu znów zacznę palić.

- Kiedyś paliłam, żeby się odchudzić - powiedziałam. - A przynajmniej był to mile widziany pretekst. Rzuciłam palenie, kiedy zaszłam w ciążę z Joshem. Moje pośladki i biodra już nigdy nie były takie jak przedtem.

Lynne uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Chciałabym mieć twoją figurę.

Spojrzałam na nią krytycznie.

- Nie spodobałaby ci się - powiedziałam. - Nie miałaś okazji oglądać jej tak jak ja.

Zaciągnęłam się. Po tych wszystkich latach czułam się jak amatorka. Będę potrzebowała sporo praktyki.

- Byłaś bardzo zajęta? - spytała Lynne.

- Musiałam załatwić sporo spraw.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Dziś wieczór lecę do Bostonu.

- Czy chłopcy już wiedzą?

O mało się nie roześmiałam.

- Poinformować Josha przez telefon, że jego ojciec... nie, to nie najlepszy pomysł. Jestem pewna, że doktor Schilling zalecałaby zrobić to osobiście.

- Tak będzie rzeczywiście lepiej.

Większość popołudnia spędziłam, rozmawiając przez telefon z moim architektem, robotnikami i Francisem, ogrodnikiem. Wracamy na początek przyszełego tygodnia i zaraz zabieramy się do pracy.

Lynne zapaliła kolejnego papierosa.

- Czy to nie będzie trochę dziwne? - spytała. - Tak zaczynać wszystko od nowa?

- Tym razem będzie inaczej. Dlatego te rozmowy są takie długie. Załatwiają, co się da, pomalują ściany na biało, posadzą parę krzewów, po czym wystawię dom na sprzedaż.

Lynne otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Jesteś pewna?  
- Tak naprawdę mam ochotę spalić ten dom z całą zawartością, ale na razie sprzedaż musi mi wystarczyć.  
- Dopiero co się wprowadziłaś.  
- Nie mogę już na niego patrzeć. Byłam tu bardzo nieszczęśliwa. Podejrzewam, że to nie wina domu, ale mimo wszystko....  
- Rozmawiałaś z doktor Schilling?  
- Dlaczego miałabym z nią rozmawiać? - rzuciłam trochę zbyt ostro. - Jej zadanie polegało na wykorzystaniu zawodowych umiejętności do ujęcia mężczyzny, który mnie prześladował. No i złapano go. - Urwałam gwałtownie. - Przepraszam, nie chciałam krzyczeć.

- W porządku.  
- Dla ciebie nie była to chyba najprzyjemniejsza praca.  
- Dlaczego?  
- Pilnowanie złośliwej, nieszczęśliwej kobiety.  
Na twarzy Lynne malował się wyraz powagi.  
- Nie powinnaś tak mówić. To, co się wydarzyło, jest okropne. Było nam ciebie bardzo żal. Nadal zresztą tak jest.

- Nadal?  
- Cieszymy się, że zdołaliśmy go złapać. Przykro nam tylko, że to pan Hintlesham.

Przez długą chwilę nie odpowiadałam. Przez ramię Lynne patrzyłam na ogród. Trudno uwierzyć, by nawet Francis uporał się z nim w ciągu dwóch tygodni. Zobaczymy.

- Przypominam sobie szczegóły naszego małżeństwa i zastanawiam się, co mogło się stać. Wiem, że mieliśmy problemy, ale nie rozumiem, dlaczego aż tak bardzo mnie zniechęcił. Co mu zrobiłam? Co zrobiła ta biedna Zoë, poza tym, że wskoczyła z nim do łóżka? - Lynne spojrzała mi prosto w oczy. Nie odwróciła wzroku, muszę jej to przyznać. Ale nie odpowiadała. - Nawet jeśli aż tak mnie nienawidził, dlaczego chciał mnie za bić? Dlaczego kazał mi aż tak cierpieć? No, dlaczego? Powiedz coś.

Lynne wyglądała na zmieszaną.

- Muszę być ostrożna - powiedziała. - Sprawa wciąż jest w toku. Ale ludzie robią takie rzeczy. Pan Hintlesham poznał kogoś innego. Wiedział, że nie dasz mu rozwodu. - Wzruszyła ramionami. - Ostatnia sprawa, jaką się zajmowałam, dotyczyła czternastoletniego chłopca, który zabił swoją

babcię, bo nie chciała mu pożyczyć pieniędzy na kupon loterii. Jak mawiał jeden z moich sierżantów, nie trzeba specjalnych kwalifikacji, żeby zostać mordercą.

- Więc mógł to zrobić. Myślisz, że uznają go za winnego?

Zastanawiała się przez chwilę.

- W prokuraturze twierdzą, że przynajmniej w siedemdziesięciu pięciu procentach musimy być pewni co do winy podejrzanego, zanim zdecydujemy się wnieść oskarżenie. O ile wiem, w sprawie oskarżenia twojego męża nie było żadnych wątpliwości. Mamy wyraźny związek z tą zamordowaną dziewczyną, Zoë, a on od początku kłamał. Poza tym nie ma alibi. Groził ci, miał romans, a tym samym motyw. Jednym słowem, mamy niemal pewną sprawę.

- A jeśli morderstwo zostanie osądzone osobno? - spytałam ostrożnie.

- Nie ma mowy - odparł Lynne. - Identyczne listy wysłane do was obu nierozzerwalnie łączą te dwie sprawy.

- Czasami myślę, że jest niewinny, ale uznają go za winnego. Potem znów jestem przekonana, że jest winny, a mimo to się wywinie. Jest bardzo sprytny. To przecież prawnik. Sama już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

- Na pewno się nie wywinie - rzuciła stanowczo Lynne. Wypiliśmy kawę i dopaliliśmy papierosy.

- Jesteś spakowana?

- To kolejna pozycja na mojej liście - powiedziałam. - Ale biorę tylko małą torbę.

Spojrzała na zegarek.

- Chyba już pójdę.

- Będę się dziwnie czuła bez nadzoru.

- Nie tak zupełnie bez nadzoru. Będziemy mieli na ciebie oko.

Skrzywiłam się lekko.

- Czy to znaczy, że macie jeszcze jakieś wątpliwości?

- Chcemy się tylko upewnić, że wszystko będzie w porządku. Wyszła.

Nie zjadłam lunchu. Nie miałam czasu. Pakowanie okazało się trochę bardziej skomplikowane, niż myślałam. Zazwyczaj jestem na tym polu

mistrzynią świata i bioreę zawsze dokładnie tyle, ile trzeba, ale tym razem czułam się trochę dziwnie i robiłam wszystko w zwolnionym tempie, jakbym przebywała pod wodą albo na księżycu. A choć robiłam wszystko bardzo wolno, musiałam się dokładnie nad każdym ruchem i decyzją zastanawiać.

Telefon nie przestawał dzwonić. Odebrałam długą rozmowę z adwokatem Clive'a, pełną niedomówień. Nie można z niej było bynajmniej wynioskować, czy znajdujemy się po tej samej stronie barykady i kiedy odłożyłam słuchawkę, zaczęłam się zastanawiać, czy sama nie powinnam wynająć adwokata. Kilka osób dzwoniło też do Josha: nauczyciel skrzypiec, Hack z kółka komputerowego, który powiedział, że Josh prosił go, by podrzucił mu grę, i Marcus, jeden z jego przyjaciół. Odebrałam też telefony od kilku moich przyjaciół, a raczej przyjaciół Clive'a, którzy słyszeli, że dzieje się coś niezwykłego. Za każdym razem uspokajałam ich całą serią wykretów. Staralam się nie kłamać, ale też i nie mówiłam całej prawdy.

Doszłam do wniosku, że w stanie, w jakim się znajduję, powinnam znaleźć się na lotnisku dość wcześniej. Zamówiłam więc taksówkę i zaczęłam biegać po domu, gorączkowo zamykając okna i zaciągając zasłony. Zadzwoiłam też do Mary. Będzie przychodzić i zapalać wieczorem światła. Ale prawdę mówiąc, co można było tutaj ukraść? Proszę bardzo, niech biorą. Długi lot przez Atlantyk. Miękkie buty. Mam gdzieś takie ładne, z niebieskiego płótna. Gdzie one są? Czy w ogóle rozpakowałam je po przeprowadzce? Już pamiętam. Szafka w sypialni. Na samej górze. Wbiegłam na schody. W sypialni - w naszej sypialni, jak powiedziałabym kiedyś - rozejrzałam się dookoła. Chyba niczego nie zapomniałam.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie do frontowych. Do drzwi sypialni.

- Pani Hintlesham?

- Co takiego? - wykrzyknęłam przestraszona.

W uchylonych drzwiach pojawiła się twarz. Przez chwilę byłam jak ogłuszona. Wiecie, jak to jest, gdy nagle widzi się kogoś w zupełnie niepasującym do niej otoczeniu. Przystojny młody człowiek w dżinsach, podkoszulku i czarnej kurtce. Długie ciemne włosy. Kto to jest?

- Hack. Co ty tutaj...?

- To nie jest moje prawdziwe imię. To ksywka, która ma robić wrażenie na chłopcach.

- A jak się naprawdę nazywasz?

- Morris - powiedział. - Morris Burnside.

- No cóż, Morris, trochę się spieszę. Zaraz jadę na lotnisko.

- Gra - powiedział, podając mi kolorową paczuszkę. - Dzwoniłem, pamięta pani? Przepraszam, ale drzwi były otwarte i wszedłem do środka. Wołałem z dołu.

- Ach tak. Masz szczęście, że mnie jeszcze zastałeś. Taksówka zaraz tu będzie.

Dyszał, jakby skończył przed chwilą długi bieg.

- Bardzo się cieszę, bo... Nie chodzi tylko o grę. Czytałem gazetę. Pisali tam, że pani mąż został oskarżony.

- Co? O Boże. Bałam się, że tak będzie.

- Bardzo mi przykro, proszę pani. Wiem, jakie to będzie trudne dla Josha.

- Tak, tak. Chwileczkę, muszę tylko znaleźć te buty. No, są.

- Dlatego chciałem od razu przyjść i zobaczyć się z panią. Bo widzi pani, sporo się nad tym zastanawiałem i wiem, że pan Hintlesham nie mógł tego zrobić.

- To bardzo miłe z twojej strony, Morris, ale...

Założyłam buty. Musiałam już wychodzić.

- Nie, to nie tylko to. Wiem, że pani mąż potrafi udowodnić, że jest niewinny.

- Co masz na myśli?

- Absolutnie wiarygodne alibi. Kiedy znajdą pani ciało, będą wiedzieli, że on nie mógł tego zrobić.

- Co takiego? - spytałam słabo i poczułam nagle ogarniający mnie niepokój.

Stał blisko mnie. Nagle coś przeleciało mi nad głową i zacisnęło się wokół mojej szyi. Był teraz tuż przy mnie, czułam na twarzy jego gorący oddech.

- Nie możesz mówić - powiedział niemal szeptem. Jego twarz była tak blisko mojej, że mógłby mnie pocałować. - Prawie nie możesz oddychać. Jeden mój ruch i będziesz martwa. - Twarz mu poczerwieniała, podbiegła krwią, patrzył na mnie przenikliwie, ale głos był niemal łagodny. - To już nie ma znaczenia. Nic już nie możesz zrobić.

Straciłam zupełnie panowanie nad swoim ciałem. Poczułam ciepło i wilgoć między nogami. Zmoczyłam się. Przypomniałam sobie chwilę, gdy odchodziły mi wody. Dobrze, że Christo jest u moich rodziców, a Josh i Harry tak daleko. To dobrze. Zmarszczył twarz z odrazą.

- No, popatrz, co narobiłaś - powiedział. - I to w ubraniu.

To była ostatnia rzecz, jaką miałam w życiu oglądać – jego twarz. Chciałam zapytać dlaczego i nie mogłam.

- Wielka szkoda z tą taksówką - powiedział. - Myślałem, że będziemy mieli dużo czasu. Chciałem ci pokazać, jak bardzo cię kocham, ale teraz zostało nam już niewiele czasu.

Znów zacisnął sznurek i przytrzymał go jedną ręką. Sięgnął gdzieś za siebie i po chwili zobaczyłam drugą. Błysnęło ostrze.

- Kocham cię, Jenny - powiedział.

Chciałam już tylko popaść w odrętwienie, pogrążyć się w ciemności. Ale nie zrobiłam tego. Nie mogłam.



Część trzecia

Nadia

## 1

Śpieszyłam się. No nie, wcale się nie spieszyłam. Ale pomyślałam, że jeśli stworzę złudzenie pośpiechu, to wreszcie uda mi się coś zrobić. Kiedy uświadomię sobie, że się myliłam, będzie już za późno i może odzyskam kontrolę nad własnym życiem.

Znalazłam pod łóżkiem starą bawełnianą spódnicę i szybko ją wciągnęłam razem z czarnym podkoszulkiem bez rękawów, który zakrył plamę z czekolady tuż przy pasku. Chyba musiało na mnie wpaść jakieś podekscytowane dziecko z batonikiem w ręce. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Włosy przypominały oglądany w kreskówkach rój pszczół, na policzku nadal widniał ślad farby.

Kawa. To będzie dobry początek. Znalazłam kubek i umyłam go w łazience. Napełniłam też czajnik wodą. Do zlewozmywaka w kuchni nie można się było żadną miarą przebić: stała w nim cała wieża zaschniętych talerzy i garów. Kiedy skończę wypełniać formularz podatkowy, wszystko umyję. To kolejny dobry pomysł. Dzięki tej paskudnej górze brudnych naczyń dopuszczę się szantażu i przekonam samą siebie, że muszę wreszcie zaprowadzić w swoim życiu jakiś ład.

Wzięłam kubek z kawą i pół tabliczki czekolady i postawiłam wszystko na biurku. Zacznę też jeść na śniadanie muesli i świeże owoce. Cztery porcje warzyw i sześć porcji owoców dziennie. Ale przecież czekoladę otrzymuje się z ziaren?

No, lepiej będzie, jak się w końcu z tym uporam. Ostateczne wezwanie z urzędu skarbowego leżało na klawiaturze komputera. Dostałam je już parę tygodni temu, ale wrzuciłam do szuflady z resztą nieotwartych listów i próbowałam o nim nie myśleć. Max mawiał kiedyś, że powinnam iść do terapeuty i opowiedzieć mu o moich problemach z otwieraniem poczty. Czasami zapominam o niej na całe tygodnie. Sama nie wiem dlaczego. Wiem, że w ten sposób spiętrzam tylko kłopoty. I nie chodzi wcale o to, że

nie otwieram wyłącznie nieprzyjemnych listów, takich jak rachunki i grzywny z biblioteki za przetrzymywanie książek. Nie otwieram też listów z czekami, przesyłek od przyjaciół, ofert pracy, która bardzo by mi się przydała. Później, powtarzam sobie w duchu. Kiedy szuflada wypełni się po brzegi.

Teraz nadszedł właśnie ten moment. Zrzuciłam z krzesła paczkę ciastek i słomkowy kapelusz. Usiadłam, włączyłam komputer i patrzyłam, jak monitor budzi się do życia. Kliknęłam myszką najpierw na okienko „Rachunki”, a potem na „Wydatki”. Było dobrze. Było bardzo dobrze. Pracowałam przez godzinę. Szperałam na biurku, za biurkiem, w kieszeniach kurtek. Otwierałam koperty. Rozkładałam stare rachunki i faktury. Moje życie zaczynało nabierać kształtów. Postanowiłam wszystko wydrukować, żeby poczuć się zupełnie bezpiecznie. Nagle na ekranie pojawiło się małe okienko: Nieznany błąd, typ 18. Co to może oznaczać? Kliknęłam raz jeszcze, ale kursor ani drgnął. Wszystko jakby zamarzło. Waliałam w klawisze, jakbym siłą mogła je zmusić do działania. Nic się nie wydarzyło. Co teraz? Co mam teraz zrobić? Moje życie, moje nowe, uporządkowane życie czekało na mnie gdzieś za ekranem, a ja nie mogłam do niego dotrzeć. Ukryłam twarz w dłoniach, klęłam i jęczałam. Z całych sił walnęłam w komputer. Poglaskałam go z czułością.

- Proszę - powiedziałam. - Już będę grzeczna.

Powinnałam zajrzeć do instrukcji obsługi, ale nie miałam czegoś takiego. Komputer dostałam od jednego z przyjaciół Maxa. Po chwili przypomniałam sobie wizytówkę, którą w zeszłym tygodniu znalazłam za wycieraczką samochodu. Komputerowe pogotowie ratunkowe. Wtedy roześmiałam się i gdzieś ją cisnęłam. Tylko gdzie? Otworzyłam szufladę biurka: tampony, guma do żucia, stare ciekące długopisy, taśma klejąca, papier do pakowania, podróżny zestaw scrabble, kilka zdjęć, których nawet nie rozpoznałam. Wysypałam całą zawartość torebki: mnóstwo drobnych, garść pomiętych chusteczek, stary klucz, talia kart, kilka szklanych kulek, jeden kolczyk, parę gumek, szminka, pileczka do żonglowania i kilka zatycek do długopisów. Przejrzałam zawartość portfela: karty kredytowe, kwitki, kilka zagranicznych banknotów i zdjęcie Maxa zrobione w automacie.

Wyrzuciłam zdjęcie, ale nadal nie udało mi się znaleźć wizytówki.

Nie było jej też między poduszkami kanapy ani w wyszczerbionym dzbanku, w którym chowam różne dziwne rzeczy. Nie znalazłam też w szufladzie z biżuterią ani między papierami na kuchennym stole. Prawdopodobnie wykorzystałam ją jako zakładkę. Przeszłam do sypialni i przekartkowałam książki, które ostatnio czytałam albo przeglądałam. W *Dziwnych losach Jane Eyre* znalazłam zasuszoną czterolistną koniczynę, a w przewodniku po Amsterdamzie ulotkę reklamującą pizzę z dostawą do domu.

Może wsunęłam ją z pogardą do kieszeni? Co miałam na sobie tego dnia? Zaczęłam przeszukiwać kurtki, spodnie, szorty, wszystkie ubrania leżące w sypialni i łazience, czekające na dzień wielkiego prania. Znalazłam ją w zamshowym bucie pod fotelem. Musiał tam wylądować niczym opadły z drzewa liść, kiedy zrzuciłam go z nogi. Wyglądziłam wizytówkę. „Kłopoty z komputerem?” - napisano tam pogrubioną czcionką. „Wielkie lub małe, zadzwoń do mnie, a na pewno ci pomogę”. Mniejszą czcionką wydrukowano numer telefonu, który natychmiast wybrałam.

- Słucham?
- To ty jesteś specem od komputerów?
- Tak.

Jego głos brzmiał młodo, przyjaźnie, bardzo inteligentnie.

- Dzięki Ci, Panie. Mój komputer zupełnie sparaliżowało. A jest w nim wszystko. Całe moje życie.

- Gdzie mieszkasz?

Poczułam, że poprawia mi się humor. Rewelacja. A już sobie wyobraziłam, że będę musiała dźwigać maszynę przez cały Londyn.

- W Camden, blisko stacji metra.
- Może być dziś wieczorem?

- A może być zaraz? Proszę. Nie prosiłabym, gdyby to naprawdę nie był nagły przypadek.

Roześmiał się. Miał miły śmiech, taki chłopięcy. Dodający otuchy. Jak lekarz.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jesteś w domu w ciągu dnia?
- Zawsze. To miłe z twojej strony. - Szybko podałam mu adres i numer

telefonu, żeby nie zdążył wymyślić żadnej wymówki. Zaraz potem dodałam: - A tak przy okazji, w moim mieszkaniu panuje straszny chlew. - Rozejrzałam się dookoła. - Wcale nie żartuję. I nazywam się Nadia. Nadia Blake. - Do zobaczenia.

## 2

W niecałe pół godziny później zapukał do drzwi. To było niemal nieprzyzwoicie wygodne. Przypominał jednego z tych pomocników, o których zawsze opowiadał mój tato. Istnieli w dawnych wspaniałych czasach zapalaczy lamp i kominiarzy. Taka osoba, która natychmiast zjawia się w domu i dokonuje niezbędnych napraw. Było nawet jeszcze lepiej, bo nie pochodził z dawnych czasów. Nie był wcale mężczyzną w średnim wieku w stosownym uniformie, który zwraca się do ciebie per „proszę pani”, ma podkładkę do notatek, furgonetkę z wypisaną na niej nazwą firmy, a po zakończeniu pracy wręcza fakturę na sumę, której widok natychmiast uzmysławia, że taniej byłoby zainstalować nową toaletę niż odblokowywać starą.

On był po prostu taki jak wszyscy, z tą tylko różnicą, że trochę młodszy. No, trochę młodszy ode mnie. Wysoki, ubrany na luzie, w adidas, szare spodnie, podkoszulek i wytartą kurtkę, której noszenie w tym upale musiało być torturą. Miał jasną skórę i długie do ramion włosy. Przystojny i wcale nie małomówny, jak wszyscy ci spece od komputerów.

- Cześć - powiedział, wyciągając rękę. - Jestem Morris Burnside. Naprawiacz.

- Fantastycznie. Ja jestem Nadia.

Wprowadziłam go do środka.

- Jakieś włamanie? - spytał, rozglądając się dookoła.

- Nie, mówiłam ci przez telefon, że moje mieszkanie przypomina chlew. Posprzątanie znajduje się na samym szczycie listy moich priorytetów.

- Nie znasz się na żartach? Tu jest bardzo ładnie. Piękne duże drzwi prowadzą prosto do ogrodu.

- Tak, to bardzo miłe. Ogród też znajduje się na liście. Tylko trochę niżej.

- Gdzie nasz pacjent?

- Tam. - Komputer stał w sypialni. Trzeba było usiąść na łóżku, żeby przy nim pracować. - Zrobić ci herbaty?

- Poproszę o kawę. Z mlekiem, bez cukru.

Stałam jednak za nim, czekając, jak rozwiąże mój problem. Trochę przypominało to wizytę u lekarza, do którego przyszło się z niewielką dolegliwością. Gdy okazuje się, że to jednak coś poważnego, czuje się mimowolnie dumę, że to choroba godna jego uwagi. Z drugiej strony, jeśli jest to jakieś głupstwo, odczuwa się po prostu wstyd. Ja chciałam mieć zdrowy komputer, a z drugiej strony pragnęłam, by dla Morrisa było to prawdziwe wyzwanie, co usprawiedliwiłoby jego wizytę. Niestety, tak się nie stało.

Morris zdjął kurtkę i rzucił ją na łóżko. Byłam zaskoczona. Spodziewałam się zobaczyć chude ramiona, lecz okazały się mocne i muskularne. Miał też szeroką klatkę piersiową. Jednym słowem, siedział przede mną mężczyzna, który dużo ćwiczy. Z moimi stu pięćdziesięcioma centymetrami wzrostu i drobną budową czułam się przy nim jak maleństwo.

- Kosmiczny Kumpel - powiedziałam.

- Co takiego? - spytał, po czym spojrzał w dół i uśmiechnął się. - Moja koszulka? Nie mam pojęcia, kto wymyśla te napisy. Chyba jakiś komputer w Japonii, w którym źle połączono kable.

- Widzisz, wszystko tu zamarło. Zwykle wystarczy, że uderzę w klawiaturę, żeby coś się działo, ale teraz waliłam w nią bez opamiętania i nic.

- Usiadł na łóżku i spojrzał na ekran. - Wyświetlił się napis, że to błąd numer osiemnaście, jakby to mogło cokolwiek oznaczać dla zwykłego śmiertelnika. Zastanawiałam się, czy po prostu nie odłączyć go od sieci, a potem włączyć jeszcze raz. Ale bałam się, że wszystko zniszczę.

Morris się pochylił. Lewą ręką przycisnął parę klawiszy po lewej stronie klawiatury, a potem prawą nacisnął backspace. Ekran pociemniał, a po chwili komputer sam się włączył.

- To wszystko? - spytałam.

Wstał i wziął kurtkę z łóżka.

- Jeśli to się powtórzy, to przyciśnij te trzy klawisze z lewej i jednocześnie backspace. Gdy to nic nie da, to tam z tyłu powinien być niewielki otwór. - Pochylił się i zdmuchnął kurz. - O, tutaj. Wsadź tam zapalną. To niemal zawsze działa. A jeśli mimo wszystko nie zaskoczy, po prostu

wyjmij wtyczkę z kontaktu.

- Przepraszam - bąknęłam. - W tych sprawach jestem beznadziejna i bardzo źle się z tym czuję. Ale kiedyś na pewno się nauczę. Zapiszę się na kurs.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - powiedział. - Kobiety nie muszą znać się na komputerach. Po to Bóg stworzył mężczyzn.

Trochę się spieszyłam, bo musiałam spakować rzeczy, ale nie mogłam go tak po prostu wyrzucić.

- Zrobię ci kawy - powiedziałam. - Jeśli tylko uda mi się ją znaleźć.

- Czy mogę skorzystać z łazienki?

- Tak. Jest tam. Z góry przepraszam za bałagan.

- Ile ci jestem winna? - spytałam.

- Nie ma o czym mówić - odparł. - Nie mogę wziąć pieniędzy za coś takiego.

- Daj spokój, na pewno masz jakąś stawkę za przyjazd do domu.

Uśmiechnął się.

- Kawa wystarczy.

- Jak chcesz zarobić na życie, jeśli będziesz pracował za darmo? Kim ty jesteś? Jakiś krezusem?

- Nie, nie. Zajmuję się komputerami, oprogramowaniem, prowadzę kółka w szkołach. A takie zabawy to tylko moje hobby. A ty czym się zajmujesz?

Zawsze czuję ucisk w żołądku, gdy muszę to wyjaśniać.

- To w zasadzie nie jest praca, trudno to też uznać za rodzaj kariery zawodowej, ale w tej chwili pracuję jako kłown na imprezach dla dzieci.

- Co takiego?

- Właśnie. Razem z moim partnerem Zachiem, moim zawodowym partnerem, chodzimy na przyjęcia i pokazujemy dzieciakom sztuczki. Dajemy im pogłaskać myszoscoczka, robimy zwierzaki z balonów, pokazujemy scenki z kukielkami.

- To niesamowite.

- Nie jest to fizyka nuklearna, ale można zarobić na życie. Stąd moja potrzeba uporządkowania rachunków i tak dalej, i tak dalej. Naprawdę

bardzo mi przykro, Morris. Nie chciałam marnować twojego czasu. Chyba nie rozbawiło cię moje udawanie bezbronnej kobietki.

- Nie mógł tego zrobić twój chłopak?

- Dlaczego sądzisz, że mam chłopaka? - powiedziałam z lekko przebiegłym wyrazem twarzy.

Zaczerwienił się.

- Nie chciałem, by to tak zabrzmiało - powiedział. - Widziałem w łazience piankę do golenia. Dodatkową szczoteczkę do zębów, te sprawy.

- Ach, to. Max, czyli osobnik z którym byłam związana, zostawił trochę rzeczy, kiedy wyprowadził się stąd parę tygodni temu. Gdy zabiorę się wreszcie do wielkiego sprzątnania, wszystko wyląduje w worku na śmieci.

- Przepraszam - powiedział.

Nie miałam ochoty dłużej się nad tym rozwodzić.

- Mój komputer działa więc bez zarzutu - powiedziałam wesoło, dopijając kawę.

- Ile on ma lat? Trzy?

- Nie mam pojęcia. Należał kiedyś do przyjaciela przyjaciela.

- Nie wiem, jak możesz na nim pracować. Czy to nie przypomina spaceru po bagnie w ubraniu z waty? - Spojrzał na komputer, mrużąc oczy. - Potrzebujesz więcej pamięci. Szybszych chomików. O to w tym wszystkim chodzi.

- Szybszych chomików? Co to takiego?

Uśmiechnął się szeroko.

- Przepraszam. To tylko takie określenie.

- Kiedy byłam mała, miałam chomika. Wcale nie był szybki.

- Chodzi mi tylko o to, że twój komputer pochodzi z epoki kamienia.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco.

- Za tysiąc funtów mogłabyś mieć maszynę tysiąc razy szybszą. Z dostępem do internetu, mogłabyś założyć własną stronę. Jest też specjalny arkusz kalkulacyjny, na którym można wszystko liczyć. Jeśli chcesz, mogę ci to wszystko zainstalować. Dopiero wtedy naprawdę zobaczyłabyś mnie w akcji.

Zaczęło mi się kręcić w głowie.



- To brzmi fantastycznie, Morris, ale chyba pomyliłeś mnie z kobietą, która potrafi sobie poradzić w życiu.

- I tu się mylisz. Odpowiedni system wszystko ci ułatwi. Będziesz miała nad wszystkim kontrolę.

- Wystarczy - powiedziałam stanowczo. - Nie chcę mieć komputera, który może więcej, chcę mieć taki, który może mniej. I nie chcę żadnej strony. W sypialni mam górę prasowania, chyba z sześciu miesięcy.

Na twarzy Morrisa odmalowało się rozczarowanie. Postawił kubek na stole.

- Jeśli zmienisz zdanie, to masz moją wizytówkę.

- Jasne.

- I wiesz co, może kiedyś umówimy się na drinka.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Zach. Dzięki Bogu. To już pewnik, że siedemdziesiąt dziewięć procent mężczyzn, jakich spotykam, chce się ze mną umówić. Dlaczego nie potrafię bardziej odstraszać facetów? Spojrzałam na Morrisa. Nie przebiegła żadna iskra. Nic z tych rzeczy.

- To mój partner - powiedziałam. - Przykro mi, ale musimy pędzić. I... - urwałam na chwilę. - Nie czuję się jeszcze zbyt pewnie. Chyba nie jestem na to gotowa. Przepraszam.

- Jasne - odparł, nie patrząc mi w oczy. - Rozumiem.

Miło z jego strony. Poszedł za mną do drzwi. Przedstawiłam go Zachowi, kiedy mijali się w drzwiach.

- To facet, który za darmo naprawia komputery - powiedziałam.

- Naprawdę? - Zach natychmiast się zainteresował. - Z moim też nie mogę dojść do ładu. Może wpadniesz i go obejrzysz?

- Przykro mi - odparł Morris - ale to była oferta jednorazowa. Już się nie powtórzy.

- Ja zawsze mam pecha - mruknął filozoficznie Zach.

Morris skinął uprzejmie głową i wyszedł.

*Znalazłem ją. Idealną trzecią kobietę. Jest nieduża, jak tamte, ale silna, pełna energii. Cała aż jaśniej. Skóra jak miód, lśniące kasztanowe włosy, rozwichrzone, zielonobrzowe oczy barwy orzecha, miedziane piegi na nosie i policzkach. Jesienne kolory na koniec lata. Mocno zarysowany podbródek. Białe zęby. Często się uśmiecha, a kiedy się śmieje, odchyła głowę do tyłu, gdy mówi, żywo gestykuluje. Nie jest nieśmiała, żyje w zgodzie z samą sobą. Jak kot leżący przy kominku. Jej skóra jest taka ciepła. Dłoń, którą uściśnąłem, też była ciepła i sucha. Kiedy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że jest wprost idealna. Moje wyzwanie. Moja kochana. Nadia.*

### 3

- Musimy wymyślić jakąś nową sztuczkę. - Zach, marszcząc brwi, spojrzał na mnie znad różowego koktajlu. - Coś zupełnie nowego.

- Po co?

- Gdyby mieli nas zaprosić do jakiegoś domu po raz drugi. Ja wykonuję dwie sztuczki (trzy, jeśli wliczyć tę z magiczną różdżką rozpadającą się na części, kiedy przycisnę maleńką dźwignię u podstawy. Sztuczka zachwyca wszystkich poniżej czwartego roku życia). W pierwszej wkładam biały jedwabny szalik do pustej torebki - dzieci wiedzą, że jest pusta, bo wcześniej kilkoro z nich wsunęło do środka swoje tłuste, brudne łapki - a kiedy ją potem szybko wyciągam, jest już różowo-fioletowa. W drugiej sztuczce znikają i pojawiają się magiczne kule. To podstawowe triki. Bardzo proste. Ale w ciągu tych wszystkich lat doprowadziłam je do perfekcji. Cały podstęp polega na tym, by zmusić publiczność do patrzenia w innym kierunku. A kiedy zaskoczone dzieciaki otwierają szeroko buzie, trzeba się stanowczo oprzeć pokusie powtórzenia sztuczki. I nie wolno mówić nikomu - nawet ciekawskim rodzicom - jak to się robi. Raz powiedziałam Maxowi. Zrobiłam sztuczkę z kulami, nie posiadał się ze zdumienia. I ciekawości. Jak to zrobiłaś? No, jak to zrobiłaś? Nie dawał mi spokoju. Kiedy mu pokazałam, zobaczyłam malujący się na twarzy wyraz rozczarowania. Tylko tyle? A czego się spodziewałeś, wrzasnęłam. To przecież tylko cholerny trik.

Potrafię też żonglować. Tylko trzema piłeczkami, jak wszyscy. To nic trudnego. Ale nie korzystam wyłącznie z piłek. Potrafię żonglować bananami, butami, kubkami, pluszowymi misiami i parasolkami. Dzieciaki uwielbiają, kiedy podczas żonglowania rozbijam jajka. Zakładają, że robię to celowo, że tylko się wygłupiam.

Zach jest o wiele lepszy ode mnie w scenkach z kukiełkami. Ja potrafię

naśladować tylko dwa głosy, a i tak brzmią tak samo. Czasami organizujemy przyjęcia z gotowaniem - zjawiamy się ze wszystkimi składnikami i uczymy dzieci piec zabawne ciasteczka, ukrecać lukier, przyrządzać hamburgery, pokazujemy im, jak robić okrągłe kanapki z szynką. Potem zjadają wszystko, a my sprzątamy. Przy odrobinie szczęścia matka solenizanta robi nam herbatę.

Ja jestem klaunem, wesołkiem, hałaśliwym, wesołym i niezgrabnym, który stale się przewraca. Zach jest smutnym, posępnym pomocnikiem. Skończyliśmy właśnie pracę na przyjęciu u pięcioletniej dziewczynki o imieniu Tamsin. W pokoju aż roilo się od małych tyranek w sukienkach przypominających bezy. Byłam spocona i wykończona. Chciałam wrócić do domu, zdrzemnąć się chwilę, poczytać w wannie gazetę.

- Owady - powiedział nagle Zach. - Słyszałem o facecie, który przynosi na imprezy robaki i gady, a dzieciaki tylko je dotykają. To wszystko.

- Nie będę trzymać w mieszkaniu robaków i gadów.

Potrząsnął koktajlem i zamyślił się.

- Moglibyśmy zdobyć robala, który gryzie dzieciaki. Nie, to nie najlepszy pomysł. Zaczęliby nas ścigać. Lepszy byłby taki, który zarażałby dzieciaki poważną chorobą. Zaczynałyby chorować dopiero po imprezie.

- Brzmi zachęcająco.

- Nie znosisz, jak śpiewają „Sto lat”?

- Nienawidzę.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- I okropnie dziś żonglowałaś.

- Wiem. Wysłałam z wprawy. Już nigdy nas nie zaproszą. Ale to dobre, bo tatuś Tamsin zaczął się do mnie przystawiać. Obejmował mnie czule ramieniem. - Wstałam, zbierając się do odejścia. - Pojedziesz ze mną taksówką?

- Nie, dam sobie radę.

Pocałowałam go na pożegnanie i rozeszliśmy się każde w swoją stronę.

Po odejściu Maxa powroty do domu stały się trochę dziwne. Dopiero co zdążyłam się przyzwyczaić, że tam jest: podniesiona deska w toalecie,

szafa pełna jego garniturów i koszul, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i bekon w lodówce, obce ciało w łóżku powtarzające mi w nocy, że jestem piękna, a rankiem wrzeszczące, żebym wstawiała do cholery, bo znowu się spóźnię; ktoś, dla kogo przygotowywałam posiłki i kto przygotowywał posiłki dla mnie, masował mi kark i zmuszał do jedzenia śniadania. Ktoś, z kim mogłam snuć plany i dla kogo mogłam zmieniać życie. Czasami szczerze nie znosiłam tego ograniczania mojej wolności. Zmuszał mnie, żebym bardziej dbała o porządek, lepiej organizowała sobie życie. Uważał mnie za skończonego flejtucha. Powtarzał, że jestem zbyt rozkojarzona. Rzeczy, które kiedyś uważał za urocze, zaczynały go irytować. Teraz jednak odkryłam, że brakuje mi tego wspólnego życia. Raz jeszcze muszę nauczyć się żyć samotnie. Znów poznam uroki samotności: mogę jeść czekoladę w łóżku, robić owsiankę na kolację, oglądać na wideo *Dźwięki muzyki*, przyklejać na ścianach karteczki-przypominajki i być w złym nastroju, nie zwracając sobie tym głowy. Mogę poznać kogoś nowego i zacząć na nowo cały ten oszałamiający, cudowny proces.

Wszyscy moi przyjaciele zaczynali się powoli urządzać w życiu. Wykonywali pracę, do której się przez całe lata przygotowywali, mieli perspektywę na przyszłość i zapewnioną emeryturę. Poza tym hipoteki, pralki, stałe godziny pracy. Wielu z nich było już po ślubie, niektórzy mieli dzieci. Może właśnie dlatego rozstałam się z Maxem. Stało się jasne, że nie otworzymy wspólnego konta w banku i nie będziemy mieć dzieci z jego włosami i moimi oczami.

Zaczynałam powoli obliczać z przerażeniem, jaką część życia już przeżyłam i ile jeszcze czasu mi zostało; co już zrobiłam i co jeszcze mogę w życiu osiągnąć. Mam dwadzieścia osiem lat. Nie palę albo bardzo rzadko, jem mnóstwo owoców i warzyw. Wchodzę na górę po schodach, zamiast jeździć windą, a kiedyś nawet biegałam. Doszłam do wniosku, że mam przed sobą jeszcze jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. To dość czasu, by nauczyć się, jak wywoływać filmy, wybrać się na spływ rzeką wysokogórską, obejrzeć zorzę polarną i poznać wymarzonego mężczyznę. Albo wymarzonych mężczyzn, co jest bardziej prawdopodobne. W zeszłym tygodniu czytałam w gazecie artykuł o tym, że niedługo kobiety będą mogły

rodzić dzieci nawet po sześćdziesiątce. Poczulałam wielką ulgę.

Pomyślałam, że może Max będzie na przyjęciu, na które wybieram się dziś wieczór. Jadąc do domu w gęstniejącym ruchu ulicznym, obiecałam sobie, że będę wyglądać naprawdę ślicznie. Umyję włosy, założę czerwoną sukienkę, będę się śmiać, flirtować i tańczyć, a on zobaczy, kogo porzucił, i przekona się, że nic a nic mnie to nie obeszło. Nie jestem bez niego samotna i nieszczęśliwa.

Umyłam włosy. Wyprasowałam sukienkę. Długo leżałam w wannie pełnej pachnących olejków. Wokół ustawiłam zapachowe świece, choć za oknami nadal było jasno. Potem zjadłam dwie grzanki z marmite i chłodną, pachnącą nektarynkę.

Okazało się jednak, że Maxa wcale tam nie było i po chwili przestałam odwracać głowę, gdy do środka wchodziła kolejna, nowa osoba. Poznałam faceta o imieniu Robert, prawnika o gęstych brwiach, i Terence'a, który okazał się strasznym nudziarzem. Tańczyłam jak szalona z moim starym kumplem Gordonem, który wiele miesięcy temu poznał mnie z Maxem. Chwilę rozmawiałam z Lucy, której trzydzieste urodziny właśnie świętowaliśmy i jej chłopakiem, mierzącym ponad dwa metry farbowanym blondynem. Rozmawiając ze mną, musiał się bardzo schylać: czułam się zupełnie jak krasnoludek albo małe dziecko. O wpół do dwunastej wyszłam z przyjęcia z moimi starymi przyjaciółkami Cathy i Mei. Poszłyśmy razem do chińskiej restauracji, gdzie się lekko wstawiliśmy, w ten najprzyjemniejszy sposób. Jadłyśmy zeberka, tłuste pierożki i popijałyśmy czerwone wino, aż poczułam, że robi mi się zimno w cienkiej czerwonej sukience. Byłam zmęczona. Nagle zapragnęłam wrócić do domu i znaleźć się w moim wielkim łóżku.

Kiedy stanęłam na progu, było dobrze po pierwszej. Camden Town ożywa po północy. Na chodnikach pełno było dziwnych ludzi, zaspanych i mocno ożywionych. Jakiś mężczyzna z zielonym kucykiem próbował mnie złapać, ale wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się, gdy kazałam mu spadać. Piękna dziewczyna, niemal naga, kręciła się na chodniku niczym bączek-zabawka. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Otworzyłam frontowe drzwi i włączyłam światło w holu. Na wycieracze leżał list. Podniosłam go i spojrzałam na charakter pisma. Nie wyglądał znajomo. Zgrabne, pochyle czarne litery: Pani Nadia Blake. Wsunęłam palce pod klapkę i rozerwałam kopertę.

## 4

- Przeszukał też mieszkanie?

- Słucham?

Links wskazał gestem bałagan, leżące na podłodze poduszki, stopy papierów na dywanie.

- Nie - odparłam. - To mój bałagan. Byłam ostatnio bardzo zajęta, ale zaraz się tym zajmę.

Przez chwilę detektyw wyglądał na kompletnie zaskoczonego, jakby dopiero co się obudził i nie wiedział, gdzie jest.

- Panno... er...

- Blake.

- Panno Blake, czy mogę zapalić?

- Proszę bardzo.

Rozejrzałam się po pokoju i znalazłam popielniczkę w kształcie Ibizy. Nagle zaczęłam się martwić, że może to wywołać niebezpieczne skojarzenia z narkotykami, ale detektyw Links miał najwyraźniej ważniejsze sprawy na głowie. Nie wyglądał najlepiej. Mam wujka, który przeszedł trzy zawały i nadal pali, choć z trudem się zaciąga. A przyjaciel Maxa dochodzi do siebie po załamaniu nerwowym, w wyniku którego trafił do szpitala dla umysłowo chorych. To było rok temu, ale nadal przemawia drżącym głosem osoby, która za wszelką cenę próbuje się nie rozplakać. Links przypominał mi ich obu. Obserwowanie, jak zapala papierosa, było miniaturowym studium suspensu. Jego palce drżały tak mocno, że z trudem przysunął zapalnik do końca papierosa i zdołał ją tam utrzymać tylko na ułamek sekundy. Wyglądał trochę tak, jakby próbował to zrobić w bocianim gnieździe kutra gdzieś na Morzu Północnym, a nie w moim wolnym od przeciągów mieszkaniu.

- Dobrze się pan czuje? - spytałam. - Może coś panu podać? Herbaty?

Links zaczął coś mówić, ale nagle chwycił go atak ostrego kaszlu. Mógł tylko potrząsnąć głową.

- Może trochę miodu i cytryny?

Dalej potrząsał głową. Z bocznej kieszeni wyjął przybrudzoną chusteczkę i wytarł nią oczy. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił tak cicho, że musiałam się pochylić, by go usłyszeć.

- To kwestia... - urwał. Stale zapominał, co chce powiedzieć. - Ustalenie dostępu. Tak, musimy ustalić, kto ma tu dostęp.

- Zgoda - powiedziałam znużonym tonem. - Już pan o tym wspominał. Ale to zbyt wiele zachodu jak na taki głupi list. To będzie bardzo trudna sprawa. Przez moje mieszkanie przewija się sporo osób. Do niedawna mieszkał tutaj mój chłopak. Stale ktoś się tu kręci. Nie było mnie w domu przez kilka miesięcy, w tym czasie mieszkała tu moja przyjaciółka. Wygląda na to, że prowadziła dom otwarty.

- Gdzie ona jest teraz? - spytał Links słabym głosem.

- Chyba w Pradze. Po drodze do Perth chciałam tam coś załatwić.

Links spojrział na swojego kolegę. Drugi policjant, inspektor Stadler, stanowił o wiele lepszą ochronę przed niebezpieczeństwem niż Links. Może był trochę sponiewierany, ale w dziwnie atrakcyjny sposób. Stał nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy. Czarne włosy zaczesane do tyłu, wystające kości policzkowe i ciemne oczy, które zwracał na mnie co chwilę, jakbym była bardzo, bardzo interesująca, ale w nieco dziwny sposób - czułam się bardziej jak katastrofa samochodowa niż kobieta. Teraz odezwał się po raz pierwszy.

- Czy wie pani, kto mógł przysłać ten list? Czy otrzymywała już pani podobne przesyłki? Telefony z groźbami? Dziwne, niepokojące spotkania?

- Och, całe mnóstwo niepokojących spotkań - odparłam.

Links ożywił się i nie wyglądał już na chodzącego trupa. - Moja praca polega na odwiedzaniu różnych domów. Powinna chyba od razu wyjaśnić, że nie jestem włamywaczem. - Nie uśmiechnęła się. Ani trochę. - Razem z moim partnerem występujemy na przyjęciach dla dzieci. Nie uwierzylibyście, kogo można tam spotkać, naprawdę. Wystarczy, że wspomnę o tatusiu pięcioletniej solenizantki, dla której właśnie występowaliśmy. Zalecał się do mnie, podczas gdy mamusia zapalała w kuchni



świeczki na torcie. No cóż, nie wpływa to na pozytywny osąd ludzkiej natury.

Links zgasił na wpół wypalonego papierosa i zapalił następnego.

- Panno... er.. - Spojrzał na notes. - Panno... err... - Odczytywał notatki z wyraźnym trudem. - Blake. Mamy powody... by wierzyć... że w ostatnich... miesiącach... ta osoba pisała podobne listy także i do innych kobiet. - Spoglądał co chwilę na Stadlera, jakby szukając moralnego wsparcia. - Celem naszego dochodzenia jest ustalenie... możliwych związków... między tymi kobietami.

- Kim one są?

Links zakaszał. Stadler nie próbował mu pomóc. Cały czas wpatrywał się we mnie.

- No cóż - odezwał się wreszcie - na tym etapie śledztwa nie powinniśmy zdradzać zbyt wielu szczegółów.

Links wyjął chusteczkę i wydmuchał nos. Spojrzałam na Stadlera. Po raz pierwszy nie odpowiedział mi spojrzeniem. Wyglądało na to, że znalazł w notesie coś bardzo zajmującego.

- Będziemy panią na bieżąco informować o postępach - powiedział Links.

- Śledztwo? - spytałam. - Przecież to tylko list.

- Musimy traktować te sprawy poważnie. Współpracujemy też z psychologiem, z doktor Grace Schilling, która jest w tych sprawach ekspertem... Powinna tu być. - Spojrzał na zegarek. - Już za chwilę.

Zapadła cisza.

- Proszę posłuchać - odezwałam się. - Nie jestem głupia. Rok temu ktoś się do mnie włamał. Nic nie zginęło, bo chyba go przepłoszyłam. Policja zjawiała się jednak dopiero na drugi dzień i nic w tej sprawie nie zrobiła. Teraz dostaję jakiś głupi list i rusza wielkie śledztwo. Co się tutaj dzieje? Nie macie dość poważnych przestępstw?

Stadler zamknął z trzaskiem notes i schował go do kieszeni.

- Oskarżono nas, że nie traktujemy zbyt poważnie przestępstw, których ofiarami są kobiety - powiedział. - Teraz podchodzimy więc do tego typu pogroźek z należytą powagą.

- To chyba dobrze - mruknęłam.

Doktor Schilling należała do kobiet, którym zazdroścę. Najwyraźniej świetnie radziła sobie w szkole, miała rewelacyjne stopnie i wyglądała dość inteligentnie. Ubierała się elegancko i nawet jej ubiór nosił znamiona inteligencji. Miała długie jasne włosy, które wyglądały wspaniale, lecz upięła je na głowie chyba w trzy sekundy, by pokazać, że są rzeczy, których nie traktuje zbyt poważnie. Na pewno nie była osobą, którą można złapać na staniu na głowie przed grupką wrzeszczących maluchów. Gdybym wiedziała, że przyjdzie, naprawdę posprzątałabym w mieszkaniu. Jedyna rzecz, jaka mnie w niej irytowała, to niezwykle poważna, niemal podszyta smutkiem troska, z jaką się do mnie zwracała, jakby prowadziła jakiś religijny program w telewizji.

- O ile wiem, zerwałaś niedawno związek - powiedziała.

- Od razu mogę pani powiedzieć, że tego listu nie napisał Max. Z różnych powodów, w tym także i z tego, że miałby kłopoty z napisaniem jakiegokolwiek listu, choćby do mleczarza. A poza tym, to on ode mnie odszedł, nie ja od niego.

- Niemniej może to oznaczać, że nie jesteś w najlepszym stanie psychicznym.

- No, może raczej jestem wkurzona.

- Ile masz wzrostu, Nadiu?

- Tylko nie to. Staram się o tym nie myśleć. Niewiele ponad metr pięćdziesiąt. Emocjonalnie rozchwiany karzelek. Czy to właśnie próbuje mi pani powiedzieć? W takim razie ma pani rację.

Nawet się nie uśmiechnęła.

- Powinnam zacząć się martwić? - spytałam.

Zapadła długa chwila milczenia. Kiedy doktor Schilling przemówiła, bardzo starannie dobierała słowa.

- Nie sądzę, żebyś miała... szczególne powody do niepokoju. Ale powinnaś zachowywać się tak, jakbyś była czymś przejęta i podenerwowana. Tak dla czystego bezpieczeństwa.. Grożono ci. Dlatego zachowuj się tak, jakby ta groźba mogła okazać się prawdą.

- Czy naprawdę pani sądzi, że ktoś chce mnie zabić tak bez powodu? Zamyśliła się.

- Bez powodu? - powtórzyła. - Może. Po świecie chodzi mnóstwo

mężczyzn, którzy uważają, że mają wiele powodów, by atakować lub zabić kobiety. Te powody wcale nie muszą wydawać się słuszne osobom takim jak ty i ja. Ale to niewielka pociecha, prawda?

- Dla mnie na pewno.

- Właśnie - powiedziała doktor Schilling szeptem, jakby przemawiała do kogoś innego; kogoś, kogo nie widziałam.

## 5

Siedzieli u mnie bez końca. Po kilku godzinach Links dostał jakąś wiadomość i wyszedł, ale Stadler i doktor Schilling zostali. Gdy ona rozmawiała ze mną, Stadler wyszedł i po chwili wrócił z kanapkami, owocami, kartonami soków i mleka. Kiedy obchodził ze mną mieszkanie, by sprawdzić zabezpieczenia (stanowczo należy je poprawić), doktor Schilling zrobiła herbatę. Słyszałam nawet grzechotanie naczyń i szum wody, gdy zaczęła zmywać. Wróciła do pokoju z kubkami. Stadler zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

- Kupiłem kanapki z tuńczykiem i ogórkiem, z łososiem i ogórkiem, z sałatką z kurczaka, szynką i musztardą - obwieścił.

Wybrałam szynkę, doktor Schilling tuńczyka, a ja od razu pomyślałam, że tuńczyk musi być o niebo zdrowszy i że podejmując taką decyzję, wyszłam na osobę pospolitą i niepoważną.

- Jest pani jakąś policyjną szamanką? - spytałam.

Miała pełne usta, więc mogła tylko potrząsnąć głową, próbując szybko przełknąć kęs kanapki. Poczułam, że tym razem wygrałam. Udało mi się ją przyłapać w chwili, gdy na moment wypadła z roli i wyglądała mało dystyngowanie.

- Nie, nie - zaprzeczyła żarliwie, jakbym ją obraziła. - Jestem tylko konsultantką.

- A gdzie naprawdę pani pracuje?

- W Welbeck Clinic.

- Jako?

- Grace jest zbyt skromna - wtrącił Stadler. - W swojej dziedzinie jest uznanym autorytetem. Ma pani szczęście, że jest po pani stronie.

Doktor Schilling rzuciła mu ostre spojrzenie i zarumieniła się. Pomyślałam, że bardziej z gniewu lub zmartwienia niż zażenowania. Ta ciągła wymiana spojrzeń i szepty po kątach. Czułam się jak intruz w grupie przyjaciół, którzy porozumiewają się znanymi sobie odzywkami, własnym żargonem i łączy ich wspólnie wykonywana praca.

- Chodziło mi o to - zaczęłam - że ja zabawiam dzieci na przyjęciach. Często w powszedni dzień nie mam nic do roboty, gdy tymczasem inni siedzą w biurach. Ale pani, doktor Schilling...

- Proszę cię, Nadiu, mów mi po imieniu.

- W porządku, Grace. Wiem, że lekarze są bardzo zajętymi ludźmi. Odkrywam to za każdym razem, gdy muszę kogoś z nich odwiedzić. Wyznaję szczerze, że miło jest siedzieć tutaj i gawędzić, i jestem gotowa opowiedzieć wam ze szczegółami o moim życiu. Zastanawiałam się tylko, co taki wielki psychiatra jak ty robi na podłodze zapuszczonego mieszkania w Camden Town, jedząc na dodatek kanapkę z tuńczykiem. Nie spoglądasz na zegarek, nie dzwoni twoja komórka. To bardzo dziwne.

- To wcale nie jest dziwne - powiedział Stadler, wycierając usta. Jadł łośosia. Założę się, że kanapki z szynką były najtańsze i na dodatek są bardzo niezdrowe. - Chcemy tylko opracować plan działania. Udzielić pani nieformalnej ochrony i celem tego spotkania jest ustalenie, jak ona ma wyglądać. A co do doktor Schilling, to jest ona autorytetem w sprawach takiego właśnie prześladowania i wytyczyła sobie dwa cele. Najważniejszym jest oczywiście pomóc nam ująć osobę, która przysłała ten list. Aby to zrobić, musi się przyjrzeć pani i pani życiu i zorientować się, co mogło przykuć uwagę tego szaleńca.

- Pewnie sama jestem za to odpowiedzialna? - powiedziałam. - To ja go do tego zachęciłam.

- Za nic nie jesteś odpowiedzialna - zaprotestowała Grace. - Ale on wybrał właśnie ciebie.

- Chyba nie do końca kapujesz - powiedziałam. - Mamy do czynienia z facetem, którego podnieca wysyłanie obraźliwych listów do kobiet, bo sam się ich boi. I o co to całe zamieszanie?

- Nie masz racji - odparła Grace. - Tego typu list to przejaw przemocy. Mężczyzna, który coś takiego wysyła, mógł... mógł przekroczyć pewną

granicę. Musi zostać uznany za niebezpiecznego przestępcę.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Sądziś, że nie wyglądam na dość mocno wystraszoną?

Wypiła resztę herbaty. Wyglądała zupełnie tak, jakby grała na czas.

- Mogę ci tylko poradzić, co powinnaś zrobić. Nie sądzę, bym powinna pouczać cię, co masz czuć. Daj mi swój kubek. Przyniosę jeszcze herbaty.

Tym sposobem zamknęła temat. Stadler zakaszła.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - zaczął - to chciałbym porozmawiać o pani życiu, dowiedzieć się, kim są pani przyjaciele, jakich ludzi pani spotyka, jakie ma pani zwyczaje i tym podobne rzeczy.

- Nie wygląda pan na policjanta.

Spojrzał na mnie zdziwiony, a potem się uśmiechnął.

- A jak pani zdaniem powinien wyglądać policjant?

Trudno go było wprawić w zakłopotanie, przynajmniej mnie przychodziło to z trudem. Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo, kto patrzyłby mi prosto w oczy tak jak on, niemal jakby chciał zajrzeć do wnętrza ciała. Co on tam próbuje zobaczyć?

- Nie wiem - odparłam. - Ale pan nie pasuje do policji. Wygląda pan...

- Urwałam gwałtownie, bo jeszcze trochę, a powiem, że jest zbyt przystojny, by być gliną. Byłaby to straszliwie głupia uwaga i na dodatek zupełnie nieestosowna w tej sytuacji. Poza tym Grace właśnie wróciła z herbatą.

- Normalnie - powiedziałam, kończąc zdanie z pewnym opóźnieniem.

- Tylko tyle? Myślałem, że powie pani coś miłszego.

Skrzywiłam się.

- Myślę, że to miło nie wyglądać jak policjant.

- Zależy od tego, jak według pani wyglądają policjanci.

- Przeszkadzam w czymś? - spytała Grace z cieniem ironii w głosie.

Zadzwoił telefon. Janet. Chciała potwierdzić nasze spotkanie. Nakryłam słuchawkę dłonią.

- To jedna z moich najlepszych przyjaciółek - szepnęłam. - Umówiłam się z nią dziś wieczorem na drinka. Nawiasem mówiąc, ona na pewno nie napisała tego listu.

- Nie dzisiaj - powiedział Stadler.
- Poważnie?
- Proszę.

Raz jeszcze się skrzywiłam i wymyśliłam jakąś wymówkę dla Janet. Wykazała się pełnym zrozumieniem. Chciała jeszcze pogadać, ale ja szybko skończyłam rozmowę. Grace i Stadler byli zdecydowanie zbyt mocno zainteresowani tym, co mówiłam.

- Czy to jakiś żart? - zapytałam.
- O co ci chodzi?
- Zaczynam się czuć prześladowana, ale wcale nie przez tego żalosego drania, który napisał list. Czuję się jak owad przypięty szpilką do kartonowej podkładki. Nadal się wiję, a ktoś przygląda mi się przez okular mikroskopu.

- Naprawdę tak się czujesz? - spytała szybko Grace.
- Och, nie zaczynaj - rzuciłam zapalczywie. - Na miłość Boską, nie mów mi tylko, że to ważne.

Była to tylko połowa tego, co czułam. Siedzieli u mnie przez całe popołudnie. Zrobiłam herbatę, potem kawę i znalazłam w puszcze resztkę herbatników. Wydobyłam z szuflady strzępy czegoś, co nazywałam terminarzem, przejrzelśmy mój notes z adresami, opowiedziałam o moim życiu. Od czasu do czasu jedno z nich zadawało jakieś pytanie. Po raz pierwszy od wielu dni zaczęło padać i nagle nie czułam się już jak eksponat pod mikroskopem, a bardziej jak ktoś, kto spędza czas z dwójką dość dziwnych nowych przyjaciół. Siedzieliśmy na podłodze, o szyby bębnił deszcz i ogarnął mnie dziwny spokój.

- Naprawdę potrafi pani żonglować? - spytał w pewnej chwili Stadler.
- Czy potrafisz? Proszę bardzo. - Rozejrzałam się po pokoju. W misce leżało kilka owoców.

Kiedy chwyciłam dwa pomarszczone jabłka i mandarynkę, w powietrze wleciała chmara drobnych muszek. Coś się tam chyba zepsuło.

- Zaraz się tym zajmę - powiedziałam. - Teraz proszę podziwiać.

Zaczęłam żonglować, chodząc ostrożnie po pokoju. Potknęłam się o poduszkę i owoce spadły na podłogę.

- No, tak to mniej więcej wygląda.

- Potrafi pani zonglować większą liczbą przedmiotów? - spytał.  
Prychnęłam cicho.
- Żonglowanie czterema piłeczkami to nuda. Trzyma się po dwie w rękę i tylko wyrzuca je w górę i łapie.
- A pięcioma?  
Znów prychnęłam.
- Pięć piłeczek to robota dla szaleńców. Żeby tak zonglować, trzeba zamknąć się w pokoju na trzy miesiące i nie robić nic innego. Oszczędzam to sobie na czas, gdy trafię do więzienia, zostanę zakonnica albo utknę na bezludnej wyspie. Robię to przecież tylko dla dzieci, a poza tym, w moim życiu to etap przejściowy, w tym czasie zastanawiam się, co dalej ze sobą począć.
- To żadna wymówka - oznajmił Stadler. - Chcemy zobaczyć pięć piłeczek i już.
- Minimum pięć - zawtórowała Grace.
- Cicho bądźcie albo pokażę wam moje magiczne sztuczki.

## 6

Nie potrafię wyjaśnić tego, co się później wydarzyło. A przynajmniej nie potrafię wyjaśnić tak, by w ogóle miało sens.

Grace Schilling wyszła. Gdy się ze mną żegnała, położyła mi na moment dłonie na ramionach i popatrzyła prosto w oczy, jakby chciała mnie pocałować albo się rozpłakać. Albo powiedzieć coś bardzo poważnego. Stadler wyjaśnił, że załatwili sprawę tak, by posterunkowa Burnett stale miała na mnie oko.

- Ale chyba nie będzie tu mieszkać?
- Nie. Lynne Burnett będzie odpowiedzialna za pani ochronę. W nocy albo ona, albo inni funkcjonariusze, co zdarzy się znacznie częściej, będą dyżurować przed pani domem, przede wszystkim w samochodzie. Ale nie będzie to radiowóz. W ciągu dnia Lynne może spędzać trochę czasu u pani w mieszkaniu, ale to już pozostawiam wam do ustalenia.
- W nocy? - Nie mogłam w to wszystko uwierzyć.
- Tylko na jakiś czas.
- A pan? Pan też będzie w pobliżu?  
Patrzył na mnie o parę sekund za długo, więc natychmiast zaczęłam się

zastanawiać, jak by tu zmienić temat, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Przestraszyłam się, zamrugałam szybko powiekami i uśmiechnęłam się do niego niepewnie.

- To na pewno Lynne - powiedział.
- Nie otworzy pan?
- To przecież pani mieszkanie.
- Ale ona przychodzi do pana.

Odwrócił się na pięcie i otworzył drzwi. Lynne była młodsza ode mnie, choć niewiele, i bardzo ładna. Na policzku miała dużą fioletową bliznę. Jej ubiór w niczym nie przypominał policjantki. Tego dnia miała na sobie dzinsy, podkoszulek, w ręce trzymała lekką niebieską kurtkę.

- Jestem Nadia Blake. - Wyciągnęłam do niej rękę. - Przepraszam za ten bałagan, ale nie spodziewałam się gości.

Uśmiechnęła się i zarumieniła.

- Spróbuję schodzić ci z drogi, chyba że będę ci do czegoś potrzebna - powiedziała. - Całkiem niezłe radzę sobie ze sprzątaniami. Oczywiście, jeśli chcesz tu posprzątać - dodała szybko.

To wszystko trochę wymknęło się spod kontroli. Spojrzałam na Stadlera i uśmiechnęłam się, ale nie odpowiedział uśmiechem, tylko patrzył na mnie w zamyśleniu. Poszłam do sypialni i usiadłam na łóżku, czekając, żeby sobie już poszedł. Czulałam się zmęczona i stara. Co się tutaj dzieje? Co mam robić przez cały wieczór z Lynne czającą się stale za moimi plecami? Nie mogłam się nawet zrelaksować i położyć wcześniej do łóżka z grzanką z serem na pociechę.

Nie było nawet tak najgorzej. Zjadłyśmy na kolację jajka sadzone i smażoną fasolkę, a Lynne opowiedziała mi o swoich siedmiu braciach i siostrach, i o matce, która jest fryzjerką. Trochę też posprzątała, zupełnie jakby musiała się czymś zająć. Potem wyszła. Nie na dobre, oczywiście. Wyszła i siedziała przed domem w samochodzie. Jutro będą to robić inni funkcjonariusze; ona musi przecież kiedyś się wyspać. Wzięłam długą kąpiel, aż pomarszczyły mi się koniuszki palców, a kiedy wyszłam z wanny, wyjrzałam przez szparę w zasłonach. Dostrzegłam jej sylwetkę w samochodzie. Czyta czy słucha radia? Nie widziałam. Pewnie nie wolno jej było robić niczego, co mogłoby odwrócić jej uwagę. Może powinnam jej



zanieść trochę zupy albo filiżankę kawy. Położyłam się spać.

Następnego ranka Lynne poszła ze mną na zakupy; siedziała w pobliżu, gdy pisałam listy. W powietrzu pojawił się cień zakłopotania, gdy zadzwonił Zach i zapowiedział, że wpadnie, by przejrzeć terminarz. Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na Lynne.

- Hmm... - zaczęłam niepewnie.

Zareagowała natychmiast.

- Poczekam na zewnątrz.

- To tylko...

- Nie ma sprawy.

Wczesnym wieczorem zadzwonił dzwonek do drzwi. Lynne poszła otworzyć. Stadler. Trzymał w ręce bardzo poważny nesesor i miał na sobie ciemny garnitur.

- Witam, detektywie - rzuciłam słodko.

- Przejmuję na krótko obowiązki Lynne - powiedział z obojętnym wyrazem twarzy. Zero uśmiechu. - Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

- Chciałbym zadać pani parę pytań.

Usiadł na kanapie, a ja naprzeciwko niego w fotelu.

- O co chce pan zapytać, detektywie? - Miał piękne ręce o długich palcach i gładkich paznokciach.

Otworzył nesesor i zaszeleścił papierami.

- Chciałem panią zapytać o byłych chłopaków.

- Już pan to zrobił.

- Wiem, ale...

- Wie pan co? Chyba wolę rozmawiać o tym z Grace Schilling.

Oddechnął głęboko. Był wyraźnie zakłopotany. Wcale mi to nie przeskadzało.

- To może się przydać... - zaczął, ale zaraz mu przerwałam.

- Nie zamierzam podawać panu więcej szczegółów dotyczących mojego pożycia seksualnego.

Spojrzał na mnie i złożył notatki. Wstałam i odwróciłam się do niego tyłem.

- Mam ochotę na kieliszek wina. A pan? Tylko proszę mi nie mówić, że jest pan na służbie.

- No, może bardzo mały.

Nalałam dwa kieliszki białego wina. Żaden nie był mały. Wyszliśmy przed dom do tak zwanego ogrodu. Podwórko mojego domu wychodzi na skład, gdzie stoją najróżniejsze kontenery, ale zawsze była to miła odmiana po dusznej przestrzeni mieszkania. Deszcz przestał już padać i po raz pierwszy od wielu tygodni powietrze pachniało świeżością. Liście na gruszy lśniły zielenią.

- Niedługo zabiorę się tu do poważnej pracy - powiedziałam, gdy staliśmy wśród splątanych roślin. - Na razie przypomina to małpi gaj. Chwasty wszystko zarastają.

- Ale za to jest bardzo przytulnie. Nikt nie może tu zajrzeć.

- To prawda.

Wypiłam łyk wina. Stadler tyle o mnie wiedział. Wiedział wszystko o mojej pracy, rodzinie, przyjaciółach i chłopakach; o wynikach moich egzaminów i romansach. Wiedział, co chcę mieć najbardziej: sportowy samochód z otwieranym dachem, lepszy głos i więcej godności; wiedział też, czego się boję: wind, wysokości, węży i raka. Rozmawiałam z nim i z Grace tak, jak się rozmawia z ukochanym w łóżku po udanym seksie, opowiadając mu w ciemnościach najgłębiej skrywane tajemnice, ale też błahostki. Tymczasem ja nie wiedziałam o nim nic. Absolutnie nic. Poczułam, że kręci mi się w głowie.

Pochyliłam się w jego stronę. No proszę, pomyślałam: zaraz popełnię kolejny poważny błąd. W tej jednak chwili zahaczyłam stopą o gruby korzeń i straszliwie się potknęłam. Upuściłam kieliszek i wylądowałam na kolanach w wysokiej, mokrej trawie. Stadler ukląkł obok mnie i ujął mnie pod łokieć.

- Wstań - powiedział ochryplym głosem. - No, wstawaj, Nadiu.

Objęłam go za szyję. Nie odwrócił wzroku. Nie miałam pojęcia, o czym teraz myśli, czego pragnie. Pocałowałam go mocno. Jego wargi były chłodne, skóra gorąca. Nie odepchnął mnie, ale w pierwszej chwili nie odpowiedział pocałunkiem. Klęczał tylko, pozwalając, bym go obejmowała. Dostrzegłam zmarszczki na twarzy, kurze łapki wokół oczu i brudzy wokół ust.

- Pomóż mi wstać - poprosiłam.

Podciągnął mnie w górę i staliśmy blisko siebie w zarośniętym chwastami ogrodzie. Był o wiele wyższy ode mnie, mocno zbudowany, zasłaniał sobą zachodzące słońce.

Przesunęłam kciukiem po jego dolnej wardze. Ujęłam ciężką głowę w

dłonie. Pocałowałam go raz jeszcze, mocniej, dłużej. Byłam zupełnie wstawiona, jakbym wypila nie pół, a sześć kieliszków wina. Wsunęłam mu dłonie pod koszulę na plecach i mocno się przytuliłam. Był taki mocny i duży. Ramiona zwisały mu bezwładnie po bokach. Ujęłam jego dłoń, przyłożyłam do rozpalonego policzka i poprowadziłam go z powrotem do saloniku.

Usiadł na krześle i patrzył na mnie. Rozpięłam guziki bluzki i usiadłam mu na kolanach.

- Stadler - mruknęłam. - Cameron.

- Nie powinienem tego robić - powiedział. Ukrył głowę między moimi piersiami i wsunął moją dłoń w swoje włosy. - Naprawdę nie powinienem.

Nareszcie zamknął oczy. Potem leżał już na mnie, na podłodze. Czułam uwierający w plecy but i starą szczotkę do włosów kłującą mnie w lewą stopę. Wszędzie było pełno kurzu. Podciągnął mi spódnice i wszedł we mnie, tam, na brudnej, starej podłodze. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa.

Potem stoczył się ze mnie i leżał na plecach. Ramiona założył za głowę. Leżeliśmy tak jakieś dziesięć minut, blisko siebie, wpatrzeni w sufit, nie odzywając ani słowem.

Kiedy wróciła Lynne, Cameron rozmawiał przez telefon bardzo urzędowym tonem, a ja czytałam jakiś magazyn. Pożegnaliśmy się bardzo oficjalnie, ale po chwili mruknął do Lynne, że zapomniał coś sprawdzić i wszedł do sypialni z teczką pod pachą. Zamknął drzwi, położył mnie na łóżku i raz jeszcze pocałował. Przytulił twarz do mojej szyi, by stłumić jęk, i powiedział, że wróci, kiedy tylko będzie mógł.

Resztę wieczoru spędziłam na łóżku. Udawałam, że czytam, choć nie przewróciłam ani jednej strony i nie przeczytałam ani jednego słowa.

## 7

- Jaki mamy plan? - spytałam Lynne przy śniadaniu.

Uważam się za kobietę dość inteligentną i rozgarniętą, ale z tym, co teraz się działo, mój mózg naprawdę nie potrafił sobie poradzić. Dzień wcześniej uprawiałam seks z mężczyzną, którego prawie nie znałam. A teraz

jadłam śniadanie z prawie obcą kobietą.

Tej nocy śnił mi się jakiś koszmar, ale po przebudzeniu nic nie pamiętałam. Przypomniałam sobie za to, co wydarzyło się poprzedniego dnia i jeszcze poprzedniego. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć, rzeczywistość przypominała jakąś szaloną kreskówkę, ale kiedy wyjrzałam przez okno, dostrzegłam siedzącą w samochodzie Lynne. Wpatrywała się przed siebie tępym wzrokiem. Też mi praca. Moja w porównaniu z tym wydała się niezwykle interesująca i wymagała sporo inteligencji. Umyłam się, ubrałam, w dwie minuty umyłam zęby i wyszczotkowałam włosy. Wyszłam z domu i zastukałam w szybę samochodu. Lynne wyraźnie się przestraszyła. Ładna mi ochrona.

Powiedziałam jej, że pójde kupić coś na śniadanie. Odparła, że pójdzie ze mną. Nie chciała ustąpić. W pobliskiej piekarni kupiliśmy więc kilka rogalików. Zapłaciła połowę. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie kazać jej zapłacić za wszystkie, bo ja z reguły nie jadam śniadań. Chyba że w wyjątkowych okolicznościach.

Kiedy wróciliśmy do domu, zrobiłam kawę i znalazłam słoik z resztką dżemu truskawkowego. Usiadłyśmy do śniadania i zapytałam, jakie mamy plany.

- Jesteśmy odpowiedzialni za twoje bezpieczeństwo - powiedziała, jakby recytowała wyuczony na pamięć tekst.

Ugryzłam spory kawałek rogalika i popiłam go kawą. Skoro już złamałam zasadę dotyczącą niejedzenia śniadań, to chciałam ją łamać jak należy. Zapadła długa chwila ciszy, przeznaczona jednak nie na rozmyślanie, lecz na konsumpcję. Czulałam się jak pyton połykający jelenia. Wreszcie mi się udało.

- Nie uważasz, że to lekka przesada? - spytałam.

- To dla twojego dobra.

- Ktoś przysłał mi list. I co. Zamierzacie mnie pilnować do końca życia?

- Chcemy złapać osobę, która wysłała te listy - odparła.

- A jeśli nie złapiecie? To nie może przecież trwać bez końca.

- Zobaczymy. Kiedy nadejdzie właściwa pora.

Słyszac takie bzdury, mogłam już tylko zamknąć temat.

- Czuję się zażenowana - wyjaśniłam. - Moje życie jest wystarczająco śmieszne i nedorzeczne, gdy jestem sama. Jesteś naprawdę wspaiała,

Lynne, i nie myśl, że chcę cię krytykować, ale myśl o robieniu wszystkiego ze śledzącą mnie na każdym kroku policjantką jakoś nie bardzo poprawia mi humor.

- Porozmawiamy o tym - powiedziała ze szczerym wyrazem twarzy, jakbym poruszyła jakąś niezwykle ważną kwestię dotyczącą procedury. Przeszkodził nam jednak dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć, a Lynne trzymała się z tyłu. Cameron. Spojrzał przez moje ramię i skinął głową Lynne.

- Dzień dobry, panno Blake.

- Och, proszę mi mówić po imieniu. Wszyscy jesteśmy tutaj bardzo swobodni.

- Nadia - mruknął. - Wpadłem, żeby zwolnić Lynne na parę godzin.

- Świetnie. - Staralam się, by zabrzmiało to wesoło i obojętnie.

- I zaplanować dzień - ciągnął. - Nie wiem, czy masz jakieś spotkania.

- Mam. O wpół do piątej razem z Zachem musimy się stawić na przyjęciu w Muswell Hill. A podczas weekendu mamy jeszcze dwie imprezy. Może więcej, jeśli ktoś zadzwoni z propozycją.

- To żaden problem. Lynne może ci towarzyszyć.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

- Będę siedzieć na zewnątrz - wyjaśniła szybko Lynne. - I mogę cię podrzucić na miejsce.

- Coraz lepiej.

Lynne nie wypila jeszcze kawy i nie zjadła rogalika.

- Nie ma pośpiechu - odezwał się zupełnie niepotrzebnie Cameron.

Okazało się, że naprawdę nikt się nie spieszył. Lynn powoli dopijała kawę i bawiła się rogalikiem. Kupowała właśnie mieszkanie i zaczęła mnie wypytywać, jak to było, gdy kupowałam moje. Czy wcześniej sprzedałam poprzednie? To była bardzo długa historia i im bardziej próbowałam ją skrócić, tym bardziej się wydłużała. Tymczasem Cameron chodził po pokoju, sprawdzając wszystko dokładnie i obojętnie. Brał do ręki różne przedmioty, otwierał szuflady. Nie mogłam się oprzeć poczuciu, że cały czas patrzy na mnie, próbując odkryć więcej rzeczy, które chciałam zachować tylko dla siebie. Wreszcie wyczerpałyśmy temat. Lynne odwróciła się w jego stronę.

- Nadia ma pewne wątpliwości co do naszych planów.

- Tak naprawdę nie mam pojęcia, jak wyglądają - odparłam.
- Wszystko z nią omówię - powiedział obojętnym tonem Cameron i odwrócił się, ucinając tym samym rozmowę.

Lynne nadal trzymała w dłoniach kubek z kawą. Czy ta kobieta nie ma mnie dość? Chyba powinna mieć coś innego do roboty?

- Spotkamy się więc o pierwszej? - powiedział Cameron.
- Wychodzicie?
- Nie wiem, ale na pewno będziemy tu o pierwszej.

Skinęła głową.

- Dobra. Do zobaczenia, Nadiu.
- Do zobaczenia, Lynne.

Wyszła. Widziałam jej nogi, gdy wchodziła po schodach i zmierzała na chodnik. Nogi odeszły. Byliśmy bezpieczni. Odwróciłam się do Camerona.

- Co do wczorajszego dnia...

Już był przy mnie, obejmując mnie delikatnie, jakbym była bardzo cennym przedmiotem, dotykał mojej twarzy, gładził po włosach. Odepchnęłam go lekko i spjrzałam prosto w oczy.

- Ja... - zająknęłam się. - Nie...
- Nie mogę... - mruknął i pocałował mnie.

Czułam jego dłonie na plecach, pod podkoszulkiem, jakby pragnął sprawdzić, czy mam na sobie stanik i przekonał się, że nie.

- Chcesz, żebym przestał?
- Nie wiem. Nie.

Wziął mnie za rękę i poprowadził do sypialni. Tym razem było zupełnie inaczej niż wczoraj: łagodnie, wolniej, bardzo delikatnie. Usiadłam na łóżku. Cameron podszedł do okna i zaciągnął żaluzje. Potem zamknął drzwi. Zdjął marynarkę i poluzował krawat. Przyszło mi do głowy, że seks z mężczyzną, który musi zdjąć garnitur i krawat, jest niepowtarzalnym przeżyciem.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć - powiedział, jakby był to jakiś zły objaw. - Widzę cię, kiedy zamykam oczy. Co teraz zrobimy?
- Zdejmij ubranie - powiedziałam.
- Co? - Spojrzał po sobie, jakby zaskoczony, że wciąż ma je na sobie.

Rozbierał się jak we śnie. Rzucił spodnie na krzesło, cały czas nie spuszczać ze mnie wzroku. Wyciągnęłam do niego ręce.

- Poczekaj - mruknął. - Poczekaj. Pozwól mi, Nadiu.

Leżałam otoczona mgiełką przyjemności, aż wreszcie znalazł się we mnie. Później, kiedy odpoczywaliśmy objęci, wciąż na mnie patrzył, gładził po włosach, powtarzał moje imię, jakby było magicznym zaklęciem. Po chwili odsunęliśmy się od siebie, a ja oparłam się o poduszkę.

- To było rewelacyjne - powiedziałam.

- Nadia. Nadia.

- Nie bardzo wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Czar prysnął. Odsunął się, przez jego twarz przemknął cień. Przygryzł dolną wargę.

- Czy mogę być z tobą szczerzy? - spytał.

Zadrżałam nagle.

- Oczywiście.

- Ta praca jest całym moim życiem - powiedział. - A to...

- Chodzi ci o to. - Wskazałam gestem łóżko.

Skinął głową.

- Nie wolno - powiedział. - Nie wolno mi tego robić, do cholery.

- Nikomu nie powiem. O to ci chodzi?

- Nie.

- A o co? - Nie odpowiadał. - O co do diabła chodzi?

- Jestem żonaty. Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro.

I zaczął płakać. Leżałam w łóżku z płaczącym detektywem u boku. Mięło jakieś osiemnaście godzin naszego związku, a już przeszliśmy od pierwszego porywu pożądania do płaczu i wyrzutów sumienia. Gdzieś w środku poczułam gorycz. Nie odezwałam się ani słowem. Nie poklepałam go, nie pogładziłam, nie powiedziałam, że wszystko będzie w porządku. Wreszcie westchnął ciężko. Był to znak, że zaczyna się zbierać do kupy.

- Nadiu?

- Tak?

- Powiedz coś.

- A co mam powiedzieć?

- Jesteś na mnie wściekła?

- Och, Cameron, odpieprz się. Podejrzewam, że żona cię nie rozumie.

- Nie, nie, nie wiem. Wiem tylko, że cię pragnę. I nie chcę cię wykozystywać, uwierz mi. Tak bardzo cię pragnę. To tyle dla mnie znaczy, że

nie wiem, co mam robić. Czy to w porządku? Co o tym myślisz? Powiedz mi, co o tym myślisz.

Odwróciłam się i spojrzałam na budzik w kształcie żaby stojący na stoliku przy łóżku. Potem pochyliłam się i pocałowałam go w pierś.

- Co myślę? Z zasady nie sypiam z żonatymi mężczyznami. Źle się z tym czuję. Nie potrafię przestać myśleć o żonie. Ale to przede wszystkim twój problem, nie mój. Poza tym Lynne wróci tu za siedem minut.

Szybkość, z jaką wkładaliśmy ubrania, była niemal zabawna. Czułam się tak, jakbyśmy byli parą kumpli.

- Zastanawiam się, czy nie powinnam założyć innych spodni - powiedziałam. - Żeby sprawdzić umiejętności śledcze Lynne.

- Nie, nie - zaprotestował z przerażeniem.

- Dobra, nie ma sprawy.

Pocałowaliśmy się, uśmiechając się do siebie. Żonaty. Dlaczego on musi być żonaty?

To było w środę. W czwartek miał tylko tyle czasu, żeby porozmawiać ze mną przez telefon. Lynne przez cały czas była w pokoju, więc prowadziliśmy dziwną rozmowę, pełną namiętnych protestów z jego strony i zdawkowych odpowiedzi z mojej: Tak. Tak. Oczywiście. Tak. Ja też tak czuję. W porządku. W piątek rano w moim mieszkaniu stawiła się cała ekipa mężczyzn, którzy założyli nowe zamki we wszystkich drzwiach i żelazne kraty w oknach. Po lunchu zjawił się Cameron, a Lynne musiała oczywiście natychmiast stawić się na posterunku, żeby uzupełnić jakiś raport. Mieliśmy dość czasu na wspólną kąpiel.

- Chciałbym zobaczyć twój występ - powiedział.

- Przyjdź jutro. Występujemy na przyjęciu dla pięciolatek w domu w Primrose Hill.

- Nie mogę. - Odwrócił wzrok.

- Och - rzuciłam sztywno, nienawidząc samej siebie. - Sprawy rodzinne.

- Nie mogę się z tego wyplątać. Gdybym tylko mógł, na pewno bym to zrobił.



- W porządku - odparłam. Dlatego właśnie nie sypiam z żonatymi mężczyznami. Chodzi o ten wstyd, ból i poczucie winy.

- Jesteś zła?

- Wcale.

- Na pewno?

- A chcesz, żebym była?

Ujął moją rękę i przyłożył do policzka.

- Kocham cię, Nadiu. Zakochałem się.

- Nie mów tak. To mnie przeraża. Przez to czuję się zbyt szczęśliwa.

*Myśli, że są niewidzialni. Ale ja ich widzę. Całują się. Moja dziewczyna i policjant. Opadają na podłogę. Kiedy on stoi przy oknie, by zaciągnąć żaluzje, widzę na jego twarzy ten głupi wyraz zakochanego mężczyzny.*

*Kocham ją jeszcze bardziej. Nikt nie potrafi kochać jej tak jak ja. Wszyscy patrzą w złym kierunku. Szukają nienawiści. A tu chodzi o miłość: to ona jest kluczem.*

Pięcio- i sześciolatnie dziewczynki są najwdzięczniejszymi widzami. Słodkie i pełne podziwu, siedzą w zgrabnych rzędach w jedwabnych, pastelowych sukienkach, z włosami zaplecionymi w warkocze, z lakierkami na nóżkach. Kiedy proszę jedną z nich, by mi pomogła, wsuwa palec do buzi i mówi szeptem. Ośmio- i dziewięcioletni chłopcy są najgorsi. Śmieją się z nas i krzyczą, że przedmiot, który zniknął, znajduje się w mojej kieszeni. Popychają się nawzajem i przybiegają, by sprawdzić, co się kryje w mojej magicznej skrzynce. Szydzą, gdy upuszczę piłeczkę. Teatryk kukiełkowy jest dla maluchów, mówią. Ich „Sto lat” to pełen złośliwych podtekstów krzyk. Przekłuwają wszystkie balony. Razem z Zachem stosujemy żelazną zasadę: żadnych dwucyfrowych solenizantów.

To przyjęcie zorganizowano dla pięcioletnich chłopców, a kilka dziewczynek snuło się gdzieś po obrzeżach. Odbywało się w dużym, eleganckim domu w Primrose Hill, ze schodami prowadzącymi do holu, w którym można było spokojnie zrobić parę salt, zanim dotarłoby się na drugą stronę. Kuchnia była wielkości mojego mieszkania, a salon pełen dzieci rozciągał się aż do wyjścia do ogrodu. Sam ogród był długi i zadbany, z patio, sadzawką pełną złotych rybek, stylizowanymi łukami, starannie przyciętym żywopłotem i krzewami białych róż.

- O, cholera - syknęłam do Zacha.
- Tylko niczego nie rozbij - szepnął w odpowiedzi.

Solenizant miał na imię Oliver, był mały i pulchny, policzki płonęły mu z podniecenia. Mali przyjaciele krążyli wokół niego jak atomy, kiedy rozrywał kolorowy papier, w który zapakowano prezenty. Jego matka, pani Wyndham, bardzo wysoka, szczupła i nieprzyzwoicie bogata, już wyglądała na rozdrażnioną przyjęciem, które dopiero się rozpoczęło. Spojrzała na mnie i na Zacha z powątpiewaniem.

- Jest ich dwadzieścia czworo - powiedziała. - I są dość hałaśliwi. Ale chyba wiecie doskonale, jacy są chłopcy w tym wieku.

- Tak - potwierdził ze smutkiem Zach.

- To żaden problem - odezwałam się dziarsko. - Jeśli wyjdą na chwilę z pokoju, wszystko tu przygotujemy. - Weszłam do salonu i zaklaskałam w dłonie. - Dzieci, biegnijcie do ogrodu. Zawołamy was, gdy zacznie się występ.

Wybiegli z tupotem małych stóp. Pani Wyndham wypadła za nimi, jęcząc coś na temat swoich kamelii.

Razem z Zachem sami zrobiliśmy nasz teatrzyk kukielkowy. Piłowaliśmy deski i przybijaliśmy gwoździe. Na dużym kawałku płótna wymalowaliśmy niebieskie góry, zielony las i wnętrze chaty. Zrobiliśmy nawet z papier mâché jedną z kukielek - Iwa. Zajęło nam to mnóstwo czasu, a teraz lew wygląda jak kulka modeliny z wykrzywionym pyskiem wymalowanym na nierównej powierzchni. Resztę kukielek kupiliśmy już w sklepie. Odgrywamy kilka krótkich sztuk, które napisał Zach. Jest przecież pisarzem. Tak przynajmniej odpowiada, gdy ktoś pyta, czym się zajmuje: „Piszę powieści”, wyjaśnia stanowczym tonem, dodając czasem, że aby móc się poświęcić pisaniu, zarabia też w inny sposób, na przykład zabawiając dzieci na przyjęciach.

Jego sztuki są krótkie i skomplikowane i wymagają użycia zbyt wielu różnych głosów. Dzisiaj mieliśmy chłopca, dziewczynkę, czarodzieja, ptaka, motyla, klauna i lisa. Po zakończeniu przedstawienia zawsze jestem złana potem.

Zach wiedział już oczywiście o liście, policji i o wszystkich środkach ostrożności. Dzisiaj poznał też Lynne, bo zabrałyśmy go, jadąc na imprezę. Siedział z przodu obok niej, rozmawiał o teorii chaosu i o tym, że ludność Indii niebawem przekroczy miliard. Tymczasem ona przedzierała się przez ruch uliczny wyraźnie oszołomiona.

Kiedy rozkładaliśmy teatrzyk, spytał mnie, czy to wszystko mnie przeraża.

- Nie. - Zawahałam się, przyczepiając kurtynę do miniaturowej sceny. Ale przecież musiałam to komuś powiedzieć. - Szczerze mówiąc, bardziej mnie podnieca, niż przeraża.

- To brzmi trochę perwersyjnie.

- Zach, potrafisz dotrzymać tajemnicy? - Nie czekałam na jego odpowiedź. Wiedziałam, że nie potrafi. Słynie z tego, że opowiada wszystkim wszystko. - Mam romans z jednym z policjantów.

- Co takiego?

- Wiem. To brzmi trochę niesamowicie...

- Nadiu. - Położył mi dłonie na ramionach, więc musiałam przerwać pracę. - Oszalałaś? Nie możesz tego robić!

- Nie?

Zach pomachał gwałtownie rękami, jakby samymi słowami nie był w stanie oddać niestosowności mojego zachowania.

- Tak nie można. To jest złe. To tak jakbyś miała romans ze swoim lekarzem. On cię wykorzystuje, wykorzystuje twoją bezbronność. Nie rozumiesz? Jestem pewny, że ty widzisz w tym coś pięknego, czystego i bardzo ważnego, ale przecież dopiero co rozstałaś się z Maxem. A teraz wskakujesz do łóżka z kimś, kto powinien cię chronić.

- Zamknij się, Zach.

- Szukasz namiastki ojca. Musisz to skończyć.

- On jest żonaty - dodałam nieszczęśliwym tonem. Wypowiadając te słowa, poczułam ból w piersi.

Zach prychnął z oburzeniem.

- Jasne.

- Ale jest też bardzo przystojny. Nigdy nie sądziłam... - Zadrżałam na wspomnienie dzisiejszego ranka, kiedy zaledwie parę godzin temu zwolnił na godzinę Lynne i kochaliśmy się w łazience, przyklejeni do wyłożonej kafelkami ściany, gwałtownie zrzucając z siebie ubranie.

- Nadiu - rzucił nagłym tonem Zach. - O, cholera, już idą.

Chłopcy wrócili z ogrodu.

Po przedstawieniu poprosiłam Olivera, by pomógł mi zaprezentować moją żalną sztuczkę magiczną. Różdżka rozpadała się za każdym razem, gdy jej dotknął, a wszystkie dzieciaki krzychały z całych sił „Abrakadabra!”. Stojąca w drzwiach pani Wyndham krzywiła się co chwilę. Poprosiłam potem, żeby wręczyły mi dziwne przedmioty, którymi mogłabym żonglować. Jeden wyjątkowo złośliwy dzieciak o imieniu Carver podał mi nóż

do krojenia sera, który znalazł w kuchni, ale pani Wyndham nie byłaby chyba zachwycona, widząc na dywanie plamy krwi. Wybrałam więc melon, krążek do serwetek i pałeczkę. Żonglując, nawet niczego nie upuściłam. Zach nadmuchał długie balony i robił z nich figurki zwierząt. Dzieci popędziły potem do kuchni, gdzie czekały na nich kielbaski, ciasteczka z dżemem i tort urodzinowy w kształcie pociągu. Koniec. Zach marzył o papierosie, więc wypchnęłam go z domu.

- Nie masz nic przeciwko temu? - spytał. - Posprzątasz sama?
- Tak, zmykaj.
- Pamiętaj, co ci powiedziałem.
- Jasne. No, spadaj, partnerze.
- Nie zerwiesz z nim, prawda?

Zamknęłam na moment oczy i przywołałam wspomnienie jego ust na mojej szyi.

- Nie wiem. Nie potrafię ci odpowiedzieć.

W domu zaczęli się zjawiać rodzice i opiekunki - potrafię je odróżnić z odległości dwóch kilometrów. Właśnie rozbrajałam teatrzyk i chowałam poszczególne części do pudła, gdy z filiżanką herbaty podeszła do mnie młoda, ładna kobieta.

- Pani Wyndham prosiła, żebym to pani przyniosła. - Miała srebrnoblond włosy i śmieszny, śpiewny akcent.

Wzięłam filiżankę z wdzięcznością.

- Jest pani opiekunką Olivera?

- Nie. Przyszłam odebrać Chrisa. Mieszka tam, niedaleko. - Wzięła do ręki kukielkę i przyjrzała się jej uważnie. - To chyba bardzo ciężka praca.

- Pani chyba cięższa. Opiekuje się pani tylko Chrisem?

- Ma dwóch starszych braci, ale Josh i Harry są w szkole. Schować do torby?

- Dzięki. - Wypiłam łyk herbaty i zaczęłam wszystko pakować. Opracowałam to już do perfekcji. Dziewczyna została, przyglądając mi się. - Skąd pani pochodzi? Rewelacyjnie mówi pani po angielsku.

- Ze Szwecji. Miałam już wracać do domu, ale wszystko się trochę skomplikowało.

- Och - rzuciłam tylko. Gdzież jest ta różdżka? Założę się, że Oliver gdzieś z nią zniknął i już wie, jak sprawić, by rozpadła się na części. - Dzięki...

- Lena.

- Dzięki, Leno.

Znikła w kuchni, gdzie pozostałe opiekunki tłoczyły się wokół swoich podopiecznych, patrzyły, jak wciskają do buzi kawałki czekoladowego pociągu i opowiadały sobie o chłopakach i nocnym życiu. Dzieci zaczęły wychodzić. „Powiedz: dziękuję”, słyszałam i „Gdzie jest moja torebka ze słodyczami?”, „Harvey ma niebieską, ja też chcę niebieską”.

Zebrałam wszystkie rzeczy. Dzięki Bogu, że Lynne czeka na mnie w samochodzie. Posiadanie upartej, rumieniącej się stale policjantki w roli eskorty ma też swoje dobre strony. W holu wpadł na mnie nieduży, jasnowłosy chłopczyk. Miał fioletowe smugi pod oczami i buzię umazaną czekoladą.

- Cześć - powiedziałam wesoło, pragnąc wyjść stamtąd jak najszybciej.

- Moja mama nie żyje - powiedział, wpatrując się we mnie jasnymi oczami.

- Ach tak. - Rozejrzałam się dookoła. Jego matka najprawdopodobniej była gdzieś w kuchni.

- Tak. Mama umarła. Tatusz mówi, że poszła do nieba.

- Naprawdę?

- Nie. - Lizal lizaka. - Chyba nie poszła aż tak daleko.

- No cóż..

- Jakiś mężczyzna zamordował ją na śmierć.

- To nie może być prawda.

- Naprawdę.

Zjawiła się Lena, niosąc jego kurtkę.

- Chodź, Chris, wracamy do domu. Wziął ją za rękę.

- Najpierw chcę dostać torebkę ze słodyczami.

- Mówi, że jego matka została zamordowana - wyjaśniłam.

- Tak - odparła po prostu.

- Co takiego? Naprawdę?

Odłożyłam pudło i raz jeszcze pochyliłam się nad Chrisem.

- Bardzo mi przykro - mruknęłam niezręcznie. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Czy mogę teraz dostać moją torebkę? - Niecierpliwym gestem po-  
ciągnął Lenę za rękę.

- Kiedy to się stało? - spytałam Lenę.

- Dwa tygodnie temu. To straszna tragedia.

- Jezu. - Spojrzałam na nią zafascynowana. Nigdy nie znalazłam się  
tak blisko osoby, która znała ofiarę morderstwa. - Co się stało?

- Nikt nic nie wie. - Potrząsnęła głową, aż zafalowały jej srebrnoblond  
włosy. - To stało się w domu.

Patrzyłam na nią z otwartymi ze zdumienia ustami.

- To straszne. Dla wszystkich.

Podeszła do nas pani Wyndham, niosąc torebkę ze słodyczami dla  
Chrisa, która była chyba trzy razy większa niż torebki innych dzieci.

- Proszę, kochanie - powiedziała i pocałowała go w czubek głowy. -  
Jeśli mogę zrobić coś jeszcze... - Westchnęła, jakby samo patrzenie na  
malca sprawiało jej ból. - Moje maleństwo.

Spojrzała na mnie.

- Zaraz przyniosę pani pieniądze. Proszę chwileczkę poczekać.

- Mam dwie paczki słodyczy, a Thomas tylko jedną - powiedział  
triumfalnym głosem Chris. - I mam też żelki.

- Proszę, to pani pieniądze.

Z tonu głosu pani Wyndham wywnioskowałam, że nie zaproszą nas tu  
ponownie.

- Dziękuję. - Zebrałam cały sprzęt i odwróciłam się do wyjścia.

- Powodzenia - rzuciłam do młodej opiekunki.

- Dziękuję.

Jednak jeszcze przez chwilę staliśmy razem w holu. Nie mogłam wyjść  
ot, tak sobie. Zach miał wracać do domu sam. Musiałam się z nim poże-  
gnąć.

- Czy to było włamanie?

- Nie - odparła Lena.

- Pisał listy - rzucił wesoło Chris.

- Co takiego?

Lena skinęła głową i westchnęła.

- Tak. To było okropne. Listy, w których ktoś pisał, że ją zabije. Zu-  
pełnie jak listy miłosne.

- Jak listy miłosne - powtórzyłam tępo.



- Tak. - Podniosła chłopca, a on otoczył nogami jej talię. - Chodź, Chris, zbieramy się.

- Proszę poczekać. Jeszcze chwileczkę. Czy wzywała policję?

- O tak. Po domu kręciło się mnóstwo policjantów.

- A mimo to zginęła? - spytałam, czując ogarniający mnie nagle chłód.

- Tak.

- Jak się nazywali?

- Słucham?

- Policjanci. Jak się nazywali?

- Dlaczego chce pani to wiedzieć?

- Pamięta pani ich nazwiska?

- Czy pamiętam? Widuję ich przecież codziennie. Links i Stadler. Jest jeszcze pani psycholog, doktor Schilling. Ale dlaczego pani pyta? O co chodzi?

- Och, to nic ważnego - uśmiechnęłam się do niej, choć czułam, że w środku wszystko się we mnie gotuje. - Myślałam, że może ich znam.

## 9

- Wszystko w porządku, Nadiu?

- Słucham?

Rozejrzałam się zaskoczona, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduję. Siedziałam w samochodzie obok Lynne. Pochyliła się, patrząc na mnie z zatroskanym wyrazem twarzy, jak bardzo bliska przyjaciółka.

- Jesteś taka blada.

- Nagle strasznie rozbolała mnie głowa - odparłam. - Czy możemy przez chwilę nie rozmawiać?

- Podać ci coś?

Potrząsnęłam głową i zamykając oczy, oparłam się o zagłówek. Nie chciałam na nią patrzeć. Nie mogłam wydusić ani słowa. Lynne przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyła. Czułam się tak, jakby moją czaszkę wypełniała wrząca lawa i musiałam ją mocno trzymać dłońmi, by nagle nie wybuchła. Przypomniałam sobie, że nie pożegnałam się z Zachem. Zostawiłam go wśród resztek przyjęcia. A, pieprzyć to.

Znalazłam się nagle w zupełnie nowym świecie, strasznym, mrocznym świecie i musiałam jakoś się w nim odnaleźć. Najpierw jednak musiałam poczekać, by ustało bolesne wrzenie w mojej głowie. W czasie krótkiej drogi do domu usiłowałam się przede wszystkim skoncentrować na tym, by nie zwymiotować w nowym policyjnym samochodzie Lynne. Przypomniałam sobie, jak to jest, gdy wyleje się wrzątek na dłoń. W pierwszej chwili nic się nie czuje, choć wiadomo, że nim upłynie parę sekund, straszliwy piekący ból zacznie rozdzierać całą rękę. Wiedziałam, że ja też będę musiała spokojnie usiąść i zrozumieć w pełni to, co usłyszałam. Na razie był to bowiem tylko głos, daleki, ukryty gdzieś głęboko w mojej głowie, powtarzający mi bez końca, że inna kobieta też dostawała takie listy jak ja i że zginęła. Kobieta, która przeszła przez to co ja i na koniec została zamordowana. I to zaledwie dwa tygodnie temu. Kiedy ja kłóciłam się z Maxem ostatni raz, ona jeszcze żyła, martwiła się tymi groźbami i zastanawiała się, jak to wszystko się skończy. A teraz na świecie została trójka dzieci bez matki.

Samochód stanął. Oddychałam bardzo głęboko.

- Jesteśmy w domu - usłyszałam głos tuż obok mnie. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Chyba położę się na chwilę.

- Wolisz, żebym została w samochodzie przed domem?

Poczułam się nagle tak, jakby ktoś gwałtownym ruchem zanurzył mi twarz w lodowatej wodzie. Już wiedziałam, co mam robić. Od tej chwili będę udawać, że po prostu jestem chora.

- Nie, nie, mowy nie ma. Chcę, żebyś weszła ze mną do domu. Możesz się tam na coś przydać.

- Jesteś pewna?

- Ale ostrzegam, nie będę dziś zbyt towarzyska. Czuję, że nadciąga migrena.

- Może powinnaś coś zażyć?

- Muszę się tylko położyć w ciemnym pokoju.

Weszliśmy do środka. Zostawiłam ją i zamknęłam się w sypialni. Sprawdziłam, czy okno jest dobrze zamknięte. Zaciągnęłam żaluzje. Zupełnie jak Cameron. Jak pieprzony inspektor Cameron Stadler. Położyłam się na łóżku z twarzą w poduszce. Czulałam się zupełnie tak, jakbym miała pięć lat. Chciałam położyć się do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę, by nikt

nie mógł mnie znaleźć i żebym mogła czuć się bezpieczna. Ale ja nie byłam bezpieczna. On może mnie znaleźć. Po raz pierwszy w życiu, leżąc w łóżku, bałam się. Musiałam wszystko widzieć. Oparłam poduszkę o zagłówek łóżka tak, żebym mogła się o nią oprzeć. Widziałam każdy zakamarek pokoju. Ale co z tego? Może lepiej zginąć, niż nie widząc.

Próbowałam sobie przypomnieć rozmowę z Leną. Ale przychodziło mi to z trudem. Przez kilka gorączkowych minut starałam się stworzyć bardziej optymistyczną wersję wydarzeń. Może ona była szalona? Jednak nawet w stanie, w jakim się znajdowałam, nie mogłam w to uwierzyć. Wymieniła nazwiska Linksa, Grace Schilling, Camerona. I mieszkała w pobliżu. To już był jakiś ślad.

Co piątek znajduję pod drzwiami darmową lokalną gazetę. Nigdy jej nie czytam. Nie interesują mnie nowe jednokierunkowe ulice i potyczki lokalnych radnych z wydziałem spraw społecznych. Chowam ją więc od razu do szafki pod zlewem, gdzie czeka, by wypełnić przemoczone buty. Buty nie przemokły mi jednak już od dłuższego czasu, więc w kuchni powinny się znajdować numery z ostatnich paru miesięcy. Wysłałam z sypialni i powiedziałam Lynne, że czuję się trochę lepiej i zrobię herbaty. Nalałam wody do czajnika i włączyłam go do prądu. To da mi kilka minut.

Zacząłam poszukiwania od pięciu numerów wstecz. Nic nie znalazłam, podobnie jak w następnych. Jedynie najazd na handlarzy narkotyków uprawiających swój proceder na targu, pożar w magazynie i kilka artykułów reklamowych. Dopiero w kolejnym numerze, sprzed dwóch tygodni, znalazłam niewielką notatkę, której szukałam. Wydrukowano ją na środkowej stronie. Ręce zaczęły mi drżeć tak mocno, że bałam się, iż szelest gazety zwróci uwagę Lynne.

Nagłówek głosił „Morderstwo w Primrose Hill”. Szybko wydarłam stronę z gazety. Tymczasem woda w czajniku się zagotowała. Zalałam torebki w kubkach.

- Herbatnika, Lynne?
- Nie, dziękuję.

Zyskałam kolejne kilka minut. Wyglądziłam artykuł na blacie:

Matka trojga dzieci została w zeszłym tygodniu zamordowana w wartym osiemset tysięcy funtów domu w Primrose Hill. Z oświadczenia policji wynika, że 38-letnia Jennifer Hintlesham zginęła 3 sierpnia. Policja podejrzewa, że późnym popołudniem ofiara natknęła się na włamywacza. „To wielka tragedia”, powiedział główny inspektor Stuart Links, oznajmiając rozpoczęcie śledztwa. „Jeśli ktoś mógłby udzielić jakichkolwiek informacji, prosimy o kontakt z posterunkiem Stretton Green”.

I tyle. Czytałam notatkę raz po raz, jakbym z czystej desperacji mogła wyciągnąć z niej coś więcej niż napisano. Nie było wzmianki o żadnych listach. Raz jeszcze spróbowałam stworzyć własną wersję rozmowy z opiekunką Chrisa. Prawda uderzyła mnie jednak z siłą tak wielką, że niemal poczułam jej smak - suchy, metaliczny. To Lena udzieliła mi informacji. Ja nic jej nie powiedziałam. Nazwiska policjantów brzmiały tak samo.

Podniosłam ze stołu kubki z herbatą, ale lewa ręka drżała tak bardzo, że gorąca herbata oblała mi dłoń. Musiałam odstawić kubki na stół i raz jeszcze nalać wody. Zaniósłam jeden Lynne i wróciłam po drugi dla mnie. Wzięłam też dla siebie herbatnik. Usiadłam obok Lynne i spojrzałam na nią. Czy sprowadzili ją, żeby mnie pilnowała dlatego, że nie знаła tamtej kobiety, czy też właśnie dlatego, że ją znała? Czy siadywała z Jennifer Hintlesham i popijając herbatę, udawała, że jest jej przyjaciółką, powtarzała, że wszystko jest w porządku i że jest bezpieczna? Wypiłam łyk herbaty. Była gorąca. Sparzyłam się w język i zaczęłam kaszleć. Kiedy doszłam do siebie, umoczyłam ciasteczko i odgryzłam miękki, wilgotny brzeg. Gdy wreszcie przemówiłam, próbowałam udawać, że prowadzimy zwykłą, niezobowiązującą rozmowę.

- Nadal nie mogę się temu nadziwić - powiedziałam. - Dostaję jeden list, a policjantka nie odstępuję mnie na krok całymi dniami. Czy postępujecie tak w przypadku wszystkich osób, które otrzymują listy z pogróżkami?

Lekko się zmieszała.

- Wypełniam tylko swoje obowiązki.

- A gdyby ktoś przyszedł tutaj, żeby mnie zaatakować, broniłabyś mnie? - pytałam z uśmiechem. - O to chodzi, prawda?

- Nic takiego się nie wydarzy - powiedziała i przez moment nienawidziłam jej tak, jak jeszcze nikogo w życiu. Chciałam się rzucić na nią jak wariatka i wbić jej w twarz ostre szpony. Czyje uczucia próbuje tutaj chronić? Jednak po chwili nienawiść ustąpiła miejsca tępemu bólowi. Piłam gorącą herbatę tak szybko, jak tylko mogłam. Potrzebowałam czasu, by wszystko przemyśleć. Zadzwoił telefon. Zach. Powiedziałam mu, że mam migrenę.

- Migrenę? - spytał. - Skąd wiesz, że to migrena?

- Bo czuję. Muszę się na chwilę położyć.

Znów zamknęłam się w sypialni. Próbowałam sobie przypomnieć wszystko, co wydarzyło się w ciągu paru minionych dni, a co traktowałam tak lekko. Każde wspomnienie niczym przedmiot starannie obchodziłam dookoła, brałam w rękę, oglądałam i już nie wyglądało tak samo. Przede wszystkim myślałam o Cameronie. O Cameronie, który siedział w rogu pokoju i niemal nie spuszczał ze mnie głodnego wzroku. O Cameronie, który rozbierał mnie delikatnie, jakbym była kruchym, cennym przedmiotem. O Cameronie gładzącym mnie z czułością i troską. O Cameronie z głową ukrytą między moimi piersiami. Co on wtedy powiedział? „Muszę być z tobą szczerzy”. Szczerzy.

Wieczorem wyszłyśmy z Lynne z domu i kupiłyśmy rybę z frytkami. Coś tam skubnęłam i wypiłam butelkę piwa, prawie się nie odzywając. Lynne co chwila rzucała mi zaniepokojone spojrzenie. Czy wyczuwała, że coś podejrzewam? Szybko poszłam do łóżka, choć było jeszcze wcześniej; ledwo zapadał zmierzch. Leżałam, nasłuchując odgłosów ulicy, sobotniego wieczoru w Camden Town. Nie mogłam się uwolnić od natrętnych myśli, a im więcej myślałam, tym bardziej się bałam. Strach był jak pojawiająca się w domu wilgoć, osłabiał i nadwierał jego konstrukcję. Wreszcie zasnęłam. W nocy śniły mi się koszmary.

Kiedy się obudziłam, nic nie pamiętałam. Nigdy nie pamiętam, co mi się śni. Teraz byłam jednak za to wdzięczna, jakbym wiedziała, co oznaczały te sny i chciałam, by jak najszybciej zniknęły z mojej pamięci. Zadzwoił telefon. Wyczołgałam się z łóżka i podniosłam słuchawkę. Cameron.

- Mam tylko chwilę - powiedział szeptem. - Tak bardzo za tobą tęsknię.

- To dobrze - odparłam.
- Muszę się z tobą zobaczyć - syknął. - Nie mogę bez ciebie żyć. Będę się mógł wyrwać na chwilę późnym popołudniem. Mogę wpaść koło czwartej?
- Oczywiście.

Dzień minął mi jak we mgle. Wyszliśmy razem z Lynne na parę godzin i spacerowałyśmy wokół targu przy Camden Lock. Zdecydowałam się na to wyłącznie dlatego, że tam łatwiej było nie rozmawiać, a przynajmniej nie rozmawiać o rzeczach ważnych, i nie słuchać więcej kłamstw. Cameron zjawiał się dokładnie o czwartej. Miał na sobie dzinsy i luźną niebieską koszulę. Nie ogolił się. Był bardziej wymięty niż zwykle. Zauważyłam jednak, że w takiej wersji jest jeszcze bardziej przystojny. Powiedział Lynne, że na kilka godzin przejmie jej obowiązki. Chce ze mną omówić kilka spraw związanych z nadchodzącym tygodniem. Jak zawsze Lynne ociągała się z wyjściem. Czy domyślała się, że coś nas łączy? Nie bardzo wierzyłam, by mogło to umknąć jej uwadze. Tym razem jej ociąganie się było nie do zniesienia. Czułam, że lada chwila przestanę nad sobą panować, że bliska jestem tego, by zrobić sobie krzywdę. Wreszcie wyszła. Cameron zamknął za nią drzwi i odwrócił się w moją stronę.

- Och, Nadiu - powiedział.

Podeszłam do niego. Przygotowywałam się na tę chwilę przez cały dzień od chwili, gdy skończyłam rozmawiać z nim przez telefon. Wyciągnął do mnie ramiona. Zacisnęłam dłonie w pięści, jak najmocniej potrafiłam. Kiedy znajdował się jakieś trzydzieści centymetrów ode mnie, spojrzałam mu w oczy i z całych sił wymierzyłam cios prosto w twarz.

## 10

Podniósł ręce do twarzy. Chciał się bronić, czy oddać cios? Stałam z wysoko uniesioną brodą, jakbym rzucała mu wyzwanie. Po chwili opuścił ręce i cofnął się o krok.

- Co jest, do cholery? - Nie krzyczał, lecz pytał lodowatym tonem. Oczywiście były zimne. Na przystojnej twarzy malował się głupi i jednocześnie

złośliwy wyraz. Z satysfakcją zauważyłam, że z rozciętego przez mój pierścionek nosa cieknie krew.

- Ja wiem, detektywie Stadler.

- Co wiesz?

- Wszystko.

- O co ci chodzi?

- Czy to cię podniecało?

- Co? - powtórzył. - Co? - Otarł krew i spojrzał na palce.

- Podniecało cię, mam rację? Myśl o tym, że pieprzysz się z kobietą, która niedługo umrze.

- Wpadasz w histerię - powiedział z pogardą w głosie.

Uderzyłam go w pierś palcem wskazującym.

- Jennifer Hintlesham. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie. Przemknął przez nią błysk zrozumienia.

- Nadiu. - Zrobił krok w moją stronę i wyciągnął rękę, zupełnie jakbym była dzikim zwierzęciem, które należy uspokoić. - Nadiu, proszę cię.

- Nie ruszaj się, ty... ty... - Nie mogłam znaleźć słowa, które zabrzmiałoby wystarczająco obraźliwie. - Co ty sobie wyobrażałeś? Jak mogłeś zrobić mi coś takiego? Widzisz mnie już martwą?

Zasepił się.

- Mówiłem ci, że traktujemy te pogróżki bardzo poważnie - powiedział bezbarwnym głosem.

- Ty pieprzony hipokryto. - Wymierzyłam mu policzek. Chciałam go zranić, skrzywdzić, zetrzeć na proch. - Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłam to z tobą. - Spojrzałam na niego z odrazą. - Z żonatym mężczyzną, którego podnieca uprawianie seksu z kobietą, którą ma chronić.

- Przecież cię ochraniaamy.

Wybuchnęłam płaczem, czym zaskoczyłam samą siebie.

- Nadiu. - W jego cichym głosie zabrzmiała nutka triumfu. - Nadiu, kochanie, przepraszam. Bardzo mnie bolało, że nie mogłem ci powiedzieć.

Poczułam jego rękę na ramieniu i odskoczyłam gwałtownie.

- Odpieprz się - wrzasnęłam przez łzy. - Nie płaczę z twojego cholernego powodu. Boję się, nie rozumiesz? Boję się tak bardzo, że czuję, jakbym miała w piersiach wielką dziurę.

- Nadiu...

- Zamknij się. - Wyjęłam z kieszeni chusteczkę i wydmuchałam nos. Potem spojrziałam na zegarek.

- Lynne wróci za godzinę. Musisz mi odpowiedzieć na parę pytań. Idę teraz umyć twarz.

- Poczekaj - powiedział. - Nie dotknę cię, obiecuję. Chcę ci tylko powiedzieć, że to, co się między nami wydarzyło, nie było... Nie chciałbym, żeby ktokolwiek... - urwał i spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowała się mieszanina służalczości i niechęci. Teraz on bał się mnie.

W łazience umyłam ręce, twarz i zęby. Czułam paskudny smak w ustach. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Niczym nie odbiegało od normy. Jak to możliwe, że nadal wyglądam tak samo? Uśmiechnęłam się i odbicie odpowiedziało mi radosnym uśmiechem.

Moja nienawiść nie była już tak zapalczywa. Byłam zimna i spokojna. Cameron też wyglądał na nieco przytępionego. Usiedliśmy po przeciwnych stronach stołu, niczym obojętni sobie obcy ludzie. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze dwa dni temu trzymał moją głowę w dłoniach, jakby była niezwykle cennym przedmiotem i przesuwał głodne dłonie pod moim ubraniem. Zadrżałam na to wspomnienie.

- Jak się dowiedziałaś? - spytał.

- Północny Londyn jest nieduży - odparłam. - A zwłaszcza bogaty północny Londyn. Poznałam opiekunkę, Lenę. - Nie odpowiadał, ale skinął lekko głową na znak, że wie, o kogo chodzi. - Opowiedziała mi o liściach. I o tobie. Jesteś pewny, że wysyłała je ta sama osoba?

Nie patrzył mi w oczy.

- Tak.

- Pisał do niej takie same listy jak do mnie, a potem ją zamordował.

- Tak.

- Nie pilnowaliście jej?

- Pilnowaliśmy. Ale wszystko się mocno skomplikowało.

- A on mimo wszystko dostał się do domu i zabił ją.

- W tym czasie, dokładnie rzecz ujmując, nie była pod naszą ochroną.



- Dlaczego? Nie traktowaliście tego poważnie?
- Nie, nie - zaprotestował urażony. - Bardzo poważnie, zwłaszcza po...
- urwał gwałtownie.
- Po czym?
- To nic takiego.
- O co chodzi?
- Nadiu, musisz zrozumieć, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby cię chronić.
- O co chodzi? Po czym? Powiedz mi.
- Wiedzieliśmy, jak poważne są groźby kierowane pod adresem pani Hintlesham - mruknął tak cicho, że musiałam się mocno wysilić, by go usłyszeć.
- Dlaczego? - Spojrzał mi w oczy i wiedziałam już wszystko. Ta świadomość spadła na mnie tak gwałtownie, że z trudem łąpałam oddech. Patrzyłam na niego badawczo. - Ona nie była pierwsza, prawda? - szepnęłam ochryple.
- Cameron potrząsnął głową.
- Kto jeszcze?
- Młoda kobieta, Zoë Haratounian. Mieszkała w Holloway.
- Kiedy?
- Pięć tygodni temu.
- Jak?
- Cameron raz jeszcze potrząsnął głową.
- Proszę cię, Nadiu. Nie rób tego. Chronimy cię. Musisz nam zaufać. Nie potrafiłam stłumić gorzkiego śmiechu.
- Wiem, co czujesz.
- Ukryłam głowę w dłoniach.
- Nie, nie wiesz - powiedziałam. - Ja sama nie wiem, co czuję. Jak ty możesz to wiedzieć?
- Co zamierzasz zrobić?
- Podniosłam głowę i spojrzałam na niego z wściekłością. Chodziło mu oczywiście o to, czy powiem komuś o naszym związku. Ależ dzieciak z niego; okrutny, próżny dzieciak.
- Ja przeżyję.
- Oczywiście - odparł słodkim głosem. Zupełnie jak lekarz przemawiający do umierającego pacjenta.
- Myślisz, że umrę, prawda?
- Nie - zaprotestował. - Na pewno nie.

- Szaleniec. - Strach wypełnił mi gardło jak paskudna żółć. Poczułam pulsowanie krwi w uszach. - Zabójca.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Uśmiechnięta, zarumieniona, okłamująca mnie Lynne.

- Proszę, nie mów o nas nikomu - rzucił cicho Cameron.

- Odpieprz się. Myślę.

## 11

O dziwo, spotkanie z Lynne sprawiło mi nawet przyjemność. Próbowaliśmy pytać Camerona o rozkład przyszłego tygodnia, ale on nie potrafił wydusić z siebie słowa ani spojrzeć jej w oczy. Mnie, zresztą, też nie. Gładził się tylko lekko po policzku, jakby próbował wyczuć koniuszkami palców, czy została tam jakaś blizna po moim uderzeniu. Potem mruknął, że musi już iść.

- Porozmawiamy jutro - powiedziałam.

- O czym? - spytał nieszczęśliwym tonem.

- O dalszych ustaleniach - odparłam.

Spojrzał na mnie ostro, wzruszył ramionami i wyszedł. Zostałam sama z Lynne. Nie pomyślałam nawet, co jej powiem po rozmowie z Camerone.

- Masz ochotę na drinka? - spytałam.

Nie należę do osób, które lubią się napić, ale w tej chwili Bóg jeden wie, że marzyłam o tym.

- Z przyjemnością napiję się herbaty.

Wyszłam do kuchni i włączyłam czajnik. Stale robię jej herbatę, zupełnie jakbym była jej babcią. Kubek i torebka. W sam raz dla niej. Głęboko w szafce znalazłam butelkę whisky, którą ktoś kupił mi w prezencie w sklepie wolnocłowym. Nalałam trochę do szklanki i uzupełniłam wodą z kranu. Wyszliśmy do ogrodu. Choć był już wczesny wieczór, nadal panował nieznośny upał.

- Na zdrowie - powiedziałam, uderzając lekko szklanką o jej kubek. Wypiłam łyk whisky. Poczułam najpierw pieczenie w gardle, a potem ciepło spływające przez przełyk do żołądka. Ogród przedstawiał oczywiście obraz nędzy i rozpacz, ale dzięki temu, że był tak zarośnięty, czułam się w nim jak w bezpiecznym azylu, oddzielona od odgłosów ruchu ulicznego i

muzyki płynącej z radia w mieszkaniu na górze. Przeszliśmy do rogu, w którym rosła duża roślina. Wyglądała jak krzew, który marzy o tym, by stać się drzewem. Obsypana była kiściami fioletowych kwiatów, otaczał ją rój białych i brązowych motyli, które fruwały dookoła niczym skrawki papieru unoszone na wietrze.

- Uwielbiam stać tutaj wieczorami - powiedziałam. Lynne skinęła głową. - Oczywiście latem. Ale nie w deszczu. Lubię patrzeć na kwiaty i zastanawiać się, jakie noszą nazwy. Wiesz coś o uprawianiu roślin? - Lynne potrząsnęła głową. - Szkoda. - Wypiłam kolejny łyk whisky. - Jestem ci winna przeprosiny - powiedziałam, gdy podniosła kubek do ust, sprawdzając, czy herbata nie jest zbyt gorąca. Nie bardzo wiedziała, o co mi chodzi.

- Za co?

- Wczoraj pytałam, czy całe to zamieszanie, mam na myśli ochronę, nie jest przesadą. Zastanawiałam się, dlaczego to robisz. Ale już znam odpowiedź.

Ręka Lynne unosząca kubek do ust zawisła w powietrzu.

- Wiesz, zdarzyło się coś zabawnego - ciągnęłam dalej. - Wczoraj na przyjęciu dla dzieci rozmawiałam z opiekunką jednego z nich. A potem, zupełnie przypadkiem, coś odkryłam. Ona pracuje, a raczej pracowała u kobiety o nazwisku Jennifer Hintlesham. - Muszę oddać Lynne sprawiedliwość, że moje słowa nie wywołały żadnej gwałtownej reakcji. Nie mogła tylko spojrzeć mi w oczy. - Słyszałaś o niej?

Nie odpowiedziała od razu. Spojrzała na kubek.

- Tak - odparła ledwo słyszalnym głosem.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Przypomniałam sobie dziwne uczucie, jakie ogarniało mnie, gdy wychodziłam gdzieś z Maxem. Czasami rzucał jakąś uwagę, która wskazywała na to, że był już tam z którąś ze swoich byłych dziewczyn. I choć wiedziałam, że to głupie, miły nastrój przyskał i robiło się smętnie.

- Robiłaś to z nią? Z Jennifer? Czy stałaś z nią w ogrodzie, popijając herbatę?

Lynna wyglądała jak osaczone zwierzę. Ale nie mogła uciec. Musiała tutaj zostać i nadal mnie pilnować.

- Przepraszam - powiedziała. - Źle się z tym czułam, nie mogąc ci nic powiedzieć, ale otrzymałam wyraźne instrukcje. Byli przekonani, że ta

informacja będzie dla ciebie zbyt wielkim wstrząsem.

- Czy Jennifer wiedziała o zamordowanej przed nią kobiecie?

- Nie.

Poczułam, że otwieram ze zdumienia usta. Oniemiałam. Nie mogłam wydusić słowa.

- Ja nie... Ją też okłamaliście - wyjąkałam wreszcie.

- To nie tak. - Lynne nadal nie patrzyła mi w oczy. - Podjęli tę decyzję już na samym początku. Nie chcieli, żebyś wpadła w panikę.

- I ona też. Chodzi mi o Jennifer.

- Tak.

- Pozwól, że poskładałam to jakoś do kupy. Jennifer nie wiedziała, że osoba, która przysłała jej listy z pogrózkami, już kogoś zamordowała.

Lynne nie odpowiadała.

- I nie mogła podjąć żadnych decyzji w sprawie własnego bezpieczeństwa.

- To nie było tak.

- W jakim sensie?

- To nie była moja decyzja - powiedziała - ale wiem, że chcieli jak najlepiej. A przynajmniej uważali, że postępują najlepiej jak można w zaistniałej sytuacji.

- Cały plan ochrony Jennifer i tej pierwszej kobiety, Zoë, jakoś nie bardzo się powiódł. - Wypiłam spory łyk whisky. Wywołał atak kaszlu. Nie jestem przyzwyczajona do alkoholu. Byłam nieszczęśliwa i przerażona. - Przepraszam, Lynne. Wiem, że to przykre, ale dla mnie to coś jeszcze gorszego. Tu chodzi o moje życie. To ja mam umrzeć.

Przysunęła się bliżej.

- Nie umrzesz.

Cofnęłam się. Nie chciałam, żeby ci ludzie mnie dotykali. Nie chciałam ich współczucia.

- Wiesz, nie całkiem to rozumiem, Lynne. Siedzisz tu ze mną od paru dni. Przebywasz w moim domu, pijesz moją herbatę, jesz moje jedzenie. Opowiadałam ci o moim życiu. Widziałaś mnie bosą, wyciągniętą na sofie, półnągą, snującą się po mieszkaniu. Widziałaś, że ci wierzę, że ci ufam. Nie mogę tego pojąć. Co ty sobie wyobrażałaś?

Lynne milczała. Przez pewien czas ja też nie odzywałam się ani słowem. Wypiłam tylko odrobinę whisky.

- Myślisz, że jestem głupia? - powiedziałam wreszcie - To przecież okropne, że wszyscy wiedzą o mnie wszystko, a ja nie wiem nic. Co byś czuła na moim miejscu?

- Nie wiem.

Kolejny łyk whisky. Powoli zaczynała na mnie działać. Jestem straszliwie podatna na działanie wszelkich używek. Nie chodzi przy tym o dość sprawne ciało, lecz o wyjątkowo słabą głowę. Poczulałam, że wściekły gniew powoli słabnie, ale gdzieś w środku nadal ścisnął mnie strach. Jednak alkohol sprawił, że cały świat jakby złagodniał i rozmywał się powoli w złotym blasku letniego wieczoru w północnym Londynie.

- Czy ochraniałaś tę pierwszą kobietę?

- Zoś? Nie. Widziałam ją tylko raz. Tuż przed...

- A Jennifer?

- Tak. Spędzałam z nią sporo czasu.

- Jakie one były? Podobne do mnie?

Lynne dopiła herbatę.

- Przepraszam - mruknęła. - Przykro mi, że nic ci nie powiedzieli. Ale w żadnym wypadku nie wolno mi zdradzać tego typu szczegółów. Przepraszam.

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? - Podniosłam głos i zabrzmiała w nim nutka goryczy. - Nigdy nie poznałam tych kobiet. Nie wiem nawet, jak wyglądały. Ale mam z nimi coś przerażająco wspólnego. Chciałabym się czegoś o nich dowiedzieć. To mi może pomóc.

Twarz Lynne wyglądała jak maska. Nagle zaczęła przypominać zimnego biurokrata siedzącego za biurkiem.

- Jeśli coś cię niepokoi, powinnaś o tym porozmawiać z głównym inspektorem Linksem. Mnie nie wolno zdradzać żadnych szczegółów śledztwa. - Przez jej twarz przemknął wyraz zwyczajnej, ludzkiej troski. - Posłuchaj, Nadiu, to nie mnie powinnaś pytać. Nie widziałam tych akt na oczy. W tej sprawie działam wyłącznie na obrzeżach, podobnie jak ty.

- Ja nie znajduję się na obrzeżach - wybuchnęłam. - I bardzo żałuję. Tkwię w samym środku, w wielkiej czarnej dziurze. To tyle? Chcesz, bym ci zaufała i gorąco wierzyła, że tym razem pójdzie ci lepiej?

Pieprzyć ją, pomyślałam. Pieprzyć ich wszystkich. Weszliśmy do środka, prawie nie patrząc na siebie. Lynne zrobiła kanapki z szynką, której resztki znalazła w lodówce i jedząc je, oglądaliśmy telewizję. Nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem. Nawet nie wiedziałam, jaki to program. Początkowo ze złością odtwarzałam raz jeszcze sceny z ostatnich paru dni, rozmowy z Lynne, Linksem i Cameronem. Wspominałam chwilę spędzoną z Cameronem w łóżku; sposób, w jaki na mnie patrzył. Próbowałam wyobrazić sobie erotyczną podniecie, jaką można odczuwać na widok mojego nagiego ciała; ciała kobiety, która niedługo umrze i nie ma o tym pojęcia. Co czuje kochanek, gdy jego jedynym rywalem jest morderca? Czy to sprawia, że seks staje się bardziej podniecający? Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej robiło mi się niedobrze na wspomnienie jego pieszczot. Czułam się tak, jakby szczury gryzły mnie w piersi i między nogami.

Nigdy wcześniej się nie bałam. Nie należę do osób, które łatwo przestraszyć. Łatwo się zakochuję i wpadam w złość, bez trudu ogarnia mnie radosny nastrój, łatwo się irytuje i podniecam. Krzyczę, płaczę i śmieję się. Wszystkie te uczucia pulsują tuż pod powierzchnią. Ale strach kryje się gdzieś bardzo głęboko. Teraz bałam się straszliwie, choć to uczucie nie tłumilo innych, na przykład gniewu czy nagłego pożądania. Czułam się tak, jakbym z zalanego słońcem ogrodu przeszła do cienia: zimnego jak lód, pełnego niesamowitych tajemnic, w zupełnie innym świecie.

Nie wiedziałam, do kogo mogę się zwrócić. Pomyślałam o rodzicach, ale szybko odpędziłam tę myśl. Byli starzy i nerwowi. Zawsze bardzo się o mnie martwili, nawet bez szczególnych powodów. Zach, kochany, posępny Zach. Albo Janet. Kto okaże się spokojny i silny jak skała? Wysłucha mnie? Kto mnie ocali?

Po chwili, zupełnie bezwiednie, zaczęłam myśleć o tamtych zamordowanych kobietach. Nie wiedziałam o nich nic. Znałam tylko nazwiska i wiedziałam, że Jennifer Hintlesham miała troje dzieci. Przypomniałam sobie jasną, słodką buzię jej synka. Dwie kobiety. Zoë i Jenny. Jak wyglądały, co czuły? Musiały leżeć w ciemnościach w łóżku, jak ja teraz i też czuć ogarniający je lodowaty strach. Przerażało je poczucie osamotnienia.

Ale teraz były już nie dwie, a trzy kobiety, połączone osobą szaleńca. Zoë, Jenny i Nadia. Nadia: to ja. Dlaczego ja? Nie mogłam się uwolnić od tej myśli, leżąc samotnie i nasłuchując odgłosów nocy. Dlaczego one i dlaczego ja? Dlaczego?

Kiedy tak leżałam skulona pod kołdrą, z pulsującym bólem głowy i piekącymi oczami, wiedziałam, że muszę się jakoś wyrwać z tego stanu przerażenia. Nie mogłam tak po prostu czekać, aż coś się wydarzy albo żeby inni ocalili mnie przed tym koszmarem. Płacz pod kołdrą nie uchroni mnie od śmierci. Poczułam nagle, jak jakaś mała cząstka mnie budzi się do działania.

Zasnęłam nad ranem, a kiedy się obudziłam z niespokojnego snu, nie czułam się ani dzielniejsza, ani bardziej bezpieczna. Ale na pewno mocniejsza. O dziesiątej spytałam Lynne, czy mogłaby wyjść z pokoju, bo muszę odbyć prywatną rozmowę telefoniczną. Powiedziała, że poczeka w samochodzie i kiedy wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi, zadzwoniłam do Camerona do pracy.

- Jestem zrozpaczony - powiedział, kiedy mnie z nim połączono.
- To dobrze. Ja też.
- Przykro mi, że poczułaś się oszukana. Czuję się z tym strasznie.
- Świetnie - odparłam. - Będiesz mógł więc coś dla mnie zrobić.
- Wszystko.
- Chcę obejrzeć akta sprawy. Nie tylko dotyczące mnie, również tych dwóch kobiet.
- To niemożliwe. Nie udostępniamy ich nikomu.
- Wiem. Ale mimo to chcę je zobaczyć.
- To zupełnie nie wchodzi w grę.
- Chcę, żebyś uważnie mnie posłuchał, Cameron. Moim zdaniem zachowałeś się podle. Przypuszczam, że myśl o uprawianiu seksu z potencjalną ofiarą stanowi jakąś perwersyjną podniecię. Ale mnie też sprawiło to przyjemność, a poza tym jestem już dorosła i tak dalej. Nie zamierzam cię za nic karać. Chcę, żeby to było jasne. Ale jeśli nie przyniesiesz mi tych akt, zobaczę się z Linksem i opowiem mu wszystko o naszym związku. Pewnie trochę popłaczę i powiem, jak bardzo czułam się bezbronna.
- Nie zrobisz tego.
- Skontaktuję się też z twoją żoną i wszystko jej opowiem.

- Nie zrobisz tego. To byłoby... - Zakaszłał, zupełnie jakby się dusił. - Nie wolno ci mówić o niczym Sarah. Jest w depresji, nie poradziłaby sobie z tym.

- To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie interesuje mnie. Przynieś mi tylko te akta.

- Nie zrobisz tego - powiedział zduszonym głosem. - Nie mogłabyś.

- Posłuchaj mnie uważnie. Jakiś mężczyzna zamordował dwie kobiety, a teraz chce zabić mnie. W tej chwili nie obchodzi mnie twoja kariera zawodowa ani uczucia twojej żony. Jeśli chcesz pograć ze mną w pokera, spróbuj. Chcę mieć te akta w domu jutro rano i dość czasu, by je przejrzeć. Potem możesz je zabrać z powrotem.

- Nie mogę tego zrobić.

- Wybór należy do ciebie.

- Spróbuję.

- Chcę zobaczyć wszystko.

- Zrobię, co będę mógł.

- To zrób - rzuciłam. - A kiedy to będziesz robił, myśl o swojej karierze. I o żonie.

Odkładając słuchawkę, myślałam, że się rozplaczę albo poczuję wstyd i wyrzuty sumienia. O dziwo, nic takiego się nie stało. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Nareszcie jakaś przyjazna twarz.

## 12

Zrobiłam porządek na stole w saloniku, ale nadal nie było tam dość miejsca. Kiedy Cameron pozbył się już Lynne, musiał obracać trzy razy, by przynieść akta z samochodu. Dwa duże, wypchane po brzegi nesesery i dwa duże kartonowe pudła. Wyłożył czerwone, niebieskie i beżowe segregatory na blat stołu, a gdy zabrakło miejsca, położył resztę na dywanie. Kiedy skończył, dyszał, a na poblądłej twarzy pojawiły się kropelki potu. Jego skóra miała szary, niezdrowy odcień.

- To wszystko? - spytałam z ironią, gdy ostatni segregator wylądował u moich stóp.

- Nie.



- Powiedziała, że chce obejrzeć wszystko.

- Musiałbym to przywieźć furgonetką - odparł. - To są akta, które trzymamy w biurze i te, do których mam dostęp. Co chcesz w nich znaleźć? Nawet nie zrozumiesz większości informacji. - Usiadł na niewygodnym wiklinowym krześle w rogu. - Masz na to dwie godziny. A jeśli wspomnisz komukolwiek, że to widziałaś, mogę pożegnać się z pracą.

- Cicho. - Wzięłam do ręki pierwszy z brzegu segregator. - Jak je ułożono?

- Tylko nic nie pomieszaj. Szare segregatory w większości zawierają zeznania. W niebieskich są nasze wewnętrzne raporty i dokumenty. Czerwone to raporty z miejsca zbrodni i wyniki analiz. Wszystko jest na nich napisane.

- Czy są tu zdjęcia?

- W albumach na podłodze znajdziesz zdjęcia z miejsc zbrodni.

Spojrzałam w dół. Dziwne, że policja układa zdjęcia zbrodni w takich samych albumach, w jakich ludzie przechowują zdjęcia z wakacji. Nagle zrobiło mi się zimno. Czy to naprawdę był dobry pomysł?

- Może za chwilę. Chciałam tylko zobaczyć, jak wyglądały.

Cameron wstał i zaczął coś przerzucać na stole, mrucząc pod nosem.

- Tutaj - powiedział. - I tutaj.

Kiedy sięgnęłam po album, przypadkiem dotknął mojej dłoni. Cofnęłam się gwałtownie. Musiałam się spieszyć.

- Wyjdz - poprosiłam. - Idź do ogrodu. Zawołam cię, gdy skończę.

- A jeśli nie wyjdę? - zapytał znużonym głosem. - Zadzwońisz do mojej żony?

- Nie mogę tego czytać, kiedy tu jesteś.

Zawahał się.

- To nie jest przyjemna lektura.

- Zostaw mnie.

Ociągając się, wyszedł z pokoju.

Zanim otworzyłam pierwszy segregator, zawahałam się na moment. Bałam się go dotknąć, jakby był pod prądem. Właśnie zamierzałam otworzyć drzwi i wejść do nieznanego pokoju. Potem już nic nie będzie takie samo. Ja nie będę taka sama.

Otworzyłam segregator i zobaczyłam to. Do kartki papieru przyczepiono zdjęcie. Zoë Haratounian. Urodzona 11 lutego 1976 roku. Przyjrzałam się dokładnie. Zdjęcie zrobiono chyba na wakacjach. Zoë opierała się o niski murek na tle porażająco niebieskiego nieba. W ostrym blasku słońca mrużyła lekko oczy (trzymała w ręce okulary słoneczne) i śmiała się, mówiąc coś do osoby, która robiła zdjęcie. Miała na sobie zieloną koszulkę i luźne czarne szorty. Jasne włosy opadały na ramiona. Czy była ładna? Chyba tak. Na pewno wyglądała sympatycznie. Było to bardzo radosne zdjęcie, z gatunku tych, jakie przyczepia się do korkowej tablicy w kuchni obok listy zakupów i ulotki reklamującej usługi lokalnej sieci taksówek.

W segregatorze znajdowało się też kilka napisanych na maszynie notatek. Tego właśnie szukałam. Chłopcy, przyjaciele, pracodawca, odniesienia do innych segregatorów, numery kontaktowe, adresy. Miałam już przygotowany notatnik. Zapisałam kilka nazwisk i numerów, oglądając się przez ramię, czy Cameron tego nie widzi. Przerzuciłam szybko zawartość segregatora. Znalazłam jeszcze jedno zdjęcie, czarno-biały portret, który wyglądał, jakby został zrobiony do jakiegoś dokumentu. Tak, była śliczna. Wyglądała bardzo młodo. Choć na jej twarzy widniał wyraz powagi, w oczach lśniły iskierki wesołości, jakby zaraz po zrobieniu tego zdjęcia miała wybuchnąć śmiechem. Ciekawe, jaki miała głos. Nazwisko brzmiało obco, ale urodziła się gdzieś w okolicach Sheffield.

Zamknęłam segregator i odłożyłam go starannie na bok. Teraz drugi. Jennifer Charlotte Hintlesham, urodzona w 1961 roku, wyglądała zupełnie inaczej niż Zoë. Zdjęcie było bardziej oficjalne, najwyraźniej zrobiono je w profesjonalnym studiu. Wyobraziłam ją sobie w srebrnej ramce na toalecie. Jennifer wyglądała bardziej efektownie niż Zoë. Nie była piękna, ale z pewnością należała do kobiet, które zwracają uwagę. Duże ciemne oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, które wyróżniały się jeszcze bardziej w pociągłej, szczupłej twarzy. Był w niej jakiś staroświecki urok: miała na sobie sweter z okrągłym dekoltem i sznur pereł na szyi. Ciemne, starannie wyszczotkowane włosy aż lśniły. Przypominała brytyjskie gwiazdki filmowe z lat pięćdziesiątych, które na początku następnej dekady odeszły w niepamięć.

Zoë była dużo młodsza ode mnie, natomiast Jennifer Hintlesham niemal o całe pokolenie starsza. I nie chodziło wcale o to, że jej twarz wyglądała starzej. Jedyne twarze, które wyglądają starzej od mojej, zwłaszcza gdy wstają bardzo wcześnie, należą do praprzodków, których wykopano na jakichś bagnach, gdzie przez dwa tysiące lat poddawane były procesowi mumifikacji. Jennifer wyglądała po prostu na dojrzałą kobietę. Czułam, że chciałabym poznać Zoë. Nie byłam za to pewna, czy jestem w typie Jennifer. Raz jeszcze spojrzałam na raport. Mąż, troje dzieci, nazwiska, wiek. Cholera. Zanotowałam szczegóły.

Nagle coś przyszło mi do głowy. Poszperałam w stosie, z którego wyjęłam te dwa segregatory. Zgadza się, była tam też teczka z moim nazwiskiem. Otworzyłam ją i spojrzałam na swoje zdjęcie. Nadia Elizabeth Blake, urodzona w 1971 roku. Zadrżałam. Może za parę tygodni ta teczka będzie znacznie grubsza, a policja założy następną.

Spojrzałam na zegarek. Co teraz? Jaki to ma sens, poza zaspokojeniem ciekawości? Kiedy miałam jedenaście lat, na basenie niedaleko domu była pięciometrowa trampolina. Nigdy nie odważyłam się z niej skoczyć. Aż pewnego dnia weszłam na stopnie, zupełnie jakbym wchodziła na zwykłą drabinę, bez chwili namysłu doszłam do końca deski i skoczyłam. Teraz też tak zrobię.

Sięgnęłam po pierwszy album ze zdjęciami, oprawiony w jasnoczerwony plastik. Powinien zawierać zdjęcia małych dziewczynek zdmuchujących świeczki na torcie i plażowiczów grających w piłkę. Otworzyłam go i zaczęłam machinalnie przerzucać strony. Niewiele było do oglądania. Wróciłam na początek, by sprawdzić, co zawiera. Tak, tam zamordowano Zoë Haratounian. To jej mieszkanie. I ona. Leżała na dywanie twarzą w dół. Nie była naga ani nic w tym stylu. Miała na sobie majtki i podkoszulek. I wcale nie wyglądała na martwą. Równie dobrze mogła spać. Na szyi dostrzegłam zaciśniętą wstążkę czy krawat. Zdjęcia pokazywały to z różnych stron. Nie mogłam oderwać wzroku od tych majtek i koszulki. Pomyślałam, jak zakładała je rano, nieświadoma, że już ich nigdy nie zdejmie. To taka głupia myśl, od której ciężko się uwolnić.

Odłożyłam album i wzięłam do ręki następną. Miejsce zbrodni w domu Jennifer Hintlesham. Zaczęłam powoli przerzucać strony, lecz nagle

przestałam. To wyglądało zupełnie inaczej. Jedno zdjęcie, jeden pokój, ale widziałam wszystko we fragmentach: otwarte szeroko oczy, drut wokół szyi, rozdarte lub rozcięte ubranie, rozrzucone nogi, i wciśnięte w nią coś, co wyglądało jak metalowy pręt. Nie widziałam dokładnie gdzie. Odrzuciłam album i pobiegłam do zlewu. Dotarłam tam w samą porę, gdy wymioty zaczęły mi się wylewać z ust. Żołądek co chwilę podchodził mi do gardła, opróżniając się boleśnie. Spojrzałam w dół i to było nawet zabawne. Zlewozmywak pełen brudnych naczyń. Teraz były jeszcze bardziej brudne.

Umyłam twarz najpierw ciepłą, potem zimną wodą i zabrałam się do najbardziej obrzydliwego zmywania w życiu. A mówię to jako osoba, która w college'u mieszkała z dziewczyną i dwoma chłopakami. Zmywanie pomogło mi wrócić do równowagi. Teraz mogłam już spokojnie usiąść przy stole i zamknąć album, nie patrząc więcej na zdjęcia.

Nie miałam zbyt wiele czasu. Muszę zacząć czytać wszystko wybiórczo. Szybko przerzucałam segregatory, sprawdzając ich zawartość. Znalazłam plany mieszkania Zoë i domu Jennifer. Przebiegłam wzrokiem zeznania świadków. Były tak długie i czasem bezładne, że trudno cokolwiek się z nich dowiedzieć. Chłopak Zoë, Fred, opowiadał o tym, jak coraz bardziej się bała i jak próbował ją uspokoić. Jej przyjaciółka, Louise, była wyraźnie zrozpaczona. Kiedy Zoë została uduszona, siedziała w samochodzie przed jej domem. Zeznania świadków dotyczące zabójstwa Jennifer wypełniały dziesięć grubych teczek. Mogłam tylko przeczytać nazwiska przesłuchiowanych osób, głównie pracujących dla Jennifer. Wygląda na to, że państwo Hintlesham zatrudniali sporą armię ludzi.

Trochę więcej uwagi poświęciłam raportom patologa, który badał oba ciała. Raport dotyczący Zoë był o wiele krótszy i prostszy: uduszenie paśkiem od szlafroka. Były tam jeszcze informacje o paru otarciach, lecz te związane były wyłącznie z użyciem siły niezbędnej do przytrzymania jej na podłodze. Wymaz pobrany z pochwy i odbytu nie wskazywał na seksualny motyw zbrodni.

Raport dotyczący zabójstwa Jennifer był o wiele dłuższy. Zanotowałam jedynie szczegóły: uduszenie, cienka głęboka rana na szyi wskazująca na użycie drutu, liczne rany cięte i klute, ślady krwi, rozdarcie krocza, liczne

ślady uryny. Zmoczyła się przed śmiercią.

Gruba teczka zawierała drobiazgowo analizy listów. Znalazłam tam odbitki kserograficzne listów wysyłanych do Zoë i Jennifer. Przeczytałam je z lekko makabrycznym poczuciem winy, zupełnie jakbym czytała cudze listy miłosne. I to były listy miłosne, z obietnicami i przysięgami. Znalazłam tam też rysunek okaleczonego ciała Zoë. O dziwno, że wszystkich okropności, jakie oglądałam, dopiero ten surowy rysunek sprawił, że po mojej twarzy popłynęły łzy. Dopiero on zmusił mnie do zastanowienia się, jaką podszytą szaleństwem pomysłowością może się wykazać jedna osoba, by zniszczyć drugą. Przejrzałam analizy dokumentów. Próbowano połączyć listy z ludźmi, których Zoë znała: jej chłopakiem, Fredem, byłym chłopakiem, pośrednikiem w handlu nieruchomościami, potencjalnym kupcem jej mieszkania. Jednak rysunek wskazywał, że morderca był leworęczny, co potwierdziły rany zadane później Jennifer Hintlesham. Wszyscy podejrzani byli praworęczni.

W teczkach znalazłam też analizy kurzu, materiału, włosów i innych śladów pobranych z miejsca zbrodni. Wiele z nich zawierało tyle szczegółów czysto technicznych, że nie potrafiłam wywnioskować, czy odkryto jakieś ważne dla śledztwa poszlaki. Nie wyglądało na to. Znalazłam też streszczenie raportu, którego kopie otrzymali Links, Cameron i inni członkowie ekipy dochodzeniowej. Napisano w nim wyraźnie, że nie znaleziono żadnych związków między dowodami pobranymi z obu miejsc zbrodni. Włosy i próbki materiałów pobrane z ciała Zoë, z dywanu, pościeli i innych ubrań, wskazywały na osoby przebywające w ostatnim czasie w mieszkaniu: na Freda i samą Zoë. Analizy włosów i materiałów pobranych w domu Jennifer Hintlesham były już bardziej skomplikowane. Znalezione tam mnóstwo niezidentyfikowanych próbek, a to głównie dzięki tłumom ludzi, którzy przewijali się przez dom. Nie ustalono jednak żadnych związków między obiema kobietami, z wyjątkiem medalionu Jennifer, który znaleziono w mieszkaniu Zoë i zdjęcia Zoë znalezione w domu Jennifer. Kolejne przerażające wieści.

Przejrzałam też stos wewnętrznych dokumentów policji, opisujących poszczególne etapy śledztwa, w tym także zapis nieformalnego przesłuchania, opatrzonego klauzulą „Ścisłe tajne”.

Dowiedziałam się, że pilnująca Jennifer Hintlesham policjantka została odwołana, gdyż jej mąż, Clive, został oskarżony o zamordowanie Zoë Haratounian. Niezłe to spieprzyli.

Już miałam zawołać Camerona, ale zerknęłam jeszcze do nierzucającej się w oczy teczki. Zawierała plany pracy, protokoły z zebrań, prośby o urlop. Moją uwagę zwróciła nagle znajdująca się na samym spodzie odbitka notatki. Jej autorem był Links. Przesłał ją do doktora Michaela Griffena, a kopie otrzymali Stadler, Grace Schilling, Lynne i paręnaście innych osób, których nazwisk nie znałam. Notatka była odpowiedzią na pismo doktora Griffena, w którym skarżył się, że dowody w obu miejscach zbrodni, a zwłaszcza w mieszkaniu Zoë Haratounian, zostały poważnie uszkodzone przez policjantów, którzy zjawili się tam jako pierwsi:

Dłożę wszelkich starań, by miejsca zbrodni w przyszłości zostały szybko i efektywnie zabezpieczone. Zdaję sobie sprawę, że choć staramy się zapewnić daleko posuniętą ochronę, według wszelkiego prawdopodobieństwa wyjaśnienie tej sprawy spoczywać będzie w rękach specjalistów-patologów. Z naszej strony możecie liczyć na pełną współpracę.

Zawołałam Camerona. Zjawił się w pokoju już po paru sekundach. Obserwował mnie przez okno? A jakie to może mieć teraz znaczenie?

- Spójrz tylko - powiedziałam, podając mu notatkę. - „Miejsca zbrodni w przyszłości”. Trudno to uznać za dowód ufności we własne siły.

Obejrzał notatkę, po czym schował ją do teczki.

- Chciałaś zobaczyć akta. Musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

- Z mojej perspektywy wygląda to zupełnie inaczej. Kolejne miejsce zbrodni to ja.

- I co o tym myślisz?

- To było straszne - powiedziałam. - Ale cieszę się, że wszystko wiem.

Zaczął zbierać segregatory, wkładać je do pudeł i wpychać do neseserów.

- Nie jesteśmy do siebie podobne.

- Słucham?

- Myślałam, że wszystkie będziemy w jednym typie. Wiem, że trudno mieć pewność na podstawie zdjęć i kilku opisów, ale wydaje mi się, że jesteśmy zupełnie różne. Zoë była młodsza i na pewno dużo milsza ode mnie. A Jennifer wygląda jak członkini rodziny królewskiej. Nie sądzę, żeby chciała mieć cokolwiek wspólnego ze mną.

- Może nie - odparł z zamyśleniem Cameron i nagle poczułam ukłucie zazdrości. On ją widział, rozmawiał z nią. Wie, jak brzmiał jej głos. Widział jej zabawne, drobne gesty, jakich nie sposób dokładnie opisać w zwięzłej notatce.

- Wszystkie jesteście nieduże - powiedział.

- Co takiego?

- Jesteście nieduże i szczupłe. I mieszkacie w północnym Londynie.

- To macie aż tyle? Minęło ponad sześć tygodni, dwie kobiety zostały zamordowane, a wy wiecie jedynie, że morderca nie wybiera wysokich atletek i kobiet, które mieszkają na całym świecie.

Dokończył pakowanie.

- Muszę już iść. Lynne zaraz wróci.

- Cameron?

- Tak.

- Nic nie powiem Linksowi ani twojej żonie.

- To dobrze.

- Ale zrobiłabym to.

- Tak też myślałem.

Pozostając sam na sam, czuliśmy się teraz trochę nieswojo. Wstydziałam się trochę, przebywając w towarzystwie osoby, która oglądała mnie nago, a teraz zupełnie przestała mi się podobać. Poza tym marzyłam tylko o tym, by zamknąć się w sypialni, płakać i przez kilka godzin myśleć o śmierci.

- Nadiu? .

- Tak?

- Jest mi bardzo przykro z powodu tego wszystkiego. To było takie... Takie... - urwał i potarł twarz. Rozejrzał się po pokoju, jakby w obawie, że niezauważona zjawiała się już Lynne. - Mam jeszcze coś.

- Co takiego? - Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że nie jest to nic dobrego.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kartkę papieru. A tak naprawdę dwie. Rozłożył je na stole.

- Przechwyciliśmy je w ciągu paru ostatnich dni.
- Jak?
- Jedną przysłano pocztą. Druga została chyba wsunięta pod drzwi. Nie spuszczałam wzroku z kartek.
- Ta była pierwsza - powiedział, wskazując kartkę po lewej stronie.

*Droga Nadiu,*

*Chce cię pieprzyć aż do śmierci. I chcę, żebyś o tym stale myślała.*

- Och - jęknęłam.
- Ta przyszła dwa dni temu.

*Droga Nadiu,*

*Nie wiem, co opowiada Ci policja. Nie może mnie jednak powstrzymać. Oni doskonale o tym wiedzą. Za kilka dni, za tydzień lub za dwa tygodnie będziesz martwa.*

- Chciałem być z tobą szczerzy - powiedział.
- Wiesz, świadomość, że dostałam tylko jeden list, była dla mnie pewną pociechą. Myślałam, że może postanowił zabić kogoś innego.
- Przepraszam. - Rozejrzał się dookoła. - Muszę to wynieść do samochodu. Ale jest mi bardzo przykro.
- Ja umrę, prawda? Tak właśnie myślisz. Trzymał w rękach duże pudło.
- Nie, nie. - Ruszył w stronę drzwi. - Wszystko będzie w porządku.

## 13

- Idę na Camden Market - powiedziałam. - Zaraz.
- Lynne spojrzała na mnie zaniepokojona. Była sobota, wpół do dziesiątej rano i chyba zdążyła się już przyzwyczaić, że długo leżę w łóżku, za



wszelką cenę szukając samotności. Przez ostatnie dwa dni nie mogłam się uwolnić od koszmarnych wizji. Stale widziałam przed oczami te zdjęcia: Zoë, jakby przed chwilą zasnęła i Jenny, potwornie okaleczona. A teraz byłam umyta, ubrana, w podejrzenie dobrym nastroju, gotowa do wyjścia.

- Tam będzie straszny tłum - rzekła z niechęcią w głosie.

- Tego właśnie potrzebuję. Tłumów, muzyki, tanich ciuchów i biżuterii. Chcę kupić mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Ale ty wcale nie musisz iść ze mną.

- Pójdę.

- Musisz, prawda? Biedna Lynne, chodzi za mną krok w krok, grzeczna i uprzejma i cały czas mnie okłamuje. Chyba tęsknisz za normalnym życiem.

- Nie.

- Nie nosisz obrączki. Masz chłopaka?

- Tak. - Na jej twarz wypłynął dobrze mi znany rumieniec, a blizna na policzku załśniła fioletem.

- Hmm. Marzysz chyba, żeby to się wreszcie skończyło. W ten lub inny sposób. No chodź, to tylko pięć minut piechotą.

Lynne miała rację. Dzień był upalny, niebo miało kolor brudnego błękitu, a na Camden Market panował straszliwy tłok. Lynne ubrana była w wehniańskie spodnie i ciężkie buty. Włosy wisiały jej w strąkach. Pomyślałam z satysfakcją, że musi umierać z gorąca. Ja założyłam jasnożółtą sukienkę bez rękawów i sandały na płaskim obcasie; włosy związałam w koński ogon. Było mi przyjemnie chłodno i lekko. Przepychaliśmy się przez tłum, a z chodników unosił się żar. Rozejrzałam się dookoła i poczułam ogarniającą mnie nagle falę euforii na myśl, że znów znalazłam się w falującym ludzkim morzu. Młodzi ludzie z dredami, rowerzyści, punkowie, dziewczyny w jasnych sukienkach lub kolorowych spódnicach, mężczyźni o dziobatych twarzach i rozbieganych oczach, nastolatki demonstrujące wszystkim wielki luz i postawę „cool”, którą dzięki Bogu traci się wraz z upływem lat. Odchyliłam głowę i wdychałam zapach olejku paczuli, narkotyków, kadzidełek, świec zapachowych i zwykłego potu.

Na rogach ulic sprzedawano świeżo wyciskany sok z owoców. Kupiłam

dla nas mango-pomarańczowy i precla. Potem zaszalałam, zafundowałam sobie dwadzieścia cieniutkich srebrnych bransoletek za pięć funtów i wsunęłam je na rękę, gdzie zaczęły miło dźwięczeć. Kupiłam też zwiewny jedwabny szalik, parę małych kolczyków i zwariowane spinki do włosów. Brałam tylko to, co mogłam natychmiast włożyć. Nie chciałam nosić żadnych toreb. A potem, gdy Lynne przyglądała się uważnie drewnianym rzeźbom, wymknęłam się. Tak po prostu.

Zeszłam szybko po prowadzących nad kanał schodach i pobiegłam ścieżką, aż dotarłam do głównej ulicy. Tam też panował spory ścisk i bez trudu wtopiłam się w tłum. Jeśli nawet Lynne zacznie mnie tutaj szukać, za nic nie zdoła mnie dostrzec. Nikt nie byłby w stanie mnie wyśledzić. Nawet on, ze swoimi oczami niczym promienie rentgena. Nareszcie byłam sama.

Byłam wolna i czułam się zupełnie inaczej, jakbym wreszcie odrzuciła wszystko to, co przyklejało się do mnie przez ostatnie tygodnie: strach, pożądanie i irytację. Nie czułam się tak dobrze już od wielu dni. Wiedziałam doskonale, dokąd zmierzam. Zaplanowałam trasę wczoraj wieczór. Muszę się spieszyć, zanim wpadną na mój trop.

Przyciskałam dzwonek kilka razy. Pomyślałam, że może gdzieś wyszedł, choć zasłony w mieszkaniu na piętrze były nadal zaciągnięte. W końcu usłyszałam kroki i stłumione przekleństwo.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, był znacznie wyższy i młodszy, niż myślałam i o wiele przystojniejszy. Miał jasne, opadające na czoło włosy i jasne oczy w opalonej twarzy. Ubrany tylko w dżinsy. Wyglądał na mocno niewyspanego.

- Tak? - spytał niezbyt przyjaznym tonem.

- Ty jesteś Fred? - Próbowałam się uśmiechnąć.

- Tak. Czy ja cię znam? - W jego głosie słychać było pewność siebie. Wyobraziłam sobie u jego boku Zoë unoszącą w górę śliczną, szczerą twarz.

- Przepraszam, że cię obudziłam, ale to bardzo pilne. Mogę wejść?

Uniósł w górę brwi.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Nadia Blake. Przyszłam tutaj, bo dostałam listy z pogroźkami od tego samego mężczyzny, który zamordował Zoë.

Przypuszczam, że to go zaskoczy, ale zareagował tak, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w żołądek. O mało co się nie przewrócił.

- Co takiego?

- Mogę wejść?

Cofnął się i przytrzymał drzwi. Wyglądał na kompletnie oszomionego. Weszłam do środka, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Ruszył za mną po schodach. Po chwili znaleźliśmy się w zagraconym pokoju.

- Bardzo mi przykro z powodu Zoë - powiedziałam.

Wpatrywał się we mnie badawczo.

- Jak się o mnie dowiedziałas?

- Widziałam twoje nazwisko na liście świadków. Przesunął dłoń przez zmierzwiłone włosy i potarł oczy.

- Chcesz kawy?

- Chętnie.

Wyszedł do sąsiadującej z pokojem kuchni, a ja rozejrzałam się dookoła. Myślałam, że znajdę tu zdjęcie Zoë, coś, co będzie ją przypominać, ale w pokoju nic takiego nie było. Podniosłam kilka leżących na podłodze magazynów: poradniki dla ogrodników, przewodnik po londyńskich klubach, program telewizyjny. Na jednej z półek leżała kolekcja kamieni. Wzięłam do ręki jeden z nich, który wyglądał jak kacze jajo. Po chwili odłożyłam go na miejsce. Moją uwagę zwrócił miękki brązowy kapelusz, który wisiał na oparciu krzesła. Zakręciłam nim na palcu wskazującym. Chciałam poczuć się bliżej Zoë, ale nie było tu żadnych śladów jej obecności. Wzięłam z półki rzeźbioną drewnianą kaczkę i uważnie się jej przyjrzałam. Kiedy Fred wrócił do pokoju, szybko odłożyłam ją na miejsce.

- Co robisz? - spytał podejrzliwie.

- Tylko tak się kręcę. Przepraszam.

- Kawa dla ciebie.

- Dzięki. - Zapomniałam mu powiedzieć, że nie lubię kawy z mlekiem.

Fred usiadł na sofie, która wyglądała, jakby pochodziła z wysypiska śmieci, i gestem wskazał mi krzesło. Trzymał kubek z kawą w obu

dłoniach i nie odzywając się ani słowem, patrzył w jego zawartość.

- Bardzo mi przykro z powodu Zoë - powtórzyłam, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Tak. - Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

Czego się spodziewałam? Czułam, że coś nas łączy, bo on znał Zoë i dzięki temu w zupełnie irracjonalny sposób był mi bliższy niż którykolwiek z moich przyjaciół.

- Jaka ona była?

- Jaka była? - Podniósł nachmurzony wzrok. - Miła, atrakcyjna, szczęśliwa, no, wiesz. Czego chcesz ode mnie?

- To głupie, wiem. Ale chciałabym się dowiedzieć o niej różnych nie-mądrych rzeczy: jaki był jej ulubiony kolor, jak się ubierała, o czym marzyła, co czuła, gdy dostała te listy, wszystko... - Zabrakło mi tchu.

Siedział wyraźnie speszony, jakby moje słowa napawały go niemal odrazą.

- Nie potrafię ci pomóc.

- Kochałeś ją? - spytałam nagle.

Patrzył na mnie, jakbym powiedziała coś nieprzyzwoitego.

- Nieźle się razem bawiliśmy.

Nieźle się bawili. Ogarnął mnie smutek. Nawet jej nie znał albo nie chciał, żebym ja ją dzięki niemu poznała. Niezła zabawa: też mi epitafium.

- Nie zastanawiasz się, co musiała czuć? Kiedy jej grożono i kiedy umarła?

Sięgnął po paczkę papierosów i pudełko zapalek leżące na niskim stoliku przy kanapie.

- Nie - powiedział, zapalając papierosa.

- Zdjęcie Zoë, które oglądałam, było dość stare. Masz jakieś nowsze?

- Nie.

- Ani jednego?

- Nie robię zdjęć.

- A może masz jakąś rzecz, która do niej należała? Musisz mieć coś takiego.

- Po co? - spytał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Przepraszam, chyba strasznie się narzucam. Chodzi o to, że czuję dziwny związek z tymi dwiema kobietami.

- Jak to z dwiema?
  - Zoë i Jennifer Hintlesham, drugą kobietą, którą też zamordował.
  - Co takiego? - Pochylił się gwałtownie do przodu. Postawił kubek na stoliku, rozlewając kawę. - Co ty do cholery wygadujesz?
  - Przepraszam, nic nie wiedziałeś. Policja trzyma to wszystko w wielkiej tajemnicy. Ja sama dowiedziałam się przez czysty przypadek. Ta druga kobieta dostawała takie same listy. Została zamordowana kilka tygodni po Zoë.
  - Ale... ale... - Zamyślił się. Nagle spojrzał na mnie przenikliwie. - Ta druga kobieta.
  - Jennifer.
  - Została zamordowana przez tego samego mężczyznę?
  - Tak.
- Gwizdnął cicho.
- O, cholera.
  - Wiem.

Głośno niczym budzik zadzwonił telefon. Oboje podskoczyliśmy. Fred podniósł słuchawkę i odwrócił się do mnie tyłem.

- Tak, tak, już wstałem. - Chwila milczenia, a potem: - Wpadnij teraz, a potem zgarniemy Duncana i Grahama.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie.

- Zaraz przyjdzie do mnie kumpel. - Dał mi do zrozumienia, żebym się zbierała. - Powodzenia, Nadiu. Przepraszam, że nie mogłem ci pomóc.

To tyle? Niemożliwe. Spojrzałam na niego bezradnie.

- Do widzenia - powtórzył, niemal popychając mnie w stronę drzwi. - Uważaj na siebie.

Szłam ze spuszczoną głową, zmierzając po omacku w stronę metra. Biedna Zoë, pomyślałam. Fred wyglądał na mężczyznę zupełnie pozbawionego wyobraźni; przystojny, ale i bezmyślny. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by otaczał ją współczuciem, gdy zaczęła dostawać listy z pogrozkami, bez względu na to, co później opowiadał policji. Raz jeszcze przypomniałam sobie szczegóły naszej rozmowy. Niewiele tego było. Niewarte wymykania się spod ochrony policji. Nagle poczułam przebiegający

wzdłuż kręgosłupa dreszcz strachu. Byłam zupełnie sama, nikt mnie nie pilnował. W sobotnim tłumie wyobraziłam sobie obserwujące mnie oczy.

Nagle ktoś zastąpił mi drogę. Przede mną stał mężczyzna i patrzył na mnie badawczo. Ciemne włosy, blada twarz, lśniące w uśmiechu zęby. Kim on jest?

- Cześć. Wyglądasz, jakbyś błądziła myślami gdzieś bardzo daleko. Wpatrywałam się w niego uważnie.

- Nadia, prawda? Kobieta z zabytkowym komputerem?

Nareszcie sobie przypomniałam. Ogarnęło mnie uczucie wielkiej ulgi. Uśmiechnęłam się.

- Tak. Przepraszam cię...

- Morris. Morris Burnside.

- Jasne. Cześć.

- Jak się miewasz? Co u ciebie?

- Co? Och, w porządku - odparłam z roztargnieniem. - Posłuchaj, bardzo mi przykro, ale trochę się spieszę.

- Oczywiście, nie będę cię zatrzymywał. Na pewno wszystko w porządku? Wyglądasz na trochę zdenerwowaną.

- Jestem tylko zmęczona. No to na razie.

- Do widzenia, Nadiu. Uważaj na siebie. Do zobaczenia.

Dom był przepiękny. Widziałam go na zdjęciach, ale w rzeczywistości był jeszcze większy: stał w dużym ogrodzie, do frontowych drzwi prowadziły schody, białe ściany porastała wisteria. Wszystko tu pachniało dobrym gustem i dużymi pieniędzmi. Wiedziałam, że są bogaci, ale teraz mogłam to niemal poczuć. Spojrzałam w górę na okna na pierwszym piętrze. W jednym z tych pokoi umarła Jennifer. Wygładziłam włosy i nerwowym ruchem poprawiłam ramiączko taniej bawełnianej sukienki. Szybkim krokiem podeszłam do drzwi i zastukałam kołatką z brązu.

Ogarnęło mnie głupie przekonanie, że drzwi otworzy sama Jennifer; zobaczą jej szczupłą twarz i lśniące ciemne włosy. Potraktuje mnie bardzo uprzejmie, ale w świadczący o dobrym wychowaniu sposób da do zrozumienia, że bym sobie poszła. Tak się traktuje takich ludzi jak ja: nieuprzejmych i lekkomyślnych.

- Tak? - Nie była to Jennifer, lecz wysoka elegancka kobieta z jasnymi, zaczesanymi do tyłu włosami, z drogimi kolczykami w uszach. Miała na sobie świetnie skrojone czarne spodnie i jedwabną morelową bluzkę. Czytałam w aktach o romansie Clive'a, więc wiedziałam, kim jest. - W czym mogę pani pomóc?

- Chciałabym porozmawiać z Clive'em Hintlesham. Bardzo proszę. Nazywam się Nadia Blake.

- Czy to coś pilnego? - spytała z lodowatą uprzejmością. - Pewnie pani słyszy, że mamy gości.

Rzeczywiście, z wnętrza domu dobiegał gwar rozmów. Było sobotnie południe i okryty żalobą wdowiec Clive razem ze swoją kochanką zorganizował małe przyjęcie. Usłyszałam brzęk kieliszków.

- Tak, to bardzo pilne.

- Proszę wejść.

Hol był ogromny i zimny. Gwar był tutaj znacznie głośniejszy. Ona tu mieszkała, pomyślałam, rozglądając się dookoła. To miejsce, które chciała zamienić w dom swoich marzeń, a teraz rządziła tu ta nowa kobieta, gdyż robotnicy najwyraźniej wrócili do pracy. W pokoju naprzeciwko stały drabiny i wiadra z farbą. Meble w końcu holu przykryto wielkimi płachtami materiału.

- Zechce pani tutaj poczekać?

Mimo to ruszyłam za nią. Razem weszłyśmy do wielkiego salonu, pomalowanego niedawno na delikatny szary kolor, z dużymi oknami wychodzącymi na świeżo przekopany ogród. Na półce nad kominkiem stało zdjęcie trójki dzieci. Ani śladu Jennifer. Czy to stanie się ze mną, gdy umrę? Czy nade mną też zamknie się wielka pustka?

W pokoju znajdowało się dziesięć, może dwanaście osób. Stały w małych grupkach z kieliszkami w dłoniach. Może byli kiedyś przyjaciółmi Jennifer, a teraz zebrali się tutaj, by powitać nową panią domu? Kobieta podeszła do mocno zbudowanej mężczyzny o siwiejących włosach. Położyła mu dłoń na ramieniu i szepnęła coś do ucha. Spojrzał na mnie ostro i ruszył w moją stronę.

- Tak? - spytał.

- Przepraszam za to wtargnięcie.

- Gloria mówiła, że chce mi pani coś powiedzieć.

- Nazywam się Nadia Blake. Dostaję listy z pogróżkami od tego samego mężczyzny, który zamordował Jennifer.

Wyraz jego twarzy prawie się nie zmienił. Rozejrzył się tylko niespokojnie, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś może nas usłyszeć.

- Ach tak. Czego pani ode mnie chce?

- Słucham? Pańska żona została zamordowana. A on chce teraz zabić mnie.

- Bardzo mi przykro - mruknął bezbarwnym głosem. - Ale właściwie po co pani tu przyszła?

- Pomyślałam, że opowie mi pan o Jennifer.

Wypił łyk wina i zaprowadził mnie w kąt pokoju.

- Powiedziałem już wszystko policji. Nie bardzo rozumiem, czego pani tu szuka. To była wielka tragedia dla nas wszystkich. Teraz próbuję o tym zapomnieć i żyć dalej.

- Całkiem nieźle to panu wychodzi. - Rozejrzałam się po pokoju.

Jego twarz zrobiła się purpurowa.

- Co pani powiedziała? - rzucił z furią. - Proszę natychmiast wyjść, panno Blake.

Wpadłam w panikę. Poczulałam ogarniający mnie gniew i wstyd. Jąkając się, zaczęłam coś tłumaczyć. Kątem oka zauważyłam chłopca, nastolatka, siedzącego samotnie na parapecie. Był chudy i bardzo blady. Miał tłuste włosy, ciemne smugi pod oczami i pryszcze na czole. Otaczała go ta typowa dla nastoletniego chłopca aura beznadziejności, połączona z rozpaczą dziecka, które straciło matkę. Josh, najstarszy syn. Spojrzałam na niego i napotkałam jego wzrok. Miał wielkie, ciemne oczy, zupełnie jak spaniel. Piękne oczy w zupełnie przeciętnej twarzy.

- Pójdę już - powiedziałam szybko. - Przepraszam, że zakłóciłam panu spokój. Ale bardzo się boję. Szukam pomocy.

Skinął głową. Jego twarz nie była może aż tak okrutna, jedynie głupia i bardzo z siebie zadowolona. Pewnie był jak wszyscy inni. Tylko trochę słabszy i bardziej zapatrzonej w siebie.

- Przepraszam. - Wzruszył bezradnie ramionami.

- Dzięki. - Odwróciłam się na pięcie, powstrzymując łzy, usiłując nie zauważać, że wszyscy patrzą na mnie, jakbym była żebraczką, która siłą wdarła się do domu.

W holu tuż przede mną przemknął mały chłopczyk pedałuający zawzięcie na trzykołowym rowerku. Nagle się zatrzymał.



- Ja cię znam. Jesteś klaunem - wykrzyknął. - Lena, klaun przyszedł nas odwiedzić. Chodź zobaczyć klauna.

## 14

- Wezmę wszystko - powiedziałam zdecydowanym tonem. - Jajka na bekonie, grzanki, smażone ziemniaki, pomidory, kielbaski, pieczarki. A to co?

Kobieta za ladą zajrzała do metalowego pojemnika.

- Kaszanka.

- Świetnie, też poproszę. I dzbanek herbaty. A ty?

Lynne lekko zbladła, może na widok ilości jedzenia, które lądowało na moim talerzu.

- Wezmę grzankę. I herbatę.

Wyniosłyśmy tace z jedzeniem do zalanego słońcem ogródka na obrzeżach parku. Przyszłyśmy tuż po otwarciu kafejki i byłyśmy pierwszymi klientami. Wybrałam dyskretny stolik w rogu. Postawiłyśmy nasze talerze, filiżanki i metalowe dzbanki z herbatą. Zaczęłam jeść. Najpierw zaatakowałam sadzone jajka, rozcinając żółtko, które rozlało się po całym talerzu. Lynne spojrzała na mnie z cieniem dezaprobaty.

- Nie lubisz tego? - spytałam, wycierając usta papierową serwetką.

- Dla mnie jest jeszcze trochę za wcześnie. - Popijała herbatę małymi łykami i dziubnęła małeńki kawałek grzanki.

Ranek był piękny. Oswojone wróble podskakiwały przy nogach stolika w poszukiwaniu okruchów, wiewiórki gonily się wśród gałęzi rozłożystych drzew po drugiej stronie muru, w parku. Przez kilka cudownych sekund udawałam, że nie ma przy mnie Lynne. Jadłam prowadzące do zawału śniadanie i popijałam każdy kęs ciemnobrązową herbatą.

- Chcesz, żebym usiadła gdzie indziej, gdy zjawi się twoja przyjaciółka? - spytała Lynne.

- Nie rób sobie kłopotu. Poza tym znasz ją.

- Tak? - spytała wyraźnie zdziwiona.

Ta chwila sprawiła mi wielką przyjemność. Chyba obudził się we mnie magik.

- To Grace Schilling.

Przelknęłam z triumfem kawałek pomidora przyczepiony do bekonu.

- Ale... - Lynne się zająknęła.

- Hmm? - Tyle tylko zdołałam wydusić, gdyż miałam pełne usta. Widziałam, że próbuje się zdecydować, które z czternastu pytań powinna mi teraz zadać.

- Kto... kto to ustalił? - Ja.

- Ale... czy inspektor Links wie o tym? Wzruszyłam ramionami.

- Doktor Schilling pewnie mu powiedziała. To nie mój problem.

- Ale...

- No, już tu jest.

Doktor Schilling szła między stolikami. Przy kilku z nich siedzieli już inni klienci - jacyś ludzie z dziećmi, pary rozkładające niedzielne gazety - i nie od razu nas zauważyła. Jak zwykle była bardzo elegancko ubrana, choć dziś może bardziej swobodnie. Miała na sobie granatowe rybaczki i czarny sweter z dekoltem w szpic. I okulary słoneczne. Kiedy nas dostrzegła, podeszła do stolika szybkim krokiem. Zdjęła okulary i położyła je na stoliku razem z pękiem kluczy i - co ciekawe - paczką papierosów. Obrzuciła nas znużonym spojrzeniem. Na jej twarzy malował się normalny chłodny wyraz i przez moment pomyślałam z rozbawieniem, że czuję się tak, jakby przyłapała mnie siedzącą w chlewie z głową zanurzoną w korycie.

- Masz ochotę na śniadanie? - spytałam.

- Nie jadam śniadań.

- Czarna kawa i papieros?

- Mniej więcej.

Spojrzałam na przerażoną Lynne.

- Mogłabyś przynieść kawę dla doktor Schilling?

Wstała od stolika i ruszyła w stronę kafejki.

- To trochę tak, jakbym miała osobistą asystentkę - rzekłam z uśmiechem. - Nawet mi się to podoba. Rozmawiałaś z Linksem?

Zapaliła papierosa.

- Powiedziałaś mu, że chcesz się ze mną spotkać.

- I co?

- Był zaskoczony.

Wytarłam resztkę żółtka kawałkiem chleba.

- Czy potrafisz zachować dyskrecję?

- Co masz na myśli?

- Widziałam akta - powiedziałam. - No, przynajmniej sporą ich część.

Nie zdobyłam ich w sposób oficjalny, więc wolałabym, żebyś o tym nie wspominała.

Była wyraźnie zaskoczona. Jasne. Zaczynałam się powoli przyzwyczajać do takiego wyrazu twarzy moich rozmówców. Zaciągnęła się głęboko papierosem i poprawiła na krześle. Widziałam, że czuje się nieswojo. Czyżby się bała, że traci kontrolę? Miałam taką nadzieję.

- To dlaczego mi o tym mówisz?

- Muszę ci zadać parę pytań. Wiem, że okłamywałaś mnie od samego początku. - Rzuciła mi ostre spojrzenie i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się ani słowem. - Nieważne. Przestało mnie to interesować. Chcę tylko, byś wiedziała, że ja wiem o Zoë i Jennifer. Czytałam raporty z sekcji zwłok. Nie mam żadnych złudzeń. Chcę tylko, żebyś była ze mną szczerą.

Lynne wróciła z kawą.

- Mogę tu usiąść? - spytała.

- Przepraszam cię, ale lepiej będzie, jeśli ta rozmowa odbędzie się bez świadków.

Zarumieniła się i usiadła przy sąsiednim stoliku. Odwróciłam się do Grace.

- Nie mam żadnej opinii na temat ogólnej działalności policji. Ani dobrej, ani złej. Rozumiesz jednak, że nie mam zaufania do ich możliwości ocalenia mnie przed okrutną śmiercią. Ty, oni, nieważne, ochranialiście już dwie kobiety i obie nie żyją.

- Nadiu - zaczęła Grace - rozumiem doskonale, co czujesz, ale istniały ku temu poważne powody. W przypadku panny Haratounian...

- Zoë.

- Tak. W jej przypadku początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy z powagi gróźb, a potem było już za późno. W przypadku pani Hintlesham pojawił się pewien problem.

- Chodzi ci o aresztowanie jej męża?

- Tak. Powinnaś więc wiedzieć, że twoja sytuacja różni się od tamtych i to poważnie

Nalałam sobie kolejną filiżankę herbaty.

- Grace, chyba nie do końca mnie zrozumiałaś. Nie przyszedłam tu po to, by wytykać ci błędy, gromadzić informacje przydatne do złożenia oficjalnej skargi, czy też szukać pocieszenia. Proszę cię, nie obrażaj mnie, powtarzając, że nie powinnam się niczym martwić. Widziałam dokument, który ty też dostałaś, zalecający należyte zabezpieczenie miejsca zbrodni po mojej śmierci.

Zapaliła kolejnego papierosa.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała beznamiętnie.

- W aktach, które oglądałam, nie znalazłam twojego raportu. Może dlatego, że zamieszczono tam uwagi na mój temat, które mogłyby mi się nie spodobać. Muszę wiedzieć, co ty wiesz.

- Nie jestem pewna, czy mogę ci udzielić jakichkolwiek pozytywnych informacji.

- Dlaczego właśnie ja? Miałam nadzieję, że znajdę w aktach coś, co nas łączyło. Ale nic tam nie było, z wyjątkiem tego, że wszystkie jesteśmy niskie.

Zamyśliła się i zaciągnęła papierosem.

- Tak - odparła. - I wszystkie się wyróżniacie, każda na swój sposób.

- No cóż, to miłe...

- I wszystkie jesteście bezbronne. Sadyści taki jak ten polują na kobiety, tak jak drapieżnik poluje na inne zwierzęta. Wybiera te niepewne, trzymające się z tyłu stada. Zoë Haratounian niedawno sprowadziła się do Londynu, brakowało jej pewności siebie. Jenny Hintlesham tkwiła w nieszczęśliwym małżeństwie. Ty niedawno rozstałaś się z chłopakiem.

- To wszystko?

- Wystarczy.

- Możesz mi coś o nim powiedzieć?

Milczała przez chwilę.

- Są pewne poszlaki - odezwała się w końcu. - Zawsze są. To tylko kwestia ich rozpoznania. Francuski kryminolog, doktor Locarde, wypowiedział kiedyś sławne zdanie: „Każdy przestępca zostawia na miejscu zbrodni coś z siebie, choćby coś bardzo małego i zawsze zabiera coś ze sobą”. Dopóki nie wpadniemy na żaden ślad, a na pewno wpadniemy,

mogę ci tylko powiedzieć, że jest prawdopodobnie biały. Ma dwadzieścia parę lat, może trzydzieści. Jest więcej niż średniego wzrostu. Silny fizycznie. Wykształcony, możliwe że skończył studia wyższe. Ale jestem pewna, że do takich wniosków doszłaś już sama.

- Znam go?

Grace zgasiła papierosa, zaczęła coś mówić, urwała i po raz pierwszy wyglądała na naprawdę nieszczęśliwą. Opanowała się z wielkim trudem.

- Nadiu - powiedziała wreszcie - bardzo bym chciała powiedzieć coś, co ci pomoże. Na przykład to, że nie jest to ktoś, kogo dobrze znasz, bo w takim przypadku, mam nadzieję, policja ustaliłaby już związek pomiędzy tobą a tamtymi kobietami. Ale to równie dobrze może być twój bliski przyjaciel albo ktoś, kogo poznałeś przelotnie i zaraz o tym zapomniałeś. Może ktoś, kogo widziałeś tylko raz w życiu.

Rozejrzałam się. Całe szczęście, że umówiłam się z nią w słoneczny dzień w miejscu, gdzie hałasowały bawiące się dzieci.

- Nawet nie chodzi o to, że nie mogę spać - powiedziałam. - Po prostu boję się teraz zamykać oczy, bo natychmiast widzę zdjęcie martwej Jeny Hintlesham leżącej z... na pewno je widziałeś. Nie mogę się pogodzić z faktem, że ktoś, kto wcześniej zrobił coś takiego, kogo może poznałam, chodzi po ulicach i wiecie normalne życie.

Grace przesunęła szczupłym palcem po brzegu filiżanki z kawą.

- On jest świetnie zorganizowany. Przypomnij sobie listy i wysiłek, jaki musiał włożyć w to, by je dostarczyć.

- Nadal jednak nie mogę uwierzyć, że policja nie potrafiła ochronić tych kobiet. Nie po tych wszystkich groźbach.

Pokiwała energicznie głową.

- W ciągu paru ostatnich tygodni trochę poszperałam w archiwach. Było już kilka takich przypadków. Parę lat temu w Waszyngtonie pewien mężczyzna przysyłał kobietom groźby w listach. Mąż pierwszej z nich wynajął uzbrojonych strażników, a mimo to została zamordowana we własnym domu. Druga miała ochronę policyjną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i zginęła we własnej sypialni. Jej mąż był w tym czasie w domu. Przykro mi, że ci to mówię, ale prosiłaś o szczerość. Niektórzy z tych mężczyzn widzą w sobie geniuszy. Ale bynajmniej nimi nie są.

Przypominają ludzi, którzy mają obsesję na punkcie jakiegoś hobby. W ich przypadku najważniejsza jest motywacja. Pragną, by kobiety najpierw cierpiały, a potem chcą je zabić i poświęcają całą energię, umiejętności i inteligencję na realizację swojego szalonego planu. Policja robi wszystko, co w jej mocy, ale trudno jest walczyć z tak zawziętą determinacją.

- A co się stało z tym zabójcą z Waszyngtonu?
- Złapali go nareszcie na miejscu zbrodni.
- Ocalili tę kobietę?

Grace odwróciła wzrok.

- Nie pamiętam. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie mamy do czynienia z pocącym się z przejęcia psychopata, który mieszka pod mostem w kartonowym pudle. W tej chwili prawdopodobnie funkcjonuje jak najbardziej normalnie. Kiedy Ted Bundy wrócił do domu po popełnieniu dwóch morderstw, jego dziewczyna zeznała, że nawet nie był zmęczony.

- A kto to taki?
- Jeszcze jeden morderca kobiet.
- Ale po co zadawać sobie aż tyle trudu? Czemu nie napadają na kobiety w ciemnych ulicach?

- Ten trud stanowi część przyjemności. Chodzi mi o to, Nadiu, że zastanawiając się nad tym człowiekiem i jego motywami, musisz zapomnieć o zdrowym rozsądku. On nie chce twoich pieniędzy. Nawet cię nie nienawidzi. A przynajmniej tak sądzi. Dla niego może to być miłość. Pomyśl o tych listach: w perwersyjnym sensie, to są przecież listy miłosne. On ma obsesję na punkcie kobiet, które wybiera.

- Chcesz przez to powiedzieć, że on liczy pociągi, a ja jestem jednym z nich.

- Mniej więcej.

- Ale dlaczego? Nie mogę zrozumieć całego tego wysiłku, pisania listów, rysowania, podejmowania straszliwego ryzyka przy dostarczaniu przesyłek i potem zabijania kobiet w okrutny sposób. Dlaczego?

Spojrzałam Grace prosto w oczy. Jej twarz była teraz zupełnie pozbawiona wyrazu, przypominała maskę.

- Sądzisz na pewno, że skoro dzieją się tak straszne rzeczy, to motywy czynów muszą być naprawdę wielkie. Kiedyś ten osobnik trafi do zakładu

zamkniętego i ktoś, może ja, porozmawia z nim o jego życiu. Może jako dziecko był okrutnie bity albo molestowany przez wujka. Albo odniósł poważną ranę głowy, która spowodowała trwały uraz mózgu. To może stanowić jeden z powodów. Choć, oczywiście, na świecie jest mnóstwo osób, które w dzieciństwie były okrutnie bite, molestowane lub ranne i nie wyrastają z nich psychopaci. On po prostu lubi to robić. Czemu nie mielibyśmy robić tego, co lubimy?

- Co twoim zdaniem się wydarzy?

Zapaliła kolejnego papierosa.

- On poczyną sobie coraz śmielej. Pierwsze zabójstwo było niemal aktem oportunistycznym. Prawdopodobnie nawet nie spojrzął jej w twarz, zupełnie jakby chciał ją pozbawić indywidualności. Drugie było już bardziej okrutne. To typowy rozwój wypadków. Zbrodnie stają się coraz bardziej wyrafinowane i wymykają się spod kontroli, a zabójca w końcu zostaje schwytyany.

Poczułam się nagle tak, jakby słońce znikło za chmurami. Spojrzałam w górę. Nic takiego się nie stało. Niebo nadal miało barwę jasnego błękitu.

- To powinno pomóc następnej osobie, którą wybierze.

Wstałyśmy od stolika. Spojrzałam na Lynne, która unikała mojego wzroku. Odwróciłam się do Grace.

- Jak oceniasz ostatnie parę miesięcy? - spytałam. - Jesteś zadowolona ze swojego wkładu do śledztwa?

Wzięła ze stołu okulary, klucze i papierosy.

- Rzuciłam palenie... kiedy to było? Jakies pięć lat temu. Teraz znów palę. Stale się nad tym wszystkim zastanawiam i myślę, co mogłabym zrobić inaczej. Kiedy wreszcie go złapią, może się dowiemy. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie martw się, nie szukam u ciebie współczucia. - Wyjęła coś z kieszeni i podała mi. - To moja wizytówka. Możesz do mnie dzwonić o każdej porze.

Wzięłam wizytówkę i jak zwykle w takich sytuacjach obrzuciłam ją przelotnym, uprzejmym spojrzeniem.

- Obawiam się, że nie zdążysz jednak dotrzeć na czas - powiedziałam.

Kiedy byłam w college'u, gdzie rzekomo uczyłam się jak dorosnąć i radzić sobie w prawdziwym życiu, miałam przyjaciółkę, Laurę, która umarła na białaczkę. Miała malutkie stopy, policzki jak rumiane jabłka i śmiała się gardłowo. Zachorowała na pierwszym roku i umarła przed końcowymi egzaminami. Przyzwyczailiśmy się do myśli o jej odejściu i nieobecności na zajęciach przerażająco szybko, wspominając ją czasem z poczuciem winy. Teraz jednak myślałam o Laurze bardzo często. W dziwny i bardzo niemiły sposób była mi bliższa - podobnie zresztą jak Zoë i Jenny, których nigdy nie widziałam na oczy - niż moi żyjący przyjaciele.

Nawet Zach i Janet wydawali mi się teraz dalecy. Byli przerażeni, a jednocześnie niemal zawstydzeni sytuacją, w jakiej się znalazłam. Dzwonili do mnie bardzo często, lecz wpadali rzadko, a kiedy już się spotykaliśmy, nie mogliśmy nawet normalnie pogadać, bo nade mną unosił się cień, a oni żyli w blasku słońca. Razem czuliśmy się nieswojo. Było trochę tak, jakbym znalazła się w miejscu dla nich niedostępnym i nie potrafiła się z niego wydostać. Z drżeniem serca przypomniałam sobie, że Laura mówiła podobne rzeczy, kiedy już stało się jasne, że nie pokona śmiertelnej choroby. Powiedziała, a raczej wykrzyczała, że czuje się tak, jakby trafiła do jakiejś poczekalni i za chwilę otworzą się drzwi, przez które będzie musiała przejść. Pamiętam dreszcz strachu, który przeszedł mnie całą, gdy usłyszałam jej słowa. Wyobraziłam sobie drzwi prowadzące do ziejącej pustki; z jasno oświetlonego, przyjemnie umeblowanego pokoju w bezdenną przepaść.

Laura przeszła przez wszystkie etapy, które ma na swojej drodze człowiek stojący w obliczu śmierci: niewiarę, gniew, smutek, przerażenie, a w końcu ciche pogodzenie się - może była skrajnie wyczerpana terapią i nieustannym poczuciem zawieszenia między nadzieją i rozpaczą. Pewnej nocy po jej śmierci, wypiwszy zbyt wiele drinków, pokłóciliśmy się straszliwie. Zastanawialiśmy się, czy mogłaby żyć, a przynajmniej żyć dłużej, gdyby walczyła, a nie poddała się beznadziei. W przeszłości poddanie się łączyło się w mojej wyobraźni z obrazem dłoni wysuwającej się delikatnie z ręki ukochanej osoby. Teraz, po obejrzeniu zdjęć i przeczytaniu akt,



zastąpił go obraz dłoni trzymających się kurczowo parapetu i ciężkich butów następujących na zaciśnięte palce. Ktoś powiedział, że powinna była walczyć bardziej zdecydowanie, jakby to ona, a nie okrutny los, ponosiła winę za swoją śmierć.

Ja zamierzałam walczyć. Nie wiedziałam, czy zdołam dzięki temu cokolwiek osiągnąć, ale nie o to przecież chodziło. Nie zamierzałam skulić się z przerażenia w jakiejś cholernej poczekalni i patrzeć na drzwi w przeciwległej ścianie, zdana jedynie na okropny, wszechogarniający strach, który ścisnął mi żołądek, przyprawiał o silniejsze bicie serca i sprawiał, że powoli przestawałam być człowiekiem. Oglądałam zdjęcia, czytałam raporty. Rozmawiałam z Grace. Nie ufałam zbyt Linkowski ani Cameronowi, po części dlatego, że oni sami nie mieli do siebie zbyt wielkiego zaufania i - choć nie chcieli się do tego przyznać - czekali, żebym umarła. Zostałam więc na placu boju sama. Samiuteńka. A nigdy nie znosiłam oczekiwania.

Jedno było pewne. Nie mogłam dłużej siedzieć w mieszkaniu, ukrywając się przed Lynne i własnym strachem. Najdziwniejsze było to, że nadal nie rozmawialiśmy z Lynne o mojej możliwej śmierci. Był to temat tabu. Omawialiśmy tylko plany i szczegóły dnia codziennego: dokąd się wybieram i gdzie ona ma na mnie czekać. Nie jadaliśmy już razem posiłków, nawet kupowanych na wynos frytek czy grzanek na śniadanie. Przestałam traktować ją jak kogoś, kto jest u mnie niemal gościem czy też jak osobę na wpół mi bliską.

Dzień po spotkaniu z Grace Schilling poszłam na łyżwy z Claire, która jest aktorką w stanie chwilowego spoczynku, co oznacza, że więcej odpoczywa, niż gra. Potrafi za to jeździć na łyżwach do tyłu i kręcić piruety, od których aż wiruje w głowie. Lynne siedziała smętnie na ławce z jeszcze jedną policjantką i patrzyła, jak wpadam na małe dzieci, przewracam je jak kukielki i sama ląduję na taflach w płataninie nóg i rąk. Później tego samego dnia wprosiłam się do Zacha i poleciłam mu, żeby zaprosił więcej znajomych. Potulnie spełnił moją prośbę. Lynne czekała przed domem, kiedy my jedliśmy tacos, piliśmy stanowczo za dużo czerwonego wina, głośno się śmialiśmy i opowiadaliśmy głupie dowcipy. Cudem dotarłam

do samochodu o drugiej nad ranem. Przez cały ten czas, gdy wlewałam w siebie morze alkoholu i flirtowałam z facetem o imieniu Terence, który był gejem i moje awanse wyraźnie go zawstydzaly, zastanawiałam się, co dalej. Grace powiedziała, że osobnicy tego typu zawsze wyprzedzają rozwój wypadków: są bardziej skoncentrowani, zdeterminowani, nieustępliwi. Ja chciałam znaleźć się o krok przed nim.

Następnego ranka obudziłam się ze straszliwym bólem głowy. Kiedy rozsunęłam zasłony, zakręciło mi się w głowie. Światło przeszło obolałe oczy niczym ostrze. Chwiejnym krokiem przeszłam do kuchni i wypijałam dwie szklanki wody, ignorując zupełnie pełen współczucia wyraz twarzy Lynne. Zaparzyłam potem wielki dzbanek herbaty i wróciłam do sypialni. Usiadłam po turecku na łóżku i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Miałam na sobie powyciągany szary podkoszulek i spodnie od dresu. Ostatnio coraz częściej przyglądałam się sobie w lustrze, może dlatego, że nie traktuję już siebie samej jako coś oczywistego. Czy nie powinnam wyglądać inaczej? Bardziej tragicznie? W ciągu ostatnich dni w moim wyglądzie nie zaszły jednak żadne zmiany. Nadal byłam drobną kobietą z piegami na nosie, splątanymi włosami i kacem.

Zadzwoił dzwonek do drzwi i usłyszałam, że Lynne poszła otworzyć. Nasłuchiwałam uważnie, ale dobiegło mnie tylko kilka stłumionych słów. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi sypialni.

- Tak?

- Ktoś do ciebie.

- Kto?

Lynne zawahała się na chwilę.

- Josh Hintlesham. - Zniżyła głos do scenicznego szeptu. - Jej syn.

- O mój Boże. Poczekaj. - Zeskoczyłam z łóżka. - Powiedz mu, żeby wszedł.

- Jesteś pewna? Nie wiem, co Links...

- Będę za minutę.

Wpadłam do łazienki, połknęłam trzy tabletki paracetamolu na ból głowy, spryskałam twarz zimną wodą i wyszorowałam zęby. Josh. Chłopiec z parapetu, z trądzikiem na czole i ciemnymi oczami Jenny.

Weszłam do pokoju i wyciągnęłam rękę.

- Witaj, Josh.

Jego dłoń była zimna. Nie patrzył mi w oczy, tylko mruknął coś i wbił wzrok w podłogę.

- Lynne, możesz poczekać w samochodzie? - spytałam.

Wyszła, rzucając mi przez ramię zaniepokojone spojrzenie.

Josh nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Miał na sobie trochę za mały dres, tłuste włosy opadały na oczy. Ktoś powinien zabrać go na zakupy, kazać mu się wykapać, umyć włosy i przekonać do używania dezodorantu. Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić, by mogła to zrobić Gloria.

- Kawa czy herbata?

- Nie, dziękuję - mruknął.

- To może sok? - Po chwili zastanowienia przypomniałam sobie, że na pewno nie mam w lodówce soku.

- Nie, dzięki.

- Usiądź. - Wskazałam gestem kanapę.

Przycupnęłam niewygodnie na rogu, a ja zmieliłam kawę i włączyłam czajnik. Zauważyłam, że ma bardzo duże ręce i stopy, i chude nadgarstki. Jego skóra była przeraźliwie blada, oczy miały czerwone obwódki. Wyglądał koszmarnie, ale muszę uczciwie przyznać, że od dziesięciu lat nie miałam kontaktu z nastoletnim chłopcem. Wszyscy chłopcy, którzy ukończyli dziewięć lat, są dla mnie zagadką.

- Jak mnie znalazłeś?

- Sprawdziłem w książce telefonicznej w dziale „Rozrywka”. Christo powiedział mi, że jesteś klaunem.

- Rewelacja. - Usiadłam obok niego z kubkiem kawy w ręce. - Posłuchaj, Josh, bardzo mi przykro z powodu twojej mamy.

Skinął głową i wzruszył ramionami.

- Tak.

Mister Cool.

- Musisz za nią bardzo tęsknić.

Boże święty, dlaczego nie potrafię się zamknąć? Skrzywił się i zaczął obgryzać paznokcie.

- Tak naprawdę nie miała dla mnie zbyt dużo czasu - powiedział. - Zawsze się spieszyła albo była czymś zdenerwowana.

Poczułam, że muszę jej bronić.

- Nic dziwnego, zważywszy, że miała na głowie trójkę dzieci i cały dom.

- Udałam, że piję łyk kawy z pustego już kubka. Nadia, terapeutka-amatorka. - Czy masz z kim o tym wszystkim pogadać? Z przyjaciółmi, lekarzem?

- Nic mi nie jest.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Musiałam czymś się zająć, więc naalałam sobie z dzbanka następny kubek kawy i szybko wypilałam.

- A ty? - spytał nagle.

- Co ja?

- Boisz się?

- Próbuję myśleć pozytywnie.

- Ona mi się śni. Każdej nocy. Ale nie śni mi się, że ją zabijają ani nic w tym stylu. To bardzo przyjemne sny. Mama gładzi mnie po włosach, przytula, choć wcześniej gładziła po włosach tylko Christo. Mówiła, że jestem już na to za duży. - Zarumienił się. - To jeszcze gorzej. Nikt mi nie powiedział, jak zginęła - dodał nagle.

- Josh...

- Poradzę sobie z prawdą.

Pomyślałam o zdjęciu zamordowanej Jenny i spojrzałam na siedzącego przede mną skrepowanego, dzielnego chłopca.

- Szybko - powiedziałam. - Umarła szybko. Nie wiedziała, co się dzieje.

- Ty też mnie okłamujesz. A już myślałem, że powiesz mi prawdę.

Odetchnęłam głęboko.

- Josh, prawda wygląda tak, że nie wiem. Twoja mam nie żyje. Już nic ją nie boli.

Było mi wstyd, ale nie wiedziałam, jak lepiej z tego wybrnąć. Josh wstał nagle i zaczął chodzić po pokoju.

- Naprawdę jesteś klaunem?

- Zabawiam dzieci na przyjęciach. Wziął do ręki piłeczkę.

- Potrafisz zonglować?

Wzięłam je od niego i zaczęłam podrzucać w górę. Nie zrobiło to na nim zbyt wielkiego wrażenia.

- Chodziło mi o to, czy naprawdę potrafisz zonglować. Znam mnóstwo osób, które dobrze sobie radzą z trzema piłeczkami.

- No to sam spróbuj.

- Ja nie zabawiam dzieci.
- Racja - rzuciłam sucho.
- Przyniosłem ci coś.

Podszedł do plecaka i wyjął z niego dużą szarą kopertę. Było w niej pełno zdjęć, większość zrobionych podczas wakacji. Przerzuciłam je, przez cały czas zdając sobie sprawę, że stoi nade mną Josh. Słyszałam jego ciężki oddech. Była tam Jenny bardzo szczupła i opalona w żółtym bikini gdzieś na złotej plaży. Jenny w odprasowanych dżinsach i zielonej koszulce poło przytulona do Clive'a i uśmiechająca się do obiektywu. Prezentowała się znacznie lepiej od niego. Jenny trzymająca za rękę dużo młodszego Josha; z łysym niemowlęciem w ramionach. To pewnie Chris. Siedząca na trawniku w otoczeniu trzech synów. Jenny z długimi włosami, z fryzurą na pazia, ze starannie wycieniowanymi pasmami. Jenny na narciach, pochylona zgrabnie do przodu, z kijkami pod pachą. Sama, w otoczeniu rodziny.

Zdjęcie, które najbardziej mnie poruszyło, zrobiono, gdy nie zdawała sobie z tego sprawy i na jej twarzy nie malował się dobrze znany czujny wyraz. Zrobiono je z profilu i było lekko zamazane. Do twarzy przykleiło się pasmo lśniących włosów. Lekko rozchyliła wargi i uniosła rękę. Wyglądała na zamyśloną, niemal smutną. Kiedy zdjęła zbroję, wyglądała jak osoba, którą mogłabym znać. Uderzyło mnie coś jeszcze, jakby ktoś wymierzył mi ostry cios prosto w żołądek: było w niej coś niezwykle interesującego. Rozumiałam już, co mogło na nią zwrócić czyjąś uwagę. Mogłam ją sobie wyobrazić jako kobietę, która fascynuje innych. O mój Boże.

Odłożyłam zdjęcia bez słowa i odwróciłam się do Josha.

- Biedaku - powiedziałam, a on zaczął płakać, choć za wszelką cenę próbował powstrzymać łzy. Pociągał nosem, kaszlał, zawzięcie walczył ze smutkiem, mrucząc co chwila pod nosem „Jezu”. Wreszcie ukrył twarz w zagłębieniu łokcia. Położyłam mu dłoń na ramieniu i czekałam. Po chwili wyprostował się, znalazł w kieszeni zmiętą chusteczkę i głośno wytarł nos.

- Przepraszam - powiedział.
- Nie przepraszaj. To dobrze, że ona ma kogoś, kto po niej płacze.

- Powiniennem już iść. - Zebrał zdjęcia ze stołu i wsunął je z powrotem do koperty.

- Dasz sobie radę?

- Tak. - Wytarł nos rękawem.

- Weź moją wizytówkę. Jeśli zechcesz do mnie zadzwonić, nie będziesz już musiał szukać numeru w książce telefonicznej. Poczekaj.

Podeszłam do biurka w sypialni. Josh stanął w drzwiach. Był taki chudy. Wyglądał, jakby miał się za chwilę przewrócić. Sama skóra i kości.

- Nie należysz do osób dbających przesadnie o porządek - zauważył.

A to drań.

- Racja. Nie wiedziałam, że przyjdiesz, inaczej na pewno bym tu posprzątała.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- I ten twój zażytkowy komputer.

- Już to słyszałam.

Szukałam wizytówki w szufladach biurka.

- Masz dojście do internetu?

- Do internetu? Raczej nie.

Usiadł i zaczął stukać w klawiaturę. Spojrzał na ekran, jakby gdzieś w głębi czaił się wyjątkowo zabawny obrazek.

- Jak duży jest twój twardy dysk?

- Przeceniasz mnie.

- O to właśnie w tym wszystkim chodzi. Potrzebujesz więcej mocy. Teraz wygląda to tak, jakby komar próbował ciągnąć ciężarówkę. Musisz mieć system z dużą ilością pamięci.

- Racja - rzekłam w nadziei, że wreszcie się zamknie.

- Szybsze chomiki i tyle.

Znalazłam wreszcie wizytówkę i podałam ją Joshowi.

- Proszę. Nadia Blake, imprezy dla dzieci. Teatryk kukiełkowy, popisy żonglowania, magiczne sztuczki i... - Nagle zamarłam. - Co? Co ty powiedziałaś do cholery?

- Nie złość się. Chodziło mi tylko o to, że ten komputer jest zupełnie bezużyteczny bez odpowiedniej...

- Nie, co tak naprawdę powiedziałaś?

- Ze musisz mieć więcej mocy.

- Nie, nie. Cholera jasna, jakie słowa wypowiedziałaś!

Josh zamyślił się na chwilę, a potem po raz pierwszy zobaczyłam, jak się śmieje.

- Przepraszam, to tylko takie głupie wyrażenie. Szybsze chomiki. To oznacza większą moc.

- Skąd je znasz?

- To tylko taka przenośnia. Chodzi chyba o chomiki biegające po takich kółkach ze szczelkami. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Nie, nie. Od kogo usłyszałeś ten zwrot?

- Od kogo? - skrzywił się. - Od faceta, który prowadzi w naszej szkole kółko komputerowe.

- Co takiego? Od ucznia?

- Nie. Od Hacka. On pomaga je prowadzić. Po śmierci mamy był dla mnie naprawdę bardzo miły.

Czułam, że zaczynam drżeć na całym ciele.

- Hack? A cóż to za imię?

- To jego ksywka. Jego *nom de guerre*.

Próbowałam się opanować. Zacisnęłam mocno ręce.

- Josh. Znasz jego prawdziwe nazwisko?

Zmarszczył brwi.

Proszę. Proszę.

- Nazywa się chyba Morris. Wie wszystko komputerach, ale nie powie ci więcej niż ja.

## 16

Dłonie drżały mi tak mocno, że z trudem wybierałam numer. Ale udało mi się w końcu dodzwonić do Linksa. Nauczyłam się już, że jeśli tylko nie pozwolę się zbyć, zawsze w końcu do niego docieram. Przez telefon był bardzo oficjalny i chłodny. Chyba nie wiedział, jak ze mną rozmawiać od czasu mojej ucieczki. Na pewno chciał mnie o coś oskarżyć, ale wyglądało na to, że nie zламаłam prawa. Mimo to, czując, że stoi na straconej pozycji, potrafił być bardzo nieprzyjemny.

- Słucham?

- Rozmawiałam właśnie z Joshuą Hintleshamem.

- Co takiego?

- To syn Jennifer Hintlesham.

- Wiem. Jak mogła pani z nim rozmawiać?

- Przyszedł, żeby się ze mną zobaczyć.
- Jakim cudem? Skąd wie, kim pani jest?

Gdyby znajdował się blisko mnie, chyba przyłożyłabym mu zaciśniętą pięścią w łeb. Niestety, był daleko.

- Tym proszę się nie przejmować. To nie ma znaczenia. Teraz chodzi o to, że wpadłam na trop osoby, którą obie znałyśmy.

- Co pani ma na myśli?

- Kilka dni temu coś się stało z moim komputerem. Znalazłam wizytówkę z numerem specja od komputerów i zjawił się u mnie facet o imieniu Morris. Okazało się zresztą, że to jakaś błahostka. Ale ja nie mam bladego pojęcia o komputerach. A tego dnia, kiedy się wam urwałam, wpadłam na niego na ulicy. Był bardzo miły. Rozmawiając z Joshem, dowiedziałam się, że chodzi w szkole na kółko komputerowe. Prowadził je między innymi Morris.

W słuchawce zapadła długa cisza. No, nareszcie dałam mu do myślenia.

- Czy to ta sama osoba?

- Na to wygląda. - Nie mogłam się oprzeć i dodałam: - Ale to równie dobrze może nie mieć żadnego związku. Chce pan, żebym trochę powęszyła?

- Nie, nie - zaprotestował gwałtownie. - Nie ma mowy. My się tym zajmujemy. Co pani o nim wie?

- Nazywa się Morris Burnside. Ma jakieś dwadzieścia parę lat. Nie mogę o nim zbyt wiele powiedzieć. Sprawiał wrażenie bardzo uprzejmego i mądrego faceta. Muszę jednak uczciwie dodać, że każda osoba, która potrafi włączyć komputer, wywiera na mnie spore wrażenie. Josh bardzo go lubi. Nie wygląda na żadne dziwadło. Jest dość przystojny. Kiedy przyszedł do mnie, nie był specjalnie skrępowany ani nieśmiały.

- Jak dobrze go pani zna?

- Wcale go nie znam. Jak już mówiłam, widziałam go wszystkiego dwa razy.

- Czy próbował się z panią kontaktować?

Przebiegłam w myślach nasze spotkanie. Niewiele tego było.

- Chyba mu się spodobałam. Powiedziałam mu jednak, że właśnie rozstałam się z chłopakiem. Chciał się ze mną umówić, ale go odpaliłam. Nie było w tym jednak nic nieprzyjemnego. Zaoferował się, że pomoże mi kupić nowy komputer. Odmówiłam, ale to chyba nie powód, żeby chcieć mnie zabić.



- Wie pani, gdzie on mieszka?
- Mam jego numer telefonu. Wystarczy?

Przeczytałam mu numer z wizytówki, którą z taką ulgą znalazłam przed dwoma tygodniami.

- Świetnie, zajmiemy się resztą. Tylko proszę nie nawiązywać z nim kontaktu na własną rękę.

- Porozmawiacie z nim?
- Sprawdzimy go.
- To może okazać się nieistotne.
- Zobaczymy.
- Może to nie ta sama osoba.
- Sprawdzimy.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, miałam ochotę opaść na podłogę jak kupa gałganów, płakać i mdleć. Chciałam, żeby ktoś położył mnie do łóżka i opiekował się mną jak chorym dzieckiem. Ale była tylko Lynne, krążąca wokół niczym natrętna mucha, którą miałam ochotę zabić. Słuchała mojej rozmowy z rosnącym zainteresowaniem. Teraz patrzyła na mnie wyczekująco. Chciała, żebym jej powiedziała, o co chodzi. Poczulałam ogarniający mnie smutek. Czasami czułam się tak, jakbym mieszkała z au-pair, ale bez dziecka, którym mogłaby się zajmować. Muszę się stąd wydostać. Bez chwili zbędnego zastanowienia podniosłam słuchawkę i wybrałam numer.

- Poznałeś go..

Zach zatrzymał się, jakby nie potrafił jednocześnie iść i intensywnie myśleć.

- Kiedy?
- Parę dni temu. Przyszedłeś do mnie, a ten młody człowiek właśnie naprawił mi komputer. Poznałeś go, gdy wychodził.
- Ten, który nie chciał wziąć pieniędzy?
- Tak.
- Jasne włosy.
- Nie. Dość długie, ciemne.
- A widziałaś moje włosy?

Zach zrobił krok do przodu i próbował obejrzeć swoje odbicie w wystawie. Szliśmy High Street w Camden, zaglądając do różnych sklepów, czasem coś mierząc, ale nic nie kupiliśmy.

Lynne, z rękami w kieszeniach, szła jakieś dziesięć metrów za nami.

- Wychodzą mi garściami - burknął Zach. - Powinienem chyba ogolić się na лыso. Co o tym myślisz?

- Zostaw, jak jest. Nie wyglądałbyś najlepiej z ogoloną czaszką.

- A co jest nie tak z moją czaszką?

- Jak już mówiłam, okazało się, że ten facet, który, nawiasem mówiąc, ma na imię Morris, znał też syna jednej z tych zamordowanych kobiet.

- Chcesz przez to powiedzieć, że mógł ją zamordować?

- To jedyne powiązanie, jakie udało nam się ustalić.

- Ale on nie mógł tego zrobić. Widziałem go, co prawda, tylko przez jakieś osiem sekund, ale wyglądał zupełnie normalnie.

- I co z tego? Rozmawiałam z panią psycholog, która jest ekspertem w takich sprawach. Twierdzi, że w grę najprawdopodobniej wchodzi osobnik, który wygląda zupełnie normalnie. Modłę się, żeby to był on. Jeśli go zamkną, moje życie znów wróci do normy. - Ujęłam Zacha za rękę. - Wiesz, byłam przekonana, że umrę. Policja chroniła tamte dwie kobiety, ale na próżno. Obie zginęły. Teraz stale myślę o śmierci. O tym, jak to jest, gdy już cię nie ma. Bardzo się boję.

Łzy zaczęły płynąć mi po twarzy. Nie była to odpowiednia pora ani miejsce, wśród tłumu robiących zakupy ludzi, którzy przepychali się obok nas. Zach objął mnie i pocałował w czubek głowy. Czasami potrafi być bardzo miły. Wyjął z kieszeni nawet dość czystą chusteczkę i podał mi ją. Wytarłam twarz i wydmuchałam nos.

- Powinnaś była poprosić o pomoc.

- I co byś zrobił?

- Coś - odparł. - Na przykład z tym umieraniem i myślą, że już cię nie ma. Pomyśl o czasach przed swoim urodzeniem. Nie było cię na świecie przez miliony i miliardy lat. Ale to cię nie przeraża, prawda?

- Przeraża.

Nagle poczułam, że ktoś ciągnie mnie za łokieć. Lynne.

- Dostałam wiadomość od inspektora Linksa. Chce się z tobą natychmiast zobaczyć.

- Co się stało? Wzruszyła ramionami.
- Powiedział tylko, że chce się z tobą zobaczyć.

Na posterunku wszyscy byli dla mnie niezwykle mili. Natychmiast zaprowadzono mnie do dużego gabinetu, oddalonego od biurków stojących w ogromnym pokoju. Posadzono na krześle, przyniesiono herbatę i dwa ciasteczka na małym talerzyku. Usłyszałam, że Links zjawi się za chwilę. Udało mi się wypić zaledwie parę łyków herbaty i nadgryźć jedno ciasteczko, gdy do gabinetu wkroczyli Links i Cameron. Obaj wyglądali niezwykle poważnie i oficjalnie. Cameron usiadł na kanapie, a Links zajął fotel za biurkiem. A więc to był jego gabinet.

- Przynieśli pani herbatę? - spytał.

Uniosłam filiżankę. Niewiele było do powiedzenia.

- Chciałem powiedzieć od razu - zaczął Links - że przesłuchaliśmy Morrisa Burnside i wyeliminowaliśmy go ze śledztwa.

Pokój zawirował mi przed oczami. Zrobiło mi się słabo.

- Co takiego?
- Chcę panią zapewnić, że to spory krok naprzód.
- Ale jak mogliście zrobić to tak szybko?

Wziął z biurka spinacz do papieru. Najpierw go wyprostował, a po chwili znów zaczął mu nadawać pierwotny kształt. Też kiedyś próbowałam to zrobić. Nigdy się do końca nie udaje. Ale zajęty tą głupią czynnością Links przynajmniej nie musiał patrzeć mi w oczy.

- Z tego, co powiedziała doktor Schilling, wnioskuję, że wie już pani o obu morderstwach. Analizując dokumenty, uzyskaliśmy absolutną pewność, że Zoë Haratounian i Jennifer Hintlesham zamordowała jedna i ta sama osoba, która potem przysłała listy z pogrózkami do pani. Ale nie chodzi tylko o dokumenty. - Mówił teraz tak, jakby coś go straszliwie bolało. - Wiemy, że morderca posunął się do tego, by umieścić przedmiot należący do pani Hintlesham w mieszkaniu panny Haratounian, by... niejako zaciemnić obraz. - Znów rozłożył spinacz. - Rankiem w dniu, w którym zamordowano Zoë Haratounian, Morris Burnside był w Birmingham na konferencji informatycznej, która trwała cały weekend. Miał tam dyżur na

stoisku, prowadził prezentacje. Wykonaliśmy parę telefonów. Kilku świadków może potwierdzić, że był tam przez całą sobotę, od rana do wieczora.

- Nie mógł się jakoś wyrwać?

- Nie.

- Jak zareagował na wasze przesłuchanie?

- Był oczywiście lekko wstrząśnięty. Ale jednocześnie potraktował nas bardzo uprzejmie i udzielił wyczerpujących informacji. To bardzo miły młody człowiek.

- Był zły?

- Nie. Nawiasem mówiąc, nie wspomnieliśmy, że to pani podała nam jego nazwisko.

Pochyliłam się i postawiłam filiżankę na biurku.

- Mogę ją tutaj zostawić?

- Oczywiście.

Nic mi już nie zostało. Czulałam absolutną pustkę. Myślałam, że jestem bezpieczna. A teraz wszystko zaczyna się od nowa. Nie mogłam stawić temu czoła. Byłam zmęczona i miałam dość.

- Byłam pewna, że to już koniec - powiedziałam beznamiętnym tonem.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił mnie, nadal nie patrząc mi w oczy. - Nadal będziemy panią ochraniać.

Wstałam i poszukałam drzwi. Wciąż byłam lekko zamroczona.

- Musi pani traktować to jako bardzo pozytywny krok. Wyeliminowaliśmy jednego potencjalnego podejrzanego. To już jest coś.

Rozejrzałam się dookoła.

- Słucham? - spytałam.

- Jedna osoba mniej.

- Zostało nam więc tylko jakieś sześć miliardów - rzuciłam sucho. - Ale chyba możemy wyeliminować kobiety i dzieci. Zostają więc jakieś dwa miliardy. Minus ta jedna.

Links wstał.

- Stadler odprowadzi panią do wyjścia.

Nie tyle mnie odprowadził, co wyniósł. Po drodze zatrzymał się na długim korytarzu.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Mruknęłam coś pod nosem.

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Słucham?  
- Przez cały czas myślę o tobie. Chcę ci pomóc, Nadiu. Potrzebuje cię i ty chyba też mnie potrzebujesz. Potrzebujesz mnie. - Dotknął mojego ramienia.

Przez długą chwilę nie docierało do mnie, co robi. Kiedy wreszcie dotarło, strząsnęłam jego dłoń z ramienia.

- Nie dotykaj mnie. Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

## 17

Ogarnął mnie strach. Sparaliżował i pozbawił sił. Wczołgałam się na łóżko i leżałam wpatrzona w sufit, próbując nie myśleć, rozpaczliwie próbując nie myśleć. Kilka godzin nadziei i euforii, i co teraz? Co stanie się teraz, kiedy wróciłam do punktu wyjścia, w którym znalazłam się zaledwie parę dni temu? Z tą tylko różnicą, że teraz wydawało mi się, jakby upłynęło nie parę dni, a całe miesiące i lata, posępna, straszliwa wieczność strachu. Zasnęłam i budziłam się, znów zasnęłam, wpadając w niespokojny półsen, w którym czają się sny, oplatające niczym gęste wodorosty pływające tuż pod powierzchnią wody. Było ciemno, potem już tylko szaro. Nareszcie wstał dzień, rozjaśniając powierzchnię okna. Leżałam, słuchając śpiewu budzących się ptaków. Spojrzałam na zegarek. Szósta trzydzieści. Naciągnęłam kołdrę na głowę. Co mam dziś ze sobą zrobić?

Przede wszystkim zadzwoniłam do Zacha. W słuchawce usłyszałam jego zaspany głos.

- Zach, ta ja, Nadia. Przepraszam. Ale musiałam. To nie on. To nie Morris. On nie mógł tego zrobić.

- Cholera!

- Co ja mam teraz zrobić? - Zaczęłam płakać. Łzy spływały mi do ust, laskotały w nos, płynęły po szyi.

- Są pewni?

- Tak. To na pewno nie on.

- Cholera - powtórzył. Wiedziałałam, że gorączkowo szuka słów, które zabrzmiałyby bardziej optymistycznie.

- Wróciłam do punktu wyjścia, Zach. On mnie dopadnie. Już dłużej nie mogę. Nie mogę. To nie ma sensu.

- Możesz, Nadia. Możesz.

- Nie. - Przesunęłam rękaw koszuli nocnej po mokrej twarzy. Piekły mnie oczy i bolało gardło. - Nie, już dłużej nie mogę.

- Posłuchaj. Jesteś bardzo dzielna. Ja w ciebie wierzę.

Powtarzał raz za razem: „Wierzę w ciebie, jesteś bardzo dzielna”. A ja dalej płakałam i przerywałam mu: „To przecież tylko ja” i „Nie, nie mogę”. Jednak te powtarzane w kółko zapewnienia sprawiły, że poczułam się trochę lepiej; moje protesty powoli cichły. Nawet zachichotałam, gdy usłyszałam, jak mówi, że na pewno dożyję stu lat. Kazał mi obiecać, że zrobię sobie śniadanie. Powiedział, że zadzwoni do mnie za jakąś godzinę, a potem wpadnie.

Zgodnie z obietnicą zrobiłam sobie grzanekę z czerstwego chleba i popiłam dużym kubkiem czarnej kawy. Siedziałam w kuchni, gapiąc się przez okno. Patrzyłam na przechodzących ludzi i myślałam: To może być on, w czapeczce bejsbolowej i szerokich spodniach, pogwizdujący coś pod nosem. Albo facet ze słuchawkami na uszach, ciągnący za sobą psa na smyczy. A może ten, z potarganą brodą i rzadkimi włosami, skulony pod kanarkurka w ten gorący sierpniowy dzień. To może być każdy z nich. Każdy.

Próbowałam nie myśleć o Jenny i o tym, jak umarła. Kiedy przypominałam sobie oglądane wcześniej zdjęcia, przerażenie ścisnęło mi gardło. Zanim obejrzałam akta, zabójca był tylko czającym się gdzieś w tle widmem, abstrakcyjnym i nierealnym. Ale teraz nie było nic abstrakcyjnego w słodkiej twarzy Zoë czy w groteskowym ułożeniu ciała Jenny. Teraz jakaś częśćka mnie czuła rodzącą się nienawiść. To było niemal intymne, ale i bardzo wyraźne uczucie. Siedziałam przy stole w kuchni i chwytalam się go, pozwalałam, by nabrało realnych kształtów. On nie był już chmurą, cieniem, czymś, co unosiło się w powietrzu, którym oddychałam. Był mężczyzną, który zabił dwie młode kobiety i teraz chciał zabić mnie. On przeciwko mnie.

Znalazłam zaklejony list z napisem na kopercie informującym, że wygrałam jakąś nagrodę i zaczęłam robić notatki. Co już wiedziałam? Zabił Zoë w połowie lipca, Jenny na początku sierpnia. Jak określiła to Grace, on poczyna sobie coraz „śmielej”. Medalion Jenny, zaginiony od wielu tygodni, znalazł się w mieszkaniu Zoë; zdjęcie Zoë znaleziono w papierach Clive'a.

Były to jedyne elementy łączące obie kobiety. Jedynym powiązaniem - słabym i jak się okazało pozbawionym znaczenia - między mną i Jenny był Morris. Pomyślałam o innych przesłuchiwanym osobach: przede wszystkim o Fredzie, choć on nigdy nie był podejrzany, nawet przed zabójstwem Zoë; był jeszcze Clive, pośrednik w handlu nieruchomościami Guy, biznesmen Nick Shale, były chłopak Zoë, który wrócił z dalekiej podróży, ekipa architektów, robotników i ogrodników pracujących dla Jenny. A teraz Morris. Wyglądało na to, że policji udało się jedynie po kolei eliminować potencjalnych podejrzanych.

Wypiłam łyk chłodnej już kawy. Co mogłam zrobić? Siedziałam przy stole w kuchni, próbując żałośnie wcielić się w rolę detektywa i obserwować przechodzących za oknem mężczyzn, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie któryś z nich. Waliłam głową w ten sam mur, który policja bez skutku próbowała rozbić od paru tygodni.

Poszłam do sypialni i znalazłam kartkę papieru, na której zanotowałam nazwiska i adresy z akt przyniesionych przez Camerona. Wpatrywałam się w nie intensywnie, aż litery zaczęły mi tańczyć przed oczami. Potem, z braku lepszego pomysłu, odetchnęłam głęboko i podniosłam słuchawkę.

- Dzień dobry, agencja Clarke's. W czym mogę pomóc? - Głos pełen udanego entuzjazmu.

- Słyszałam, że macie na sprzedaż mieszkanie przy Holloway Road. Mogłabym je obejrzeć?

- Proszę chwileczkę poczekać - odparła. Przez parę minut słuchałam kantaty Bacha granej na miniaturowych dzieciennych organach.

W słuchawce odezwał się nagle męski głos.

- Guy, dzień dobry. W czym mogę pomóc?

Powtórzyłam prośbę.

- Świetnie - powiedział. - To doskonała lokalizacja. Bardzo blisko stacji metra Holloway Road.

- Czy mogę obejrzeć je dzisiaj?

- Oczywiście. Po południu?

- Właściciel będzie na miejscu?

- Oprowadzę panią osobiście.

No to mam szczęście.

Wybrałam następny numer z kartki. Nie mam pojęcia, dlaczego to

zrobiłam. Może dlatego, że ze wszystkich osób, których zeznania znalazłam w aktach, ona jedna była naprawdę smutna.

- Słucham?

Jak zacząć taką rozmowę? Postanowiłam przejść od razu do rzeczy.

- Nazywam się Nadia Blake. Nie znasz mnie. Ale chciałam porozmawiać z tobą o Zoë. - Po drugiej stronie zapadła cisza. Nie słyszałam nawet jej oddechu. - Przepraszam - powiedziałam. - Nie chciałam cię zdenerwować.

- Kim jesteś? Dziennikarką?

- Nie. Jestem jak ona. To znaczy, dostaję listy od mężczyzny, który ją zabił.

- O, mój Boże, tak mi przykro. Nadia, tak?

- Zgadza się.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Pomyślałam, że mogłybyśmy się spotkać.

- Tak, oczywiście. Nadal mam wakacje. Jestem nauczycielką.

- Może o drugiej u niej w mieszkaniu?

- W jej mieszkaniu?

- Mam je obejrzyć.

- Dlaczego?

- Chciałam je zobaczyć.

- Jesteś pewna? - spytała z powątpiewaniem w głosie.

Może pomyślała, że zwariowałam.

- Chciałam dowiedzieć się czegoś o Zoë.

- Będę tam. Ale to szaleństwo. Nawet nie masz pojęcia jakie.

Do spotkania miałam jeszcze parę godzin. Dziś była u mnie inna policjantka, Bernice. Powiedziała jej, że chcę przed drugą obejrzyć mieszkanie przy Holloway Road, a ona nawet nie mrugnęła okiem, tylko skinęła beznamiętnie głową i zapisała coś w notesie, który ze sobą nosiła. Może nie знаła adresu Zoë, a może wszyscy mieli już dość czekania, by coś się wreszcie wydarzyło. Wzięłam długą kąpiel i umyłam włosy. Długo siedziałam w pianącej się wodzie. Po wyjściu z wanny pomalowałam paznokcie u nóg i założyłam sukienkę, którą bardzo rzadko noszę. Oszczędzałam ją na specjalną okazję, na jakieś uroczyste przyjęcie, na którym poznam wreszcie wymarzonego partnera, ale teraz czekanie wydało mi się czystą głupotą.



Mogę ją równie dobrze założyć na wizytę w mieszkaniu Zoë, dla Louise i Guya. Była śliczna: w bladym turkusowym kolorze, z krótkimi rękawami, z okrągłym dekoltem. Założyłam też naszyjnik, nieduże kolczyki i sandały. Wyglądałam świeżo i elegancko, jakbym wybierała się na przyjęcie z szampanem w ogrodzie. Gdybyż tylko to było możliwe. Dla większego efektu pociągnęłam usta szminką.

W południe do pokoju weszła Bernice i powiedziała, że chce się ze mną zobaczyć dwóch młodych mężczyzn. Wyjrzałam przez okno w holu i dostrzegłam kręcącego się nerwowo w drzwiach Josha. Za nim stał chłopak z ciemnymi zmierzwionymi włosami, ubrany w płócienną kurtkę. W jednej ręce trzymał paczkę papierosów, a w drugiej bukiet kwiatów. Uśmiechał się do drzwi, w których miałam się pojawić.

Przez kilka pełnych euforii godzin, gdy byłam przekonana, że Morris jest zabójcą, jego twarz, którą zapamiętałam, była twarzą mordercy: przebiegłe, nieruchome oczy jak u rekina. Teraz zauważyłam przede wszystkim, że jest bardzo przystojny i pełen chłopięcego uroku. Wyglądał wzruszająco, gdy tak się uśmiechał i trzymał w ręce owinięte w papier kwiaty.

- Wejdźcie, proszę.

Josh mruknął coś pod nosem i wszedł do środka, potykając się o niezwiązane sznurówki. Morris podał mi kwiaty.

- To ja powinnam dać ci kwiaty i przeprosić za moje podejrzenia - powiedziałam. - Ale dziękuję, są śliczne. - Powodowana nagłym impulsem, wspięłam się na palce i pocałowałam go w policzek.

Bernice zamknęła za nami drzwi niczym więzienny strażnik.

- Mam nadzieję, że wybaczysz nam to najście - powiedział Morris, patrząc, jak nalewam wodę do wazonu i wkładam kwiaty.

- Hack pomyślał, że powinniśmy się spotkać wszyscy razem - dodał Josh.

Znów zaczął chodzić po pokoju, biorąc do ręki różne przedmioty. Po chwili odkładał je na miejsce i przesuwał dłońią po innych.

- Usiądź, Josh. Denerwujesz mnie. Miło, że wpadliście. Ale muszę przyznać, że czuję się trochę dziwnie.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Spójrz na nas. - Zaczęłam chichotać, a Josh, powodowany

chyba podszytą zdenerwowaniem uprzejmością, przyłączył się do mnie. Morris patrzył na nas, marszcząc brwi.

- Jak możesz się śmiać? - spytał, kiedy wreszcie ucichłam. - Kiedy ktoś chce cię zabić.

- Szkoda, że nie widziałeś mnie dziś rano. Albo wczoraj, kiedy dowiedziałam się, że to jednak nie ty. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, ale naprawdę bardzo chciałam, żebyś to był ty.

- Nadzieja to okrutna rzecz - powiedział Morris, kiwając z powagą głową.

Spojrzałam z troską na Josha.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, w porządku.

Nie wyglądał jednak dobrze. Prawdę mówiąc - okropnie. Miał bladą, niemal zieloną twarz i zaczerwienione oczy. Wstałam i zaprowadziłam go do kanapy, zmuszając, by usiadł na miękkich poduszkach.

- Kiedy ostatni raz coś jadłeś?

- Nie jestem głodny.

- Mimo wszystko zrobię ci coś do jedzenia. Może makaron, jeśli tylko znajdziesz. A ty masz ochotę? - spytałam Morrisa.

- Pomogę ci - odparł. - A ty posiedź tu i odpocznij. - Poklepał Josha po ramieniu. - Zbieraj siły.

Josh oparł się wygodnie o poduszki i zamknął oczy. Na jego twarz wypłynął cień uśmiechu.

Morris kroił pomidory. Znalazłam w szafce pół torebki makaronowych świderków i wrzuciłam do garnka. Nastawiłam czajnik.

- Bardzo się boisz? - spytał Morris, zupełnie jak Josh.

- Czasem więcej, czasem mniej - odparłam. - Próbuję się trzymać.

- To dobrze. Pomagają ci?

- Kto?

- Policja.

- Mniej więcej - odparłam wymijająco.

Nie chciałam wdawać się w dyskusję. Znalazłam za to puszkę czarnych oliwek. Kiedy makaron był gotowy, posypałam go oliwkami i polałam odrobiną oliwy. Danie wyglądało skromnie, lecz bardzo elegancko. Przydałby się parmezan i świeżo mielony czarny pieprz, pomyślałam. Trudno.

Morris nadal metodycznie kroił pomidory w niewielkie kostki.

- Jak go sobie wyobrażasz? - spytał.

- Wcale go sobie nie wyobrażam - odpowiedziałam, zaskoczona własną stanowczością. - Myślę o tych kobietach. O Zoë i Jenny.

Wrzucił pomidory do miski.

- Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, powiedz tylko.

- Dzięki. - Ale nie zabrzmiało to zbyt zachęcająco. - Mam dość przyjaciół.

Kiedy jedliśmy, opowiedziałam im o planowanej wizycie w mieszkaniu Zoë. Obaj byli wyraźnie zaskoczeni moim pomysłem.

- Możecie pójdziecie tam ze mną? - zaproponowałam i natychmiast tego pożałowałam.

Josh potrząsnął głową.

- Gloria zabiera nas wszystkich do swojej matki - powiedział z goryczą.

Po zjedzeniu makaronu wyglądał o wiele lepiej, choć wszystkie oliwki pozostawił na brzegu talerza.

- Świetnie - odparł Morris z uśmiechem. - Chętnie z tobą pójde.

- Spotkam się tam też z przyjaciółką Zoë - powiedziałam. - Z Louise.

- To zabawne - mruknął Morris.

- Dlaczego?

Wyglądał na lekko zbitego z tropu.

- Poznajesz osoby, które znały matkę Josha. A teraz znajomych Zoë. To trochę dziwne.

- Naprawdę? Wydaje mi się, że muszę to zrobić.

Mruknął coś pod nosem, co zabrzmiało, jakby mimo wszystko się ze mną zgadzał. Kiedy skończył jeść, wstał i wyjął z kieszeni niedużą komórkę.

- Muszę sprawdzić wiadomości - wyjaśnił. Stał przy oknie i słuchał, marszcząc brwi.

- Cholera - powiedział w końcu, zapinając kurtkę. - Mam pilne wezwanie. Nie mogę ci towarzyszyć. Przepraszam. Głupio mi, zwłaszcza po tym, jak powiedziałem, że ci pomogę.

- Nie ma sprawy.

Uściskał mi dłoń na pożegnanie i wyszedł. Podobałam mu się. Widziałam to wyraźnie. Spodobałam mu się już wtedy, gdy przyszedł naprawić mój komputer. Czyż nie widział, że te sprawy w ogóle mnie teraz nie interesują? Że wydaje mi się rzeczą niemożliwą, bym jeszcze kiedykolwiek poczuła, czym jest prawdziwe pożądanie?

Josh wyszedł niedługo po nim. W drzwiach pocałowałam go w policzek, a w jego oczach błysnęły łzy.

- Do zobaczenia - rzuciłam najbardziej radosnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. - Uważaj na siebie.

Zanim, kuląc ramiona, wyszedł na ulicę, rzucił:

- To ty. Ty musisz uważać na siebie.

## 18

Guy miał na sobie ciemnobrązowy garnitur, wyszukany krawat i szeroki uśmiech na twarzy. Bardzo białe zęby, opalony. Mocno uściskał mi dłoń na powitanie. Zapytał, czy może mi mówić po imieniu, a potem stale powtarzał „Nadiu”, jakby było to coś, czego nauczył się na specjalnym kursie. Kiedy otwierał frontowe drzwi mieszkania, jakiś głos za nami spytał: „Nadia?”.

Obejrzałam się i zauważyłam kobietę mniej więcej mojego wzrostu i w moim wieku. Miała na sobie żółty top bez rękawów i jasnoczerwoną minispódniczkę tak krótką, że niemal widziałam zarys pośladków. Gołe opalone nogi były mocne i bardzo zgrabne. Lśniące brązowe włosy zaczesła do tyłu i ściągnęła w kucyk, wargi pomalowała jasnoczerwoną szminką pasującą do spódniczki. Była jakaś taka świetlista, sprawiała wrażenie energicznej i zadziornej. Humor od razu mi się poprawił.

- Louise? Cieszę się, że przyszałaś.

Uśmiechnęła się zachęcająco. Razem weszliśmy do mrocznego holu i ruszyliśmy w górę wąskimi schodami.

- To salonik - powiedział zupełnie niepotrzebnie Guy, kiedy weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia, w którym pachniało stęchlizną.

W oknie wisiały na wpół zaciągnięte pomarańczowe zasłony. Podeszłam i rozsunęłam je. Co za nora.

- Wiesz co? - zwróciłam się do Guya. - Pomyślałam właśnie, że może rozejrzałybyśmy się tu same. Mógłbyś poczekać na zewnątrz.

- Ale czy...

- Nie - odparła szybko Louise, a kiedy wyszedł, dodała: - Ależ z niego nudziarz. Zoë nie mogła go znieść. Chciał się z nią kiedyś umówić. Nie dawał jej spokoju.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie smutno. Poczułam pieczenie pod powiekami. Zoë o uroczym uśmiechu mieszkała właśnie tutaj. I umarła w pokoju za tamtymi drzwiami.

- Lubię brzmienie jej imienia. Żałuję... - urwałam.

- Była wspaniała - powiedziała Louise. - To straszne, że muszę o niej mówić „była”. Dzieciaki w szkole ją uwielbiały. Mężczyźni też byli pod wrażeniem. Było w niej coś takiego...

- Tak?

Louise chodziła po pokoju, a jej wzrok mówił wyraźnie, że widzi rzeczy, których ja nie mogłam dostrzec. Kiedy mówiła, odnosiłam wrażenie, że zwraca się przede wszystkim do siebie.

- Bardzo wcześnie straciła matkę. I zawsze już sprawiała wrażenie osoby, która jej nie miała. Pewnie dlatego miało się ochotę ją chronić. Może właśnie z tego powodu...

- Co?

- Kto wie, dlaczego ktoś wybiera właśnie tę, a nie inną dziewczynę? - Spojrzała mi w oczy.

- Sporo się nad tym zastanawiałam.

Rozglądałam się po pokoju: niczego jeszcze nie usunięto, choć ktoś wyraźnie tu posprzątał. Książki były równo poukładane; na małym stoliku przy oknie, na notesie, leżały równo ułożone ołówki, gumka i linijka. Otworzyłam notes. Na pierwszej stronie zapisano pomysły na lekcje i dokładnie je ponumerowano. Pismo Zoë: małe, pochyłe litery, bardzo staranne. Na ścianie wisiała oprawiona w ramki okładka gazety ze zdjęciem Zoë otoczonej gromadką dzieci. W rękach trzymała wielki arbuz.

Przeszłyśmy do kuchni. Na suszarce stały umyte kubki, w wazonie kilka zwiędłych już kwiatów, przy czajniku otwarta butelka białego wina. Lodówka była otwarta i pusta.

- Właścicielką mieszkania jest teraz jej ciotka - wyjaśniła Louise, jakby w odpowiedzi na moje niezadane pytanie.

Wzięłam do ręki kalkulator leżący na blacie, przycisnęłam odruchowo

kilka guzików i patrzyłam, jak na wyświetlaczu pojawiają się cyferki.

- Czy ona się bała?

- Tak. Mieszkała u mnie. Była przerażona, ale w ten ostatni dzień wydawała się spokojniejsza. Myślała, że wszystko będzie w porządku. Czekalam na nią przed domem. - Louise skinęła głową w stronę ulicy. - Zaparkowałam samochód na zakazie. Czekałam i czekałam. Potem przycisnęłam klakson i czekałam dalej, przeklinając ją pod nosem. Po chwili wysiadłam i zadzwoniłam. Wreszcie wezwałam policję.

- Nie widziałaś więc jej ciała?

Louise zamrugała powiekami.

- Nie. Nie pozwolili mi. Dopiero później przywieźli mnie tutaj, żebym obejrzała mieszkanie. Nie mogłam w to uwierzyć. Wysiadła z mojego samochodu i powiedziała, że to potrwa tylko minutę.

- Wszystko w porządku? - zawołał Guy z klatki schodowej.

- To już nie potrwa długo - odkrzyknęłam.

Razem weszliśmy do sypialni. Z łóżka zdjęto pościel i ułożono ją na krześle. Otworzyłam szafę. Jej ubrania nadal tam były. Nie miała ich zresztą zbyt wiele. Na podłodze szafy stały trzy pary butów. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam bladoniebieskiej sukienki i bawełnianego żakietu z nieobrubionym dołem.

- Znałaś Freda? - spytałam.

- Jasne. Uroczy. Ale Zoë lepiej było bez niego. Nie można powiedzieć, by ją wspierał. Poczula ulgę, gdy wreszcie powiedziała mu, że z nimi koniec.

- Nie wiedziałam o tym.

Na moment zamknęłam oczy i przywołałam w wyobraźni zdjęcie jej ciała leżącego spokojnie na podłodze, jakby przed chwilą zasnęła. Może nie cierpiała. Otworzyłam oczy. Louise przyglądała mi się z troską.

- Co ty tutaj w ogóle robisz? - spytała. - Po co to wszystko?

- Nie wiem - odparłam. - Miałam nadzieję, że czegoś się dowiem, ale zupełnie nie wiem, co to miało być. Może po prostu szukam Zoë.

Uśmiechnęła się.

- Szukasz jakiejś wskazówki?

- To głupie, prawda? Czy czegoś tu brakuje?

Rozejrzała się po pokoju.

- Policja też o to pytała. A ja nie bardzo umiałam odpowiedzieć. Zauważyłam tylko, że brakuje kilimu, który podarował jej Fred. Zniknął.

- Tak. Czytałam o tym w opisie miejsca zbrodni.

- Zabawne, ukraść coś takiego. Przecież nie miał żadnej wartości.

- Policja przypuszcza, że zabójca coś w nim wyniósł.

Zamyśliła się.

- Czemu nie wziął po prostu plastikowej torby z kuchni?

- Nie wiem. Ludzie chyba nie potrafią myśleć racjonalnie po tym, jak kogoś zabili.

- Zoë nie miała zbyt wielu rzeczy. Zresztą, ciotka mogła już coś zabrać. No i oczywiście policja. Ale z grubsza wszystko wygląda tak, jak pamiętałam. To posępne miejsce, prawda?

- Tak.

- Nienawidziła tego mieszkania. Zwłaszcza pod koniec. Ale to nie powie ci, jaka ona była naprawdę. - Louise wróciła do pokoju i usiadła na kanapie. - W ostatni dzień poszłyśmy razem na zakupy. Chciałyśmy kupić parę rzeczy, żeby miała co na siebie włożyć, zanim zabierze stąd jakieś ubrania. Kupiłyśmy majtki, stanik, skarpetki, a potem uznała, że musi kupić podkoszulek. Moje były dla niej za duże. Zawsze była bardzo szczupła, a w ostatnich dniach schudła jeszcze bardziej. Wylądowałyśmy więc w sklepie z ubraniami dla dzieci. Znalazła tam letnią sukienkę i podkoszulek z wyhaftowanymi kwiatkami. Na metce napisano, że przeznaczony jest dla dzieci od dziesięciu do jedenastu lat. Pasował na nią idealnie. Przymierzyła go i kiedy wyszła mi się pokazać, wyglądała uroczo z tymi splątanymi włosami i szczupłymi ramionami. Chichotała jak dziecko. Ale przecież miała na sobie podkoszulek dla dzieci.

Po twarzy Louise płynęły łzy. Nawet nie próbowała ich wycierać.

- Tak właśnie ją zapamiętałam. Była dorosła, miała poważną pracę i własne mieszkanie. Ale kiedy o niej myślę, widzę, jak stoi przede mną w dzieciennym podkoszulku i zanoszą się od śmiechu. Była taka drobniutka, taka młoda. - Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła twarz. - Miała go na sobie, gdy zginęła. Była ubrana w nowiutkie rzeczy. Czyste i świeże.

- Drogie panie - zawołał Guy, wsuwając głowę przez drzwi. Wyglądał na mocno zakłopotanego, gdy zauważył, jak obejmujemy się pośrodku pokoju, a po twarzach płyną nam łzy. Nie wiedziałam, po kim tak naprawdę płacę, ale stałyśmy tak jeszcze przez chwilę. Kiedy w końcu wyszliśmy z mieszkania, Louise ujęła moją twarz w dłonie i spojrzała mi prosto w oczy.

- Powodzenia, Nadiu, moja nowa przyjaciółko - powiedziała. - Będę o tobie myślała.

## 19

Następnego wieczoru tuż przed siódmą leżałam na kanapie, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Do tej pory wszystko szło nie tak. W nocy myślałam o Zoë i Jenny. Były teraz dla mnie jak przyjaciółki. A może nawet ktoś więcej. Leżałam w łóżku i myślałam, że idę ścieżką, którą wcześniej podążały one. Czasami dostrzegałam ich ślady i zawsze wiedziałam, że one już widziały to, co teraz oglądam. Znacznie mnie jednak wyprzedziły i kiedy zaczęło świtać, pomyślałam, że czekają na mnie gdzieś w ciemnościach i pustce.

Czy myślały o śmierci? Co robiły? Czy zachowywały się inaczej? Co się robi, gdy ma się przed sobą dzień albo tydzień życia? W takich wypadkach życie staje się podobno cenniejsze. Powinnam jasno myśleć, czytać wspaniałe książki. Nie byłam pewna, czy w ogóle takie posiadam. Kiedy wstałam i zaparzyłam kawę, przejrzałam zawartość półek i znalazłam tomik wierszy, który ktoś podarował mi na urodziny. Nadawały się szczególnie do tego, by uczyć się ich na pamięć, ale nie mogłam ich przeczytać. Coś stało się z moim mózgiem. Nie potrafiłam zrozumieć. Ich sens był jak piosenka rozbrzmiewająca w domu obok, zbyt cicho, by odróżnić słowa. Odłożyłam książkę na półkę i włączyłam telewizor.

Zaledwie dzień wcześniej myślałam o tym, jak konstruktywnie wykorzystać tę resztę życia, która mi pozostała. A teraz oglądałam najpierw program, w którym jakieś kobiety opowiadały o swoich romansach z chłopakiem siostry, a potem poradnik dla kucharzy. Po nich przyszła kolej na powtórkę sitcomu z lat siedemdziesiątych i stary film dokumentalny o



rafie koralowej gdzieś na końcu świata. Nurkowie mieli długie baki. Obejrzałam też wiele razy prognozę pogody.

Gdybym umarła w wieku dwudziestu ośmiu lat i ktoś chciałby napisać nekrolog, choć od razu uznałam to za bardzo mało prawdopodobne, co by w nim umieścić? „Pod koniec życia odnalazła jego sens, odnosząc niewielkie sukcesy w roli klauna na imprezach dla dzieci”. Zoë była nauczycielką, choć sama wyglądała jak dziecko. Jenny miała troje dzieci. Miała Joshua; dziecko, które było już niemal mężczyzną.

Zasnęłam na kanapie, obudziłam się i obejrzałam końcówkę westernu, zawody w grze w kregle, teleturniej i jeszcze jeden program dla początkujących kucharzy. Wtedy właśnie rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzyłam. Na progu stali Josh i Morris. Poczulałam wilgotny zapach hinduskich potraw. Morris dyskutował zażarcie z policjantką.

- Tak, ona nas zna. A ta druga kobieta, która była tutaj wcześniej, zapisała nasze nazwiska i adresy. Mogę je podać jeszcze raz, jeśli pani chce. - Odwrócił się i zauważył mnie. - Kupiliśmy jedzenie na wynos. Byliśmy w pobliżu, więc pomyśleliśmy, że wpadniemy do ciebie.

Patrzyłam na nich otępiała. To nie ich wina. Spędziłam przecież cały dzień przed ekranem telewizora i byłam jak zaczadzona.

- Wszystko w porządku - powiedział Morris. - Nie przejmuj się. Możemy zabrać żarcie i poszukać jakiejś ławki. Albo spokojnego miejsca pod latarnią. W deszczu.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Dzień był słoneczny i pogodny.

- Nie wygłupiaj się. Wchodźcie. - Policjantka spojrzała na nich z wahaniem. - W porządku. Znam ich.

Weszli do środka, wnosząc ze sobą cudowny zapach, i postawili trzy torby na stole.

- Pewnie wychodzisz gdzieś na kolację? - spytał Morris.

- Niestety nie.

Zdjęli kurtki i rzucili je na krzesło. Czuli się jak u siebie w domu.

- Ocaliłem Joshua przed koszmarnym *soirée* w domu i poszliśmy szukać kobiety.

Josh uśmiechnął się z takim zażenowaniem, że miałam go ochotę

przytulić. Ale to tylko pogorszyłoby sprawę. Zaczęli rozwijać opakowane w folię pojemniki.

- Nie wiedzieliśmy, co lubisz. - Morris zdejmował pokrywki, - Wzięliśmy więc wszystko, począwszy od łagodnych dań ze śmietaną po *phal*, który oznaczono w menu jako wyjątkowo ostry. Jest też coś pośrodku, mamy parę *naan*, *poppadum*, *dhal* i trochę warzyw. Dla dorosłych jasne piwo, a dla Josha ciemne.

Uniosłam w górę brew.

- Wolno ci pić, Josh?

- Oczywiście - odparł zadziornie.

No, dobra. Mam dość swoich zmartwień. Wyjęłam talerze, szklanki i noże.

- Co byście zrobili, gdyby nie było mnie w domu? - spytałam.

- Morris był pewien, że cię zastaniemy - mruknął Josh.

- Ach tak? - Spojrzałam na Morrisa z udaną ironią.

Uśmiechnął się.

- Wcale się z ciebie nie nabijałem - odparł. - Pomyślałem, że możesz być trochę rozbita.

- Bo byłam. Ostatnio jest mi dość ciężko.

- Widzę - powiedział. - No to zabierajmy się do jedzenia.

Było bardzo dobre. Potrzebowałam dużego, pysznego, mało elegancckiego posiłku, złożonego z wielu potraw. Odrywałam kawałki *naan* i maczałam je po kolei w różnych sosach. Zachęcaliśmy się nawzajem do próbowania *phal*, a w pogotowiu stały szklanki bardzo zimnego piwa. Sądzę, że Morris oszukiwał i wziął do ust tylko kawałek, udając, że jest bardzo dzielny, lecz Josh odetchnął parę razy głęboko i wsunął do ust widelec pełen ostrego mięsa. Pogryzł je i przełknął. Patrzyliśmy, jak na jego czole pojawiają się kropelki potu.

- Zaraz wybuchniesz - zażartowałam. - Lepiej się cofnijmy.

- Nie, nie, wszystko gra - wystękał zduszonym głosem i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Po raz pierwszy zauważyłam na jego twarzy wesejszy wyraz niż pełen zawstydzenia grymas, sama też nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz śmiałam się na cały głos. Nie miałam ku temu zbyt wielu powodów.

- Teraz ty - powiedział Josh.

Z przesadną elegancją nabrałam sporą porcję mięsa i zjadłam. Patrzyli na mnie, jakbym była granatem z opóźnionym zapłonem.

- Jak ty to robisz? - spytał w końcu Morris.  
- Uwielbiam ostre jedzenie. I potrafię je jeść jak prawdziwa dama.  
- Jesteśmy pod wrażeniem. - Josh był wyraźnie poruszony. Szybko wypiliśmy duży łyk piwa.

- W porządku? - zaniepokoił się Josh.  
- Chce mi się tylko pić - odparłam niewinnie.

Uporaliśmy się ze wszystkim zaskakująco szybko. Kiedy sprzątałam ze stołu, co sprowadziło się do powkładania pojemników jeden w drugi, chłopcy przeszli do sypialni i zasiedli przed moim osławionym komputerem. Słyszałam, jak prychną i pochrząkują. Dołączyłam do nich po chwili z kolejną szklanką piwa w ręce. W głowie czułam bardzo przyjemny szum.

- Wiem, że to komiczne.

- Nie, wspaniale. - Josh kliknął myszką jak prawdziwy ekspert. - Masz tutaj prastare wersje programów, wszystkie te 1.15 i 1.25. To coś na kształt komputerowego parku jurajskiego. Poczekaj, a to co takiego?

Okazało się, że w moim komputerze zainstalowany jest pasjans. Nawet nie miałam o tym pojęcia.

- Znasz zasady? - krzyknęli do mnie.

- Nie.

Zaczęli grać, pokrzykując i przepychając się przy klawiaturze.

- Czuję się tak, jakbym spędzała wieczór z dwoma trzynastolatkami - burknęłam.

- I co? - spytał Josh.

Wyraźnie się rozluźnił. Przy mnie nie był już taki spięty. Pozbył się wreszcie dręczącego, pełnego zakłopotania szacunku, z jakim mnie na początku traktował. Zawołali, że chcą jeszcze piwa. Przyniosłam im dwie puszki prosto z lodówki.

- Wygląda na to, że w tym scenariuszu przypadła mi rola księżniczki Lei.

Josh oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na mnie uważnie.

- Nie, chyba raczej Chewbakki.

- Kogo?

- Nieważne.

Doszłam do wniosku, że zbyt mocny szum w głowie nie jest jednak wskazany. Zaparzyłam kawę i nalałam sobie spory kubek.

- Jest kawa - zawołałam.

Josh był tak pochłonięty grą, że zupełnie zapomniał o moim istnieniu. Morris wyszedł do kuchni i nalał sobie kawy.

- Masz mleko? - spytał, wracając do pokoju.
- Zaraz ci podam.
- Nie, sam znajdę.

Znów zniknął w kuchni, a ja spojrzałam na Josha, który z wielką uwagą wpatrywał się w ekran. Ręce miał zaskakująco chude i białe. Choć był duży, tak naprawdę nadal pozostał małym chłopcem. Po chwili Morris był już z powrotem.

- Ładne mieszkanie - powiedział. - Bardzo ciche.  
- Szukasz czegoś dla siebie? - spytałam. - To powinieneś rzucić okiem na to, które oglądałam wczoraj. Niestety, nie jest zbyt ciche.

- Jak poszło?  
- Nie wiem - odparłam. - Nie jestem do końca pewna, co tam robiłam. To głupota, ale czułam, że to mi potrzebne. Rozmawiałam z przyjaciółką Zoë, Louise. Jest bardzo miła. Dzięki temu poznałam lepiej Zoë.

Morris wypił łyk kawy.

- Czy naprawdę może ci zależeć na kimś, kogo nigdy nie spotkałaś?  
- Czuję, że jednak coś mnie łączy z Zoë i Jenny.  
- Czytałaś doniesienia o osunięciu się ziemi w Hondurasie w zeszłym tygodniu?

- Nie.  
- Wydobyli ponad dwieście ciał. I nie wiedzą nawet, ile osób jest zaginionych.

- To straszne.  
- W mojej gazecie informacja o tej tragedii znalazła się w krótkiej notatce w dziale zagranicznym. Gdyby coś takiego wydarzyło się we Francji, zaraz zrobiliby z tego wielkie halo. A gdyby dotyczyło to ludzi mówiących po angielsku, informacja trafiłaby na pierwszą stronę.

- Przykro mi - powiedziałam. - Wybacz, ale w tej chwili interesuję się wyłącznie sobą. Przez cały czas żyję w strachu, aż robi mi się niedobrze. Widzisz, do czego można dojść?

Morris pochylił się i delikatnie postawił kubek z kawą na gazecie, jakby mojemu obskurnemu stolikowi coś jeszcze mogło zaszkodzić.

- Naprawdę tak się czujesz?
- Tak. Staram się o tym nie myśleć albo jakoś to ukrywać, ale to uczucie zawsze mi towarzyszy. Wiesz, kiedy jest się chorym, wszystko ma dziwny smak. Tak można to określić.
- Jeśli chcesz o tym pogadać, to nie ma sprawy. Możesz mi wszystko powiedzieć. Wszystko.
- To bardzo miłe z twojej strony, ale to prosta sprawa. Chcę, żeby wszystko się wreszcie skończyło i tyle.
- Morris się rozejrzał. Josh nadal był pochłonięty grą.
- Jakie masz plany? - spytał.
- Nie wiem. Wpadłam na trochę głupi pomysł, że może sama powinienam poszukać jakichś śladów, ale to chyba strata czasu. Policja sprawdziła już wszystko.
- Czego szukałaś?
- Nie mam pojęcia. Czyż to właśnie nie jest w tym wszystkim najśmieszniejsze? Szukanie igły w stogu siana to jedno, ale jak to jest, gdy przeczesuje się stóg siana, nie wiedząc nawet, czego szukać? Może szukam garści siana? Przejrzałam nawet akta sprawy.
- Policja pozwoliła ci obejrzeć akta? - spytał ostro.
- Roześmiałam się.
- Coś w tym stylu.
- I co tam było? Raporty z sekcji zwłok?
- Głównie jakieś nudne sprawozdania. I parę strasznych zdjęć. To, co zrobił z Jenny. Nie chciałbyś tego oglądać. Kiedy zamykam oczy, nadal to widzę.
- Wyobrażam sobie - odparł. - Znalazłaś tam coś?
- Nie. Och, oczywiście było tam mnóstwo najróżniejszych informacji, lecz na niewiele się to zdało. To było straszne, ale w zasadzie bezcelowe. Miałam chyba nadzieję, że uda mi się coś rozpoznać, coś co mogłoby połączyć Zoë, Jenny i Nadię, trzy dziwne przyrodnie siostry.
- Znalazłaś mnie - powiedział z uśmiechem.
- Tak. Nie obawiaj się, Morris, nadal mam na ciebie oko. No i był tam jeszcze ten pośrednik w handlu nieruchomościami, Guy, który mógł łączyć Zoë i Jenny. Wydał mi się dość dziwny. Coś musi w tym być. Wszystkie mieszkamy w północnym Londynie. Musiałyśmy chodzić do tych samych sklepów, mijając się na ulicy. Ale to nieistotne. Ja jednak stale o tym

myślę. Musi nas łączyć coś więcej. Musi. Rozmawiałam też z tą panią psycholog. Wspomniała coś o zasadzie, że zbrodniarz zawsze przynosi coś ze sobą na miejsce zbrodni i zawsze coś ze sobą zabiera. Niepokojące, prawda? Morris wzruszył ramionami.

- No, cóż - ciągnęłam - nie daje mi to spokoju. Czuję, że mam to wszystko w głowie. Mam w głowie stóg siana i wiem, że są tam dwie igły. Jeśli uda mi się jakoś je połączyć, może ujdę z życiem.

- Jasne. Nie wolno ci się poddawać.

- Czasami myślę, że powinnam. Wiesz, co najbardziej boli? Od czasu do czasu myślę, jak to będzie, gdy wszystko wreszcie się skończy, kiedy zacznę znów prowadzić normalne życie i spokojnie się zestarzeję. - Musiałam przerwać i wziąć się w garść, zanim po policzkach zaczną mi płynąć łzy. Nagle zauważyłam, że ktoś siada obok mnie. Josh. Nalałam mu trochę kawy. - Ten wieczór - mruknęłam - był dość nieoczekiwany i przyjemny.

Milczeliśmy przez chwilę. Josh znów wyglądał jak dorosły, gdy tak siedział między nami na kanapie. Popijaliśmy kawę i spoglądaliśmy na siebie z uśmiechem.

- Próbujesz więc znaleźć coś, co łączy cię z tymi dwoma kobietami, z Zoë i... mamą Josha - odezwał się Morris.

- Tak.

- Sporo o tym myślałam. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli powiem coś bardzo głupiego? Ale niedawno przyszło mi to do głowy.

- Wal. To przynajmniej jakaś odmiana po moim głupim śledztwie.

- Istnieje coś, co was wyraźnie łączy.

- Co takiego?

- To podchwytliwe pytanie, ale zastanów się, kim są ludzie, z którymi wszystkie trzy miałyście do czynienia?

- Kim?

Przebiegłam spojrzeniem od Morrisa do Josha. Na twarzy Josha pojawił się nagle ten jego półuśmiech. - Ja już wiem - powiedział przebiegle.

- No kim? Powiedz.

- Powinnaś jeszcze chwilę zgadywać. - Droczył się teraz ze mną jak niesforny młodszy brat.

- Josh, powiedz mi do cholery albo rozkwaszę ci nos. - Uniosłam groźnie rękę.

- Dobra już, dobra. Policja.

- Czy to ta sama ekipa? - spytał Morris.

- Chyba tak. Ale...

- W mojej wspaniałej teorii kryje się jednak poważny błąd.

- Jaki?

- Ta pierwsza kobieta. Zoë. Skontaktowała się z policją dopiero po otrzymaniu pierwszego listu.

- Tak.

Zapadło milczenie. Nagle poczułam, że przebiega mnie dziwny prąd. Tego właśnie szukałam.

- To nieprawda - powiedziałam.

- Co takiego? - dopytywał się Morris.

- Nie wkroczyli do akcji dopiero po otrzymaniu pierwszego listu.

- O co ci chodzi? Jak mogli wcześniej coś o niej wiedzieć?

- Znalazłam to w aktach. Tuż przed otrzymaniem pierwszego listu Zoë trafiła do gazet. Powaliła jakiegoś napastnika na ulicy. Uderzyła go arbuzem. Natychmiast stała się sławna, jej zdjęcia pojawiły się w gazetach. Policja musiała więc o niej wiedzieć.

- Nie mówiłem tego całkiem poważnie - zaczął Morris - ale mimo wszystko... Może warto się zastanowić, czy nie traktowali cię jakoś dziwnie. Choć pewnie jak zwykle byli pełni rezerwy.

Rozejrzałam się nerwowo. Muszę się zachowywać, jakby nic się nie stało.

- Owszem. Zachowywali się normalnie. - Wiem, że nie potrafię kłamać. Czy tak zareagowałyby osoba mówiąca prawdę?

- Dobrze się czujesz? - spytał Morris.

- Tak, czemu pytasz? - Kręciło mi się w głowie. Miałam tyle do prześmienia, tyle trzeba było wyjaśnić. - To przecież nie mógł być policjant.

- A co ty o tym myślisz, Josh?

Potrząsnął głową.

- Nie, raczej nie. Ale... Nie, to głupie.

- Co? Wal - zachęciłam go.

- Nie wiem, czy słyszałaś, że zanim moja mama... no wiesz, aresztowali mojego tatę, bo w mieszkaniu tej drugiej kobiety, Zoë, znaleźli rzecz

należącą do mamy. Kto inny mógłby to zrobić?

W pokoju zapadła grobowa cisza.

- Muszę się nad tym zastanowić - mruknęłam. - To zupełnie jak krzyżówka. Chyba nie jestem dość inteligentna.

- Przepraszam - powiedział Morris. - To chyba moja wina. Powinienem był trzymać język za zębami.

- Nie. Nie bądź niemądry. Warto się nad tym zastanowić. Tyle tylko, że nie mogę w to uwierzyć. Co ja teraz zrobię?

Morris i Josh spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami.

- Uważaj na siebie - powiedział Morris. - I miej oczy szeroko otwarte.

- Mrugnął do Josha. - Musimy się zbierać.

Odprowadziłam ich do drzwi.

- Co ja teraz zrobię? - powtórzyłam żałośnie.

- Przemyśl wszystko dokładnie - poradził Morris. - My też to zrobimy. Może wspólnie uda nam się coś wykombinować. Pamiętaj, jesteśmy po twojej stronie.

Zamknęłam drzwi, ale nawet nie usiadłam. Stałam przy drzwiach i myślałam, myślałam, myślałam. Próbowałam nadać temu jakiś realny kształt. Rozboląla mnie głowa.



*No i jestem tutaj, w samym środku zdarzeń. Niewidzialny. Stoję przed nią, a ona uśmiecha się do mnie w ten swój uroczy sposób. W oczach migają iskiarki. Śmieje się z moich dowcipów. Kładzie mi rękę na ramieniu. Pocałowała mnie w policzek; delikatny, suchy pocałunek, który sparzył mi skórę. Pozwala, by jej oczy wypełniały się łzami i nawet ich nie ociera. Niewielu osobom ufa, ale mnie tak. Tak, ufa mi bezgranicznie. Kiedy jestem z nią, nie wolno mi się śmiać. Śmiech pulsuje jednak w moim wnętrzu, gotów wybuchnąć.*

*Ona jest silna, wytrzymała; ugina się, ale nie łamie. Nie załamała się. Ale ja też jestem silny. Jestem silniejszy od niej, silniejszy od wszystkich. I o wiele mądrzejszy od tych głupków, którzy szukają nieistniejących dowodów. I cierpliwy. Mogę czekać bez końca. Obserwuję, czekam i śmieję się w duchu.*

- Ty - powiedziałam.

- Ja - odparł Cameron. Patrzyliśmy na siebie. - Zastępuję dziś Lynne. Taki rozkaz.

- Och. - Poszłam otworzyć drzwi w szlafroku, rozczochrana, spodziewając się Lynne albo Bernice. Nie chciałam, by oglądał mnie w takim stanie. Przesunął wzrok z mojej twarzy na piersi, gołe nogi. Instynktownie przyłożyłam dłoń do gardła. Zauważyłam, że uśmiechnął się lekko. - Pójdę się ubrać - powiedziałam.

Założyłam dzinsy i podkoszulek. Wygodne i proste. Wyszczotkowałam włosy i związałam je z tyłu. Dzień był o wiele chłodniejszy, wydawało mi się, że w powietrzu czuć już jesień. Bardzo chciałam zobaczyć jej oznaki: liście zmieniające kolory, szare niebo, strugi deszczu. Gruszki na drzewie rosnącym na podwórku, jeżyny na krzewach przy cmentarzu. Pomyślałam o spacerach po wzgórzach w pobliżu domu rodziców, o butach szurających wśród opadłych liści. Pomyślałam o ogniu na kominku w mieszkaniu Janet i o grzankach z masłem. Drobiazgi.

Słyszałam krzątającego się w kuchni Camerona. Świetnie się tam orientował. Przypominałam sobie, co powiedział wczoraj Morris i przyszło mi do głowy, że to może być prawda. Myślałam o tym, co się wydarzyło między mną i Cameronem; on grzechotał naczyniami w kuchni, a ja wspominałam, jak z jękiem kładł mi głowę między piersiami, jak przyciskał mnie do łóżka, był dziki, brutalny, delikatny. Kiedy tak patrzył na mnie głodnym wzrokiem, co widział? Co widzi teraz? Czy powinnam się go bać?

Odetchnęłam głęboko i poszłam do kuchni.

- Kawa? - zapytał.

- Dzięki.

Zapadła cisza.

- Umówiłam się dziś z rodzicami - powiedziałam po chwili. - Mieszka-  
ją w pobliżu Reading.

- Dobrze.

- Chcę, żebyś poczekał na zewnątrz. Nie powiem im o tobie.

- Denerwują się?

- Nie tym. Nic nie wiedzą. Nie powiedziałam im.

Oni i tak zawsze się denerwują, pomyślałam. Dlatego właśnie im nie powiedziałam. Za każdym razem, kiedy podnosiłam słuchawkę telefonu, wyobrażałam sobie natychmiast nutę paniki w zawsze i tak lekko podenerwowanym głosie mamy. Była niezmiennie przekonana, że usłyszy ode mnie złe wieści. Kiedy tylko słyszała w słuchawce mój głos, wierzyła święcie, że za chwilę opowiem jej o jakimś bardzo nieprzyjemnym wydarzeniu i jej niepokój okaże się wreszcie uzasadniony. Nie wiem dlaczego, ale nigdy mi nie ufała. Nie wierzyła, że mam w sobie dość siły, by zatroszczyć się o siebie i ułożyć sobie życie. Dzisiaj jednak o wszystkim im powiem. Muszę.

- Nadiu, musimy porozmawiać... - Cameron postawił kubek na stole i pochylił się w moją stronę.

- Chciałam cię o coś zapytać...

- O nas? O mnie i o ciebie?

- Nie. O Zoë i Jenny.

- Musimy porozmawiać o tym, co się wydarzyło.

- Nie, nie musimy. - Staralam się, by mój głos brzmiał jak najbardziej rzeczowo.

Skoncentrowałam się na trzymanym w dłoniach kubku z kawą.

- Wcale tak nie myślisz - powiedział.

Spojrzałam na niego. Wysoki i mocno zbudowany, był jak mur, który odgradzał mnie od reszty świata. Miał silne dłonie z włoskami na knykciach. Dłonie, które mnie przytulały, dotykały, szukały moich najbardziej czułych miejsc. Oczy, wpatrzone we mnie, prawie mnie rozbierały.

- Zakochałem się w tobie - powiedział ochryple.

- Mówiłeś o tym żonie?

Wzdrygnął się.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Ta sprawa dotyczy tylko ciebie i mnie, tutaj, w twoim mieszkaniu.

- Opowiedz mi o Zoë i Jenny. - Nie ustępowałam. - Nigdy mi o nich

nie opowiadałeś. Jakie były? - Potrząsnął głową poirytowany, ale ja nie dawałam za wygraną. - Jesteś mi to winien.

- Nic ci nie jestem winien - odparł, lecz uniósł ręce w geście poddania się i zamknął na chwilę oczy. - Zoë. Nie znałem jej zbyt dobrze. Nie miałem okazji... Zobaczyłem ją najpierw na wielkim zdjęciu w gazecie, które wisiało na tablicy na posterunku. To było po tym, jak znokautowała arbu- zem napastnika na ulicy. Dla chłopaków była prawdziwą bohaterką, opo- wiadali też o niej mało wybredne dowcipy.

- Jaka była?

- Nigdy jej nie poznałem.

- A Jenny? Musiałeś ją dobrze znać. - Nie spuszczałam wzroku z jego twarzy.

- Jenny była zupełnie inna. - Uśmiechnął się lekko na to wspomnie- nie, lecz szybko się opanował. - Była nieduża. Wszystkie jesteście bardzo drobne - dodał z zamyśleniem. - Ale była też silna, pełna energii, mroczna, zagniewana. Przypominała zwój drutu. Była bardzo bystra. I niecierpliwa. Czasami wręcz szalona.

- Nieszczęśliwa?

- Też. - Położył mi rękę na kolanie. Pozwoliłam, by trzymał ją tam przez chwilę, choć jego dotyk budził we mnie odrazę. - Ale chyba odgry- złaaby ci głowę, gdyby usłyszała to, co mówisz. Przypominała trochę groź- nego smoka z bajki.

Wstałam, by uwolnić się od jego dotyku i pragnąc czymś się zająć, na- lałam sobie jeszcze kawy.

- Powinniśmy się zbierać.

- Nadiu.

- Nie chcę się spóźnić.

- Leżę w nocy w łóżku i widzę twoją twarz, twoje ciało.

- Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Znam cię tak dobrze.

- Myślisz, że umrę.

Przed wyjściem z domu, w obecności Camerona zadzwoniłam do Link- sa i powiedziałam mu, że detektyw Stadler zawiezie mnie do rodziców. Powinniśmy wrócić późnym popołudniem. Usłyszałam w jego głosie cień zaskoczenia: nie potrafił pojąć, dlaczego dzwonię i opowiadam mu o swo- ich planach. Niewiele mnie to obchodziło. Powtórzyłam wszystko raz

jeszcze, dobitnie i wyraźnie, by dokładnie usłyszał. I żeby Cameron też wszystko dokładnie usłyszał.

Jadąc najpierw autostradą M4, a potem krętymi drogami, niewiele rozmawialiśmy. Jeszcze przed wyjściem z domu udzieliłam Cameronowi wskazówek, więc jechał, rzucając mi od czasu do czasu natarczywe spojrzenie. Siedziałam z dłońmi splecionymi na kolanach i próbowałam wyglądać przez okno, lecz przez cały czas czułam, że odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie.

- Czym się zajmują twoi rodzice? - spytał, zanim dotarliśmy na miejsce.

- Tato uczył geografii, ale przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Mama zajmowała się różnymi dziwnymi rzeczami, ale przede wszystkim opiekowała się moim bratem i mną. Skręć tutaj. I pamiętaj, że nie wchodzisz ze mną do środka.

Dom rodziców był zbudowanym w latach trzydziestych bliźniakiem i nie różnił się niczym od innych stojących przy cichej uliczce. Cameron zatrzymał się tuż przed nim.

- Poczekaj chwilę - powiedział, gdy pochylił się, by otworzyć drzwi. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Był jeszcze jeden list.

Oparłam się o fotel i zamknęłam oczy.

- O, Boże!

- Obiecałem, że będę ci mówił o wszystkim.

- Co w nim było?

- Był krótki. „Jesteś dzielna, ale na niewiele się to zda”, coś w tym stylu.

- Tylko tyle? - Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. - Kiedy go wysłano?

- Cztery dni temu.

- Udało się wam wpaść dzięki niemu na jakiś ślad?

- Próbujemy pogłębić psychologiczny portret tego mężczyzny.

- Czyli nic. - Westchnęłam. - No cóż, to chyba niewiele zmienia. Wiedzieliśmy już wcześniej, że on się czai, prawda?

- Tak.

- Zobaczymy się więc za parę godzin.

- Nadiu.

- Co?
- Jesteś bardzo dzielna. - Spojrzałam na niego podejrzliwie. - To prawda.
- Chcesz przez to powiedzieć, że jestem tak dzielna jak Zoë i Jenny? Nie odpowiedział.

Mama ugotowała gulasz z jagnięcia z ryżem - rozgotowany zbijał się w wielkie kule - i podała go z zieloną sałatą. Kiedy byłam mała, uwielbiałam to danie. Jak można powiedzieć matce, że przestałaś coś lubić? Mięso było twarde, a w sosie pływały ostre kawałeczki kości. Tato otworzył butelkę czerwonego wina, choć żadne z nich nie piło alkoholu do lunchu. Tak bardzo się cieszyli, że przyjechałam. Krzżeli się wokół mnie i dogadzali, jakbym była obcą osobą. I rzeczywiście czułam się obco w towarzystwie tej dwójki starszych osób, które tak naprawdę nie były jeszcze stare.

Zawsze byli bardzo ostrożni. I zawsze się o mnie martwili. Kiedy wychodziłam wieczorami, czekali, aż wrócę, w chłodne wieczory wkładali mi do łóżka termofor, pilnowali, żebym w zimie przykrywała się dodatkowym kocem, przed rozpoczęciem każdego roku szkolnego ostrzyli mi kredki. Ich troska doprowadzała mnie do szału, denerwowała mnie ich dbałość o każdy najdrobniejszy szczegół mojego życia. Teraz wspominałam to z nostalgią i czułam w gardle wielką kulę tęsknoty za domem rodzinnym.

Pomyślałam, że powiem im o wszystkim dopiero po lunchu. Piliśmy kawę w saloniku i jedliśmy miętowe czekoladki. Przez okno widziałam siedzącego w samochodzie Camerona. Odchrząknęłam.

- Muszę wam coś powiedzieć - zaczęłam niepewnie.
- Tak?

Mama spojrzała na mnie z podszytym niepokojem wyczekiwaniem.

- Ja... jest pewien mężczyzna, który... - urwałam i spojrzałam na wyraz zadowolenia wypływający na twarz mamy. Pomyślała, że nareszcie znalazłam sobie chłopaka. Nigdy nie traktowała Maxa poważnie i nie widziała w nim partnera na długie spokojne życie. Nie mogłam się zmusić,

by dokończyć zdanie. - Nie, to nic takiego.

- No, powiedz. Bardzo chcemy to usłyszeć, prawda, Tony?

- Później - powiedziałam, wstając gwałtownie z fotela. - Może najpierw tato pokaże mi ogród.

Na drzewie dojrzewały śliwki; tato posadził też fasolę, sałatę i ziemniaki, a w szklarni rosły równe rzędy pomidorów. Upierał się, że da mi ich całą torbę.

- Mama ma też dla ciebie parę słoików dżemu jabłkowego - powiedział.

Ujęłam go pod ramię.

- Tato - powiedziałam - wiem, że nie zawsze się zgadzaliśmy. - Nieodrobione zadania domowe, papierosy, alkohol, makijaż, późne powroty do domu, polityka, narkotyki, chłopcy, brak chłopców, poważna praca, do wyboru, do koloru. - Ale chciałam ci powiedzieć, że zawsze byłeś bardzo dobrym ojcem.

Zacmokał z zażenowaniem i poklepał mnie po ramieniu.

- Mama będzie się niepokoić, dlaczego tak długo nie wracamy.

Pożegnałam się z nimi w holu. Nie mogłam ich objąć jak należy, bo trzymałam w rękach siatki z pomidorami i dżemem. Przycisnęłam policzek do twarzy mamy i wciągnęłam znajomy zapach wanilii, pudru, mydła i naftaliny. Zapach mojego dzieciństwa.

- Do widzenia - powiedziałam. Uśmiechnęli się i pomachali do mnie czule. - Do widzenia.

Przez chwilę pomyślałam, że już ich nigdy nie zobaczę, ale tak nie można. Nie można przejść ścieżką, wsiąść do samochodu i uśmiechać się radośnie, jeśli dopuszcza się do siebie takie myśli.

Przez całą drogę do domu udawałam, że śpię. Kiedy Cameron sprawdził już zabezpieczenie mieszkania, powiedziałam mu, że powinien zostać w samochodzie. Chciałam być przez chwilę sama. Zaczął protestować, ale zadzwonił przyczepiony do paska pager, a ja zatrzęsłam mu drzwi przed nosem.

Usiadłam na brzegu łóżka, opierając łokcie na kolanach. Zamknęłam oczy, lecz po chwili je otworzyłam. Słuchałam swojego oddechu. Czekałam.

Nie żeby coś się wydarzyło, lecz żeby opuściło mnie to paralizujące poczucie zagrożenia.

Nagle zadzwonił telefon. Ostry dzwonek odbił się echem w mojej czaszce.

Wyciągnęłam rękę i podniosłam słuchawkę.

- Nadia? - Głos Morrisa był ochryply i naglący.

- Tak?

- To ja. Nic nie mów. Coś znalazłem. Nie mogę ci powiedzieć przez telefon. Musimy się spotkać.

Poczułam rosnącą w żołądku wielką kulę strachu.

- Co jest?

- Przyjdź do mnie jak najszybciej. Musisz coś zobaczyć. Jest ktoś z tobą?

- Nie. Siedzi w samochodzie.

- Kto?

- Stadler.

Usłyszałam, jak bierze głęboki oddech. Kiedy znów się odezwał, mówił bardzo wolno i spokojnie.

- Urwij mu się. Czekał na ciebie.

Odłożyłam słuchawkę i wstałam z łóżka. A więc to jednak Cameron. Strach minął. Byłam teraz silna, pełna energii, wszystko widziałam bardzo jasno i wyraźnie. Nareszcie. Koniec z czekaniem, ze smutkiem i przerażeniem. Byłam gotowa. Czas ruszać.

## 21

Kiedy podchodziłam do drzwi frontowych, wiedziałam dokładnie, co muszę zrobić. Wszystko stało się nagle proste. Czułam nadal otaczającą mnie mgiełkę strachu, lecz i ona powoli zaczynała odpływać. Cameron natychmiast wysiadł z samochodu i stanął obok mnie. Patrzył na mnie pytająco, niemal z nadzieją.

- Idę kupić coś na kolację - powiedziałam.

Ruszyliśmy razem. Nie odzywałam się już ani słowem.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Za wszystko. Chcę tylko, żeby między nami było w porządku.

- O czym ty mówisz?



Nie odpowiedział. Szliśmy dalej główną ulicą, aż stanęliśmy przed Marksem i Spencerem. Nie wolno nam się pokłócić, nie może wzbudzić jego podejrzeń. Położyłam mu dłoń na ramieniu. Delikatnie, bez żadnych podtekstów.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie potrafię w tej chwili racjonalnie myśleć. I głupio się zachowuję. To nie najlepsza pora.

- Rozumiem - odparł.

Odwrociłam się w stronę wejścia do sklepu. Westchnęłam.

- Zaraz wrócę.

- Poczekam tutaj.

- Kupić ci coś?

- Nie, nie zwracaj sobie mną głowy.

Marks i Spencer w Camden Town ma tylne wyjście. Po chwili znalazłam się już na peronie metra. Stojąc w podmuchu gorącego powietrza, obejrzałam się za siebie. Cameron na pewno nie poszedł za mną.

Jadąc metrem, próbowałam jakoś poukładać sobie to, co powiedział mi Morris. Czułam się zupełnie tak, jakbym przez ostatnie tygodnie żyła w gęstej mgle. Choć nie rozwiała się jeszcze do końca, ale zaczynała zdecydowanie rzednąć, ukazując zarysy krajobrazu. Jeśli to był policjant, Cameron, to wszystko, co do tej pory wydawało się niemożliwe, nagle stało się proste. Policja miała łatwy dostęp do mieszkania Zoë i domu Jenny. Serce zabiło mi mocniej. Do mojego mieszkania. Ale dlaczego mieliby to robić? Dlaczego miałyby to robić Cameron?

Musiałam tylko przypomnieć sobie jego wzrok i znałam już odpowiedź. Przed oczami stało mi moje pierwsze spotkanie z policją, Cameron siedzący w rogu pokoju. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Cameron w moim łóżku. Nigdy przedtem nikt tak na mnie nie patrzył, nikt mnie nigdy tak nie dotykał, jakbym była pięknym i dziwnym przedmiotem. Czułam, że chce jednocześnie na mnie patrzeć, dotykać mnie, wejść we mnie, jakby nigdy nie miał tego dość. Początkowo było to niesamowicie podniecające, potem obrzydliwe, a teraz ku swemu przerażeniu wszystko zrozumiałam. Leżeć obok kobiety, której grozisz śmiercią, pieprzyć ją, odkrywać wszystkie jej sekrety. Co za podnieta. Ale jakie miałam na to dowody? Czy Morrisowi udało się znaleźć coś, co mogłabym wykorzystać?

Mieszkanie Morrisa znajdowało się niedaleko stacji metra. Na głównej

ulicy było tłoczno. Ale mieszkał w przecznicy, którą odnalazłam z trudem. Początkowo w ogóle jej nie zauważyłam i musiałam zapytać jednego z przechodniów. W sobotni wieczór wyłożona kocimi łbami uliczka była pusta. Na jej końcu znalazłam drzwi z małą wizytówką przy dzwonku: Burnside. Zadzwoiłam. Cisza. Wyszedł z domu? Po chwili usłyszałam szcęk przekręcanych zamków, szum odsuwanej zasuwy i Morris otworzył drzwi. Wyglądał niesamowicie, jak chodzący zapalnik. Miał na sobie szerokie spodnie z wielkimi kieszeniami i podkoszulek. Był boso. W jego oczach czaiło się jednak coś takiego, co natychmiast przykuło moją uwagę. Miał w sobie niesamowitą energię, niemal czułam, jak w nim kipi. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, a co więcej, mężczyzną, który wyobrażał sobie, że jest zakochany. Miałam nadzieję, że nie posunie się zbyt daleko w nadziei, iż mnie w końcu zdobędzie.

- Nadia - powiedział z serdecznym uśmiechem.

Stał w drzwiach i przebiegł spojrzeniem ulicę. Obejrzałam się przez ramię. Na całej uliczce nie było żywej duszy.

- Jak ci się udało uciec? - spytał.

- Jestem przecież magikiem - odparłam

- Wchodź. Przepraszam, ale nie zdążyłem posprzątać.

W porównaniu z moim mieszkaniem u Morrisa panował idealny porządek. Weszliśmy wprost do przytulnego saloniku. Drzwi w przeciwległej ścianie prowadziły do krótkiego korytarza.

- Kiedyś był tu magazyn?

- Chyba jakiś warsztat. To mieszkanie przyjaciela. Wyjechał za granicę, a ja pilnuję mu dobytku.

Jedynym przedmiotem, który nie pasował do wnętrza, była stojąca przy stole deska do prasowania i żelazko.

- No proszę, prasowałaś - powiedziałam. - Jestem pod wielkim wrażeniem.

- Tylko tę koszulkę.

- Myślałam, że jest nowa.

- Na tym polega cała sztuczka. Jeśli prasuje się ubrania, wyglądają jak nowe.

Uśmiechnęłam się.

- Prawdziwa sztuczka polega na tym, by zawsze nosić nowe ubrania.

Obeszłam pokój dookoła. Uwielbiam oglądać mieszkania innych. Wiedziona instynktem szpicla podeszłam do korkowej tablicy, do której przypięto karty z restauracji serwujących dania na wynos, wizytówki hydraulików i elektryków, a przede wszystkim zdjęcia. Morris na przyjęciu, Morris na rowerze, Morris na plaży, Morris z dziewczyną.

- Ładna - powiedziałam.
- Cath.
- Spotykasz się z nią?
- Mniej więcej.

Uśmiechnęłam się w duchu. Spotyka się z nią. Kiedy na pytanie o dziewczynę mężczyzna odpowiada, że mniej więcej się z nią spotyka, przekazuje dokładnie taką samą informację jak żonaty mężczyzna stukający palcem w obrączkę. Obaj chcą niejasno dać do zrozumienia, że są osiągalni, ale wszystko ma swoje granice.

- A gdzie reszta?
- Czego?
- Zdjęć - odparłam. - Kiedyś było tu ich znacznie więcej. - Na całej tablicy widać było małe dziurki.

- Ach, to. Niektóre z nich zdążyły mi się znudzić. - Roześmiał się. - Powinnaś być detektywem.

- Skoro już mowa o detektywach, to mam nadzieję, że ściągnęś mnie tu z ważnego powodu, bo inspektor Stadler z pewnością się wścieknie. Będę mogła mówić o wielkim szczęściu, jeśli skończy się na oskarżeniu o marnowanie cennego czasu policji.

Morris wskazał mi krzesło przy stole i usiadł naprzeciw mnie.

- Przypomniałem sobie raz jeszcze rozmowę, którą odbyłem ze Stadlerem i tym drugim... jak on się nazywa?

- Links.
- Jestem przekonany, że z tym Stadlerem coś jest nie tak. Bardzo dziwnie wypowiadał się o tych dwóch kobietach i chciałem to z tobą obgadać. Czulem, że musisz się od niego uwolnić.

- Masz jakieś dowody?
- Co takiego?
- Myślałam, że znalazłeś coś, co będziemy mogli przeciwko niemu wykorzystać.

- Przykro mi, ale nie mam nic takiego.

Usiłowałam intensywnie myśleć. Mgła, która zaczynała się powoli rozwiewać, nagle znów stała się bardzo gęsta. Poczulałam, jak przez całe moje ciało przebiega fala zimna.

- To i tak nie ma sensu - powiedziałam tępo.

Morris wyglądał na zaskoczonego.

- Co nie ma sensu?

- Ta teoria z policją. Bardzo mnie podnieciła historia z Zoë i arbuзем i jej późniejszy związek z policją, jeszcze zanim pojawiły się te listy. Ale to nie tłumaczy przypadku Jennifer.

- Dlaczego?

- Jej medalion znalazł się w mieszkaniu Zoë jeszcze przed jej śmiercią, zanim Jennifer zaczęła dostawać te listy i zanim zawiadomiła policję.

- Mógł to zaaranżować.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Niewykłuczone. Ale to i tak nie tłumaczy związków z Jenny. Dlaczego wybrał właśnie ją?

- Pewnie gdzieś ją zobaczył.

- To można powiedzieć o wszystkich. Teoria o udziale policjanta opierała się na założeniu, że miał dostęp do wszystkich kobiet.

Poczulałam, że ogarnia mnie paraliżujące przygnębienie.

- To nie ma sensu. Lepiej już pójdę.

Pochylił się i położył mi rękę na ramieniu.

- Zostań jeszcze chwilę. Tylko chwilę, Nadiu.

- A brzmiało tak przekonywająco - powiedziałam sucho. - Taka ładna teoria. Szkoda, że nie ma za grosz sensu.

- Wracamy więc do stogu siana. - Morris uśmiechał się do mnie, jakby uznał to za bardzo zabawne. Jego zęby i oczy błyszczały. Całą jego twarz przepelniał jakiś niezwykły blask.

- Wiesz co? - powiedziałam nagle z rozmarzeniem.

- Co?

- Kiedyś czułam się nieswojo na myśl, że nigdy nie poznałam Zoë i Jenny. Ale teraz jest inaczej. Czasami myślę, że jesteśmy siostrami, ale coraz częściej traktuję nas jak jedną osobę. Przeszliśmy przez to samo. Leżaliśmy w nocy, nie mogąc zmrużyć oka ze strachu. I wszystkie tak samo umrzemy.

Morris potrząsnął głową.

- Nadia...

- Ciii - powiedziałam jak do małego dziecka. Mówiłam teraz prawie do

siebie i nie chciałam, by wyrwał mnie z tego transu. - Kiedy poszłam z Louise do mieszkania Zoë, było to niesamowite przeżycie. Czułam się niemal tak, jakby Zoë była moją najbliższą przyjaciółką. A gdy Louise zaczęła opowiadać o zakupach z Zoë tego ostatniego popołudnia, miałam wrażenie, że opowiada o naszej wspólnej wyprawie. Zabawne. Ona też to czuła. Jestem tego pewna.

W tej chwili, zupełnie nieoczekiwanie, mgła rozwiała się na dobre i przed moimi oczami stanął krajobraz, ostry i wyraźny w świetle słońca. Nie miałam żadnych wątpliwości. Przypomniałam sobie szczegóły raportu z miejsca zbrodni.

- Co jest?

Wzdrygnęłam się przestraszona. Niemal zapomniałam, że obok mnie siedzi Morris.

- Słucham?

- Wyglądasz, jakbyś była gdzieś bardzo daleko. O czym myślałaś?

- Myślałam o Zoë - odparłam. - Kiedy została zabita, miała na sobie koszulkę, którą kupiła razem z Louise. To śmieszne, prawda?

- Nie wiem. Powiedz mi, dlaczego to jest śmieszne. Powiedz.

- Wielka szkoda, że wszystko tak się skomplikowało.

Morris przyglądał mi się uważnie, jakby próbował zajrzeć do wnętrza mojej głowy. Czy myślał, że zaczynam tracić zmysły? To dobrze. Pochyliłam się przez stół i ujęłam jego dłoń. Była spocona. Moja natomiast zimna i sucha. Trzymałam jego dłoń w swoich i lekko ścisnęłam.

- Wiesz co? - powiedziałam. - Z przyjemnością napiłabym się herbaty.

- Oczywiście, Nadiu. - Uśmiechał się szeroko. Nie potrafił się powstrzymać.

Wstał i wyszedł z pokoju. Spojrzałam na frontowe drzwi. Kilka gałek i zasuw. Potem jakieś pięćdziesiąt metrów pustą ulicą. Wstałam i podeszłam do korkowej tablicy.

- Pomóc ci? - krzyknęłam.

- Nie - zawołał z kuchni.

Spojrzałam na tablicę. Pod nią stało biurko z kilkoma szufladami. Jak najciszej otworzyłam pierwszą z nich. Książeczki czekowe, pokwitowania. Otworzyłam drugą. Pocztówki. Trzecią. Katalogi. Czwartą. Zdjęcia. Wzięłam

parę do ręki. Wiedziałam mniej więcej, co na nich zobaczę, ale mimo to zadrżałam z przerażenia. Morris, jakieś dwie nieznane osoby i Fred. Morris, Cath i Fred. Morris i Fred. Wsunęłam jedną z nich do tylnej kieszeni dzinsów. Może znajdują ją przy moim ciele. Zamknęłam szufladę i wróciłam do stołu. Usiadłam. Rozejrzałam się dookoła. Musi wystarczyć. Siłą przywołałam w wyobraźni zdjęcie martwej Jenny. Zmusiłam się do zastanowienia nad każdym szczegółem. Co zrobiłaby Jenny, gdyby siedziała tu na moim miejscu?

Do pokoju wszedł Morris. Jakimś cudem udało mu się przynieść dzbanek z herbatą, dwa kubki, karton mleka i paczkę herbatników z otrąb. Położył wszystko na stole i usiadł.

- Poczekaj chwilę - powiedziałam, zanim zaczął nalewać herbatę. - Chcę ci coś pokazać. - Wstałam i obeszłam stół, stając obok niego. - To taka magiczna sztuczka.

Uśmiechnął się do mnie raz jeszcze. Ma taki miły uśmiech. Wyglądał na bardzo zadowolonego, podekscytowanego. Podniecenie rozświetlało mu oczy.

- Nie znam się zbyt dobrze na magii - powiedziałam - ale wiem, że przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, by nigdy nie zdradzić publiczności, co zamierza się zrobić. Jeśli coś się nie uda, zawsze można powiedzieć, że zrobiło się to celowo. Popatrz. - Podniosłam pokrywkę dzbanka, po czym szybkim ruchem porwałam dzbanek ze stołu i chlusnęłam jego zawartością prosto w twarz Morrisa. Część wrzątku prysnęła także na mnie, ale w ogóle tego nie poczułam. Morris zawył jak zwierzę. Bez chwili wahania sięgnęłam po żelazko. Ujęłam je w obie dłonie. Miałam tylko jedną szansę i musiałam w ją pełni wykorzystać, raniąc go jak najbardziej. Trzymał ręce przy poparzonej twarzy. Uniosłam żelazko, po czym z całych sił opuściłam je na prawe kolano Morrisa. Rozległ się trzask i jeszcze jeden przeraźliwy krzyk. Zwinął się w pól i zsunął z krzesła. Co jeszcze? Pomyślałam o zdjęciu martwej Jennifer. Byłam rozpalona do białości jak wyjęty przed chwilą z kominka pogrzebacz. Zauważyłam jego wysuniętą ze spodni lewą kostkę. Znów z całych sił opuściłam żelazko. Jeszcze jeden trzask. Jeszcze jeden krzyk. Cofając się, poczułam, że chwytam mnie ręką za spódnie. Podniosłam żelazko, lecz kiedy odskoczyłam do tyłu, byłam już wolna.

Stanełam daleko od niego. Morris leżał na podłodze, wijąc się z bólu i jęcząc. Jego twarz była jedną wielką purpurową masą.

- Jeśli zbliżysz się do mnie choć o milimetr - powiedziałam - złamię ci po kolei każdą pieprzoną kość. Wiesz dobrze, że to zrobię. Oglądałam zdjęcia. Widziałam, co zrobiłeś z Jenny.

Nadal jednak się cofałam, nie spuszczać z niego wzroku. Rozejrzałam się szybko i znalazłam telefon. Trzymając w ręce żelazko z wijącym się po podłodze sznurem, wystukałam numer.

## 22

Odłożyłam słuchawkę i stałam nieruchomo, jak najdalej od niego. Morris wciąż wił się na podłodze, jęcząc przeraźliwie. Zaczęłam się zastanawiać, czy zbiera siły, czy przypadkiem nie wstanie i nie rzuci się na mnie. Może powinnam uderzyć go jeszcze raz? A może rzucić się do drzwi i wybiec na ulicę? Ale nie mogłam się ruszyć. Już nic nie mogłam zrobić. Zaczęłam drzeć na całym ciele. Oparłam się o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

Nagle zauważyłam, że Morris zaczyna się ruszać, początkowo nieznacznie, potem już coraz śmielej. Podciągał się na rękach, jęcząc z wysiłku. Jeden rzut oka przekonał mnie, że na pewno nie wstanie. Nogi miał mocno pogruhotane. Mógł tylko pełznąć po podłodze, jęcząc z bólu. Oparł się o biblioteczkę i lekko wykręcił tak, by spojrzeć na mnie. Twarz była straszliwie poparzona, a jedno oko prawie całkiem zamknięte. Z ust ciekła mu strużka śliny. Zakaszła.

- Co ty wyprawiasz?

Nie odezwałam się.

- Nic nie rozumiem - powiedział. - Ja tego nie zrobiłem.

Chwyciłam mocniej żelazko.

- Jeden ruch i znów ci przyłożę.

Poruszył się lekko i krzyknął przeciągle.

- Jezu - wydyszał. - Boli jak cholera.

- Dlaczego to zrobiłeś? Ona miała dzieci. Co ci takiego zrobiła?

- Zwariowałaś. Ja tego nie zrobiłem. Przysięgam, Nadiu. Powiedzieli ci przecież. Gdy zginęła Zoë, byłem setki mil stąd.

- Wiem - odparłam.
- Co takiego?
- Wiem, że nie zabiłeś Zoë. Chciałeś, ale nie zrobiłeś tego. Zabiłeś Jenny.
- To nieprawda, przysięgam - jęknął. - O Boże, co ty zrobiłaś z moją twarzą? Dlaczego?
- Płakał.
- Chciałeś mnie zabić. Tak jak zabiłeś ją.
- Mówiłam z trudem. Oddychałam nierówno, a serce waliło mi jak młotem.
- Przysięgam, Nadiu - jęknął cicho.
- Zamknij się, do cholery. Widziałam zdjęcia. W szufladzie.
- Co takiego?
- Twoje i Freda. Te, które przed moim przyjściem zdjęłeś z tablicy.
- Nie dał się zaskoczyć.
- Schowałem je, to prawda. Wpadłem w panikę, bo nie wyglądało to dobrze. Ale to jeszcze nie znaczy, że kogoś zabiłem.
- Wpadłeś też w panikę, gdy mieliśmy się spotkać z Louise w mieszkaniu Zoë.
- Nie, naprawdę dostałem wtedy wiadomość. Nadiu, wszystko ci się pomieszało...
- Nie miałam pojęcia, czego się spodziewałam. Może chciałam, żeby się do wszystkiego przyznał, a potem zaczął to w jakiś pokrętny sposób tłumaczyć. Teraz uświadomiłam sobie, że on się nigdy nie podda i że ja nigdy tego nie zrozumieję. Będzie kłamał jak najęty i może na koniec sam uwierzy w swoje kłamstwa. Patrzyłam na niego, na poparzoną twarz, na której pojawiały się bąble, na wijące się z bólu ciało, na wpatrzone we mnie jedno oko.
- Powinnaś cię zabić - powiedziałam. - Powinnaś z tobą skończyć, zanim zjawi się tu policja.
- Może rzeczywiście powinnaś. Bo ja tego nie zrobiłem, Nadiu, i nie masz przeciwko mnie żadnych dowodów. Wypuszczą mnie, a ciebie wsadzą do więzienia. Potrafiłabyś to zrobić? Co? Potrafiłabyś mnie zabić?
- Możesz być pewny, że bardzo bym chciała.
- No to zrób to. No, kochanie. Zrób. - Ślina ciekła mu po twarzy. Próbował się uśmiechnąć.



- Chciałabym, żebyś przeze mnie cierpiał tak, jak przez ciebie cierpiały Zoë i Jenny.

- Pomogę ci - powiedział. Dysząc i jęcząc, pełznął w moją stronę jak wielki tłusty ślimak. Poruszał się bardzo powoli.

- Zbliź się tylko, a rozwalę ci głowę. - Chwyciłam mocniej żelazko.

- Zrób to - powiedział. - I tak wylądujesz w więzieniu. A mnie wypuszczą. Nawet jeśli nie od razu, to i tak niedługo wyjdę. Powinnaś się mnie pozbyć.

- Przestań! - krzyknęłam i zaczęłam płakać. Czulałam, że pełźnie nie tylko po podłodze, ale także w mojej głowie. Już miałam opuścić żelazko, gdy rozległo się walenie do drzwi. Usłyszałam jakieś głosy wołające moje imię. Rozejrzałam się. Dostrzegłam błysk światła. Podbiegłam do drzwi i otworzyłam je. Nie było to trudne. Trwało zaledwie parę sekund. Do środka wpadło kilka postaci. Dwóch policjantów w mundurach i Cameron. Za nim zauważyłam dwa radiowozy. Ulicą jechał jeszcze jeden. Cameron obrzucił spojrzeniem wnętrze pokoju. Pocił się, krawat zawinał mu się na ramię.

- Co ty, do cholery, zrobiłaś?

Nie odezwałam się. Pochyliłam się tylko i postawiłam żelazko na podłodze.

- Wezwałaś karetkę?

Potrząsnęłam głową. Krzyknął coś do jednego z policjantów, który wyszedł na zewnątrz.

- Zaatakowała mnie - powiedział Morris. - Zupełnie oszalała.

Cameron patrzył to na niego, to na mnie, wyraźnie zaskoczony.

- Jesteś ranny? - spytał.

- O tak. Ranny jak cholera.

Cameron podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku? - szepnął.

Skinęłam głową. Nie mogłam oderwać wzroku od skulonego na podłodze Morrisa. Za każdym razem, gdy patrzyłam na niego, odpowiadał mi spojrzeniem. Patrzył na mnie okiem, które nigdy nie mrugało. Jeden z policjantów pochylił się nad nim, lecz on patrzył tylko na mnie.

- Usiądź - polecił mi Cameron.

Rozejrzałam się. Musiał poprowadzić mnie do jednego z krzeseł stojących przy stole. Usiadłam, żeby nie patrzeć dłużej na Morrisa. Pomyślałam, że jeśli spojrzę na niego jeszcze raz, zwymiotuję.

- Nadiu, zanim zaczniemy rozmawiać, muszę ci to powiedzieć, więc wysłuchaj mnie uważnie. Nie musisz nic mówić. Ale jeśli cokolwiek powiesz, to jeśli zostanie wniesione oskarżenie, będziemy mogli wykorzystać to przeciwko tobie. Masz też prawo do adwokata. Jeśli sobie życzysz, wezwiemy tu zaraz adwokata z urzędu. Rozumiesz?

Skinęłam głową.

- Nie, musisz powiedzieć głośno i wyraźnie, że wszystko zrozumiałaś.
- Rozumiem. Ale będę mówić.
- Co się stało?
- Zajrzyj do szuflady. Tam, w biurku.

Podszedł do drzwi frontowych i warknął coś na temat specjalisty od dowodów. Z wyciem syreny nadjechała karetka. Do pokoju wpadli mężczyzna i kobieta w zielonych ubraniach i pochylili się nad Morrisem. Cameron spojrzął na mnie. Wyjął z kieszeni cienkie gumowe rękawiczki. Przypominały bardziej te, które wiszą przy dystrybutorach na stacjach benzynowych niż te używane przez chirurgów. Otworzył szufladę i spojrzął na zdjęcia.

- On znał Freda - powiedziałam.

Wszystko zaczynało przypominać scenę rodem z kiepskiej farsy. Cameron oniemiały wpatrywał się w zdjęcia. Morris jęczał z bólu, gdy sanitariusze rozcinali mu spodnie. Do pokoju wszedł nagle Links.

- Co do cholery...? - zaczął, próbując ogarnąć sytuację.
- Zaatakowała Morrisa żelazkiem - wyjaśnił Cameron.
- Kur... Dlaczego?
- Powiedziała, że to on jest mordercą.
- Ale...

Cameron podał Linkowskiemu jedno ze zdjęć. Spojrzął na nie, potem na mnie.

- Tak, ale mimo wszystko... - Odwrócił się do Camerona. - Ostrzegłeś ją?
- Chce mówić.

- To dobrze. Co z Burnside'em?
- Jeszcze z nim nie rozmawiałem.

Links pochylił się nad Morrisem i pokazał mu zdjęcie. Ten potrząsnął tylko głową i jęknął. Links podszedł do mnie i usiadł przy stole. Byłam już spokojna, mogłam jasno myśleć.

- Czy Morris panią zaatakował?
- Nie - odparłam. - Gdyby mnie zaatakował, byłabym już martwa.

Nie, nie martwa. Umierałabym. Właśnie by mnie mordował.

- Ale, Nadiu - powiedział łagodnie Links - wie pani, że Morris Burnside nie mógł zabić Zoë Haratounian. Nie było go w mieście.

- Wiem. Wiem kto zabił Zoë.

- Co takiego? Kto?

- Nagle mnie oświeciło. Wszyscy wbiliście sobie do głowy, że musiał ją zabić mężczyzna, który przysyłał jej listy. A jeśli zabił ją ktoś inny?

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Zastanawiałam się nad czymś, co powiedziała mi Grace Schilling.

Podobno zabójca zawsze zostawia coś swojego na miejscu zbrodni i zawsze coś ze sobą zabiera. Słyszeliście o tym? - Spojrzałam na Camerona, który badał pilnie zawartość szuflady. - Czytałam raport z miejsca zbrodni. Pamięta pan opis koszulki, którą miała na sobie Zoë, gdy ją znaleziono?

- Tak, ale co...

- Pamięta pan ten opis?

- Znalaziono na nim takie same ślady jak w całym mieszkaniu, na ubraniach, dywanach, łóżku. Ślady Zoë i jej byłego chłopaka.

- Ale na koszulce nie powinno być śladów Freda. Zoë przyniosła ją do mieszkania w plastikowej torbie. A kupiła dzień wcześniej razem ze swoją przyjaciółką, Louise. - Odwróciłam głowę, by spojrzeć na Morrisa. Słuchał uważnie. - Fred zostawił te ślady na koszulce Zoë, kiedy ją dusił.

Wydawało mi się, że dostrzegłam na twarzy Morrisa cień przelotnego uśmiechu.

- Nie wiedziałaś o tym, prawda? - zwróciłam się do niego. - Twój przyjaciel zabił Zoë, zanim ty zdążyłeś to zrobić. - Spojrzałam na Stadlera i Linksa. - Dwa morderstwa. Rozumiecie? Dwa. Czy nigdy nie dziwiło was,

że tak bardzo różniły się od siebie? Cholera jasna, on wcale nie zaczął sobie śmielej poczynać. Te morderstwa popełniły dwie różne osoby. Dlatego byłeś tak okrutny, Morris? Chciałeś ukarać Jenny, bo nie udało ci się z Zoë?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Ale była w tym też pewna pociecha - ciągnęłam. - Nagle zapewniłeś sobie wprost idealne alibi. Dzięki temu mogłeś zbliżyć się do mnie, patrzeć z bliska, jak cierpię.

- Ale jak Fred mógł to zrobić? - spytał Links. - Panna Haratounian nie zamierzała w ogóle wracać do swojego mieszkania.

- On tego nie zaplanował - odparłam. - Nad tym się właśnie zastanawiałam, siedząc tutaj. Myślałam o tej dziwnej rzeczy, jaką skradziono z jej mieszkania. O paskudnym kilimie, który Fred podarował Zoë. Po co ktoś miałby go zabierać? Nie sądzę, by ktoś go ukradł. Fred po prostu zabrał go z powrotem. Przyszedł po coś, co do niego należało. Zoë zjawiała się nagle w mieszkaniu, on chwycił pasek od szlafroka i udusił ją.

- Dlatego tak trudno było ustalić ślady. Z miejsca zbrodni Fred zabrał coś, co do niego należało. A przyniósł coś, co już tam było. Siebie. Swoje ślady. I też miał doskonałe alibi. Policja wiedziała, że to nie on pisał listy. A kto mógłby zabić Zoë, jak nie ten, który napisał, że to zrobi? Zabawne, prawda Morris? Gdybyście tylko o tym wiedzieli, stworzylibyście z Fredem doskonały zespół.

Sanitariusze położyli Morrisa na noszach i podłączali mu kroplówkę.

- Sprawdzicie jego kieszenie?

- Po co?

- Nie wiem? Sądzę, że zamierzał mnie zaatakować.

Cameron spojrzął na Linksa, który skinął głową. Ładne nowe spodnie Morrisa były teraz rozcięte na pół. Cameron zaczął przeszukiwać liczne kieszenie. Nagle zobaczyłam, że coś błysnęło w jego dłoni. Trzymał drut.

- Co to jest? - spytał Morrisa.

- Właśnie coś naprawiałem - odparł.

- Do jakich napraw była ci potrzebna struna od fortepianu z pętlą na końcu?

Nie odpowiedział. Spojrzął tylko na mnie.

- Kochanie - szepnęła. - Ja jeszcze wrócę.

Sanitariusze podnieśli nosze i wyszli z pokoju. Links zawołał do jednego z policjantów w mundurach.

- Wy dwaj jedźcie z nim do szpitala. Po drodze powiedzcie, jakie ma prawa. I pilnujcie go. Nikt nie może mieć do niego dostępu.

Patrzyłam, jak go wynoszą. Nie spuszczał ze mnie wzroku, dopóki nie zniknęli za rogiem. Patrzył na mnie jednym okiem i uśmiechał się przez maskę krwi i purpurowych bąbli.

- Co z Fredem? - spytałam. Links westchnął głęboko.

- Natychmiast go przesłuchamy. A raczej jak najszybciej.

- A co ze mną? Mogę już iść?

- Podrzucimy panią do domu.

- Pójdę piechotą. Sama.

Links zagroził mi drogę.

- Panno Blake, jeśli odmawia pani udania się do domu radiowozem i w eskorcie policji, każe panią aresztować.

- Wydaje mi się - rzuciłam najbardziej chłodnym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć - że sama będę się czuła bezpieczniej.

- Skoro tak pani uważa - powiedział. Widziałam malujący się na jego twarzy strach. Wiedział już, że czeka go publiczna kompromitacja, że jego kariera legnie w gruzach.

- Sama zawsze czułam się bezpieczniej.

## 23

Co zrobiłam potem? A co można robić, gdy dostaje się z powrotem życie?

Pierwszy dzień i noc spędziłam w domu rodziców. Pomogłam tacie malować szopę w ogrodzie, leżałam z twarzą wtuloną w starą narzutę w moim dawnym pokoju, wdychając zapach naftaliny i kurzu. Jak zwykle zaniepokojona mama grzechotała w kuchni kubkami, robiąc herbatę z mlekiem i piekąc ciasteczka imbirowe, których nie mogłam przełknąć. Za każdym razem, gdy mnie mijała, patrzyła na mnie zaczerwienionymi oczami, ścisnęła ramię lub głaskała po głowie. Powiedziałam im ogólnie, co się wydarzyło, lecz szczegóły zostawiłam dla siebie. Wszystkie najważniejsze szczegóły.

Potem wróciłam do domu i zabrałam się do porządków. Pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy, była natychmiastowa przeprowadzka. Chciałam spakować walizki i zacząć życie od nowa, ale czy to miałoby jakiś sens? Nie mogłam niczego zacząć od nowa. Nie chciałam. Otworzyłam więc szeroko okna, założyłam stare bawełniane ogrodniczki, które wyglądały zupełnie tak, jakby ktoś mi je podarował dla kawału, bo za nic nie mogłam sobie przypomnieć, żebym je kupiła, włączyłam radio na cały regulator i radosna muzyka wypełniła mieszkanie. Przejrzałam zawartość każdej szuflady. Jeden po drugim wypełniałam worki podartymi rajstopami, starymi kopertami, kawałkami wyschniętego mydła, przeciekającymi długopisami, zapleśniałym serem. Stare gazety związałam sznurkiem, a butelki wrzuciłam do dużego pudła. Oddam wszystko do skupu. Część ubrań starannie poskładałam, resztę powiesiłam w szafie, pranie wrzuciłam do kosza, poukładałam rachunki w zgrabne kupki, wlałam płyn odkażający do zlewu i toalety, i do wszystkich miejsc, które bardzo tego potrzebowały. Rozmroziłam lodówkę i wyszorowałam podłogę w kuchni. Na koniec, nie do wiary, pościierałam kurze.

Zabrało mi to dwa dni. Przez dwa dni pracowałam od rana do wieczora. Przypominało to trochę medytację. Myśli swobodnie przebiegały mi przez głowę, pojawiały się wspomnienia, którym nie poświęcałam uwagi i nie dociekałam, dlaczego właśnie one zjawily się w tym, a nie w innym momencie. Nie wpadłam w euforię, nie czułam nawet wielkiej ulgi, ale krok po kroku wracałam powoli do dawnego życia. Wzięłam do ręki leżącą na biurku wizytówkę Morrisa i przypomniłam sobie, jak patrzył na mnie pałającym jednym okiem, kiedy go wynosili z pokoju. Wrzuciłam ją do wora razem z innymi śmieciami. Podarłam też kartkę z notatkami z akt wyniesionych z posterunku przez Camerona. Ją też wyrzuciłam, lecz wcześniej przepisałam adres Louise. Podniosłam z podłogi dwa guziki. Camerona? Trzymałam je przez chwilę w dłoni, po czym schowałam do pudełka po butach, w którym od tej pory będę trzymać przybory do szycia.

Kontrolowałam wszystkie rozmowy telefoniczne. Było ich teraz całkiem sporo, gdyż pierwsze echa tej historii trafiły do mediów. W gazetach pojawiły się nawet nasze zdjęcia, choć nie miałam pojęcia, skąd zdobyli moje. W „Participant” wydrukowano je na górze trzeciej strony. Wyglądało

to tak, jakbyśmy wszystkie trzy zginęły. Albo przeżyły. Zgłaszali się do mnie dziennikarze, przyjaciele też nagle chcieli się ze mną skontaktować. Kilka razy dzwonił Cameron i zostawiał nagłące wiadomości. Dobijali się też różni ludzie, których spotkałam raz czy dwa razy w życiu, przejęci faktem, że znają osobę, która na krótko stała się trochę sławna. Nie podnosiłam słuchawki.

Nie podnosiłam jej aż do ranka czwartego dnia. Przez duże okna wpadały do mieszkania długie promienie słońca. Pod gruszą, gdzie po raz pierwszy objęłam i pocałowałam Camerona, szeleściły pierwsze jesienne liście. Myślałam właśnie, że teraz powinnam zająć się ogrodem, kiedy zadzwonił telefon i odezwała się sekretarka.

- Nadiu - powiedział kobiecy głos.

Natychmiast przerwałam nalewanie wody do kubka.

- Nadiu, to ja, Grace. Grace Schilling. - Cisza. - Nadiu, jeśli mnie słyszysz, proszę podnieś słuchawkę. - Cisza. - Proszę. To bardzo pilne.

Podeszłam do telefonu.

- Słucham?

- Dzięki, że się odezwałaś. Czy możemy się spotkać? Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

- Nie możesz tego zrobić przez telefon?

- Nie. Muszę się z tobą zobaczyć.

- To naprawdę ważne?

- Tak. Mogę przyjść do ciebie za jakieś trzy kwadransy?

Rozejrzałam się po moim pachnącym czystością i płynem odkażającym mieszkaniu.

- Nie, nie tutaj. Może na Heath?

- Dobrze. O dziesiątej, przy pawilonie.

- Na razie.

Przyszłam za wcześnie, ale Grace już tam była. Choć ranek był ciepły, otulała się długim płaszczem, jakby już nadeszła zima. Włosy zaczesła ciasno do tyłu. Jej twarz wydawała się przez to dziwnie płaska, starsza i bardziej zmęczona, niż zapamiętałam. Uścisnęłyśmy sobie oficjalnie dłonie i ruszyłyśmy w stronę wzgórza, gdzie samotny mężczyzna puszczał wielki czerwony latawiec, który podskakiwał na wietrze.

- Jak się miewasz? - spytała, ale ja wzruszyłam tylko ramionami. Nie miałam ochoty rozmawiać z nią o stanie mojego umysłu.

- O co chodzi?

Zatrzymała się, wyjęła z kieszeni paczkę papierosów, zapaliła jednego i głęboko zaciągnęła się dymem. Spojrzała na mnie badawczo swoimi szarymi oczami.

- Przepraszam cię, Nadiu.

- Czy to jest ta ważna rzecz?

- Tak.

- No, dobra. - Kopnęłam kamyk leżący na ścieżce i patrzyłam, jak wpada w trawę. - Co chcesz, żebym ci na to odpowiedziała?

Zmarszczyła brwi, lecz nie odezwała się ani słowem.

- Chcesz, żebym ci wybaczyła, tak? - spytałam zaciekawiona. - Nie mam czego wybaczać, to nie ja umarłam. - Skrzywiła się. - Nie potrafię objąć cię, ot tak sobie, i powiedzieć: „Już dobrze, dobrze”.

Machnęła niecierpliwie ręką, jakby chciała rozpedzić latającą między nami chmurę owadów.

- Nie chcę tego. Przepraszam cię, bo naprawdę jest mi przykro.

- To oni cię przysłali, tak? Czy to grupowe przeprosiny?

Uśmiechnęła się i zaciągnęła papierosem.

- Boże broń, nie. Nikomu nie wolno kontaktować się ze świadkami. - Jeszcze jeden ironiczny uśmiech. - Mamy na głowie procedury prawne i wewnętrzne śledztwo. I ekipy telewizyjne.

- Macie więc kłopoty?

- Tak - odparła lekko. - Ale to nic. Powinniśmy je mieć. To, co zrobiliśmy, było... - Szybko się opanowała. - Już miałam powiedzieć niewybaczalne. Ale nie, to nie tak. Wykazaliśmy się całkowitym brakiem profesjonalizmu. To było głupie. Pozbawione wyobraźni. Złe.

Rzuciła niedopałek na ziemię i rozgniotła wąskim noskiem buta.

- Może powinnam to nagrywać dla prawnika Clive'a. - Zmarszczyła brwi. - Tak, złożył pozew. I dla ciotki Zoë. Ale tak naprawdę nie dbam o to. Zależy mi na Zoë i Jennifer. I na tobie. Nie mogę zapomnieć o tym, przez co przeszłaś.

Zeszliśmy ze ścieżki i ruszyliśmy w dół wzgórza w stronę stawu. Podmuchy wiatru zmarszczyły powierzchnię wody, pod stopy posypały się



liście. Przy stawie stała matka z małym dzieckiem, które rzucało kawałki chleba przepływającym obojętnie kaczkom.

- To nie była twoja wina - powiedziałam ostrożnie. - To przecież nie ty podejmowałaś decyzje. Nie ty zabroniłaś mówić nam, co się dzieje.

Spojrzała na mnie, lecz nie odpowiadała. Postanowiła wziąć na siebie całą winę.

- Zważywszy na całą tę sytuację - ciągnęłam - sądzę, że nie byłaś aż tak bardzo nieuczciwa. Mogło być dużo gorzej.

- Dzięki, Nadiu. Ale chyba nie umieszczę tego w swoim CV. To dziwne, zawsze namawiam wszystkich, by panowali nad swoim życiem, a tymczasem w tym wypadku wszystko wymknęło się spod kontroli. Wystarczył jeden krok - decyzja, by nie informować prasy o śmierci Zoë, nie straszyć okolicznych mieszkańców, bo przy okazji mogłoby się okazać, że nie umiemy sobie z tym poradzić. Potem następny i jeszcze jeden, i zanim się zorientowaliśmy, nie mieliśmy już wyjścia. Nie było odwrotu. Musieliśmy dalej kłamać i przestaliśmy się troszczyć o ludzi, którzy oczekiwali od nas pomocy. - Uśmiechnęła się smutno. - Nawiasem mówiąc, nie jest to żadna wymówka.

- Ten okropny, przerażający strach.

- Wiem.

- Nigdy nie potrafiłam uwierzyć w Boga. A ty?

Potrząsnęła głową.

- Dwie kobiety, które są mi bardzo bliskie - powiedziałam - choć nigdy nie widziałam ich na oczy. I dwóch mężczyzn, których spotkałam. Ty też?

Odetchnęła głęboko.

- Poznałam Freda, kiedy przesłuchiowano go po śmierci Zoë, a potem Morrisa, kiedy odkryłaś, że znał ciebie i Jennifer Hintlesham.

- Potrzebuję twojej pomocy, Grace. Znasz się na tym. Oni obaj wydawali się najzupełniej normalni. Czy mogłaś sobie wyobrazić, no, wiesz, kiedy ich spotkałaś, czy mogłaś sobie wyobrazić, że to mordercy? Czy było w nich coś... Weźmy na przykład Freda. Czy był wcześniej karany za akty przemocy?

- Teraz już będzie.

- Chodzi mi o to...

- Wiem, o co ci chodzi. Chcesz, żebym ci powiedziała, że byli inni, prawda? Chcesz im przyczepić etykietkę „niebezpieczny”. Albo „szalony”.  
- Zatrzymałyśmy się przy stawie i Grace zapaliła kolejnego papierosa. - Tak się oczywiście stanie. Ludzie tacy jak ja będą badać Morrisa i odkryją, że był molestowany lub porzucony, że w dzieciństwie był bity, obejrzał jakiś okrutny film albo spadł z drabinek na placu zabaw. A z prasą skontaktuje się jakaś osoba, która powie, że pięć lat temu Fred ją uderzył lub coś w tym stylu. Potem do głosu dojdą politycy i inni krzykacze, którzy zaczną domagać się wyjaśnień, dlaczego wcześniej nikt na to nie wpadł.

- I?

- Nie było na co wpaść. Kiedy ludzie popełniają morderstwo, jego ofiarą najczęściej pada osoba, którą znali. Tak przynajmniej mówią statystyki. Zoë rzuciła Freda, który poczuł się upokorzony, potem wpadł w furię i pech sprawił, że znalazł się z nią sam na sam. I zabił ją. I tyle. To nic nowego. On prawdopodobnie nie ma w sobie więcej morderczych instynktów niż każdy z nas. Ale popełnił morderstwo, o które nikt go nie podejrzewał, bo jego ofierze groził w listach ktoś inny.

- Bardzo pocieszające - burknęłam oschle.

- Nie sądzę, żebyś szukała u mnie pociechy. Nigdy mnie o nią nie prosiłaś. To nie w twoim stylu, prawda? A Morris? No cóż, Morris jest zupełnie inny, to jasne, jego można uznać za szaleńca, tak jak za szaleńca uznaje się każdego, kto popełnia bezsensowną zbrodnię. Albo za wcielenie zła, jeśli wierzysz w takie pojęcia. Ale to nas do niczego nie prowadzi, prawda? Bo ciebie najbardziej martwi to, że z całego tego przerażenia, grozy, śmierci nie wypływa żadna lekcja.

- Tak.

- No właśnie.

Wróciłyśmy na ścieżkę i przez długą chwilę nie odzywałyśmy się do siebie.

- Mogę ci zadać jedno pytanie? - spytała nagle.

- Jasne.

- Nie daje mi to spokoju. Jakim cudem udało ci się dotrzeć do akt sprawy?

- Ach, to. Przespałam się z Cameronem Stadlerem, a potem dopuściłam się szantażu.

Spojrzała na mnie, jakbym wymierzyła jej siarczysty policzek. Na twarzy malował się komiczny wyraz.

- Nie pytaj - dorzuciłam. - Nawet nie chciałabyś tego wiedzieć.

Roześmiała się, lecz śmiech nie zabrzmiał zbyt wesoło. Nie mogłam się jednak opanować i po chwili obejmowałyśmy się, chichocząc i prychnając jak nastolatki. Nagle Grace przestała się śmiać i zastygła z poważnym wyrazem twarzy.

- Nie możesz sobie tego wyrzucać do końca życia - powiedziałam.

- Założysz się?

- Nie.

Doszłyśmy do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidlała. Grace przystanęła.

- Idę w tę stronę. Do widzenia, Nadiu.

- Do widzenia.

Uściśnęłam jej wyciągniętą dłoń. Zawróciłam w stronę powiewającego na wietrze latawca.

- Nadia! Obejrzałam się.

- Tak?

- Uratowałaś nas - zawołała. - Nas, siebie, kobiety, które mogły stać się następnymi ofiarami. Uratowałaś nas wszystkich.

- To tylko szczęście, Grace. Po prostu miałam szczęście.

## 24

Było za zimno na śnieg. Niebo lśniło lodowatym błękitem, a chodniki nadal pokrywał szron - pozostałość po mroźnej nocy. Przy każdym oddechu z moich ust wydobywała się para, łzawiły oczy, bolał mnie czerwony nos, a w brodę wystającą nad starym szalikiem kłuły ostre szpileczki zimna. Wiatr ciał jak ostry nóż. Szłam szybko z pochyloną nisko głową.

- Nadia? Nadia! - usłyszałam nagle młody głos po drugiej stronie ulicy. Zmrużyłam oczy.

- Josh?

To był rzeczywiście on. Stał w grupie koleżanek i kolegów, skulonych

pod ciepłymi kurtkami. Przekomarzali się wesoło. Po chwili podszedł do mnie.

- Dogonię was - zawołał, machając do nich ręką.

Wyglądał teraz o wiele lepiej, był mniej blady i zabiedzony. Zatrzymał się kilka kroków ode mnie i uśmiechnęliśmy się do siebie z lekkim zażenowaniem.

- Joshuo Hintlesham, myślałam o tobie - powiedziałam, pilnując, by mój głos zabrzmiał jak najbardziej radośnie.

- Jak się masz?

- Żyję.

- To dobrze - rzekł zupełnie tak, jakby miał co do tego poważne wątpliwości. Rozejrzał się niepewnie. - Powinienem był się do ciebie odezwać. Miałem wyrzuty sumienia. To przecież ja przyprowadziłem do ciebie Morrisa.

Wydawało mi się, że minęło znacznie więcej czasu, a nie zaledwie pięć miesięcy od chwili, gdy niczym żaloszny, zabiedzony psiak siedział u mnie na kanapie. Nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć, bo zbyt wiele legło między nami: cała wielka góra przerażenia i strachu.

- Masz chwilę na kawę? - Zdjął wełnianą czapkę i zauważyłam, że ufarbował włosy na pomarańczowo, a w uchu nosi kolczyk.

- A co z twoimi przyjaciółmi?

- W porządku.

Ruszyliśmy przed siebie i po chwili dotarliśmy do niewielkiej włoskiej kafejki. W zadymionym wnętrzu było ciepło i przytulnie, ekspres do kawy prychał zachęcająco.

- Rewelacja - westchnęłam. Zdjęłam kurtkę, czapkę, szalik i rękawiczki.

- Ja stawiam - powiedział, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. Szukając drobnych w kieszeni, wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

- Dobra, bogaczu. Dla mnie cappuccino.

- Coś do jedzenia? - spytał z nadzieją.

Nie chciałam, by poczuł się zawiedzony.

- Może croissanta.

Usiadłam przy stoliku w rogu i patrzyłam, jak Josh składa zamówienie. Najstarszy syn Jenny, z pomarańczowymi włosami, opierał się o ladę i usiłował imponować mi swoją dojrzałością i pewnością siebie. Obliczyłam,

że musiał już skończyć piętnaście lat. Był niemal mężczyzną i za kilka lat skończy szkołę.

Postawił przede mną na stole kawę i rogalika. Dla siebie zamówił gorącą czekoladę. Popijał ją powoli, nad górną wargą pojawił się biały wąsik z bitej śmietany. Znow uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Żałuję, że do ciebie nie zadzwoniłem - powtórzył.

Popijaliśmy gorącą kawę i czekoladę, patrząc na siebie znad brzegów kubków.

- Słyszałem, że nieźle urządziłaś Morrisa.

- To była walka na śmierć i życie.

- Naprawdę zrobiłaś to żelazkiem?

- Tak.

- Musiało go boleć.

- O, tak.

- Chyba powinno mnie to cieszyć. Słyszałaś o gangach jakuzi w Japonii? Kiedy zabijają swoją ofiarę, najpierw w wyszukany sposób pozbawiają ją przytomności. Potem wyciągają na ulicę i przejeżdżają po niej raz po raz samochodem, łamiąc wszystkie kości. Podobno człowiek odczuwa ból nawet wtedy, gdy znajduje się w śpiączce lub umiera.

- Miłe - skrzywiłam się.

- Przez pewien czas czułem, że powinienem coś zrobić Morrisowi. Myślałem o tym, że cały czas włóczył się ze mną, wiedząc, co wcześniej zrobił z mamą.

- To chyba była część jego gry.

- A potem pomyślałem: pieprzyć to. Może kiedy wyjdzie.

- Kiedy wyjdzie, będzie zgrzybiałym staruszkiem.

- Zgrzybiałym staruszkiem cierpiącym na artretyzm. - Josh uśmiechnął się perfidnie.

- Mam nadzieję. Fred wyjdzie wcześniej. Rozmawiałam o tym z Linksem. Proces rozpocznie się dopiero w przyszłym roku, ale za uduszenie byleż dziewczyny z zemsty za to, że go rzuciła, dostanie jakieś osiem, dziesięć lat.

Josh postawił kubek na stole i przesunął kciukiem po górnej wardze, wycierając ślad czekolady.

- Nie wiem, o co chciałem cię zapytać - mruknął zmieszany. - Sporo o tym myślałem, a teraz nie wiem.

Zmarszczył brwi i patrzył na mnie bezradnie tymi swoimi oczami, które

zawsze przypominały mi Jenny. W tej chwili wyglądał na wiele młodszego, to był ten sam Josh, którego zapamiętałam z tego tragicznego lata.

- Myślisz pewnie, że jest coś, co ja mogłabym ci powiedzieć.

- Mniej więcej. - Przesunął palcem po kupce rozsypanego na blacie stołu cukru. Przypomniałam sobie, że parę miesięcy temu na Heath powiedziałam coś podobnego do Grace.

- Morris zamordował twoją mamę dla zabawy. Potem wybrał sobie mnie i gdybym miała mniej szczęścia, może siedziałbyś teraz obok jego kolejnej wybranki. Zrobił to bez powodu. Mógł wybrać każdą kobietę, ale tak się złożyło, że była nią Jenny. Jest mi bardzo przykro - dodałam po chwili milczenia.

- W porządku - mruknął ze spuszczoną głową, nadal rysując coś w czarce.

- Jak ci leci w szkole?

- Chodzę teraz do innej. To był dobry pomysł.

- Tak.

- Jest dużo lepiej. Mam sporo przyjaciół.

- To świetnie.

- I spotykam się z kimś.

- Z dziewczyną?

- Nie. Z pewną osobą. Żeby rozmawiać.

- To bardzo dobrze. - Spojrzałam na niego bezradnie.

- A ty?

- Ja?

- Czym się teraz zajmujesz?

- Różnymi rzeczami.

- Tym samym co dawniej?

- Nie, nie - odparłam szybko. Wskazałam na małą torbę leżącą pod moim krzesłem. - Wiesz, co tam jest?

- Co?

- Między innymi pięć piłeczek do żonglowania.

Spojrzał na mnie, nie do końca rozumiejąc.

- Pięć - powtórzyłam. - Co o tym myślisz?

- To niesamowite. - Był wyraźnie pod wrażeniem.

- Mój wielki plan zakłada, że kiedyś z tym skończę, ale postanowiłam nie marnować czasu.

- Pokaż mi - powiedział.

- Tutaj?

- No, pokaż.
- Naprawdę chcesz?
- Muszę to zobaczyć.

Rozejrzałam się. Kafejka była prawie pusta. Wyjęłam pileczki z torby. Wzięłam trzy do jednej ręki, dwie do drugiej. Wstałam z krzesła.

- Patrzysz uważnie?
- Tak.
- Musisz się skoncentrować.
- Jestem skoncentrowany.

Zacząłam. Przez sekundę wszystko szło gładko, ale potem pileczki rozsypały się po sali. Jedna uderzyła Josha, druga w mój pusty kubek po kawie.

- No, teraz wiesz już mniej więcej, jak to wygląda. - Schyliłam się pod stół, by podnieść jedną z pileczek.
- To tyle? - spytał z uśmiechem.
- Gdyby to było takie proste, wszyscy zonglowaliby bez problemu.
- Nie, to było naprawdę wspaniałe. - Wybuchnął śmiechem.

Może to właśnie był mój podarunek dla Josha i moje pożegnanie. Nadia-klaun; kobieta, która nie umarła, zonglująca kolorowymi pileczkami w małej, mrocznej kafejce. Poczułam nagle dławiący mnie w gardle śmiech, a może to był szloch? Zebrałam pileczki i wrzuciłam je do torby.

- Lepiej już pójde - powiedziałam.
- Ja też.

Pocałowaliśmy się w policzek w drzwiach kafejki i wyszliśmy w przeźliwy chłód. Kiedy odwróciliśmy się, by ruszyć każde w swoją stronę, powiedział:

- Nadal kładę kwiaty na jej grobie.
- Cieszę się - odparłam.
- Nie zapomniałem.
- Och, Josh - powiedziałam. - Kiedyś będzie ci wolno zapomnieć.

Wszyscy kiedyś zapomnimy.

Jednak kiedy szłam do domu ścieżką wzdłuż kanału, myślałam, że ja nie mogę zapomnieć. Nigdy nie zapomnę kobiet, które odeszły. Zoë i Jenny. Wiem, że już ich nie ma, że nigdy nie wrócą, choć bardzo bym tego

pragnęła. Nadal jednak łapię się na tym, że wierzę, iż uda mi się je spotkać, kiedy skręcę w jedną z przecznic lub gdy wsiądę do zatłoczonego autobusu. A może gdy w tłumie ludzi będę szukać znajomej twarzy albo kiedy rankiem otworzę oczy.

Znam ich twarze tak dobrze; lepiej niż twarz matki, ojca, lepiej niż twarz kochanka, w którą wpatrywałam się kiedyś z nadzieją i pożądaniem. Znam ich twarze tak dobrze jak swoją, oglądaną codziennie w lustrze. Wpatrywałam się w nie, szukając wskazówek, błagając je, by przekazały mi jakieś informacje, by mi pomogły. Lekko zadarty nos, dumny podbródek, sposób, w jaki się uśmiechały, błysk białych zębów, ściągnięte brwi, niewielka zmarszczka na czole. Znam każdą najdrobniejszą bruzdę, cień, zagłębienie, bliznę.

Nigdy ich nie spotkałam, a jednak za nimi tęsknię. Nigdy ich nie poznałam, a mimo wszystko je znam; teraz, gdy jest już za późno. Znam je tak, jak nie znał ich nikt inny. One też by mnie poznały, nawet w największym tłumie. Może nie zapalałybyśmy do siebie sympatią, ale gdzieś głęboko pod skórą byliśmy siostrami. Ich strach był moim strachem, ich wstyd był moim wstydem, ich gniew był moim gniewem, ich panika, samotność, bezradność i świadomość, że to zbliża się coraz bardziej. Wiem doskonale, co czuły. Bo ja też to czułam.

Inni stopniowo o nich zapomną i pozwolą im odejść. Tak powinno być, gdy ktoś umiera. Ludzie, którzy powtarzali im, że je kochają, będą to mówić innym osobom. W porządku, tak musi być. Tylko w ten sposób można sobie radzić z życiem i nie oszaleć. Powoli więc wszystko okrywa się mgłą. Ich wady i irytujące nawyki. A one same zatrą się w pamięci, rozwieją. Ludzie coraz rzadziej będą odwiedzać ich groby; tylko w rocznice i szczególnie ważne dni. Tak, będą o nich opowiadać, bo fakt, że byliśmy tak blisko ludzkiej tragedii, sprawia, że sami stajemy się ważniejsi. Będą o nich mówić przyciszonymi głosami - och tak, czyż to nie straszne, co stało się z Zoë, Jenny? To takie smutne.

Ale ja nie potrafię o nich zapomnieć. Poniosę je ze sobą wszędzie, w nowe, odzyskane życie, przez lata, które im nie były dane, przez miłość, utraty i zmiany, których nie dane im było poznać. I każdego dnia będę im powtarzać: Do widzenia.